

ARKADIUSZ NIEMIRSKI

TESTAMENT BIBLIOFIŁA

1

W nocy ciężkie chmury napłynęły z południa i wydobyły z kalendarza kolejny lipcowy dzionek. Zmiana pogody zaowocowała o świcie rzęsiwym deszczem, wkrótce stalowa pierzyna sennie wisiała nad jeziorem, złorzecząc jutrzence groźbą biblijnego potopu. Deszcz wybijał jednostajny rytm o dachówki i usypiająco szemrał w zaniedbanym ogrodzie, otaczającym willę, wstrząsał drzewkami bzu i magnolii, policzkował rynną jeziora oraz ścianę lasu, zaczynając się tuż za ogrodzeniem. To przez ten deszcz piętnastoletni Marek nie usłyszał wchodzących do domku ludzi. Drzemał jak ostatni włóczęga w przestronnej kuchni, w której solidnie zabite deskami okno wychodziło na dawny ogród i las.

Obudziła go dochodząca zza ściany rozmowa dwóch osób, zagłuszana szumiącym na zewnątrz deszczem.

Zerwał się gwałtownie, słysząc czyjeś kroki.

- Widział pan? - gderała jakaś niewiasta. - Zbita szyba...

Złodzieje!

Markowi zabiło mocniej serce.

- Dranie włamują się do domów letniskowych - odpowiedział sapiący mężczyzna. - Bandyckie czasy!
- Niech pan się zatrzyma. Zadzwoń na policję!
- Spokojnie - obruszył się starszy mężczyzna. - Zapomina pani, kim jestem. Posiadam licencję detektywa! W kaburze mam broń i umiem dać w pysk, kiedy trzeba. Tylko spokojnie.

- Detektyw Rutkowski się znalazł - sapnęła. Nagle stała się czujna.
- O, tam - zapiszczała. - Słyszał pan?

5

- Co takiego?
- Na miłość boską, jest pan głuchy? Słyszałam jakiś szmer.
- Szmer? Nie zdawało się pani? Pewnie mysz. Zapanowała nieznośna cisza. Marek wstrzymał oddech.

Przyłgnąwszy do ściany tuż za kuchennymi drzwiami, zastanawiał się, co takiego mogła usłyszeć ta nerwowa kobieta. Czyżby potrącił któryś z przedmiotów walających się po zaśmieconej podłodze?

Nagle struchlał. Otworzyły się drzwi. Ktoś w milczeniu, trwającym dla chłopaka całą wieczność, oglądał kuchenne pomieszczenie. Chłopak czuł zapach deszczu, jaki intruz przyniósł ze sobą. Jak na złość nie zabrał z podłogi swego plecaka, ale ginął on wśród rupieci. Na szczęście facet szybko zrezygnował z oględzin pomieszczenia i dołączył do kobiety stojącej w holu. Przeszli do innego pokoju i dopiero wtedy Marek odetchnął z ulgą.

- Widzi pani? - przekonywał mężczyzna za ścianą. - Nie ma nikogo. Lepiej poszukajmy jakiejś komody...
- Komody? - kobieta zachichotała nerwowo. - To pan sądzi, że mój świętej pamięci ojciec trzymał w komodzie klejnoty? Nawet gdyby tutaj była jakaś komoda, złodzieje dawno by wszystko wynieśli. A najprędzej zrobiłaby to jego kochanica. Pewnie wszystko stąd wyniosła, zdzira jedna. I dobrze pan wie, że ojciec przed śmiercią

oddał wszystkie cenne rzeczy w depozyt do notariusza.

- Spokojnie - sapnął mężczyzna. - Widzę tu biurko. O, tam! Jest też szafka. Tak mi się tylko powiedziało z tą komodą. Równie dobrze mogłem powiedzieć o futerale na skrzypce. Co się z panią dzieje? To pani mnie namówiła na tę podróż! I to w taki deszcz.

Marek słyszał ich kroki, potem odgłosy świadczące o mocowaniu się z zamkiem mebla.

- Ja pana namówiłam!?! Może i namówiłam! A co, sama miałam tu przyjechać?

Przez pewien czas krzątali się i stukali w meble i ściany.

- Co za pech - przerwała ciszę kobieta. - Zamknięte.
- Przecież tłumaczę pani od samego poznania...

6

- Od Poznania wcale nie rozmawialiśmy, bo jechaliśmy osobno.
- Od naszego poznania, to chciałem powiedzieć. Od chwili, gdy mnie pani wynajęła. Wyjaśniałem już, że robię w tym fachu dwadzieścia lat i rozwiązałem wiele spraw. Doświadczenie, droga pani. Zamki też umiem otwierać. Byle zameczek w biurku, to dla mnie pestka...
- Nie trzeba go otwierać. Ktoś wyrwał tylną ściankę! O, proszę!
- O żesz ty kartofel, złodzieje - mrucał niezadowolony detektyw. - Rzeczywiście tu byli.

Chłopak wsłuchiwał się w każdy dźwięk dochodzący z gabinetu, bo tam właśnie „urzędowała” para, która zaskoczyła go nagłym wtargnięciem. Przyszedł tutaj w nocy, zmęczony i potwornie głodny; na

szczęście znalazł opakowanie starych sucharów, potem znużony zasnął. Spał z małymi przerwami do chwili, w której tych dwoje go zbudziło.

To nie byli zwykli włamywacze, o nie! Mężczyzna kilkakrotnie zapewniał kobietę, że jest detektywem. Zresztą to ona go wynajęła. Była córką właściciela domu - sama wspomniała o „świętej pamięci ojcu”. Jej zachowanie świadczyło, że przyszła z detektywem po konkretny przedmiot.

- Co pan robi?! - krzyk kobiety wypełnił wnętrze domu. - Proszę to zostawić!
- Nie czyta pani powieści kryminalnych? Podejrzani często trzymają cenne rzeczy pod podłogą. Próbuję oderwać część klepek. Widzi pani tę jedną, lekko wyniesioną ponad parkiet?
- Po pierwsze, mój ojciec nie jest żadnym podejrzanym - fuknęła. - A po drugie, ta willa może kiedyś należeć do mnie.
- Przecież pani ojciec zapisał ją gminie na przyszłe schronisko dla bezdomnych - zauważył detektyw.
- Odbierzemy im to prawo! - uniosła się. - Już ja się o to postaram. Gmina nie ma pieniędzy na schronisko i jak tylko zdobędę spadek, odkupię ten dom. A jak już będzie mój, nie mam zamiaru mieszkać w jakiejś ruderze. Zaraz... a po co ja właściwie pana wynajęłam? Miał pan znaleźć tę kobietę!
- Szukam jej - zapewnił bez przekonania. - I znajdę. Pyta-

7

łem nawet sąsiadów o jego przyjaciółkę. Niestety, ostatni raz widziano ją tutaj pięć lat temu. Nikt nie potrafi jej opisać, nikt nie wie, kim jest.

Najbliższy dom znajduje się około kilometra na południe, a pani ojciec stronił od ludzi. Nikogo tu nie zapraszał. Zero znajomych. Wprawdzie niedaleko, nad jeziorem, jest ośrodek, ale tam bawią wczasowicze i turyści. Tylko na zamku w Kórniku dobrze go pamiętają. Uważam jednak, iż dom należy dokładnie zbadać. Ona z nim tu mieszkała... może natrafimy na jej trop. Zresztą to pani nalegała, żebyśmy tu przyjechali.

- Tylko że tu nic nie ma.
- Tego nie wiemy. Trzeba wszystko dokładnie przebadać. Wszystko! Inaczej nie odgadniemy hasła.
- Chwileczkę, czy ja dobrze słyszę? - zachnęła się. - Pan chce odgadnąć hasło? Dobrze, sobie! A póki co demoluje pan willę! Nie, nie, nie! Podłogi ruszać nie pozwolę.
- Droga pani - sapał poirytowany detektyw. - Każdy szczegół z życia pani świętej pamięci ojca może być pomocny w odgadnięciu hasła. Wiem, wynajęła mnie pani, żebym odszukał przyjaciółkę pana Karskiego, lecz mogę okazać się przydatny także w sprawie tego całego zakichanego „zaklęcia”. Przyjaciółka wcześniej czy później się znajdzie. A tak między nami, to nie za bardzo rozumiem, po co pani interesuje się tą kobietą? Minęło pięć lat, odkąd ze sobą skończyli. Lepiej spożytkować czas i energię na odgadnięcie hasła. Widzi pani... gdybym tak dostał jakieś listy pana Karskiego, notatniki, książki...
- Nie mam - zapewniła. - Ani jednego listu. Nie mam nic! Ojciec zabrał wszystko, kiedy wyprowadził się z Poznania. Tutaj nikt z nas go nie odwiedzał. Wszystko, co ojciec zostawił po sobie, jest u notariusza. Chyba nie włamie się pan do gabinetu mecenasa Czaplińskiego?
- Jestem detektywem, nie złodziejem.

Marek ostrożnie wyściubił nos z kuchni. Miał zamiar opuścić starą willę. Teraz albo nigdy. Nadarzała się ku temu świetna okazja, para bowiem rozmawiała w gabinecie znajdującym się w innej części domu, całkowicie pochłonięta dyskusją o nieboszczyku. Zaciekała go ta rozmowa, ale musiał stąd zwie-

8

wać. Nie powinni go tutaj zastać. Z detektywem nie było żartów - facet nosił przy sobie broń i pracował w tym fachu więcej lat niż liczył sobie Marek.

-Wciąż pan powtarza, że jest detektywem, a jakoś nie może pan się wywiązać z zadania - doleciał chłopaka poirytowany głos. - Szczegóły dotyczące naszej rodziny nie powinny pana interesować. Nie pańska sprawa! Ma pan tylko znaleźć tę zdi-rę, jego kochanicę.

- To fakt, co mnie to obchodzi - mężczyzna sapał jak hipopotam. - Ale widzi pani, jako detektyw różne dziwne rzeczy widziałem i słyszałem... takie, wie pani, o których nie śniło się nawet filozofom... więc mogę pani pomóc nie tylko z tą kochanicą, ale i z hasłem. Moim zdaniem, fakt, że pani ojciec był... jakby tu powiedzieć... zakręcony...
- Zakręcony? - parsknęła sarkastycznie. - Tak o nim mówi mój braciszek. Ja używam innego wyrażenia. Szurnięty. No, śmiało! Jaki był, pana zdaniem, nasz ojciec?
- Uważam waszego ojca za dziwaka! To chciałem powiedzieć. Wielki dziwak! Nic ponadto. Człowiek, który po śmierci zostawia rodzinie płytę CD z instrukcją zdobycia spadku, i do tego chronioną hasłem, musi być wielkim dziwakiem. Niech mi pani wierzy, śledziłem w życiu wielu ludzi, nagrywałem zwierzenia zazdrosnych kobiet i

oszukanych mężów, łapałem na gorącym uczynku bachory, kiedy opróżniały rodzinne sejfy, znajdowałem wreszcie grzeczne panienki w miejscach, w których nie powinny przebywać, ale takiej sprawy jak ta jeszcze nie miałem. Nigdy nie spotkałem takiego dziwaka, jak pani świętej pamięci ojciec.

- Za dużo pan gada. Nie za to panu płacę.

Rozmowa intruzów była coraz bardziej interesująca, lecz Marek musiał, niestety, uciekać. Zabrał plecak. Szedł na palcach korytarzem w stronę salonu, ku otwartym drzwiom wychodzącym na mokry taras. Skradając się, mimowolnie słuchał dialogu zagłuszanego przez pochlipujący deszcz.

- To fakt - odezwał się niepoczyszony detektyw. - Nie za to mi pani płaci. Staram się pani tylko uzmysłwić, że zagadkę można rozwiązać na dwa sposoby. Można myśleć, tak jak pani

9

ojciec... to znaczy wczuć się, że tak powiem, w jego psychikę... pogrzebać trochę w jego papierach i książkach, i może wtedy uda się wpaść na to przeklęte hasło. Nie ma jednak gwarancji, że komukolwiek uda się odgadnąć. Jestem człowiekiem prostym, praktykiem, i nie potrafię wczuć się w psychikę ludzi podobnych do pani ojca, dlatego stosuję mniej subtelne metody, a mianowicie szperam w szafkach, włamuję się do sejfów, a czasami zrywam klepki w podłodze. Taki mam fach, droga pani. I powiem szczerze, tak między nami, to niezła metoda.

- Zrywać klepek nie pozwolę!
- Pięknie - westchnął ciężko. - Tylko jeśli my tego nie zrobimy, to przyjdzie tu pani siostra, może nawet braciszek, i zrobią to za panią. Oni nie będą mieć skrupułów.

- Ha, ha! - wybuchła gromkim, nieco szyderczym śmiechem kobieta. - Przecież Patryka nie interesują sprawy majątkowe. On nawet pozbył się swojej płyty CD. Ma w nosie spadek! To młody kontestator, szczeniak! Kocha wiersze Wojaczka i piosenki Stinga. W tym roku nie dostał się na polonistykę, ale jak mu się uda, założę się, że będzie wiecznym studentem. To romantyk. A forszą gardzi.
 - Może dlatego, że zawsze ją miał - zauważył mężczyzna. - Od świętej pamięci ojca, rzecz jasna.
 - Nie, nie. To Joanna go rozpieszczała po śmierci mamy. No, może trochę i ja.
- Ale za pieniądze ojca?
- Zakłopotana Karska nie odpowiedziała.
- Wszystko jedno - mruknął detektyw. - No to założmy, że pani siostra...
 - Joanna? - kobieta wykrzywiła wargi w lekceważącym grymasie. - To modelka, której marzy się wyłącznie kariera filmowa. Jest za głupia, żeby odgadnąć hasło.
 - Tak pani sądzi? - zarechotał. - To ciekawe. Dlaczego więc ten jej wyperfumowany i elegancki chłoptaś, i do tego żabojad, ma tu przyjechać?
 - Że co?! - zaniepokoiła się kobieta. - Tu? Do Kórnik? Skąd pan wie, że ma przyjechać jakiś żabojad?
- Ile razy mam pani powtarzać, że jestem detektywem?

10

Otóż, śledziłem kochanków i podsłuchiłem ich rozmowę w kawiarni „Azalia” w Poznaniu.

- Zna pan francuski? - zdziwiła się.
- Nie muszę. Rozmawiali po polsku.
- Dlaczego pan to zrobił? Nie prosiłam pana o to.
- Przepraszam. Skrzywienie zawodowe.
- I co? - przerwała mu zainteresowana. - Mówili o spadku?
 - Oni, proszę pani, mówili wyłącznie o spadku. O niczym innym nie rozmawiają. Pani śliczna siostra jest pewna, że pierwsza odgadnie hasło wymyślane przez waszego ojca i zdobędzie jego skarb. Dlatego chcę pani pomóc.
 - A to głupia gęś! Ja jej pokażę! - piekliła się kobieta. - Przecież ona nie potrafi rozwiązać prostej krzyżówki. Proszę jej rzucić hasło „imię Aleksandra Macedońskiego”, a pół godziny będzie się zastanawiać, co wpisać. Zaraz, zaraz, dopiero teraz mi pan o tym mówi?! O jakimś zabojadzie?!
 - Miałem zamiar powiedzieć wcześniej, ale jakoś nie było okazji.

W korytarzu zatrzeszczała upiornie klepka, na którą nadepnął Marek. I stało się to, co było nieuniknione. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka, co stanowiło oczywisty znak, że para rozmawiająca w gabinecie usłyszała go. Chłopak nie czekał dłużej i rzucił się w stronę tarasu, mając w nosie konspirację. Teraz liczyło się tylko to, żeby opuścić dom, zanim dorwie go ten detektyw. Biegł szybko, ile sił w nogach ku uchylonym drzwiom, a odgłos jego własnych kroków nie potrafił zagłuszyć dudnienia za ścianą. Jakby biegł tam hipopotam.

Dzieliły go dosłownie kroki od wyjścia, gdy na jego plecy zwała się góra mięsa. Detektyw był szybki, jak na swój wiek i wagę. A przy tym potwornie sapał - co najmniej jak dwa hipopotamy. Zderzenie z nim

groziło kalectwem, to tak jakby wpaść pod lokomotywę. Tym bardziej było to niebezpieczne, że Marek był drobnej postury. Jak na swoje piętnaście lat był niski, co zresztą skazywało go na nieustanne docinki ze strony rówieśników i dorosłych i utrzymywało w nim kompleks niższości. Najbardziej bolały go kąśliwe uwagi na temat jego wzrostu wygłaszane przez dziewczyny.

11

W tej chwili jednak martwił się wyłącznie o swoje kości. Krzyknął w chwili zderzenia z twardą podłogą i poczuł ból przeszywający cały bok. Wstrząs stanowi doskonałą terapię na wszelkie bóle świata, pod warunkiem, że się przeżyje.

*

Przyduszony cielskiem detektywa leżał oszołomiony na podłodze. Przeżył. W uszach brzmiał mu krzyk kobiety, lecz dochodził jakby z oddali. Potem wykręcono mu ręce - raz, dwa, trzy - usłyszał szcęk metalu i poczuł chłód kajdanek zaciskających się na nadgarstkach. W głowie mu szumiało i cały dygotał. Zaraz jednak silne ręce ustawiły go w pionie. Siedział na podłodze, zwrócony twarzą w stronę wystraszonej brunetki ubranej w przemoknięty, brązowy płaszcz ze skóry.

- Mam cię, szczeniaku! - sapał za jego plecami detektyw. - Widzi pani, mamy łobuza!
- O Jezu! - darła się wzburzona. - A mówił pan, że tu nikogo nie ma!
- Blefowałem. Rozumie, pani? Ha, ha. Blefowałem. Żeby drania wywabić z nory! Widziałem w kuchni jego plecak.

Marek próbował wyszarpnąć ręce z kajdanków.

- Nie szarp się, gówniarzu! Nic ci to nie da.
- Ależ ten smarkacz mnie wystraszył.

Prawie czterdziestoletnia córka zmarłego właściciela willi, z nieco rozmytym przez deszcz makijażem - marszczyła czoło tak, że jej brwi układały się w ostre łuki.

- Niech go pan zapyta, czy ma współników!
- Te, słyszałeś? - szturchnął go w plecy detektyw. - Sam tu jesteś?

Marek nie odpowiadał, więc mężczyzna zajrzał do jego plecaka, ale oprócz szczoteczki do zębów i kilku ciuchów nie znalazł niczego godnego uwagi. Żadnego dokumentu.

Przejechał dłonią po czubku jego głowy.

- Gadaj!

- Nie jestem złodziejem - wyjaśnił załamującym się głosem. - Puśćcie mnie! Wszedłem tu w nocy, bo drzwi na taras

12

były uchylone... ja nic nie zrobiłem! Naprawdę. Chciałem się tylko przekimnąć.

- Oni tak zawsze mówią, droga pani - ryczał nad jego głowę detektyw. - Kradną samochody, tłumacząc się miłością do motoryzacji, napadają na staruszki, a później gadają, że to konkurs zręczności, kij baseballowy to dla nich wykałaczką i tak dalej. Znam ten repertuar.

Kobieta pochyliła się nad chłopakiem, w dalszym ciągu marszcząc czoło.

- Ale on jakiś taki rachityczny - oceniła go.

- Jaki? Rachi... co?
- No, taki nieduży. Nie wygląda na złodzieja.

Detektywa poderwał go do góry, jakby chciał wyrwać chłopaka z korzeniami. Na szczęście Marek nie był drzewem, choć opinia kobiety mogła temu przeczyć. Rachityczne bywają przeważnie rośliny. Jęknął i stanął na podłodze, przytrzymany przez mężczyznę. Bał się. Wreszcie go ujrzał - zwalistego typu o rzednących włosach mokrych od deszczu, przyklepionych do głowy, czerwonym nosie oraz bystrych, choć zmęczonych oczach. Mężczyzna miał na sobie zamszową marynarkę, która na oko była starsza od chłopaka. Zarost na puciołowatej nieco gębie, też miał swoją kilkudniową historię. O rany! Już widział tego faceta. I to całkiem niedawno.

Nie był to typ ani wysportowany, ani elegancki, lecz z pewnością nadrabiał w życiu sprytem i doświadczeniem. Posiadał też w ręku argument sprawiający, że słuchano go bez szemrania. Stał bowiem przed nim z wyciągniętym z kabury pistoletem.

- Faktycznie, mizernutki - stwierdził detektyw, zmierzywszy chłopaka wzrokiem od stóp do głów. - I dzięki temu wszędzie wejdzie. Dla złodzieja niski wzrost to dar. Zresztą kurdu-ple bywają groźne. Napoleon też nie był wysoki, a trząśł całą Europą. To samo Hitler. I Stalin. Te, ile masz lat? Nazwisko! No, mów, szybko, szczeniaku!
- Bonaparte - wymamrotał z wściekłością Marek, ugodzony do żywego ostatnią uwagą o wzroście.
- Podskakujesz? Zaraz ci się odechce żartów, jak pójdziemy na posterunek!...

Nagle detektyw zamilkł. Cicho jęknął i odstąpił od chłopaka. Na jego twarzy pojawił się grymas nieznośnego bólu, rękę zaś położył na sercu. Ten rosły mężczyzna skurczył się w sobie, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Zachowywał się jak ktoś, komu brakuje powietrza i za chwilę wyzionie ducha.

- Co się panu stało?! - przeraziła się jego towarzyszka. -

Panie Juliuszu! Słyszysz mnie pan? Panie Barber!

Detektyw zignorował jej troskę i uporczywie szukał czegoś w kieszeniach marynarki, nie przestając ciężko dyszeć.

- Serce... - wydusił z siebie wreszcie. - Wieńcówka. Gdzie moja nitrogliceryna?

Facet się dusił. I wtedy Marka olśniło.

- Spray! - rzucił w stronę kobiety. Powiódł oczami po swojej kurtce, wskazując wymownie boczną kieszeń kurtki. - Mam go! Proszę go wyjąć! Szybko! Jest w mojej kieszeni!

Detektyw zacisnął z bólu oczy i osunął się na kolana, lecz zdążył jeszcze wykonać rozpaczliwy ruch ręką.

- Nie! - powstrzymywał kobietę. - Proszę tego nie robić...
uuuh... nabiera panią. To podstęp!

Sama nie wiedząc dlaczego, nie posłuchała ostrzeżenia doświadczonego łapsa. Może dlatego, że chłopak był skuty kajdankami. Zrobiła zatem odważnie krok do przodu i włożyła rękę do jego kieszeni. Wyjęła z niej spray i podała go szybko detektywowi.

Mężczyzna włożył ustnik między zęby i nacisnął nerwowo kapturek dozownika. Kilka razy nabrał w płuca powietrza zmieszanego z

lekarstwem, a następnie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odprężył się. Zaczął głęboko i równomiernie oddychać, a jego twarz stopniowo jaśniała ulgą. Odgarnął rzadkie włosy z czoła, podrzucił kilka razy pojemnik w dłoni i spojrzął na Marka z zainteresowaniem. Wcześniej jednak zwrócił się do swojej pracodawczyni z pretensją w głosie.

- Prosiłem panią... mówiłem, że nie lubię tego imienia.

- Ależ człowieku, uratowałam panu życie! - zdenerwowała się. - A właściwie to zasługa tego gówniarza... a pan tu gada o imionach. Czy pan w ogóle powinien zajmować się tą spr-

14

wą? - zaniepokoiła się. - Ma pan chyba stan przedzawałowy. Musi się pan przebadać.

- Kardiolog już obejrzał moją pikawkę - wytarł pot z czoła i mówił z wysiłkiem. - Najchętniej wysłałby mnie na emeryturę. Bez obawy, droga pani. Nitrogliceryna zawsze pomaga. Już mi lepiej. I proszę nie mówić do mnie „Juliuszu”. Nie cierpię tego imienia.

Kobieta wzruszyła ramionami. Detektyw podszedł wolno do chłopaka.

- Skąd to masz? - zapytał, podrzuciwszy pojemnik z lekarstwem.
- Znalazłem w kuchni.
- W kuchni?
- No tak, w kuchni - młodzian posłał mu bezczelne spojrzenie. - To pańska nitrogliceryna. Przecież ja mam zdrowe serce. Bo pan tu był przede mną. Spray musiał panu wypaść. Znalazłem go i odruchowo

zabrałem.

- A nie mówiłem, że złodziej - sapnął ze złością detektyw.
- O czym on gada, panie Barber? - zaniepokoiła się jego towarzyszka.
- Plecie, co ślina przyniesie na język. Przesłucham go, a pani niech już stąd jedzie. Potem zawiozę szczeniaka na policję.
- Proszę pani! - krzyknął Marek, wskazując głową detektywa. - Ten pan tu wcześniej był. Kiedy weszliście do domu, natychmiast poszedł do kuchni, bo chciał sprawdzić, czy nie zostawił tam nitrogliceryny.
- Cicho, smarkaczu! - zasyczał groźnie detektyw i złapał go za kołnierz. - Przestań zmyślać!
- Panie Barber! - fuknęła na niego klientka. - O co mu chodzi? Proszę to wyjaśnić. Pan tu wcześniej był, czy tak?!

Detektyw nie odpowiadał. Mrużył oczy i głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Panie Juliuszu!
- Już dobrze, dobrze - westchnął i puścił chłopaka. - Byłem tu i już. Tylko bez imion. Prosiłem.
- Pan tu był? Kiedy? I po co? Wynajęłam pana zaledwie dwa dni temu. Miał pan odszukać przyjaciółkę ojca, a pan

15

włamuje się do jego willi? Ja... ja w takiej sytuacji rezygnuję z pańskich usług. Nie zapłacę ani grosza.

- Moment. Zaraz pani wszystko wyjaśnię. Byłem tu, ho założyłem, że ktoś z pani rodzeństwa wcześniej czy później przyjedzie i zacznie

węszyć. Przyszedłem wczoraj i trochę się rozejrzałem.

Niewykluczone, że znajduje się tu jakaś wskazówka, która naprowadzi nas na właściwe hasło.

- To czemu przyjechał pan dzisiaj ze mną? - zauważyła sprytnie.
- Prosiła mnie pani o to - wyjaśnił spokojnie. - Byłem tutaj późnym wieczorem, lecz dzisiaj chciałem rozejrzeć się za dnia i sprawdzić, czy nikt w nocy się nie włamał. Powinna się pani cieszyć. Mamy szczeniaka i ja już z niego wycisnę, co tu robi i dla kogo pracuje.

Zapisała komórka. Rozmowa się urwała.

- Karska. Barbara Karska. Słucham.

Detektyw złapał Marka za bluzę i odciągnął kilka kroków w głąb salonu.

- Coś ty za jeden? - zapytał przymilnie, patrząc prosto w brązowe oczy chłopaka. Zaraz jednak przestał być miły. - Trzymaj buzię na kłódkę, bo ci przyłożę, szczeniaku. Rozumiesz? Jak się nazywasz? Mów!
 - Już mówiłem.
 - Znowu zaczynasz - syknął. - Pojedziemy na policję i tam wszystko pięknie wyśpiewasz.
 - A jak powiem panu, kogo tu jeszcze widziałem, to puści mnie pan?
 - A kogo widziałeś?
 - Powiem, jak mnie pan puści.
- Barber ciężko westchnął.
- Na imię mam Marek - próbował załagodzić sytuację chłopak.
 - Nie masz żadnej legitymacji.
 - Nie mam.

- A skąd jesteś?

16

- Z Wrześni.
- Co tu robisz?
- Są wakacje. Zwiedzam, podróżuję.
 - Inaczej: włóczę się? Dobra, jedziemy na policję. Pewnie rodzice martwią się o ciebie.
- Ja nie mam rodziców - wzruszył ramionami Marek.
- Sierota?
 - Dlaczego od razu „sierota”? - zaperzył się chłopak. - Ojciec zmarł, a matka ma innego gacha. Nie lubię go.
 - Znam te sprawy - kiwnął głową detektyw. - Pewnie i on cię nie lubi, co? No, ten gach twojej matki.

- Zgadł pan, panie Juliuszu. Detektyw spiorunował go wzrokiem.

- Te, mały, nie podskakuj - pogroził mu,

- Przepraszam, chciałem powiedzieć: panie Barber. Naprawdę jest pan detektywem już dwadzieścia lat?

- Ano zleciało.

Detektyw obejrzał się, zerkając na szepczącą do telefonu komórkowego kobietę. Słyszając pojedyncze słowa, próbował zrozumieć, o czym rozmawia.

- To jak, panie Barber? - wyrwał go z zamyślenia chłopak. - Proponuję

taki deal...

- Jaki znowu „dii”?
- Interes, transakcja, układ! Deal! Nie zna pan tego słowa?

Nie uzyskał odpowiedzi, ponieważ Karska skończyła właśnie rozmowę. Była zamyślona, czoło zaś zmarszczyła jeszcze bardziej. Opanowała się dopiero wtedy, gdy detektyw znacząco chrząknął.

- Mamy spotkanie u notariusza - oświadczyła uroczyście, chowając telefon do kieszeni płaszcza. Ziewnęła. - Dzisiaj o jedenastej. U mecenasa Czaplńskiego.
- W sprawie?... - zaciekawiony mężczyzna zawiesił głos.
- Chodzi o dodatkową klauzulę spadkową. Nie podoba mi się to wszystko, panie Barber. Oj, nie podoba. Myślałam, że to koniec niespodzianek, jakie przygotował nam ojciec.
- Będzie cała rodzinka? - dopytywał się.
- Wszyscy.

17

- Pięknie. Może wreszcie mecenas powie coś więcej o kochance waszego ojca?
 - Nie wiem. Nic nie wspomniał. Musimy wracać do Poznania. Natychmiast. I trzeba coś zrobić z tym małym!
- Detektyw szturchnął Marka w plecy, dając znak, żeby milczał.
- Zajmę się nim. Trafi na posterunek. Proszę się nie obawiać. Teraz pojedzie pani do miasta, a o jedenastej spotkamy się u mecenasa.

Barbara Karska do Poznania pojechała swoim renault. W chwilę po niej detektyw z chłopakiem wsiedli do wiekowego poloneza - rzężeniem silnika błagającego swego właściciela o gruntowny przegląd - i z posesji wjechali w las. Wąską, leśną ścieżką łączącą się nieopodal z drogą, obiegającą jezioro od zachodniej strony, dotarli w pobliże ośrodka sportowego i kempingu. Pełen namiotów teren, położony przy samym brzegu północnego krańca jeziora, nie tętnił życiem. Deszcz popsuł plany wszystkim - zarówno mieszkańcom Kórnicka, jak i wczasowiczom. Po chwili jechali wolno szosą numer 431 w kierunku głównej arterii Kórnicka, po lewej stronie towarzyszyła im pomarszczona tafla chowającego się za szpalerem drzew stalowoszarego zbiornika Skrzyneckiego, po prawej zaś szumiał wilgotny las ochraniający od północnego zachodu Jezioro Kórnickie.

Kórnik to sześćtysięczne miasteczko, położone w centralnej części województwa wielkopolskiego na Równinie Wrzesińskiej, wzdłuż jezior Rylny Kórnicko-Zaniemyskiej. Na terenie gminy Kórnik są to połodowcowe jeziora: Skrzyneckie Małe, Skrzyneckie Duże, Kórnickie, Bnińskie i Borowieckie. W tutejszych lasach żyje wiele gatunków zwierząt, między innymi sarny, jelenie i dziki, a całą okolicę objęto ochroną ze względu na walory krajobrazowe.

Wciąż padało, choć nie tak mocno jak pół godziny wcześniej, i wycieraczki dawały z siebie wszystko, efektownie popiskując. Po kilku minutach jazdy zbliżyli się do skrzyżowania z ulicą Poznańską. Tuż za nim znajdował się miejscowy poste-

runek. Jednakże Barber zwolnił. Oto bowiem w uliczce przyległej do budynku policji zauważył zaparkowane wiśniowe renault Barbary

Karskiej.

- O żesz ty kartofel! - wyrwało mu się.

„Co za nieufne babsko - pomyślał. - Sprawdza mnie, czy naprawdę przywiozę chłopaka na policję”. Zahamował i zawrócił na szosie.

- Co pan robi? - zapytał chłopak zdziwiony manewrem detektywa.
- Wracamy.

Zbył go. Nie chciał chłopaka wtajemniczać w swoje plany wobec Karskiej. Polonez skręcił szybko za ośrodkiem w lewo i pojechał na południe ulicą w kierunku Bnina¹.

Po kilku minutach jazdy skierowali się z powrotem na północ do Kórnik.

Znienacka ponad parkowym ogrodzeniem i koronami dorodnych drzew ukazał się szczyt zachodniej fasady zamku. Gdy wjechali na dziedziniec, ujrzeli pomnik Tytusa Działyńskiego obok schodów prowadzących do mostu przerzuconego nad fosą okalającą zamek. Oczywiście, detektywa nie interesowała budowla. Ledwo rzucił na nią okiem i myślami powrócił do sprawy ojca pani Karskiej.

- Neogotycki - szepnął chłopak zauroczony widokiem zamku. - Neogotyki angielski.
- Że co? - zerknął na chłopaka detektyw. - Aaa... o zamek ci chodzi? Tak, bardzo ładny. Wybudował go Tytus Działyński, ten z pomnika.
- Niezupełnie. Postawił go Mikołaj Górka około 1430 roku, a w 1676 roku sprzedano Kórnik wraz z zamkiem Zygmuntowi Działyńskiemu. Tytus Działyński przebudował zamek z pomocą niemieckiego architekta, Karla Friedricha Schinkla. Dopiero w 1839 roku.

- Może i tak - mruknął mężczyzna.

¹ Bnin - dawne miasto królewskie położone między jeziorami Kórnickim i Bnińskim, z ratuszem barokowym z połowy XVIII w. i kościołem powołanym ewangelickim z lat 1826-1827; na półwyspie Jeziora Bnińskiego znajdują się dwa grodziska.

19

- Tak napisali w przewodniku.

Polonez zostawił z tyłu neogotycki zabytek klasy „I” - i wjechał w niską zabudowę miasteczka. Nie pomknął dalej w stronę posterunku. Zatrzymał się w rzędzie aut na poboczu głównej ulicy, naprzeciwko masywnego kościoła postawionego z palonej, ciężkiej cegły.

- Mów - odezwał się detektyw. - Kogo widziałeś w willi?
- Nikogo - wzruszył ramionami. - Tak tylko powiedziałem, żeby zyskać na czasie.
- Te, mały - pogroził mu palcem mężczyzna. - Nie zaczynaj znowu. Mnie nie przechytrzysz. Chcesz złożyć zeznania na policji? Proszę bardzo.

Barber przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik poloneza zakaszłał zbuntowany.

- Już dobra, dobra - uczeplił się rękawa jego marynarki chłopak. - Okej, powiem panu, kogo widziałem. Ale i ja stawiam pewne warunki.
- Jakie? - kpiący uśmiezek wykrzywił usta detektywa.
- Po pierwsze, nie wspomni pan więcej o policji. Po drugie, pozwoli mi uczestniczyć w dalszym śledztwie jako, powiedzmy... pański asystent. To pasjonujące, co pan robi! Też chciałbym być detektywem.

- Ty, mały, zgrywasz się? No nie, ruszamy na posterunek.
- Moment! Jeśli powiem pani Karskiej, że to pan stłukł szybę w drzwiach na tarasie, wyrwał klepki z podłogi i tylną ściankę z biurka, nie będzie chyba zadowolona, co? Jest zła na pana. Moim zdaniem, pan nie umie otwierać zamków. Przyszedł pan do domu wczoraj, licząc, że znajdzie coś interesującego, a pani Karskiej wsadzi kit, że w okolicy grasują złodzieje...
- Naprawdę grasują - mruknął detektyw.

Barber zerknął na chłopaka ze szczerym zdumieniem, potem przygryzł wargę i przez chwilę dyskretnie mu się przyglądał. Niewysoki młodzian o brązowych oczach miał, jak to się mówi, łeb na karku. Inteligentny i wyszczekany smarkacz. Inny niż jego rówieśnicy, których Barber znał jak zły szeląg. Tacy nie potrafili odróżnić pałacu od zamku, a po przewodniki

20

sięgali wyłącznie wtedy, gdy chcieli zabić muchę. Ten chłopak wyglądał na kujona, a nie na takiego, który wyrwał się z domu na pierwszy w życiu gigant.

- Dlaczego niby nie potrafię otwierać zamków? - zmrużył oczy. - Po czym to poznałeś? W przewodniku napisali?
- Wydało mi się dziwne, że zauważył pan podważoną klepkę w podłodze. Pewnie sam pan ją podważył, gdy odwiedził wczoraj willę. Widziałem, jak pan opuszczał dom Karskiego. A kiedy pan odjechał, dostałem się do środka przez taras. W kuchni, tam gdzie wypadł panu spray z nitrogliceryną, zauważyłem uchyloną szufladę z narzędziami... znaczy się, szukał pan młotka i łyżki do podważania gwoździ. Właśnie

te dwa narzędzia ułożono inaczej od pozostałych. Zdaje się, że ten Karski był pedantem, na pewno nie zostawiłby bałaganu.

- Mógł to zrobić ktoś inny. Ten trzeci.
 - Mógł, ale pan był w willi przede mną, a ten trzeci zjawił się później.
- Kim ty jesteś, synu? - westchnął detektyw.
 - No właśnie, po trzecie, niech się pan nie wtrąca w moje rodzinne sprawy - dodał z naciskiem chłopak. - Uciekłem z domu i już! Koniec kropka. Niech już będzie, że jestem sierotą! Tylko przy innych niech mnie pan tak nie nazywa. Nie lubię też, jak mówią do mnie „mały”. Dla innych mogę być pańskim wnukiem lub coś w tym guście. Wtedy pomogę panu z tym „passwordem”.
- Z czym?
 - Odgadnąć hasło Karskiego z płyty CD. Przecież słyszałem waszą rozmowę w willi.
 - Nie mogę - pokręcił głową niezadowolony detektyw. - To beznadziejnie śmieszny układ! Nie mogę. Mam jeździć z obcym dzieciakiem po Wielkopolsce? Mam się narażać? Jeszcze posądzą mnie o pedofilię! Nie. Nie będę słuchał jakiegoś wyrostka! Kim ty jesteś?! Sherlockiem Holmesem?
- Holmes to fikcja.
 - Jedziemy na policję. Kpisz ze mnie, synu, a ja tego nie lubię! Już ja ci dam „dil”!

Polonez wyrwał do przodu, aż chłopaka wbiło w fotel.

- Stop! - krzyknął. - Okej, powiem, kogo widziałem przed willą!
- Mówiłeś, że w willi!
- Przejeździłem się.

Mężczyzna zahamował. Polonez stanął niespodziewanie na ulicy, tamując ruch. Trąbiło za nim jakieś auto, po chwili inne w głębi ulicy dołączyły do tego koncertu. Juliusz Barber zachował olimpijski spokój. Zignorował ryczące za ich plecami samochody i długo oceniał prawdziwość chłopaka.

- Dobra - wycedził wreszcie. - Wchodzę w ten „dil”.

2

Detektyw Barber nie lubił swojego imienia. „Juliusz” było dobre dla osobnika wrażliwego i delikatnego, poety, muzyka, lecz do zawodowego „szpicla” pasowało jak, nie przymierzając, pięść do nosa. Co tam imię! Detektyw nie przepadał także za swoim nazwiskiem. Barber! Dlaczego Barber, a nie Nowak albo Filuciński? - zastanawiał się często, sącząc piwo w barze „Radusia” nieopodal swojej kawalerki w Poznaniu. Niektórzy śmiali się z tego nazwiska, bo po angielsku *barber* znaczy podobno „fryzjer”. A tego mężczyzna pokroju naszego bohatera nie mógł spokojnie przełknąć. Detektyw „Juliusz Fryzjer” nie brzmiało nawet śmiesznie. To była karykatura nazwiska. Kpina z żywych. Prawdopodobnie kara za grzechy jego przodków. Swego czasu detektyw pogrzebał trochę w starych, urzędowych aktach i ustalił, że dawny antenat z rodziny ojca pochodził z Anglii i pół życia spędził na Wyspie. Z kolei daleka kuzynka miała inną teorię na temat genealogicznych korzeni rodu polskich

Barberów z Poznania - nazwiska na ucho anglosaskiego. Twierdziła uparcie, że nazwisko „Barber” wywodzi się z niemieckiego *barbar*, co znaczy ni mniej, ni więcej tylko „dzikus” lub „barbarzyńca” (dopiero potem dla niepoznaki zmieniono literkę „a” na „e”). Z francuskiego zaś *barber* to

22

czasownik „nudzić” i to z kolei pasowałoby do teorii pewnego złośliwego dżentelmena ze wspomnianego wyżej baru, który nazywał pana Juliusza „nudziarzem”. Detektyw przypuszczał jednak - a ustalenie tego faktu zajęło mu pięćdziesiąt pięć lat życia - że jego nazwisko leżało etymologicznie blisko „baru”. Rdzeń „bar” - o jakże międzynarodowym wydźwięku - kłuł w oczy jednoznaczną wymową, końcówka „ber” zaś prawdopodobnie pochodziła od miłego Juliuszowi rzeczownika „piwo”, które to słowo w kilku językach brzmi następująco: *beer*, *Bier*, *biere* i tak dalej. Tak więc krótka piłka - bar z piwem, pijalnia piwa, szynk, knajpa!

Oprócz nazwiska było coś jeszcze, co doprowadzało detektywa do szewskiej pasji. Wygląd. Detektyw nie lubił patrzeć w lustro. Codziennie musiał się jednak golić i widział naprzeciw siebie osobnika zerkającego nań ponurym wzrokiem. Lekko zaczerwieniony nos, przerzedzone włosy, które umownie można określić jako blond, zaokrąglona twarz i fałdy tłuszczu pod brodą, to tylko niektóre mankamenty jego fizjonomii. Gdy się nie ogolił - tak jak dzisiaj, kiedy musiał bardzo wcześnie wstać i jechać z Karską nad jezioro - wyglądał jeszcze gorzej. Poza tym Juliusz Barber był osobnikiem otyłym. Mierząc sto osiemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, ważył sto kilogramów. Byli od niego grubszy, to nie ulega wątpliwości, tylko że pan Barber pracował jako detektyw, a w tym zawodzie kondycja bardziej się liczy niż w zawodzie księgowego.

Zdrowie nie było już mocnym atutem naszego bohatera. Ostatnio lekarz nastraszył go nieuchronnym zawałem serca - wykryto bowiem u niego popularną wieńcówkę, zwaną naukowo dusznicą bolesną. Rzeczywiście, kiedy przychodził atak, bolało jak diabli! Miał się zatem zdrowo odżywiać, uprawiać sport i skończyć z zawodem detektywa. Jak na razie przestał odwiedzać bar „Radusia” i na wszelki wypadek nosił w kieszeni marynarki spray z nitrogliceryną. Podczas lekkiego wysiłku - a za taki można w jego przypadku uznać wspinaczkę po schodach na pierwsze piętro - sapał i pocił się coraz częściej i obficie. Wykonywał jednak dalej swój zawód, bo nic innego robić nie umiał. Pracował w tym fachu długo, i choć nie błyszczał nigdy inteli-

23

gencją, miał zawsze duże szczęście. Nie pamiętał, kiedy ostatnio zawałił zlecenie! Zawsze doprowadzał śledztwo do końca. Inna rzecz, że sprawa, którą zleciła mu dwa dni temu Barbara Karska, była dziwaczna. Juliusz Barber zajmował się zazwyczaj sprawami rozwodowymi, śledził współmałżonków, znajdował też cudze bachory i czasami pieski bogatych ludzi. Znalezienie czyjejś kochanki także mieściło się w wachlarzu jego usług. Ale niepotrzebnie wmówił Karskiej, że pomoże jej w odgadnięciu hasła. To przerastało jego możliwości. Co tam godziwe honorarium! Nie miał pomysłu, jak rozwiązać sprawę szurniętego bibliofila!

Cóż, „detektyw” to brzmi dumnie. Dlatego, jak przystało na prywatnego glinę, posługiwał się bronią, żadnymi tam gazowymi straszakami, i zawsze nosił przy sobie kajdanki. Umiejętności bokserskie doprowadził do jako takiego mistrzostwa (teraz mocno ograniczonego wiekiem i nadwagą). Wszystko to pięknie brzmiało, tylko że w sprawie

Karskiego decydujące znaczenie miał intelekt. Natomiast on, zamiast wybitnych zalet umysłu, miał doświadczenie w śledzeniu małżonków, znał się na ludziach, na ich pokręconych sprawach i słabostkach.

„Niestety, osobnik zwany Emanuelem Karskim był zwyczajnym świrusem. I do tego uczonym świrusem! Wariatem dużego kalibru”.

Pomyślał o chłopaku złapanym w willi nad jeziorem. Jak na swój wiek był trochę dziwny. Nie mógł odmówić mu bystrości -szybko bowiem dedukował i wyciągał trafne wnioski. Dodatkowo znał historię i był odczytany. Zapewne znał się też na obsłudze komputera, co w przypadku sprawy Karskiego mogło okazać się wielce przydatne. Już wcześniej powziął decyzję, że nie odda go w ręce policji. Nie pojechał na posterunek. Dlatego chłopak zdradził mu, kogo widział wieczorem w domu Karskiego nad jeziorem. Tak się składało, że detektyw znał tego gościa. A to dawało wiele do myślenia.

W drodze do Poznania Barber zbeształ się w myślach za to, że współpracuje z tym przemądrzałym smarkaczem. Patrzył jednak na niego z podziwem, a przecież rzadko zdarzało mu się to w kontaktach z bliźnimi. W spontanicznym odruchu

24

nazwał go nawet „omnibusem”. Ile razy zdarzyło się chłopakowi rzucić nieopatrznie znienawidzone przez mężczyznę imię Juliusz, detektyw odwzajemniał się i z sadystycznym uśmiechem na ustach nazywał go Omnibusem.

I tak umilali sobie drogę do stolicy Wielkopolan.

- A pan w ogóle wie, co to znaczy „omnibus”? - zapytał Marek, gdy ukazały się przed nimi poznańskie przedmieścia.

- To taki gość, który dużo wie i ma łeb jak sklep.
- E, to drugie znaczenie. „Omnibusem” nazywano już w XVII wieku kryte pojazdy konne - wyjaśnił chłopak. - Takie z wieloma miejscami dla pasażerów.
- Poważnie? - uniósł wysoko brwi detektyw. - A skąd ty to wszystko wiesz?
- Jestem miłośnikiem krzyżówek.
- A nie mówiłem - Omnibus.
- Mówił pan, panie Juliuszu.

Tym razem detektyw nie skarcił go za owego „Juliusza”. Coś sobie przypomniał, fragment rozmowy z chłopakiem, kiedy siedzieli w aucie obok kościoła. Detektyw rozważał wtedy dwie możliwości: zawieźć chłopaka na posterunek czy też skorzystać z jego intelektualnych zdolności. I zdumiewające, że ten smarkacz powiedział coś, czego nie powinien był wiedzieć. To, że Karski był pedantem! Skąd o tym wiedział? To nie była wiedza, którą zdobywa się z książek i przewodników.

„Zastanawiająca sprawa - pomyślał Barber. - Nawet za pomocą dedukcji nie mógł tego wykombinować”.

- Te, Omnibus - zaczął. - Powiedz mi jedno. Znałeś ty Karskiego? Emanuela Karskiego?

Chłopak znieruchomiał zaskoczony. Jego twarz spochmurniała.

- Ja? - uniósł wyżej brwi. - Jakim cudem miałbym go znać?
- No to skąd wiedziałeś, że Karski był pedantem?
- A był, proszę pana?
- I to nieprzeciętnym. Okropnym pedantem. To król pedantów!

- Nie wiedziałem - kiwał głową zdumiony chłopak.
- Skądś jednak musiałeś wiedzieć.

25

- Tak tylko powiedziałem, żeby uprawdopodobnić moje rozumowanie. Chciałem panu zaimponować z tym młotkiem i łyżką do podważania gwoździ.

Dalej nie rozmawiali o Karskim. Znaleźli się na zatłoczonej ulicy Poznania. Sznur samochodów czekał na zielone światło w kierunku centrum.

A Barberowi zaświtało coś w głowie.

*

Emanuel Karski zmarł tego roku w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Jego serce stanęło podczas snu, było to na początku kwietnia. Cóż za analogia do śmierci Tytusa Działyńskiego, który zmarł nagle, w nocy z 11 na 12 kwietnia 1861 roku. O ile jednak Działyński zmarł w swoim poznańskim pałacu, o tyle Karski skończył żywot w samotnej willi nad jeziorem. W odróżnieniu od swego „idola” - którego trumnę tłumnie odwiedzali ludzie, w tym chłopci i rzemieślnicy - śmierć architekta pozostała niezauważona nawet w jego dawnym środowisku. Jeden jedyny nekrolog w lokalnej gazecie i kilka zdawkowych telegramów od dawnych znajomych Karskiego zastąpiły epitafium na jego cześć.

Tytus Działyński przekazał majątek (w tym cenne zbiory) jednemu synowi, Janowi, na wyposażenie pięciu córek przeznaczył majątki pozakórnickie. Emanuel Karski nie uczynił nic podobnego. Pozostawił po sobie wille: na poznańskim Sołaczku i nad Jeziorem Kórnickim. Nikomu

jednak nie zapisał ani grosza. Rodzinie zostawił jedynie imponującą rezydencję w mieście, dom nad jeziorem trafił zgodnie z jego wolą w ręce władz gminy. Karski posiadał jednak coś cennego, coś co przezornie złożył w depozycie u notariusza. Domyślano się, że mógł to być cenny księgozbiór, bo nieboszczyk był bibliofilem, lecz niewykluczone, iż miał na koncie jakieś pieniądze.

Ten niegdyś znany architekt, a pod koniec życia bibliofil, miłością do książek zapalał w latach osiemdziesiątych XX w. Nowe zainteresowania miały jednak wymiar wyłącznie teoretyczny - nie zbierał nałogowo książek, a jego księgozbiór nie był ani liczny, ani zanadto cenny. Tak przynajmniej twierdziły

26

córki, które znały jego poznański zbiór. Karskiego pasjonowało bibliofilstwo jako dziedzina sama w sobie, dział kultury. Lecz niewykluczone, że po zamieszkaniu nad jeziorem, Karski wzbogacił swoje zbiory o jakieś białe kruki.

Jego życie nie było nudne. Mając trzydzieści kilka lat uczestniczył w dużej wyprawie archeologicznej do Egiptu jako dziennikarz, tak zwany „wolny strzelec”, reportażysta; półtora roku spędził także w Australii i Oceanii, gdzie przyłączył się do antropologów badających Aborygenów i szukał ucieczki od cywilizacji Zachodu. Potem powrócił jeszcze na kilka lat do wyuczonego zawodu - architektury. Jako architekt wyraził wszystko, co miał do powiedzenia (a raczej do zaprojektowania) w latach siedemdziesiątych XX wieku. Ostatnim poważnym projektem był wykonany w 1983 roku, a więc w stanie wojennym, stylizowany na pałac manierystyczny wielki dom dla pewnego bogacza spod Warszawy. Potem

przyszło chorobliwe zainteresowanie bibliofilstwem i osobą Tytusa Działyńskiego. W tym też okresie, a konkretnie w 1986 roku, zmarła jego żona, Ludmiła. Powiadano, że jej śmierć stała się początkiem nowego etapu w życiu Karskiego. Po pogrzebie wyprowadził się nad jezioro i nie utrzymywał częstych kontaktów z dziećmi. Zdziwaczał. O jego „chorobie” niech świadczy fakt, że niespełna czteroletniego syna Patryka zostawił pod opieką córek. Jeszcze za życia Ludmiły snuł dziwne teorie na tematy ogólnoludzkie, społeczne i historyczne. Był tyranem, ekscentrykiem, a dla przeciętnych ludzi po prostu „zwykłym wariatem”. Już w Poznaniu otaczał Tytusa Działyńskiego dziwną czcią, stawiając go za wzór obywatelskich cnót. Nikt nie rozumiał, o co tak naprawdę mu chodziło.

Kilka słów o dzieciach Karskiego. Nie było tajemnicą, że owa trójka nie przepadała za sobą. Po wyprowadzce architekta nad jezioro, rodzeństwo - to jest: Patryk, Joanna i Barbara z mężem oraz dzieckiem - mieszkało pod jednym dachem w rodzinnej willi na Sołaczu. Każde z nich miało własne życie, każde z nich było inne, tak naprawdę poza pokrewieństwem niewiele ich łączyło, a winą za ten stan rzeczy obarczano właśnie Karskiego. W 1993 roku najstarsza córka, Barbara, wy-

27

prowadziła się do trzypokojowego mieszkania bliżej centrum; w willi zostali Joanna z dziesięcioletnim Patrykiem.

A Karski? Wybrał samotne życie nad jeziorem. Chodziły jednak słuchy, że miał tam przyjaciółkę, lecz Barber nie zdołał jeszcze ustalić jej tożsamości. Jej nazwisko znał wyłącznie mecenas Czapliński, ale ten był zobowiązany umową notarialną do milczenia. „Tak sobie życzył nieboszczyk” - oznajmił niedawno rodzinie. Wszystko natomiast

wiedziano o słynnych wizytach Karskiego na zamku w Kórniku. Trwające od końca lat osiemdziesiątych regularne odwiedziny spowodowane były podziwem dla Tytusa Działyńskiego - założyciela m.in. imponującego księgozbioru. Powiadano, że Karski „zakochał się” we właścicielu Kórnika, to znaczy w jego legendzie; było to zresztą powodem zaniepokojenia rodziny stanem umysłowym Karskiego. Jednakże testament podpisany w obecności mecenasa Czaplińskiego miał obowiązującą moc prawną.

Ku zaskoczeniu rodziny okazało się, że to nie koniec niespodzianek. Wprawdzie Karski zapisał willę na Sołaczu dzieciom, lecz dodatkowo zobowiązał mecenasa Czaplińskiego do wręczenia im płyt CD zawierających niezwykle cenny plik. Jego otwarcie gwarantowało zdobycie cennego przedmiotu, nazwanego przez kogoś „skarbem”, należało tylko złamać hasło. „Kto pierwszy, ten lepszy” - zdawał się rechotać z za grobu senior rodu. I było w tym tyle samo szyderstwa, co powagi. Dziwny człowiek był z tego Karskiego.

Do tej pory nikomu nie udało się złamać zaklęcia otwierającego Sezam, choć wynajęto nawet informatyków. Próbowano wpisywać różne hasła, jak na przykład: „Działyński”, „Tytus” czy nawet „Kórnik”. Wszystko na nic. Barbara wynajęła wreszcie starego detektywa. Stało się to zaraz po tym, gdy mecenas Czapliński ogłosił, że istnieje czwarta płyta CD! Znaczyło to, że potencjalnych spadkobierców jest czworo, a nie troje. Kolejny rywal. A przecież Karski nie miał więcej dzieci. Okazało się, że architekt uczynił spadkobiercą także swoją przyjaciółkę. O tajemniczej kobiecie niewiele wiedziano, a mecenas na życzenie Emanuela Karskiego nie zdradził jej tożsa-

mości w obawie przed reakcją córek. I, sądząc po zachowaniu Barbary, chyba miał rację.

Czego chciał dzisiaj od nich mecenas Czapliński? Dlaczego zapraszał spadkobierców na spotkanie w swoim gabinecie? Czyżby dzisiaj mieli poznać przyjaciółkę ojca?

Spotkanie zaczęło się o jedenastej. Punktualnie.

*

W tym czasie Barber i Omnibus czekali w polonezie zaparkowanym w bocznej uliczce z widokiem na Stary Rynek i ratusz poznański, nieopodal kamienicy, w której mieściła się kancelaria prawnicza Czaplińskiego. Przestało padać, lecz nad miastem wciąż wisiały deszczowe chmury. Następną ulewa była tylko kwestią czasu. Wcześniej widzieli wysiadającą z nowego opla z francuską rejestracją, Joannę Karską - prawie trzydziestoletnią modelkę o nieprzeciętnej urodzie, podobnej nieco do aktorki i modelki Caprice Bourret. Patryk zaś zjawił się w ostatniej chwili. Przeszedł dosłownie obok nich. Ten dziewiętnastoletni młodzian stanowił przeciwieństwo eleganckiej Joanny - nie dbał o wygląd i pozował na kontestatora. Ubrany był w znoszone dzinsy i beżowy sweter. Bujne, ciemne i rozczochrane włosy opadały mu na czoło, a także częściowo na smutne, niebieskie oczy.

Siedzący w polonezie „partnerzy” nie uczestniczyli zatem w spotkaniu. Lecz wcześniej przezorny Barber wręczył Barbarze Karskiej japoński, miniaturowy mikrofon, zwany koderem, starannie ukryty w skuwce wiecznego pióra. Za pomocą dekodera, inaczej odbiornika, mogli słyszeć każde zdanie wypowiedziane w gabinecie mecenasa i nie przeszkadzał im

nawet szum oraz pojawiające się regularnie zakłócenia radiowe.

Detektyw podał Omnibusowi drugą parę słuchawek i podłączył je do dekodera.

*

W eleganckim, umeblowanym antykami gabinecie podano pachnącą kawę i mrożoną herbatę, zabręczały łyżeczki na srebrnej tacy i odezwała się dźwięcznym głosem porcelana. Kawa

29

była świeża i pachnąca, herbata, podana w oszronionych szklaneczkach, w sam raz na lipcową pogodę, orzeźwiająca. Atmosferę tego spotkania psuł jednak niezdrowy błysk w oczach zgromadzonych gości. A kiedy jedna z sióstr zerknęła przypadkowo na drugą, biła z jej spojrzenia niepohamowana niechęć, a nawet wrogość.

Tylko jeden szczegół urody całej trójki świadczył o ich pokrewieństwie. Pomimo wielu różnic, dzieci Karskiego odziedziczyły po matce, Ludmile, błękitne oczy. I tylko to ich łączyło. Dzieliło zaś wszystko.

Mecenas Czaplński - starannie ogolony, małowówny, w granatowym garniturze z kamizelką - nie celebrował spotkania, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Najpierw poinformował ich, że znalazł kupca na willę na Sołaczu. Wypada bowiem dodać, iż postanowiono sprzedać rodzinny dom i podzielić się uzyskanymi z transakcji pieniędzmi. Za jedną trzecią sumy uzyskanej ze sprzedaży willi, można było kupić piękny apartament w dobrej dzielnicy. Tego dnia jednak nikt nie myślał o rodzinnej rezydencji.

Mecenas wyjął, z sejfu ukrytego za obrazem, koperty i wręczył je rodzinie Karskiego.

- Proszę przeczytać - zakomunikował. - I podpisać.
- A gdzie czwarta koperta? - zapytała kąśliwie Barbara.

Mecenas zbył ją grzecznościowym uśmiechem.

Przeczytali dokument w milczeniu, które zawisło w gabinecie niczym gęsta chmura deszczowa nad rynkiem. Karski informował zza grobu, że upoważnia mecenasa Czaplińskiego do wydawania wszelkich instrukcji związanych z dalszym postępowaniem spadkowym. Podpisali. Nikt nie wiedział, co ich czeka, lecz nie mieli wyjścia.

- I co teraz? - przerwała milczenie młodsza z sióstr. - Czy mamy coś jeszcze podpisać?

Joanna miała jasne, błyszczące włosy opadające kaskadą na plecy. Perfekcyjnie wykonany makijaż podkreślał piękną twarz i zmysłowe spojrzenie niebieskich oczu, na smukłych palcach błyszczały pierścionki. Miała fantastyczne nogi i smukłą sylwetkę, którą podkreślał kremowy, obcisły kostium. Była

30

piękną, ba, cudowną kobietą o łagodnym usposobieniu. A jednak w obliczu zaplanowanej przez ojca gry straciła właściwy sobie urok, a jej głos brzmiał jak nerwowy stukot palców o blat biurka.

- Nie musicie niczego podpisywać - odpowiedział mecenas. - Proszę zamienić się w słuch.

To powiedziawszy, wyjął z sejfu kasetę i włożył ją do magnetofonu. Nacisnął przycisk i z głośnika popłynął - ku niebywałemu zdziwieniu zgromadzonych - głos samego Karskiego.

- *Na ziemi wielkopolskiej* - mówił zachrypniętym głosem Emanuel Karski - *nie znam lepszego ode mnie dziwaka.*

W szarym świetle gabinetu błysnęły białka oczu siedzących na skórzanych fotelach osób; głos ojca obudził w nich żywe wspomnienia, wprowadził nastrój zakłopotania i niepewności. Wstrzymali oddech - jak widzowie w kinie, gdy są o krok od poznania tajemnicy - i ze zdwojoną uwagą wsłuchiwali się w niski głos płynący z głośnika, głos człowieka pewnego swoich racji, a jednocześnie schorowanego i świadomego nadchodzącego końca.

Głos w magnetofonie zamilkł na chwilę, Karski nabierał powietrza w płuca, aby kontynuować monolog. W tej samej chwili za oknem gwałtownie pociemniało. Lunał rzęsy deszcz, głośno i z impetem, jakby chciał zmyć z powierzchni ziemi wszystkie ludzkie troski i zmartwienia, a wraz z nimi to, co pachniało jeszcze nadzieją. Krople deszczu uderzały w szybę z dźwięcznym łoskotem, zagłuszając słowa Karskiego. Mecenas Czapliński cofnął nagranie i puścił je od początku.

*

Na rynku deszcz wywołał panikę i spustoszenie. Woda tłukła o stary bruk i wszystko, co znajdowało się na nim. Ludzie rozpięchli się po placu w ułamku sekundy i teraz ściany kamienic, całe fragmenty zabytkowych pierzei, parasole i markizy ulicznych kafejek musiały stawić opór niszczycielskiej sile żywiołu.

Uderzenie fali deszczu zagłuszyło także podsłuch. W dach poloneza grzmociło z niesłychaną siłą. Detektyw i Omnibus nie

usłyszeli, co mówi Karski, tak bardzo dudnił deszcz, kiedy więc nagranie cofnięto i podgłościono, odetchnęli z ulgą. Inna sprawa, że Barbara Karska

pewnie wszystko by im powtórzyła, lecz Barber uparł się, aby samemu na bieżąco śledzić przebieg spotkania w kancelarii. Nauczył się w swym fachu nie ufać nawet własnym klientom.

- *Na ziemi wielkopolskiej nie znam lepszego ode mnie dziwaka* - zabrzmiała w słuchawkach poprzednia kwestia Karskiego.
- *Plecie stary* - mruknął Barber.

Włączył dla świętego spokoju magnetofon podłączony do dekodera. Omnibus słuchał w napięciu nagrania, nie zważał na docinki starego detektywa.

Karski mówił dalej:

- Zdaje się, że nie wiecie, o czym mówię, prawda? Nie szkodzi. Nigdy nie wiedzieliście, o czym mówi i co tak naprawdę myśli ten stary dureń. Dla was byłem jedynie architektem in kasującym dużą forszę za projekty, którą wy tak chętnie wydawaliście na zabawki tego świata... potem zostałem dziwakiem zakochanym w książkach, wariatem, i nikt z was nie starał się dopatrzeć w mych działaniach jakiegokolwiek sensu. Książki są dla was martwymi przedmiotami.... uważacie je za nudny zapis cudzych myśli, których boicie się, ba, brzydzicie się poznać. Oczywiście, nie tylko książki były moją pasją. Wyjrzyjcie przez okno gabinetu, w którym teraz siedzicie. Nie chce wam się? Wiem, że wam się nie chce... gnuśność to wasze drugie imię, a może jedyne...

*

Dziwne, ale nieboszczyk miał w pewnym sensie rację. Nikt z rodzeństwa nie pofatygował się do okna, wszyscy trwali w fotelach i tylko

Patryk rzucił nerwowe spojrzenie na rynek. Zobaczył jednak szary i rozmyty obraz kamienic.

- Z okna gabinetu mecenasa Czaplińskiego zobaczycie pałac Działyńskich - kontynuował Karski. - Stoi dumnie dalej, niewzruszony waszą ignorancją, jako i ja leżę teraz w grobie obojętny na wasze rozterki. Rozterki natury finansowej, dodam,

32

bo w końcu przyszlście do mecenasa w sprawie spadku, nie z powodu mojej skromnej osoby.

Barbara Karska chrząknęła znacząco, poirytowana tonem wypowiedzi ojca, Joanna zaś poprawiła się nerwowo w fotelu. Mecenas Czapliński próbował udawać zgorszenie, objawiające się nerwowym drapaniem po łysiejącej głowie i unikaniem wzroku dzieci swojego klienta. Jedynie Patryk siedział obojętnie, jakby wszystko spływało po nim jak deszcz po szybie, i tylko obgryzanie paznokci zdradzało kłębiące się w nim emocje.

*

Barber natychmiast skomentował słowa Karskiego:

- Kpi sobie, dziwak. Leży w grobie, skubaniec, kwiatki od dołu wacha i kpi sobie z nich. Nie lubi rodzinki, co? Znaczy się, chciałem powiedzieć: nie lubił.

Omnibus rzucił mężczyźnie spojrzenie pełne oburzenia. Potem wszyscy - zarówno dwójka w aucie, jak i zgromadzona w gabinecie mecenasa rodzina - z uwagą słuchali Karskiego, któremu akompaniował deszcz.

- Równy trzy miesiące temu pożegnaliście mnie na kórnic kim cmentarzu - mówił Karski z wysiłkiem. - Tuż po mojej

śmierci mecenas Czapliński przekazał wam płyty CD, na których znajduje się akt prawny przepisujący na każdego z was pewien cenny przedmiot, nie Ucząc willi, którą dostaliście, że się tak wyrażę - gratis. Założyłem, że żadne z was nie zdoła wpisać odpowiedniego hasła i otworzyć pliku. Skoro słuchacie dzisiaj tego nagrania, to znaczy, że miałem rację. Obawiam się, że nie jesteście zdolni rozwiązać prostej łamigłówki, a co dopiero mówić o intelektualnej zabawie, w jaką was zaangażowałem. Chciałem jednak dać szansę każdemu.... Zęby odgadnąć hasło i zostać jedynym spadkobiercą, trzeba ruszyć mózgowicę. .. Intelkt... wiedza, to są odpowiednie wytrychy do mojego skarbcza. Nie ma tu miejsca na los szczęścia. To nie totolotek, Joanno. Byłbym zdziwiony, gdybyś nie wynajęła jakiegoś do radcy, który obskubie cię z pieniędzy, zanim cokolwiek rozwiąże. Ty, Barbaro, opłaciłaś pewnie informatyka, aby złamał moje hasło. Wiedz, że jest to praktycznie niemożliwe! A Patryk ma to

33

wszystko gdzieś, gardzi podobno pieniędzmi, bo z niego taki idealista zawieszony w próżni. Marzy mu się wieczne szczęście bez wysiłku. Pewnie siedzisz teraz niechlujnie w fotelu i obgryzasz paznokcie.

W salonie adwokata nastąpiła teatralna pauza. Zdumione siostry zerknęły na Patryka, który natychmiast odsunął palce od ust. Był tak samo zaskoczony treścią nagrania, jak one. Zdawało się, że w gabinecie nie tyle unosi się duch architekta, co on sam schował się za jakiś mebel lub z ukrycia obserwuje swoje dzieci.

- Zajrzyj do Arystotelesa, synu, i skonstatuj - kontynuował Karski - że

dążenie do szczęścia jest wielkim nieporozumieniem. To czysta głupota. Szczęścia nie ma... tego tak zwanego szczęścia. Jedyne czego człowiek może się nauczyć, to unikanie nieszczęść. Szczęście to ewentualnie brak nieszczęścia. Nie ma nic wspólnego z chroniczną, nałogową pogonią za nowymi i kolorowymi ciuchami, Joanno, ani z patologicznym liczeniem pieniędzy i uczynieniem z konta bankowego ołtarza duchowego, Barbaro. Szczęścia nie znajdziesz w rymach i nutach, w buncie przeciw rzeczywistości, Patryku. Szczęścia nie osiągniecie, moi drodzy, nawet wpisując odpowiednie hasło strzegące dostępu do pliku spadkowego. Wynajmujcie sobie kogo chcecie, ale wiedźcie, moi drodzy, że aby wpisać właściwe hasło, musicie się bardziej postarać. Zróbcie to sami, wysilcie swoje mózgownice i podążajcie za tropem, który wam za chwilę podsunę. Spróbujcie zbliżyć się do mnie choćby teraz, gdy oddzielają nas wody Styksu. Umożliwię wam to. Odbędziecie podróż. Niezwykłą. Bardziej ekscytującą od wakacyjnej wycieczki do Australii albo na Wyspy Kanaryjskie. Ta podróż będzie podróżą w czasie... w przeszłość. I ma ona wymiar intelektualny, a może nawet nieco metafizyczny. Dam wam trop: Kórnik. Tam znajdziecie rozwiązanie mojej zagadki. I nie szukajcie w gwiazdach. Prawda leży bliżej. To może być trudna szarada i w dodatku spadek jest jeden. Odróbcie tylko porządnie lekcje. I słuchajcie we wszystkim mecenasa Czaplińskiego. Pozdrawiam pana z tej strony, mecenasie! Proszę wręczyć moim dzieciom instrukcje. Zegnam was: Barbaro, Joanno i Patryku. Aha,

34

to zdanie... to, którym was przywitałem, jest trawestacją sentencji Tytusa Działyńskiego, wypowiedzianej w parlamencie berlińskim w marcu 1850

roku: „*Na ziemi polskiej nie znam lepszego ode mnie szlachcica*”.

Nagranie się nagle urwało. To był koniec mowy Karskiego. Rodzina odetchnęła z ulgą, lecz jeszcze przez chwilę w gabinecie mecenasa panowało kłopotliwe milczenie, nasycone atmosferą tajemniczości, wywołane nagraniem -jego niezrozumiałym przesłaniem i karcącym tonem Karskiego. Joanna sięgnęła po filiżankę, w której nie było już śladu kawy, Barbara zmarszczyła gniewnie czoło, Patryk zaś udawał obojętność, choć czuł narastającą wściekłość.

Mecenas rozdał szare koperty.

- To dla państwa - powiedział. - Instrukcje od pana Karskiego. To powinno ułatwić państwu rozwiązanie tej łamigłówki.
 - A pan zna jej rozwiązanie? - zapytała z głupia frant Barbara.
 - Nie znam - odpowiedział szybko mecenas. - Lecz nawet gdybym znał, nie zdradziłbym niczego. Jestem uczciwym prawnikiem, proszę pani, i dotrzymuję umów z klientami.
 - Oczywiście - rzuciła, siląc się na szyderczy ton. - Ale sam pan widzi, że ojciec był szaleńcem!
 - To już nie moja sprawa, droga pani.
 - To wariat - dodała.
 - Wariat? - obruszyła się piękna Joanna. - A czy jego pieniądze też są dla ciebie chore, siostrzyczko?
 - Sama mówiłaś, że ojciec to wariat i powinien się leczyć, że śmierć uwolniła go od tego. Nie pamiętasz już, modelko bez pracy?!
- Joannę aż zatkało z oburzenia.
- Bez pracy? - nie mogła złapać oddechu.
 - Modelka, która nie ma zdjęć od pół roku, jest nikim.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Joanna.

Barbara nie odpowiedziała siostrze. Nie chciała zdradzać, że Barber zdobył o niej trochę informacji, dlatego jedynie wzruszyła obojętnie ramionami.

Joanna zrozumiała, że więcej niczego się nie dowie.

35

- A czy wiesz, droga siostrzyczko - przeszła do ataku - że zagram w filmie? We francuskim filmie! Na motywach prozy wielkiego pisarza, Balzaca. Kariera modelki to już przeszłość. Teraz chcę zakosztować bardziej szlachetnej sztuki. Dziesiątej Muzy!
- Ty i film - prychnęła pogardliwie Barbara.
- Tak! Ja i film! W przyszłym miesiącu odbywa się casting w paryskim studio!

Nagle z fotela wstał zde gustowany przebiegiem spotkania Patryk. Odgarnął włosy z czoła, zrobił gniewną minę i skierował się prędko do drzwi.

- Wychodzę - poinformował wszystkich. Otworzył drzwi i wtedy dopiero odwrócił głowę. - Nie chcę mieć z wami nic wspólnego, ani z ojcem i jego tajemnicami. Same sobie rozwiążcie zagadki. Rezygnuję ze spadku. Zakłóćcie się na śmierć! Beze mnie. Do widzenia!

Mecenas Czaplński wybiegł z za zabytkowego biurka i podniósł upuszczoną przez młodzieńca kopertę.

- Proszę to zabrać, panie Patryku! - wołał za odchodzącym.
- Nie mogę tego trzymać. Proszę to wziąć i zrobić z kopertą, co

pan uważa za stosowne. Niech pan ją sam wyrzuci. Proszę!

*

Juliusz Barber wyłączył magnetofon i otarł pot z czoła. Deszcz przestał wprawdzie bombardować ziemię i siąpił teraz miliardami mikroskopijnych kropelek, lecz nadal było gorąco.

- No i jak myślisz, Omnibus? - zapytał chłopaka. - Wziął kopertę ten cały Patryk?
- A pan jak myśli?
- Wziął jak nic.
- Zobaczymy.

Siedzieli w aucie i czekali. I wreszcie ujrzeli go u wylotu uliczki.

- Jest! - wyrwało się Omnibusowi.

Patryk szedł szybko w ich stronę, z kopertą pod pachą. Zamyślony minął ich i zaraz potem stanął. Oparł się o zabyt-

36

kowy mur i z ciekawością zajrzał do środka koperty. Zaczął czytać.

- Buntownik bez powodu - zachichotał detektyw i szturchnął Omnibusa. - Wierszokleci też nie gardzą skarbami. I co, znam się na ludziach?

Omnibus nie odpowiedział, gdyż w głośniku zazgrzytał zdenerwowany głos Barbary Karskiej:

- *Jest pan tam, panie Barber?* - mówiła ściszym głosem do mikrofonu ukrytego w skuwce wiecznego pióra. - *Halo! Spokajmy się w cukierni, obok Urzędu Miejskiego. Natychmiast!*

*

Spotkanie u mecenasa dobiegło końca i spadkobiercy rozchodzili się każdy w swoją stronę. Barber wygrzebał z tylnego siedzenia auta stary, nieco pomięty kapelusz i założył go na spoconą głowę. Otworzył drzwi. Już miał wysiąść, gdy zza rogu kamienicy wyszła nieoczekiwanie Joanna Karska, kierując się ku przeciwległemu narożnikowi rynku.

- Te, Omnibus - detektyw zmrużył chytrze oczka. - Idź za tą piękną panią! Będziesz ją śledził, bo ja muszę walić na spotkanie z Barbarą Karską. Zobacz, co robi ta laleczka. Może umówiła się gdzieś z tym swoim zabójcą. Może nawet uda ci się ich podsłuchać.
- Ekstra! To moje pierwsze zadanie detektywistyczne!

- Te, tylko uważaj na siebie.

Omnibus się zawahał.

- A czy nie uważa pan, panie Juliuszu, że lepiej śledzić Patryka Karskiego?

- Idź za Joanną - bąknął poirytowany Barber. - Patryk to małe piwo. Poza tym ja tu rządzę. Czy ty w ogóle słuchasz starszych?

Pożegnali się przy polonezie. Omnibus ruszył pędem za modelką, detektyw zaś ospałym krokiem podążył na drugą stronę rynku.

37

3

Barbara Karska siedziała w przytulnej cukierni nieopodal rynku, wypełnionej aromatem świeżej kawy i bitej śmietany. Kobieta była

zdenerwowana, dosłownie się telepała, zżerana niezdrową ambicją, wściekła na siostrę, ojca za okropne słowa wypowiedziane z za grobu.

- Słyszał pan? - warczała, gdy detektyw zajął miejsce naprzeciwko niej przy małym, okrągłym stoliku. - Ojcu zupełnie odbiło! Albo co gadała o mnie siostra! Jędza! Ja jej pokażę!
- Tak, słyszałem - sapnął ciężko mężczyzna i dopiero teraz zdjął kapelusz. - O to mi chodziło, żeby wszystko słyszeć.

Otarł pot z czoła.

- O żesz ty kartofel, ale dziś duszno - ciężko westchnął.
- Niech pan przestanie z tym „kartoflem”. Denerwuje mnie to.
- Wolalaby pani, żebym przeklinał? Widzi pani, w moim zawodzie mam ciągły kontakt z brzydkimi wyrazami, moja żona wbiła mi więc do głowy tego „kartofla”. Poskutkowało.

Kobieta wzruszyła ramionami na to dziwaczne wyjaśnienie. Wreszcie, zaczęła nerwowo wydłubywać ze skuwki pióra mikrofon. Nie wiedząc, jak sobie poradzić z wyjęciem elektronicznego gadżetu, podała pióro detektywowi.

- Proszę to zabrać - fuknęła. - Ten cały pański mikrofon.

Ale pióro proszę zwrócić! Jest cenne.

Barber paznokciem wykręcał mikrofon z wnętrza skuwki, Karska „nadawała” zaś z pretensją w głosie.

- Dlaczego nic nie wiem o Joannie i filmie, w którym ma zagrać? Powinnam o tym wiedzieć, nie uważa pan? Dlaczego pan tego nie sprawdził? Powiedział mi pan tylko, że od pół roku nie miała sesji zdjęciowej.

- Proszę się uspokoić, ludzie słuchają - detektyw ściszył

głos i dyskretnie rozejrzał się po sali, przelatując wzrokiem po twarzach gości, zaciekawionych burzliwym przebiegiem ich rozmowy. - Nie za to mi pani płaci. Nie za śledzenie siostry. Miałem się zająć przyjaciółką pani ojca, prawda? Owszem, mogę to... mogę tamto. Jak pani chce, zajmę się odgadnięciem

38

hasła. Chce mnie pani wynająć do śledzenia pani siostry? Nie ma sprawy. Przyjmuję zlecenie. Lecz podwajam stawkę, a nawet potrajam. Niedługo Joanna wyjeżdża do Burgundii kręcić pierwsze zdjęcia. Wizyta we Francji sporo kosztuje, rozumie pani sama.

- Zaraz, zaraz... - szeptała zdruzgotana jego słowami. - To znaczy, że pan wiedział o planach filmowych Joanny?
- Tak, wiedziałem, ale, powtarzam, nie muszę pani o tym mówić, bo zajmuję się sprawą przyjaciółki pani ojca.
- Pańskie śledztwo, jak dotąd, nie przyniosło żadnych efektów - odgryzła się. - Kochanica zakopała się w jakiejś dziurze i nie wyściubia z niej nosa.
- Nie sądzę - mruknął.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Ona dostała, tak samo jak i wy, CD. A teraz jeszcze kopertę z instrukcją. Nie będzie zatem zasypiać gruszek w popiele. Ot, i co! Wcześniej czy później pojawi się w Kórniku. Emanuel Karski uczynił z niej czwartego kandydata na spadkobiercę, prawda? No to czemu ma nie szukać tego hasła jak wy wszyscy?
- Patryka niech pan skreśli z tej listy.

Barber zaśmiał się pod nosem, przypomniawszy sobie młodego Karskiego zagląającego do koperty.

- Tak panu do śmiechu? - oburzyła się.

Nie odpowiedział, więc niezadowolona rzuciła na stolik kopertę otrzymaną od mecenasa Czaplińskiego.

- Ojciec wymyślił kolejną głupotę - wycedziła ze złością. -

Niech pan tam zerknie! Rozumie pan coś z tych cyferek i liter?

Detektyw Barber wzruszył ramionami i z szarej koperty wyjął kartkę białego, kancelaryjnego papieru. Przez chwilę badał niezwykłą treść zapisu. Notka nie zawierała żadnych słów, a jedynie trzy wiersze liczb i liter zapisane w kolumnie.

236251 Def.

13113

BK 02629

59

- Co to jest? - pytała zdenerwowana. - Rozumie pan coś z tego?

-Nic.

- Tak myślałam. Niewielki mam z pana pożytek.
- Skąd mogę wiedzieć co to jest? - zaperzył się detektyw. - Wygląda na spis inwentarza.
- Tylko tyle ma mi pan do powiedzenia?!
- Chwilowo - detektyw posłał jej blady uśmiech. - Zbadam to. Mogę się tym zająć. Wygląda to na... szyfr albo numery bankowych kont.
- Proszę więc szybko zabrać się za te słupki i ustalić, co to jest. Ma pan

na to jeden dzień. Jutro chcę znać rozwiązanie. Jutro, panie Barber!
Bo jeśli Joanna pierwsza odgadnie, o co tu chodzi, to koniec naszej
współpracy. Zrozumiał pan?!

Karska wstała gwałtownie, aż podskoczył stojący na stoliku wazonik ze
sztucznymi kwiatami. Ruszyła żwawo do wyjścia. Barber zerwał się z
miejsca.

- Pani Karska! - wołał za nią, odpychając gromadzących
się przed kasą klientów. - Zapomniała pani!

- O czym? - zatrzymała się w drzwiach cukierni. Barber podreptał do
niej, sapiąc przy tym potwornie.

- Pióro!

I wręczył jej cenny przedmiot.

*

W tym czasie Omnibus szedł za Joanną Karską wzdłuż wschodniej
pierzei rynku. Nie obejrzała się za siebie ani razu, co ułatwiło chłopakowi
wykonanie powierzonego mu przez detektywa zadania. Nie był to długi
spacer. Modelka weszła do ekskluzywnej restauracji, mieszczącej się w
rogu rynku, w której czekał na nią jakiś mężczyzna. Miał ciemną karnację,
był w wieku około trzydziestu lat, wysoki i doskonale ubrany. Nie tylko
włosy miał czarne jak smoła, lecz także nosił w tym samym kolorze
garderobę - drogą marynarkę, golf, spodnie i lśniące, skórzane pantofle.
Lubił czerń, choć jego twarz rozjaśniał co pewien czas promienny uśmiech.
Właśnie jeden z takich gorących uśmiechów zagościł na jego inteligentnej
twarzy, gdy uj-

rżał wchodzącą na salę Joannę. Poderwał się z miejsca. Przywitali się i usiedli przy dwuosobowym stoliku w kącie sali.

Omnibus stał przed wejściem do lokalu i zastanawiał się, w jaki sposób dostać się do środka. Nie miał przy sobie dużo pieniędzy. Gdyby wszedł do restauracji, musiałby coś zamówić. Przecież nikt go tam nie wpuści dla samego siedzenia. Już samo pojawienie się wyrostka mogło spotkać się z niewybredną reakcją szatniarza i kelnerów.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej kilka monet i zwinięty banknot. Przeliczył majątek: czternaście złotych dwadzieścia sześć groszy. Przyjrzał się swemu odbiciu w restauracyjnej szybie: nieuczesany i niezbyt wyszukanie ubrany małolat. Nie umył się dzisiaj. Nie zdążył. Nie miał gdzie. Nie nadawał się na detektywa - żaden ze znanych mu z książek i filmów nie był brudasem. A nawet jeśli nie miał pieniędzy, to zawsze udawało mu się śledzenie ludzi. Taki wszedłby do każdej restauracji na luzie, zamówił drinka i spokojnie podsłuchał, o czym rozmawia osoba, którą śledził.

„Myśl - popędzał się w duchu Omnibus i czuł rosnącą bezradność. - Myśl, jak dostać się do środka?!“

Postanowił, że wejdzie tam tak po prostu, od niechcienia.

- A ty gdzie? - przywitał go nieuprzejmie szatniarz. - Tu nie MacDonald.
- Nie jadam hamburgerów - odpowiedział z godnością chłopak. - Przeżute resztki mnie nie interesują. Ja tu się umówiłem z ojcem, proszę pana. Zaraz przyjdzie, to znaczy przywiozą go.
- Przywiozą?
- Limuzyną.

- Limuzyną? - zainteresował się mężczyzna.
- Takim długim lincolnem.
 - A kim jest twój ojciec? - rozmówca był wyraźnie zaintrygowany.
- Znanym fotografem - palnął Omnibus.

I rzucił naprędce wymyślane nazwisko: Nick Kowalsky. Poszedł na całego.

- Ma stałą galerię w Nowym Jorku. Przyjaźni się z wieloma znanymi osobami. Zna pana Michała Urbaniaka?

41

-Nie.

- To znany polski jazzman. Mieszka w Nowym Jorku.
 - Faktycznie, coś mi się obilo o uszy - mruknął starszy człowiek.
 - Tu, w Poznaniu, mój ojciec będzie miał wielką wystawę. W Pałacu Działyńskich.
- Nie słyszałem - wzruszył ramionami szatniarz.
 - Nic dziwnego, trwają właśnie negocjacje z władzami miasta.

Szatniarz przyglądał się podejrzliwie chłopakowi, jego znoszonemu, nieco przybrudzonemu ubraniu. Na wytartych dżinsach widniała duża, tłusta plama - pamiątka po wizycie w domu Karskiego.

Omnibus ruszył na salę. Nie mógł zwlekać - syn „osobistości” nie powinien za dużo mówić.

- Jak przyjdzie mój ojciec, proszę mu powiedzieć, że siedzę w restauracji.
- Dobrze - kiwnął głową szatniarz. - A jak on wygląda? No, ten twój ojciec.

- Mój ojciec? Nie widział pan jego zdjęcia w gazecie? To taki duży, zwałisty jegomość w kapeluszu. Nick Kowalsky!

Omnibus opisał naprędce fizjonomię Barbera, bo nikt inny nie przyszedł mu do głowy i szatniarz dał mu wreszcie spokój. Wszedł na salę. W kącie dostrzegł szepczącą parę. Joanna z przejęciem opowiadała o czymś mężczyźnie, ten kiwał głową na znak całkowitego zrozumienia. Facet przytakiwał tak energicznie, że Omnibus przestraszył się, iż odpadnie mu głowa. Domyślił się, że to ten sam mężczyzna, który podwiózł ją wcześniej na spotkanie w kancelarii Czaplińskiego. Żabojad. „O czym rozmawiają?” - zastanawiał się chłopak, obserwując ich dyskretnie. Przypuszczał, że tematem rozmowy jest testament, dlatego chciał poznać każde słowo, które tam padnie. Zajął stolik. I wtedy ruszył ku niemu kelner.

*

Na ulicy, przed wejściem do restauracji, zatrzymała się dziewczyna, która śledziła Omnibusa od chwili, gdy opuścił

42

samochód. Szła za nim w bezpiecznej odległości i nie spuszczała zeń wzroku, wcześniej obserwowała auto zaparkowane w bocznej uliczce dochodzącej do rynku. Przed ulewą schroniła się zaś pod baldachimem perfumerii. Była zła, kiedy dostała polecenie śledzenia Juliusza Barbera, gardziła tą śmieszną, jak się wyraziła, zabawą w detektywa, lecz niewysoki chłopak intrygował ją. Pojawił się nagle, jak meteoryt. Znikąd. Wielką niespodzianką było, że współpracował z Barberem. To było bardzo dziwne. Teraz się rozdzielili. Barber poszedł na spotkanie do cukierni, chłopak śledził Joannę.

Dziewczyna zatrzymała się na schodkach prowadzących do lokalu. Energicznymi ruchami rozczochrała ciemne, mokre włosy, które odsłoniły ładną buzię piętnastolatki o błękitnych oczach, otrzepała z płaszcza przeciwdeszczowego kropelki wody, lecz nie weszła do środka. Swoją obecnością w restauracji mogłaby zwrócić uwagę Joanny. Nie chciała też ujawniać się przed tajemniczym chłopakiem.

Smukła dziewczyna stała zatem obok wejścia, oparta plecami o ścianę, i zastanawiała się, z jakiego powodu doświadczony detektyw -jak dumnie głosił tekst na wizytówce Barbera - zaprzyjaźnił się z nim? Co mała robił w willi nad jeziorem? Czyżby spotkanie w domu dziadka nie było przypadkowe i Barber od początku z nim współpracował? Tak, młody mógł być jego wspólnikiem. Oni, po prostu, odegrali małe przedstawienie nad jeziorem! Pewnie się znają! Innego wyjaśnienia Klaudyna - bo tak miała na imię dziewczyna - nie znalazła. A to oszuści! Dopiero to podejrzenie sprawiło, że nabrała ochoty na zabawę w detektywa.

Jak na ironię, chmury wiszące nad miastem rozrzedziły się, a powietrze z każdą chwilą stawało się coraz bardziej ciepłe i wilgotne. Przeciwdeszczowy, foliowy płaszcz był szczelny niczym szklarniowy dach, co spowodowało, że dziewczyna zaczęła się pocić.

Z ulgą zdjęła płaszcz.

Ruszyła na poszukiwanie lepszego miejsca do obserwacji. Nie mogła dopuścić do tego, żeby zauważyła ją Joanna wychodząca z lokalu. Stała tak kilka minut, gdy „zapipczała” ko-

43

morka. Drgnęła. Błyskawicznie wyjęła telefon i w milczeniu wysłuchiwała głosu nakazującego jej powrót do domu. Z żalem opuszczała rynek, bo

„gra" zaczęła dla niej nabierać rumieńców. Pocieszała się, że wkrótce weźmie na Sołaczu prysznic i napije się lodowatej coli.

*

Było parne południe, zaludniony rynek ciężko dyszał w zawieszistej masie wilgotnego powietrza, przechodnie omijali grupki zmokniętych i wrzeszczących dzieciaków, taplających się w kałużach. Czasami zaczynało padać - krople wody tłukły wtedy ich głowy i barki, przestawały chłostać i po chwili znowu igrały sobie z ludzkim samopoczuciem, sypiąc na Poznań tysiące mokrych i ostrych confetti.

W tym samym czasie Barber wysłuchał krótkiej relacji Omnibusa z misji w restauracji. Pech chciał, że Joanna rozmawiała z żabojadem zbyt cicho.

- Nie mogłem tak po prostu usiąść obok nich - oświadczył chłopak. - Sala była pusta. Nabraliby podejrzeń.

Jednakże ich konspiracyjne szepty przekonały go, że rozmawiali wyłącznie o zawartości szarej koperty. Zresztą Joanna pokazała cudzoziemcowi kartkę z trzema wierszami liczb i liter, ale Francuz był bezradny. Wciąż kręcił niezadowolony głową. Na imię miał Pierre, bo tak zwracała się do niego Joanna. Barber nie był w odpowiednim nastroju do udzielania wyjaśnień, nie zdradził więc, że zna nie tylko imię, ale także jego nazwisko. Nazywał się Pierre Clarmount, a przedstawiał się jako asystent znanego reżysera.

Potem Omnibus i Barber zastanawiali się nad znaczeniem trzech wierszy przesłanych „zza grobu" przez Emanuela Karskiego. Mimo głodu, nie poszli na obiad. Ich „strawą" był teraz szyfr. Zdenerwowany detektyw podał chłopakowi kartkę z trzema przepisаныmi wierszami z dokumentu

Barbary Karskiej.

236251 Def.

13113

BK 02629

44

- Rusz łepetyną, Omnibus - zwrócił się do niego. - Jak nie ustalimy, co to jest, leżymy. Nic nie zarobię, a ty wrócisz do Wrześni. Nic ci to nie mówi?
- A panu?
 - Zawsze, jak cię pytam, odpowiadasz pytaniem. No, co jest?! Nie wiesz? Przyznaj się, że to zadanie cię przerasta i nie zgrywaj cwaniaka. Nie wiem, co znaczą te dziwne zapiski. Z początku myślałem, że są to numery kont bankowych. Ale są za krótkie.
 - Nie, to nie są konta... - zastanawiał się chłopak.
 - A co? Mów, bo tracę cierpliwość!
 - Karski był bibliofilem i kochał książki, prawda? Wiemy, że fascynował go zbiór Działyńskich. Myślę, że te trzy zaszyfrowane zapiski muszą być związane z Kórnikami. To nie numery kont. Po co miałby je podawać?
 - Konkrety, Omnibus - stęknął poirytowany mężczyzna.
 - Trop prowadzi do Kórnika - twarz chłopaka pojaśniała. - Tak to ujął Karski! Żeby właściwie zrozumieć jego słowa, trzeba odwiedzić zamek w Kórniku. Tam należy szukać rozwiązania.
 - Tyle to i ja wiem - westchnął niepoczyszony Barber. - Bo co mamy w Kórniku interesującego? Zamek.

- On naprowadza spadkobierców na właściwy trop - myślał na głos Omnibus. - W Kórniku miał willę nad jeziorem, lecz codziennie odwiedzał bibliotekę na zamku. Musimy tam pojechać i powęszyć. On chce zainteresować spadkobierców tym, co było dla niego ważne...

Detektyw po raz kolejny zerknął na chłopaka ze starannie ukrywanym podziwem - „smarkacz potrafi myśleć”. Zawstydział się, że nie umie kombinować tak jak on.

- Dziwak z tego Karskiego - mruknął po chwili.
- Fakt, ale w tym szaleństwie jest metoda.
- Jaka metoda?
- Nie wiem, to cytat z Szekspira.

- Czytałeś Szekspira?
- To lektura obowiązkowa. A pan nie czytał?
- Książki mnie nudzą - machnął ręką zde gustowany de-

45

tektyw. - Sam powiedz, co taki mól książkowy może wiedzieć o życiu? Nic. Ciągłe tylko teorie, nudne rozważania i opisy. Nawet lekkich książek nie czytałem, a kryminały wręcz mnie śmieszają.

- Jak mogą pana śmieszyć, skoro ich pan nie czytał?
- Tak tylko mi się powiedziało - machnął ręką. - Kilka, owszem, zdarzyło mi się przeczytać. I stwierdzam, że wypisują bzdury ci wszyscy autorzy! Oni nie widzieli na własne oczy prawdziwego pistoletu, nie śledzili podejrzanego i brzydzą się przemocą. To wielkie nic! Dobra - zerknął za zegarek - to co robimy? Dzień ucieka, a do

jutra musimy coś wymyślić.

- Powinniśmy wrócić do Kórnik.
- Tak myślę - szepnął Barber i przekręcił kluczyk w stacyjce. - Ale najpierw coś zjemy, sieroto.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, ruszyli do Kórnik. Omnibus zdrzemnął się na siedzeniu obok kierowcy. Spał krótko. Gdy wyjechali z Poznania na drogę prowadzącą wprost do Kórnik, chłopak zajął się przeglądaniem folderów, które walały się na tylnym siedzeniu auta. Była tam między innymi ulotka zabrana przez Barbera z Pałacu Działyńskich, traktująca o cennym księgozbiórze zgromadzonym na zamku w Kórniku, a częściowo także w poznańskim pałacu. Omnibus czytał przez całą drogę, wierząc, że każdy szanujący się detektyw powinien zaczynać śledztwo od poznania charakteru osób i miejsc związanych ze sprawą, dlatego też musiał interesować się tym wszystkim, co dotyczyło Karskiego. Tytus Działyński i jego księgozbiór znalazły się w tym przypadku na uprzywilejowanej pozycji. Potem znowu przyjrzał się trzem wierszom zapisanym przez Karskiego.

Nagle, zamarł ze zdumienia...

- Co mamy na zamku w Kórniku? Bibliotekę! To proste.

Może „BK” z trzeciego wiersza oznacza po prostu „Bibliotekę Kórnicką”! No tak, to dziecinnie proste! Te trzy wiersze to pewnie sygnatury starych druków! Z czym się panu kojarzy „Def.” z pierwszego wiersza?

46

- „Def.”? - zasepił się detektyw. - Czy ja wiem? Z defiladą... definicją...

deflacją... deficytem...

- „Defekt”! - wrzasnął chłopak i pokazał coś w folderze. - Egzemplarz uszkodzony. Defekt, z łacińskiego „defectus”.
- Znasz łacinę? - zdziwił się Barber.
- Nie, ale grałem w taką grę, której akcja rozgrywała się w British Museum. Nasza zagadka jest dziecinnie prosta! Karski podrzuca zainteresowanym trzy sygnatury!
- Dziecinnie prosta zagadka? - jęknął detektyw, nie kryjąc podziwu dla małolata. - Nie mógł facet podać gotowych tytułów? Albo chociaż nazwisk autorów? Stary był nieźle walnięty, nie ma co. To pewnie typ sadysty!
- Ja tak nie uważam.
- Nie? To czemu zabawia się kosztem rodziny? Jeśli za nimi nie przepadał, to mógł po prostu przeznaczyć swój majątek na szczytny cel. Na jakiś Caritas albo inny Czerwony Krzyż. Po co tak wydziwiać? To powiadasz, Omnibus, że te trzy wiersze to książki?
- Sygnatury biblioteczne. Tak przypuszczam.

*

W Kórniku byli po pierwszej. Nie udzieliła się im senna atmosfera miasteczka, zignorowali kręcących się w pobliżu zamku turystów, nawet nie zerknęli na jezioro, którego szara toń nie zachęcała do żeglowania. Zaparkowali na dziedzińcu, za którym wznosił się otoczony fosą zamek. Na lewo od schodów, prowadzących na most przez fosę do zamku, znajdowało się wejście do parku. Obok furtki mieściły się bar i pawilon z pamiątkami, bliżej miasta, od wschodu, zamykały trawiasty dziedziniec

budynki dawnej oficyny.

W zamkowej sieni o XIX-wiecznym wystroju poinformowano ich, że dzisiejsze zamówienie na starodruki zostanie zrealizowane dopiero w dniu następnym. Zapoznawszy się z regulaminem Biblioteki, detektywi ruszyli w stronę wspomnianego baru obok zamku. Tam - w pachnącym przeróżnymi potrawami wnętrzu - zjedli obiad składający się z pierogów z kapustą i czerwonego barszczu, a następnie postanowili zwiedzić park.

47

Przed spacerem Omnibus wyczytał, że Biblioteka Kórnicka PAN posiada elektroniczny katalog.

- Potrzebny nam będzie komputer z dostępem do Internetu - oświadczył Omnibus.
- Po co nam komputer? - zdziwił się detektyw, wycierając serwetką usta.
- Do przejrzenia katalogu Biblioteki.
- A laptop może być?
- Laptop? No pewnie! Tylko skąd go wytrzaśniemy?
- Mam w bagażniku - wyjaśnił Barber.
 - W bagażniku poloneza?! O rany, panie Juliuszu, jest pan genialny! Używa pan komputera? Myślałem, że jest pan... Ugryzł się w język.
- Że niby jaki jestem? - zainteresował się mężczyzna.
- Trochę staroświecki - wybrnął chłopak.
 - Chciałeś powiedzieć „zacofany”, a nie „staroświecki”. Co nie? Otóż, nie lubię komputerów, nie znam się na nich i tak dalej. To wspólnik

namówił mnie do zakupu laptopa.

- Ma pan wspólnika?
 - Miałem - odpowiedział, patrząc w dal. - Był z niego odważny i nowoczesny człowiek, kilka razy otarł się o śmierć... postrzelili go bandyci... Cudem przeżył. Umarł jednak na czasach. .. na zawał... leżąc na materacu w basenie. Gdzieś w Grecji, chyba na Kefalonii.
- Ale co z tym laptopem?
 - Mam go w bagażniku. Wożę go cały czas. Jest nieużywany, ale powinien działać. Internetu nie mam.
 - Ma pan komórkę? - uśmiechnął się chytrze Omnibus. -Przez komórkę wejdziemy do Internetu, dzięki niemu dostaniemy się do elektronicznego katalogu Biblioteki.
- Synu! - zawył Barber. - Chcesz, żebym zbankrutował?!

Omnibus przerwał surfowanie. Jego oczy musiały odpocząć od długiego wpatrywania się w ekran laptopa. Byli z Barberem w kafejce internetowej na głównej ulicy Kórnicka, w czę-

48

ści, w której przeważały sklepy i punkty usługowe. Właściciel kafejki zgodził się za odpowiednią opłatą na przyłączenie laptopa do sieci, wcześniej Omnibus skonfigurował komputer. Na szczęście sprzęt był w dobrym stanie. Laptop był wart tyle, co kilkuletni maluch, na dodatek większość oprogramowania działała, znalazły się też gadzety dołączone przez producenta do obsługi poczty elektronicznej.

Omnibus skopiował pliki strony internetowej Biblioteki Kórnickiej na

twardy dysk laptopa. Przeszukiwał pliki, aż wreszcie dotarł do hasła „Katalogi”.

Dział ten obejmował stare druki, rękopisy, grafiki i dawne mapy. W bibliotece zebrano około trzysta tysięcy tomów! Starych druków², pochodzących z wieków XV-XVIII, zgromadzono tutaj około trzydziestu tysięcy, wśród nich kilka tysięcy druków rzadkich i unikatów³, jak *Szachy* Jana Kochanowskiego czy *Żywot Józefa* Mikołaja Reja. Sama kolekcja rękopisów⁴ liczy około piętnastu tysięcy woluminów, w tym autografy: *Dziadów cz. III* Adama Mickiewicza, *Hymnu o zachodzie słońca* Juliusza Słowackiego oraz pieśni romantycznych Fryderyka Chopina.

Kiedy Omnibus przeglądał elektroniczny katalog, siedzący obok na krześle Barber drzemał znużony tym, jak się wyraził, „internetowym szaleństwem”. Komputery znajdujące się w małym pomieszczeniu przerobionym na kafejkę internetową okupowali młodzi internauci. Omnibus kliknął w ikonę „Katalog”, a następnie wpisał w puste pole wyszukiwarki pierwszy z trzech tajemniczych zapisków Karskiego: „236251 Def.”

Po chwili na ekranie pojawił się długi tytuł w języku łacińskim. Na samej górze, nad treścią notki, widniała sygnatura

²Ozdobą kórnickiej biblioteki są też najstarsze druki krakowskie z XV w., pisma protestantów polskich z XVI-XVTI w. oraz ksylograf (książka odbija na z klocka drzeworytowego, tzn. tekst i ilustracje są wyrzeźbione w drewnie) z XV w. *Ars moriendi*.

³Druki zachowane w jednym tylko egzemplarzu.

⁴Najstarszy rękopis pochodzi z IX w. (komentarz do reguły zakonnej benedyktynów opata Smaragdusa), najcenniejszy zaś to iluminowany, boga to ilustrowany *Kodeks Justyniana* z 1300 r.

49

wystukana wcześniej na klawiaturze. Miał rację! Nieboszczyk podał rodzinie trzy sygnatury.

Uradowany szturchnął drzemiącego detektywa.

- Panie Barber! Mamy to!
- Co się stało? - pytał nieco nieprzytomny mężczyzna. - Co mamy?
- Sygnaturę! - chłopak był podekscytowany odkryciem. -Tajemnicze zapiski Karskiego to sygnatury Biblioteki Kórnickiej. Chodzi o książki. Stare druki! Mamy je! Tytuły!

Barber przebudził się na dobre. Ziewnął i wbił zamglony wzrok w ekran laptopa. Nawet młodzieńcy przy sąsiednich komputerach zainteresowali się zamieszaniem wywołanym przez Omnibusa. Rzeczywiście, trzy zapiski przekazane rodzinie przez mecenasa Czaplińskiego były sygnaturami starych druków pochodzących z Biblioteki Kórnickiej.

- Zagadka nie była wcale trudna! - cieszył się Omnibus.

Zadowolony skopiował do osobnego katalogu opisy trzech pozycji; Barber także nie krył radości i co pewien czas klepał

	Guevara Antonio, de	bp	236251 2263
St. zas. Ks. dubl. II 7 Estr. XVII, 461 Sygn. 2263 - Kielis. 8844 Sygn. 236251- def.: k. tyt. uszko- dzona	<p>Horologium principum, sive de vita M[arci] Aurelii imp[eratoris] libri III ab... compo- siti, et myriade, cui nunc chiliades aliquot accesserunt, lectissimarum sententiarum ex- ornati atque illustrati, additis indicibus necessariis et notatione locorum, ex quibus marginum illustramenta, quae pro notis esse queunt, deprompta sunt. Editio novissima aucta et correcta...</p> <p>Cracoviae 1615 [rz.] Vaeneunt apud Burchar- dum Kuikium 4° s. 72mlb., 695, 31mlb.</p>		

	Głoskowski Maciej	19113
St. us. Estr. XVII, 1892 Wg Karczew. Gry- czony, Leszno, środek wydawni- czy Jednoty, poz. 150 - wydane w Lesznie u Da- niela Vettera, przed r. 1642 Mf BK 5942 Kielis. 4493 - cena r. 1648	<p>Legarek albo pamiątka... meki y smierci Abawiciela... Jerusa... na 24 godzin rodnice- lona. Praydane są rozmyślenia y modlitewki ktotkie (sic)... frzer Maciera Głoskow- skiego, napisane.</p> <p>[b. m. dr. r.] [u. XVII] 4° s. 71 + 1 tabl.</p>	

	Ostrowski Jan [II]	13692
1007a 1984. Estr. XXIII - 507. Not. rmpb. p. 2 m. DK 2629 Mf BK 38780 BR 1241	<p>Myslistwo z ogary Jana hrabie z Ostroga...</p> <p>Kraków 1618 [druk.] Dązyl Szalski 4° s. 55, 1mlb.</p> <p>PD</p>	

Wspólnika po plecach. Przejrzeli zawartość plików, po czym wyszli z kafejki poruszeni do żywego. Wsiedli do zaparkowanego nieopodal auta i tam raz jeszcze odczytali biblioteczne opisy wyróżnionych przez Karskiego pozycji

Barber pierwszy okazał rozczarowanie odkryciem. Gorzej - zniecierpliwił się, a nawet wpadł w złość. Biblioteczny opis sygnatur jeszcze bardziej, w jego mniemaniu, gmatwał sprawę i niczego nie wnosił do śledztwa. Tym bardziej, że ani on, ani małolat nie znali łaciny, a niektóre tytuły wyszczególnione przez Karskiego były zapisane w tym języku. Autorzy dwóch pozycji

- a mianowicie Antonio de Guevara i Maciej Głoskowski - byli im nieznani. Autor rękopisu zaś pozostawał anonimowy. Dla czego Karski wyróżnił te, a nie inne tytuły? Co takiego chciał przekazać swoim dzieciom i tajemniczej przyjaciółce? Pozycje musiały jednak zawierać jakąś ważną wskazówkę prowadzącą do hasła, inaczej bibliofil nie zawracałby sobie nimi głowy.

- Nie odgadniemy hasła dzięki tym plikom - marudził detektyw. - Na nic ten twój Internet. Jakiś mądry człowiek powiedział kiedyś, że „komputery to najmądrzejsi krety”⁵. Zgadzam się z nim w całej rozciągłości. Mam takie samo zdanie o komputerach, więc pewnie też jestem mądrym człowiekiem, tylko że używam mniej parlamentarnego języka.

- Zaraz - próbował ratować nastrój zwycięstwa Omnibus.

- Przecież wywiązał się pan z zadania i odszyfrował znaczenie trzech zapisków. To tytuły starych druków i rękopisu! Pani Karska nie zwolni pana, a jutro coś wymyślimy. Rozwiązanie

zagadki znajduje się tutaj w Kórniku, na zamku. Wybierzemy się tam jutro i obejrzymy te druki.

- Nie dadzą nam oryginałów - kręcił głową detektyw, wyraźnie niezadowolony z przebiegu śledztwa. - Nie jesteśmy profesorami, ani nawet magistrami. Nie mamy odpowiednich kwalifikacji do złożenia wniosku o wgląd w te księgi...
- Możemy poprosić o mikrofilmy w czytelnii!
- Mam dość tej sprawy - machnął ręką detektyw. - Ale masz rację, synu, zadanie wypełniłem i Karska mnie nie zwolni. A jutro? Jutro coś się wymyśli, masz rację. Dzisiaj jesteśmy „mądrzejsi niż wczoraj, głupszy niż jutro”.

Odjechali.

⁵ Norman Mailer.

52

4

Zanim poszukali noclegu, znaleźli przyjemną restaurację przy głównym trakcie Kórnika, w pobliżu monumentalnego, gotyckiego kościoła z czerwonej cegły, a z widokiem zamku. Wewnątrz spotkała ich miła obsługa i spokój. Lokal urządzone w stylu myśliwskim - na ścianach wisiały akcesoria znane z obrazków przedstawiających polowania, były zatem strzelby, zabytkowe rusznice i różnego rodzaju rogi jeleni oraz trąbki. Kilka oprawionych w ramki dużych fotografii przedstawiało ubranych w galowe mundury członków miejscowego Bractwa Kurkowego. Nic dziwnego, że nosił nazwę „Pod Złotym Kurem”.

Po obu stronach sali stały ławy kryte ceratą, na samym jej końcu

potężny kontuar, obłożony niezliczonymi gadżetami: starymi żelazkami, pawimi piórami i płytami gramofonowymi. Inne rekwizyty, takie jak *blaszane i drewniane kury*, zainstalowano także na ścianach pod samym sufitem. Kury służyły podobno w XIV wieku za tarcze celownicze podczas organizowanych corocznie zawodów strzeleckich dla mieszczan. W celu podniesienia sprawności bojowej strzelano wtedy z kusz albo z rusznic, najczęściej do drewnianego lub blaszanego ptaka, inaczej kura. Najlepszy strzelec zostawał „królem kurkowym” i stąd wzięła się nazwa staropolskiej organizacji strzeleckiej „bractwo kurkowe” - powszechnej organizacji cechów rzemieślniczych i tak zwanych gildii kupieckich, przygotowującej ludzi do obrony miasta. Jak widać, tradycja przetrwała do dzisiaj.

Zjedli po schaboszczaku. Barber zamówił mały kufel piwa dla siebie i wodę mineralną dla Omnibusa. Nieopodal grał telewizor zawieszony na ścianie, kilku gości piło w błogim nastroju jasne piwo i oglądało popularny teleturniej. Detektyw z rozkoszą zlizywał z warg piwną piankę i zastanawiał się nad prawidłową odpowiedzią na zadane w programie pytanie. Właściwie, nie musiał wcale główkować. Znał ją dobrze. Chodziło bowiem o nazwę kraju, w którym opracowano prototyp i masową produkcję popularnego pistoletu Glock. Odpowiedź była

53

prosta: Austria. „Ech, żeby wszystkie zagadki były tak proste jak to pytanko” - pomyślał.

Gorzej szło Omnibusowi. Chłopak zastanawiał się nad znaczeniem trzech pozycji z kórnickiej biblioteki. Nic jednak nie wymyślił, co wpędziło go w nastrój przygnębienia. Nie potrafił odpowiedzieć na

pytanie, wyjaśnić, co takiego szczególnego znajduje się w tych konkretnych starych drukach i rękopisie? Doszedł do wniosku, że należy je dokładnie obejrzeć. Pamiętał dobrze książkę znanego włoskiego pisarza, Umberto Eco, pod tytułem *Imię róży*, szczególnie utkwił mu w pamięci jej fragment, w którym bohater odczytuje ukrytą na stronicy grubej księgi informację zapisaną atramentem sympatycznym. Wystarczyło nadpalić róg kartki, by oczom ukazała się zapisana przed wiekami wskazówka. Niestety, w bibliotece w Kórniku nie mogli zastosować tego triku, tym bardziej, że nie było podstaw podejrzewać Karskiego o tak wymyślne działanie. Cóż, do rana należało uzbroić się w cierpliwość.

- Dobra, Omnibus - przerwał milczenie detektyw i wstał. - Idziemy!
- Gdzie?
- Poszukać noclegu.

Nie musieli. Szczęśliwie dla nich, żona właściciela restauracji zaoferowała im pokoje na górze - dwie jedyne. Nie musieli zatem szukać motelu. Barber wolał nie afiszować się zanadto znajomością z chłopakiem, nie wiedział bowiem, kim on jest i co tak naprawdę zmusiło go do ucieczki z domu oraz włóczęgi. Podróżowanie z dzieciakiem - w czasach, kiedy nawet na ojców głaszczących swoje pociechy patrzono z podejrzliwością godną Kronosa⁶, a media co rusz informowały o zbrodniach - było niezwykle ryzykowne. Ba, to było wielkie utrudnienie. Jednocześnie nie chciał rezygnować z pomocy Omnibusa. Instynktownie czuł, że jest on kimś w rodzaju małego geniusza.

⁶ W mitologii greckiej przedstawiony jest jako władca ponury i podejrz-

liwy; pokonał ojca, Uranosa, i objął panowanie nad światem. Według przepowiedni, jeden z jego synów miał pozbawić go tronu, dlatego Kronos połykał dzieci zaraz po urodzeniu.

54

*

Chłopak dostał pokój z oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec, Barber zaś na ulicę. Z początku ucieszyło to detektywa, potem jednak rozeźliło. Powodem były hałasujące za oknem samochody, utrudniające zaśnięcie. Nie był to ruch na miarę Poznania, lecz wystarczająco dokuczliwy. Barber pragnął odpocząć po wyczerpującym dniu (wstał skoro świt), a nic tak dobrze mu nie służyło na zmęczenie jak sen. Niestety, hałas ulicy go denerwował. Pocił się przy tym obficie i walczył z kluciem w okolicach mostka. Jego serce wciąż przypominało mu o konieczności wyjechania na dłuższy urlop.

W takich chwilach Juliusz Barber miał dość swojej pracy -włóczył się po Polsce na życzenie ciągle niezadowolonych klientów i nie miał nawet do kogo wrócić. Brak prawdziwego domu, rodziny, bolał bardziej niż chore serce. Dwie żony odeszły od niego, gdy był jeszcze sprawny fizycznie i odnosił jako takie sukcesy w branży detektywistycznej. Opuściły go, nie mogąc dłużej znieść jego ciągłej nieobecności. Z roku na rok stawał się coraz bardziej nerwowy i przepracowany. Zarabiał coraz gorzej, sukcesów było jak na lekarstwo, bardzo więc liczył na honorarium obiecane przez Barbarę Karską. Gdyby udało mu się doprowadzić tę sprawę do końca, mógłby skończyć z profesją detektywa, raz na zawsze. Marzył o emeryturze, o spokojnym życiu, wędkowaniu i kuflu piwa wieczorem. Ta

misja mogłaby być jego ostatnim zadaniem, gdyż Karska obiecała wysokie honorarium. Jednakże sprawa testamentu jej ojca wymykała mu się z rąk, na dodatek nieboszczyk naigrywał się z żywych, co rusz podsyłając zza grobu jakieś nowe wskazówki. I właśnie przypadkowe pojawienie się Omnibusa stanowiło zrządzenie Opatrzności. Ten smarkacz mógł za niego rozszyfrować łamigłówkę - słyszał o takich zdolnych maślakach, lecz nigdy nie miał okazji zetknąć się z nimi osobiście.

Wstał. Podeszedł do okna zmęczonym krokiem i oparłszy się o parapet, głośno westchnął. Świat i ludzi łatwiej było oglądać z góry. Patrzył beznamiętnie na oświetloną światłem latarni ulicę, z której zdążyły już wyparować ślady po deszczu. Wi-

55

dział parkujące gęsto na poboczu samochody i grupki młodych ludzi cieszących się wakacyjną labą, przemierzających miasteczko w poszukiwaniu zabawy, oraz samotnych przechodniów udających się na wieczorny spacer. „Co ja, do diabła, tu robię?” - pomyślał z goryczą.

*

W swoim pokoju Omnibus leżał na łóżku i wpatrywał się w ekran laptopa. Próbował rozgryźć zagadkę trzech sygnatur. Z jakiegoś powodu stary architekt wybrał te, a nie inne tytuły.

Dlaczego były one tak ważne?

Nie wiedział. Szczerze mówiąc, nie miał zielonego pojęcia. Nic nie przychodziło mu do głowy. Jakże łatwo było oglądać filmy o poszukiwaczach skarbów, tych wszystkich genialnych „indianach Jonesach”, którym do rozwiązania wielkich tajemnic i zagadek cywilizacji

wystarczało jedno przenikliwe spojrzenie albo chwila namysłu. Inni dysponowali najnowocześniejszym sprzętem do poszukiwań bezcennych skarbów, stosowali magnetometry protonowe, echosondy i coraz bardziej popularne - choć potwornie drogie - radary geologiczne; byli i tacy, którzy zamiast sprzętu elektronicznego używali zwykłych wahadełek lub różdżek. Lecz rzeczywistość była inna niż fantastyczne przygody wspaniałych i zwycięskich bohaterów, realny świat bowiem nie był tak pociągający jak filmowe i literackie wszechświaty, był bardziej szary, nieatrakcyjny. Cóż zrobiłby na miejscu Omnibusa taki Indiana Jones? Czy umiałby powiązać te trzy tytuły z kórnickiej Biblioteki ze sprawą testamentu Karskiego? Pewnie tak. A jednak Omnibus był pewien, że rozwiązanie realnej zagadki było więcej warte niż wszystkie zwycięstwa fikcyjnych bohaterów.

„Prawda jest cenniejsza od szkatułki pełnej diamentów -powiedział kiedyś ktoś bardzo mądry. - Poszukiwanie prawdy stwarza popyt na tajemnice. Rodzi pasję”.

Zamknął pliki z katalogami Biblioteki Kórnickiej i otworzył inny, opisujący dzieje zamku.

56

Historia kórnickiego, zamku zaczęła się w późnym średniowieczu, kiedy kanclerz kapituły poznańskiej, Mikołaj z Górki, rozbudował swoją ówczesną siedzibę. Był rok 1426. Kolejnymi właścicielami zamku, którzy przebudowywali go według swoich upodobań, byli: wojewoda poznański Stanisław Górka i rodzina Czarnkowskich. Ten pierwszy w 1574 roku gościł na zamku kórnickim Henryka Walezego (podążającego na koronację do Krakowa), prawie pół wieku potem Adam Sędziwój Czarnkowski

miał zaszczyt udzielić gościny innemu królowi Polski - Zygmuntowi III Wazie. Zamek wkrótce podupadł, aż wreszcie w roku 1676 przeszedł w ręce Działyńskich - rodziny szlacheckiej wywodzącej się z ziemi dobrzyńskiej.

I tak rozpoczął się nowy okres świetności zamku.

Najpierw - w drugiej połowie XVIII wieku - rezydowała tutaj Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka, zwana później Białą Damą⁷. Za jej czasów zamek nabrał barokowego charakteru, a dawny ogród włoski z XVI wieku zamienił się w park francuski. Najważniejszą rolę w historii zamku odegrał jednak Tytus Działyński. Odziedziczył go po ojcu w 1826 roku i przebudował według projektu niemieckiego architekta Schinkla. Obronna architektura zamku doskonale oddawała zamysł nowego właściciela, a mianowicie miejsce dla zbiorów bibliotecznych i muzealnych. Owa symbolika jeszcze dzisiaj jest nader aktualna, wzięwszy pod uwagę rozmiar strat zabytków kultury, jakie poniosła Polska w samym tylko XX wieku.

Właściwe prace budowlane podjęte przez Tytusa Działyńskiego trwały w latach 1843-1861. Postawiono wówczas most nad fosą oraz półokrągłą wieżę od zachodu, a także oranżerię przy zamkowej oficynie. Potem przebudowano gotycką wieżę w północno-wschodnim narożu, dodano taras w południowej fasadzie i ukończono murowany przedsionek w formie barbakanu zwany Babińcem, przy którym ubodzy czekali na datki.

⁷ Teofila (1714-1790) - kuzynka Augustyna, wojewody kaliskiego, przodka Tytusa Działyńskiego.

Wreszcie - dominująca nad zamkiem północno-zachodnia wieża otrzymała bogate zwieńczenie - prawdopodobnie krenelażem⁸. Wszelkie zmiany dokonane wówczas we wnętrzach zamku, uderzają oryginalnością połączenia różnych stylów - gotyku, renesansu, baroku i ulubionych przez Tytusa Działyńskiego motywów mauretańskich. Zajął się on także zaniedbanym ogrodem - powstał angielski park krajobrazowy z wieloma rzadkimi gatunkami drzew i krzewów⁹, do dziś robiących ogromne wrażenie na przyjezdnych.

Jeszcze długo po śmierci Tytusa Działyńskiego ulepszano bądź modyfikowano jego projekt. We wnętrzach zamku pracowano zresztą do końca XIX wieku. Na wzmiankę zasługuje postać wieloletniego budowniczego Mariana Cybulskiego, człowieka, który w tym okresie wprowadził wiele własnych rozwiązań architektonicznych¹⁰ - przede wszystkim nadbudował jedną kondygnację i zwieńczył krenelażem. Od strony parku wzniesiono prostokątne wieże na narożnikach, a w części środkowej dobudowano monumentalną arkadę, nadającą południowej części budynku orientalny charakter.

Kontynuatorem (do 1880 roku) dzieła Tytusa Działyńskiego był jego syn, Jan Kanty, który poświęcił się głównie działalności społecznej i politycznej. Zaangażowanie się kolejnego spadkobiercy kórnickiego majątku w powstanie styczniowe doprowadziło do wydania na niego wyroku śmierci przez sąd pruski i konfiskatę dóbr. Uratowała go amnestia. Był on także bibliofilem i wydawcą, wzbogacił nie tylko zbiory biblioteczne, ale i muzealne. Ostatnie lata życia spędził szczęśliwie w Kórniku, gdzie zajął się wystrojem wnętrz zamkowych i wzbogacaniem pięknego parku.

⁸ Krenelaż - blanka, przedpiersie muru obronnego z przemiennie usytuowanymi zębami i prześwitami (ułatwiający strzelanie).

⁹ Rośnie w nim dzisiaj 3 tys. gatunków, odmian drzew i krzewów europejskich, azjatyckich i amerykańskich; znajduje się też tutaj muzeum dendrologiczne.

¹⁰ Jego pomysły nadały zamkowi charakter bardziej malowniczy; chodzi o loggie, wieżyczki i wykusze, przede wszystkim zaś wysoką, ceglana wieżę z krenelażem i smukłą wieżyczką, wznoszącą się ponad nią.

58

Ostatnim spadkobiercą Działyńskich był siostrzeniec Jana Kantego Władysław Zamoyski - człowiek mocno zaangażowany w obronę własności polskiej, między innymi wygrał proces o część Wysokich Tatr¹¹. Zamoyski przekazał narodowi polskiemu cały swój majątek wraz z zamkiem kórnickim, tworząc fundację pod nazwą Zakłady Kórnickie¹². Po jej zniesieniu zamek wraz z parkiem przeszedł w 1953 roku na własność Polskiej Akademii Nauk.

Rozległo się głośne pukanie. Omnibus przerwał lekturę i nieco poirytowany podszedł do drzwi. Kiedy je otworzył, ujrzał zmarnowaną twarz Barbera.

- Jeszcze siedzisz? - zapytał nieco podejrzliwie detektyw, zerkając ponad ramieniem chłopaka do pokoju. - Nie chce ci się spać?
- Czytam. Nic jeszcze nie odgadłem, jeśli o to panu chodzi.

Beznadziejna sprawa, panie Barber. Beznadziejna. A pan dlaczego nie śpi?

- Nie mogę zasnąć. Te przeklęte samochody na ulicy... Słuchaj, nie chciałbyś się przypadkiem zamienić pokojami ze starym piernikiem?
- Mnie tam wszystko jedno - Omnibus wzruszył ramionami.
- Dobry chłopak.

*

Barber położył się w nowym pokoju szczęśliwy, że nie słyszy tych przeklętych samochodów. Zasypiał już, gdy nagle odgłos walenia do drzwi gwałtownie wyrwał go z objęć snu.

Do pokoju wpadł podekscytowany Omnibus.

- Panie Barber! - wołał od progu. - Widziałem! Wiśniowe renault!
- Wiśniowe? - ziewnął detektyw, oparłszy się łokciami na łóżku. - I co z tego?
- Czy pani Karska takim nie jeździ?

¹¹ Dzięki jego staraniom okolice Morskiego Oka włączono w granice ziem polskich.

¹² Zatwierdzona w 1925 roku, a więc rok po śmierci fundatora.

59

- Renault, ciemna wiśnia. A jakże.
- Jechał wolno główną ulicą. Widziałem to z okna.
- Pięknie!

Barber zerwał się z łóżka jak oparzony, energicznie pocierając twarz, jakby chciał z niej zetrzeć resztki snu, nałożył błyskawicznie marynarkę i spodnie na pizamę. Wyszli z pokoju, zamknawszy za sobą głośno drzwi. Z

sąsiedniej „trójki” wychodził właśnie jeden z gości i pozdrowił ich skinieniem głowy. Jednakże nasi bohaterowie zdawali się go nie dostrzegać. Tak bardzo poruszyła ich obecność w Kórniku renault, że w tej chwili nie istniał dla nich nikt inny oprócz Barbary Karskiej.

- Nadjechała od strony zamku! - krzyczał Omnibus na schodach. - Bardzo wolno, jakby szukała parkingu!

Wyszli z bramy na ulicę. Rozglądali się nerwowo w poszukiwaniu samochodu Karskiej. Barber zapiął dokładnie guziki marynarki, aby ukryć wystającą spod niej piżamę, i wreszcie ruszył na północ.

- Rozglądaj się uważnie - pouczał, kierując się na drugą stronę ulicy. - Chcę wiedzieć, co ten babsztyl tutaj robi? Byłem z nią rano w willi... dlaczego przyjechała tu znowu, nie zawiadomiwszy mnie o tym? Te, Omnibus, a nie pomyliłeś się z tym renault? Jest ciemno. Może to był podobny wóz.

- Wydawało mi się, że to renault pani Karskiej! - zapewnił go chłopak.

Szli chodnikiem i uważnie przyglądali się zaparkowanym samochodom. Główna ulica w Kórniku, Niepodległości, została podzielona na dwa odrębne trakty z szeregową zabudową ciągnącą się jej środkiem. Najpierw obeszli dwieście metrów jej północno-wschodniej części, potem przeszli na drugą stronę.

- Nigdzie jej nie ma - westchnął zrezygnowany Omnibus.

Idąc zwracali uwagę na przejeżdżające auta, zaglądali w głąb bocznych uliczek, interesowały ich placyki za ogrodzeniem oraz przesmyki między kamienicami prowadzące prosto nad jezioro. Minęli największą restaurację w Kórniku, licząc w duchu na to, że Karska zgłodniała i zaparkowała auto przed lokalem.

Po kilku minutach stanęli u wylotu alejki prowadzącej do jakiejś mordowni usytuowanej w blaszanej budzie, wokół któ-

60

rej gromadzili się ludzie spragnieni piwa i nocnych pogaduszek. Za tym miejscem zaczynał się szeroki pas krzaków przybrzeżnych, więc generalnie nie było tam zbyt bezpiecznie.

- Pewnie wróciła do Poznania - westchnął niepocieszony Barber. - Jeśli to była ona.
- Ona - przytaknął pewny siebie Omnibus. - Barbara Karska.

Stali obok siebie i w dalszym ciągu rozglądali się dookoła, nie zważając na młodych ludzi, zbliżających się do nich chwiejnym krokiem. Na ich posępnych twarzach zagościła nadzieja na szybką poprawę samopoczucia. Przywódca bandy ubrany w czarną, skórzaną kurtkę - wysoki młodzian z rozwichrzoną czupryną, z kilkudniowym zarostem, o oczach ciemniejszych od nocy - wysforował się na przód grupki. Widok starszego faceta w wymiętej marynarce, spod której wystawała piżama w paski, w towarzystwie małolata, sprowokował go do upomnienia się o kilka groszy, a może był to tylko pretekst do zwykłej rozróbki.

- Dziadek! - zawołał. - Ty, w tej kusej marynarce! Daj parę groszy!

Barber powoli odwrócił się w ich stronę, Omnibus zaś stanął obok niego i strach ścisnął mu gardło. Sytuacja była nieciekawa. Wszystko to działo się na głównej ulicy miasteczka, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Nawet jeśli ktoś szedł drugą stroną ulicy i widział dziwne zgromadzenie u wylotu alejki, udawał, że niczego nie dostrzega. W tym czasie przywódca grupy stanął plecami do jeziora, jego kompani wnet otoczyli dwójkę

detektywów. Pięciu na dwóch. Wydawało się, że nawet doświadczenie Barbera nie może ich uratować.

- O co chodzi, chłopaki? - zapytał łagodnie Barber.
- A co, jesteśmy na ty? - zdziwił się ciemnoóki.
- Bryzol! - zwrócił się do niego inny. - Piłeś z dziadkiem?
- Nie przypominam sobie - odpowiedział.

Pozostali ryknęli śmiechem. Widać, znali się na „dobrych” dowcipach.

- To znaczy chyba nie piłem - kontynuował wątek Bryzol. - Ale nic straconego. Dziadek sypnie kasą i spadamy.

61

- Nie - oświadczył spokojnie Barber.
- Nie?!
- Nie piję z dziećmiakami - odparł detektyw.
 - Nie pękaj, dziadek. Jestem już dorosły. Codziennie wypijam kilka piw i zobacz, jaki duży wyrosłem, nie to, co ten twój wnuczek. Słyszysz, co do ciebie mówię?!

Nagle detektyw złapał się za głowę.

- O żesz ty kartofel! - wyszeptał z miną odkrywcy. - No przecież. Tak jest! Mam!

Nie tylko Omnibus był ciekaw, co tak wstrząsnęło Barbe-rem. Kilku opryszków wydobyło skądś noże, tak na wszelki wypadek, żeby pokazać „dziadkowi”, kto tu rządzi, a Bryzol szczyrzył zęby w uśmiechu pełnym bezczelnej pewności siebie.

- No jak, dziadek! Dawaj hajc, bo tracę cierpliwość! Paka wystarczy.

Barber nie zwracał uwagi na słowa młodego żula.

- Wiem, jak namierzyć Karską - zwrócił się do Omnibusa, zapominając o niebezpieczeństwie. - To proste.
- Zadzwoń pan do niej? - zapytał chłopak, zerkając nerwowo na otaczających ich osobników.
- Mam lepszy pomysł.
- O czym wy gadacie? - zirytował się Bryzol.
- Zaraz im przyłutuję - dodał inny.

Wtedy to detektyw zdjął z siebie marynarkę i wyjął z bocznej kieszeni kaburę z pistoletem. Skórzany pasek przerzucił szybko przez ramię i z powrotem nałożył ją na pizamę. Ta demonstracja zrobiła tak wielkie wrażenie na młodych ludziach, że w jednej chwili umilkli i zaskoczeni wybałuszyli oczy.

Barber zrobił krok w stronę Bryzola.

- Zjeżdżajcie stąd, szczeniaki! - rzucił otro.

Nic nie powiedzieli. Odeszli w milczeniu w stronę mordowni nad jeziorem.

Barber natychmiast ruszył na drugą stronę ulicy.

- Wracamy na kwaterę!
- A renault? - dziwił się Omnibus. - Nie szukamy Karskiej?
- Kto powiedział, że nie szukamy? Szukamy, i owszem! Ale w twoim pokoju.

62

Zdezorientowany Omnibus zerknął za siebie i z ulgą stwierdził, że banda Bryzola znikła bez śladu.

- Czy zawsze nosi pan ze sobą pistolet? - zapytał już w bramie.
- Nie zawsze. Kilka razy w życiu nie wziąłem i o mały włos marnie bym skończył.

*

Detektyw wyciągnął z torby odbiornik radiowy, przypominający z wyglądu pilota telewizyjnego, ten sam, którego używał dzisiaj w Poznaniu do podsłuchania spotkania w kancelarii mecenasa Czaplińskiego.

- Podsłuch? - zdziwił się Omnibus.

Mężczyzna kiwnął głową. Przeszli szybko do pokoju chłopaka i stanęli przy oknie wychodzącym na ulicę.

- Pamiętasz miniaturowy mikrofon ukryty w piórze Karskiej? - Barber położył na parapecie dekodek.
- Tak, pamiętam.
- Karska oddała mi w cukierni mikrofon. Tylko że ja go tam z powrotem umieściłem.
- Jak to? - zdziwił się chłopak. - Nie rozumiem.
- To sprawa rutyny, synu. Takie baby jak Karska są przebiegłe i nieobliczalne. Zazwyczaj nie mam zaufania do swoich klientów i Karska nie jest wyjątkiem. Miałem nosa, że ponownie ukryłem w skuwce mikrofon. Bo jeśli ona jest w Kórniku, to znaczy, że węszy tutaj na własną rękę. Znaczy się, coś kombinuje. I nie ufa mi. No i sam powiedz, po co w takim razie mnie wynajęła?

Uruchamiając sprzęt, Barber wyjaśnił chłopakowi, że miniaturowy nadajnik produkcji japońskiej, umieszczony w wiecznym piórze, ma wmontowany mikrofon, zwany koderem, wyposażony we wzmocnioną

wkładkę oraz niezwykle czuły ekran membranowy. Procesor pikoneutronowy pozwalał kodować dźwięki na wyższych pasmach przesyłu. Umożliwiał to super-czuły układ oparty na mikrochipie. Urządzenie odbierało zakodowaną wiązkę informacyjną, przesyłaną z kodera, z odległości około dwóch kilometrów.

63

Wcześniej inwigilacja Barbary Karskiej nie miała sensu. Raz, że nie było takiej potrzeby, dwa, Karska według ich wiedzy, powinna przebywać w Poznaniu. Skoro jednak zawitała do Kórnik, nadarzała się wspaniała okazja do przyjrzenia się jej bliżej.

- Jeśli tylko znajduje się w promieniu dwóch kilometrów od nas i ma przy sobie pióro, to ją usłyszymy - mówił Barber.

Mieli szczęście. Karska miała przy sobie pióro i znalazła się w zasięgu działania urządzenia. Słyszeli ją bardzo wyraźnie. Zdaniem Barbera była bardzo blisko. Dosłownie „o rzut beretem”.

Zamienili się w słuch.

- *No i co?* -w głosie Karskiej słychać było zdenerwowanie. - *Me może działać szybciej ten Internet?*
- *Nie gadaj tyle* - odpowiedział jej dziewczęcy głos. - *Zobacz, to katalog...*
- *Wpisz dane...*
- *Podyktuj.*
„236251 Def.” Już?

Omnibus popatrzył na słuchającego w skupieniu Barbera. Obaj zdali sobie sprawę z tego, że Barbara Karska poszła tym samym tropem, co oni!

Jakimś cudem ustaliła, że to sygnatury książek ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej. Zrobiła to albo ona sama, albo osoba, która w tej chwili pomagała jej ustalić tytuł pierwszego druku.

- *Jest!* - pisnęła dziewczyna.
- *Rozumiesz coś z tego?*
 - *To tytuł... „Horologium principum, sive de vita...” i coś tam dalej... autor Antonio de Guevara.*
- *Co to znaczy? Czytaj dalej.*
 - *A co robię? Tylko że nic z tego nie rozumiem. To łacina. A ja nie znam łaciny.*
- *Szkoda.*
 - *Nie przesadzaj. A ty umiesz? Dziadek zawsze mówił, że każdy człowiek powinien znać łacinę. Zwłaszcza jego dzieci. Dlaczego nie chciałaś się uczyć łaciny, mamo?*

64

- *Przestań się już nade mną znęcać, smarkulo! Całkiem dobrze rozmawiam po angielsku i francusku...*

- *Łamanym angielskim i migowym francuskim.*

Dziewczyna zachichotała złośliwie.

Tym razem detektyw zerknął wymownie na Omnibusa.

- *Karska jest z córką - powiedział zamyślony. - Rozwiązały łamigłówkę. O żesz ty kartofel! Nie doceniłem babsztyla.*
- *Ale zagadka nie jest jeszcze rozwiązana, panie Juliuszu -pocieszał go chłopak. - To dopiero początek. Nie wiemy, do czego służą te trzy tytuły.*

- Cicho - przerwał mu detektyw. Nasłuchiwał skupiony.
- *To tytuły starych druków* - mówiła Karska.
- *Same to odgadłyśmy! Bez tego twojego detektywa.*

• *Niesłychane. Joanna nigdy by na to nie wpadła, że chodzi o tytuły książek.*

• *Joanna nie ma córki.*

• *Już dobrze, dobrze. Masz rację... niepotrzebny nam detektyw.*

• *Mówiłam to od początku, ale ty się uparłaś.*

• *Nie ja, tylko twój ojciec!*

• *Bo jemu nigdy nic się nie chce. Jednak poparłaś tatę i przyprowadziłaś jakiegoś spoconego dziadka w przetartej marynarce. I do tego jeżdżącego starą gablotą. Ten facet, mamo, ledwo odróżnia znaki drogowe. Dzisiaj w Poznaniu zaparkował zaraz za zakazem postoju! I ten beznadziejny chłopak! Hi, hi... taki malutki. Co za uroczy duecik! Proszę, a ja sama wpadłam na trop z tytułami!*

- *Tak, masz rację, jesteśmy lepsze od tego głupiego Barbera. Jutro go zwolnię i nie zapłacę ani grosza. To nieudacznik. Okropny człowiek.*

Barber siedział nieruchomo, wyprostowany, tak jakby to, co właśnie usłyszał, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Uważał się za profesjonalistę, znał swoją wartość. W całej jego długiej karierze nie takie rzeczy wygadywali o nim klienci. Dlatego słowa Karskich wcale go nie ubodły, z początku ten

dialog go nawet rozbawił. Poruszyła go dopiero wzmianka o wypowiedzeniu.

Natomiast Omnibus był wstrząśnięty. Nie mogło być gorszej obelgi w ustach bliźniego - tym bardziej dziewczyny - jak kpina z jego wzrostu. Zacisnął mocniej zęby i zamknął oczy, tłumiąc w sobie wściekłość.

Barber wyłączył sprzęt. Wstał i ruszył ku drzwiom.

- Rusz tyłek, Omnibus! One są w kafejce internetowej.
- No jasne! - przytaknął chłopak i dodał: - O żesz ty kar-trofel!

Detektyw wpadł na chwilę do swojego pokoju, po czym znowu ruszyli na miasto.

Ustawili się po drugiej stronie ulicy na wprost kafejki. Jak na złość, Barbera dopadł ból w klatce piersiowej - sapał ciężko, zachłannie łapiąc ustami powietrze. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miał się udusić. Dopiero nitrogliceryna pomogła. Omnibus odetchnął z ulgą. Zdaje się, że Karskie miały rację - stanowili zabawny duecik. Zawałowiec i kurdupel.

Przez okno w dobrze oświetlonym wnętrzu widzieli ludzi przed komputerami. Wśród nich były Barbara Karska i zasłonięta przez nią częściowo córka, wnuczka Emanuela Karskiego.

Juliusz Barber wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki małą lornetkę i przez chwilę obserwował je w milczeniu, a następnie wręczył ją Omnibusowi. Wyjął komórkę i nacisnął klawisz skrótu.

Chłopak zauważył w obiektywie sięgającą nerwowo po telefon komórkowy Barbarę Karską i zrozumiał, że detektyw dzwoni właśnie do niej. To było zabawne - dzwonić do osoby, którą się widzi po drugiej

stronie ulicy.

- Pani Karska - rzucił do telefonu Barber. - To ja, pani łaps.
- *Poznaję, poznaję.*
- Gdzie pani jest?
 - *Jak to gdzie? W Poznaniu. A gdzie mam być? A co pan porabia?*

66

- Pracuję nad sprawą... w Kórniku.
 - *W Kórniku?* - jej głos zadrżał. - *Rozumiem. Tylko widzi pan, mam panu coś ważnego do zakomunikowania...*
 - Nieważne, pani Karska - przerwał jej. - Ja też mam do powiedzenia coś ważnego. Powiem od razu. Zrywam z panią „dii”. Rozumie pani?
 - *Jaki znowu „dii”?*
 - Niech pani zapyta córkę, wyjaśni pani.

Omnibus widział przez lornetkę, jak Karską dosłownie wbiło w siedzenie. W końcu wzruszyła ramionami. Już zamierzała otworzyć usta, aby coś powiedzieć, gdy ubiegł ją Barber.

- Już dla pani nie pracuję - oświadczył. - Zwalniam się.

Nie chcę od pani nawet złamanego grosza.

-*Ależ...*

- Aha, i jeszcze jedno. Znam hasło - blefował. - I zamierzam sprzedać je pani siostrze. A może kochance waszego ojca? Zastanowię się jeszcze, która da więcej. Bo znalazłem ją. Kochanicę pana Karskiego. Fajna babka, nie powiem. No, to do widzenia. Polecam się na przyszłość.

- *Panie Barber!* - wrzasnęła kobieta. Wstała gwałtownie od

komputera.

• *Niech pan zaczeka! Halo! Dogadamy się!*

Detektyw z satysfakcją wyłączył telefon i zachichotał pod nosem jak chłopczyk po splataniu w szkole figla. To była słodka zemsta za gorzkie słowa wypowiedziane pod jego adresem. Inaczej zareagowała Karska. Gniew nie pozwolił jej usiąść. Nie było dla niej gorszej tortury niż świadomość sukcesu Joanny, słowa Barbera zaś zapowiadały tragedię - oto bowiem nielu-biana siostra miała otrzymać od Barbera cenną informację, być może rozwiązanie zagadki, hasło!

Omnibus widział zdenerwowaną Barbarę i cieszył się w duchu, że ktoś utarł jej nosa. Kobieta schowała komórkę i powiedziała coś do córki, energicznie machając rękami. W końcu dała ręką znak do wyjścia.

- Pan naprawdę wie? - zapytał Omnibus. - Zna pan hasło?

- Żartujesz? - zachichotał. - Ale nie będę już dla niej więcej pracował.

67

• A dla kogo? Dla Joanny?

• Kiepski z ciebie psycholog, Omnibus. Dla Patryka Karskiego!

Barbara wyszła pierwsza z kafejki. Zaraz po niej wyleciała na ulicę smukła, ładna piętnastolatka o ciemnych włosach. Klaudyna. Przez lornetkę nie widział jej oczu, więc nie mógł wiedzieć, że są błękitne i niezwykle inteligentne.

Detektyw zabrał chłopakowi lornetkę i na wszelki wypadek odwrócił się plecami do kafejki. Niepotrzebnie, jak się okazało, gdyż matka z córką ruszyły chodnikiem w stronę zamku. Szły szybko, nie przestając

rozmawiać. Żadna z nich nie obejrzała się za siebie, co pozwoliło współnikom iść za nimi w bezpiecznej odległości.

Przed restauracją Karskie skręciły w wąską uliczkę i zniknęły detektywom z oczu. Musieli zatem przyśpieszyć kroku, a ostatni odcinek pokonali już biegiem, żeby ich nie zgubić. Zatrzymali się na wysokości uliczki, w którą skręciły rywalki. Stali po drugiej stronie ulicy i wyteżali wzrok, próbując wyłowić z ciemności którąś z Karskich.

Jednakże noc wchłonęła obie damy. „Niedobrze - pomyślał Barber. - Jeśli nas zauważyły, to pewnie schowały się przezornie w jakimś zaułku”. Oznaczało to wpadkę. Zaraz się jednak uspokoił i znalazł inne wyjaśnienie. Karskie mogły wynająć kwatere w którymś z domów położonych nad brzegiem jeziora. Po prostu poszły tam na skrót. Wprawdzie nigdzie nie było śladu po wiśniowym renault, ale i to dało się wyjaśnić. Samochód Karskiej stał prawdopodobnie na jakimś płatnym parkingu lub w prywatnym garażu.

- Zgubiliśmy je - westchnął Omnibus.

Nie usłyszał żadnego komentarza, więc wskazał głową ciemną uliczkę.

- Idziemy tam?

• Nie ma potrzeby - ziewnął Barber. - Jutro ich poszukamy. Wyjął telefon komórkowy i wystukał jakiś numer.

• Gdzie pan dzwoni?

- Do Patryka Karskiego. Złożę mu propozycję nie do odzucenia.

Klaudyna dostrzegła stojących po drugiej stronie ulicy osobników - wysokiego, zwalistego typu, ubranego w marynarkę, i niskiego chłopaka. Nietrudno było zgadnąć, kim są. Przecież widziała ich dzisiaj na rynku w Poznaniu, a tego drugiego śledziła nawet na polecenie matki. To byli detektyw Barber i chłopak, który nocował w willi nad jeziorem. Ich obecność, w tym miejscu i o tej porze, nie dawała jej spokoju. Przed chwilą Barber rozmawiał z jej mamą, dał do zrozumienia, że kończy z nią współpracę. Ładne rzeczy, zakpił sobie z nich! Stał prawdopodobnie po drugiej stronie ulicy i podglądał je siedzące przy komputerze w kafejce internetowej. Nie przyszedł do nich i nie porozmawiał otwarcie, bo dobrze wiedział, że matka blefowała z tym Poznaniem. Nakrył je na kłamstwie.

„Po co on to zrobił?” - myślała Klaudyna, podczas gdy Barbara mówiła coś do niej wzburzonym głosem. Czyżby naprawdę ten zgred odgadł hasło? Mama była przekonana, że mężczyzna blefował i chciał ją tylko zdenerwować. Gdyby naprawdę zamierzał sprzedać hasło Joannie lub kochanicy dziadka, już dawno by to zrobił, a nie przechwalał się. Subtelne rozgrywki nie leżały w naturze detektywa. Nie miał pojęcia, jak zabrać się do tej roboty - tak twierdziła mama.

Wyszły z kafejki w pośpiechu. Idąc z matką do pensjonatu, wiedziała, że nie może się za żadne skarby świata odwrócić, gdyż Barber połapie się, że go zauważyła.

Wpadła na pewien pomysł.

- Mamo - wyszeptała po chwili. - Błagam cię, tylko się nie odwracaj.
- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Karska.
- Obiecujesz?
- Obiecuję. Tylko o co chodzi?

- Nie uwierzysz, ale śledzi nas Barber.
- Że co?! - matka odruchowo zamierzała obejrzeć się.
- Nie odwracaj się! - syknęła Klaudyna. - Idą za nami.
- Idą? Barber i ktoś jeszcze?

- Barber z tym niziołkiem. Oni cały czas stali przed kafejką. Wiedzieli, że nie jesteś w Poznaniu.

69

Barbara musiała stoczyć ze sobą walkę stulecia, żeby nie ulec pokusie.

- Nie odwracaj się - upomniała ją Klaudyna. - Mam pewien pomysł.

Skręćmy w uliczkę przed restauracją... zobaczymy, czy za nami pójda.

- Zwariowałaś? - prychnęła matka.

Lecz Klaudyna pociągnęła ją za sobą. Gdy tylko skręciły w alejkę prowadzącą nad brzeg jeziora, teraz skrytego w absolutnej ciemności, przyśpieszyły kroku i po przebiegnięciu piętnastu metrów znalazły schronienie za jakimś obskurnym domem, w którym dudniący telewizor wprawiał ściany w solidne drgania. Przyłgnęły do muru wychodzącego na niewidoczne jezioro i czekały.

- A jak tu przyjdą? - szepnęła matka.
- I co nam zrobią? Przecież to nie zbrojeńcy.

Po chwili Klaudyna odważyła się opuścić kryjówkę i ostrożnie wyjrzała zza muru w stronę ulicy. W mdłym świetle latarni widziała fragment alei, chodnik, za którym rósł żywopłot, a za nim wznosiła się na wysokość dwóch pięter kamienica. Barbera i chłopaka już tam nie było.

- I co? - denerwowała się matka.
- Nie ma ich.

Przebiegły zatem przez uliczkę i ruszyły wolno wzdłuż ogrodzenia w kierunku głównej ulicy.

- Co ja z tobą mam - żaliła się Karska. - Naoglądałaś się filmów...

Klaudyna zauważyła ich pierwsza. Ci dwaj najwyraźniej zrezygnowali z poszukiwań. Barber wyjmował właśnie komórkę i do kogoś dzwonił, chłopak zaś stał obok niego, trzymając w ręku lornetkę.

- Co robimy? - zapytała Barbara.

- Może pójdziemy za nimi? Zobaczymy, gdzie się zatrzymali.

Po pięciu minutach odprowadzały Barbera i Omnibusa wzrokiem, gdy obaj znikali w bramie kamienicy sąsiadującej z restauracją „Pod Złotym Kurem”. Nie wiedziały tylko, że ich rozmowa była cały czas nagrywana.

70

Przed snem otworzył jeszcze laptop. Interesowały go te dwa nazwiska. Dlaczego akurat ci konkretni autorzy starych druków zostali przez Karskiego wyróżnieni? Krótkie encyklopedyczne notki o nich brzmiały jednak sucho i lakonicznie.

Antonio de Guevara (1481-1545) był hiszpańskim kronikarzem i moralistą, kaznodzieją i historiografem. Młodość spędził na dworze w Kastylii, a w 1528 roku wstąpił do zakonu franciszkanów. Towarzyszył Karolowi V w jego podróżach do Włoch i innych krajów Europy. W 1529 roku wydał dydaktyczną publikację o życiu Marka Aureliusza zatytułowaną *Reloj de principes*, opartą rzekomo na „manuskrypcie z Florencji”. Inna praca to zbiór zapomnianych esejów pod tytułem *Decada*

de los Cesares (zwane *Złotymi Listami*). Podobno wywarł duży wpływ na hiszpańską prozę XVI wieku (*Libro de los inuentores del arte de marear*).

A drugi?

Maciej Głoskowski (1590-1658) to komornik kaliski, poeta, matematyk (zajmujący się problemami z zakresu matematyki stosowanej), kartograf, geodeta i teoretyk strategii wojskowej. Opracował także podręcznik geometrii i mapę Wielkopolski. Był bardzo ceniony przez współczesnych, utrzymywał korespondencję z wybitnym gdańskim astronomem Heweliuszem. Głoskowski bowiem przeprowadzał obserwacje astronomiczne, między innymi w Kaliszu. Jako gorliwy współwyznawca braci czeskich, reprezentował ich na kilku zjazdach wyznaniowych.

Omnibus poczuł znużenie. Encyklopedyczne notki niczego nie wyjaśniły. Może jednak jutro na zamku zbliżą się do rozwiązania zagadki bibliofila?

5

Ranek nad jeziorem był chłodny. I tylko ptasie preludia wyśpiewywane przy brzegu rozgrzewały dusze nielicznych świadków narodzin nowego dnia. Spokojne wody zbiornika

71

wyścielały senne mgły, zamazując obraz masywnych drzew porastających przeciwległy, dziki brzeg. Zdawało się, że świat nie oddycha, jakby namalowała go ręka niewidzialnego pejzażysty. Dochodziła szósta.

Upłynie zatem trochę czasu, zanim schowane głęboko za bnińskimi lasami słońce uniesie się nad jeziorem i zamkiem, dając ludziom radość z upragnionego wakacyjnego ciepła.

Wreszcie jakiś ruch. Samotny wędkarz w drewnianej łupinie opuścił swoją kryjówkę w trzcinach zarastających odległy brzeg. Po chwili krętą drogą wciskającą się między zamkowy park i jezioro przejechał samochód.

Gdy lepiej się wpatrzył, dostrzegł kolejną łódkę na drugim brzegu. Zgasił papierosa i zerknął nerwowo na zegarek. Odwrócił się plecami do spokojnej tafli wody i powiódł wzrokiem po parkingu.

Samochód przyjechał punktualnie na duży plac za zamkiem, przy szosie na Bnin. Za dnia musiał tutaj panować niezgorszy ruch, przy rozległym parkingu naliczył kilka budek z żywnością, bliżej brzegu zauważył wypożyczalnię kajaków i łódek. Biały citroen stanął za pustymi autokarami i dopiero wtedy Pierre wsiadł do niego.

Rozmawiał z kierowcą niecały kwadrans. A kiedy skończyli naradę, Pierre Clarmount wysiadł z płytą CD w dłoni i uniósł drugą rękę w geście pozdrowienia. Citroen zawrócił między samochodami i odjechał w kierunku Bnina.

Ubrany w białe spodnie i granatowy, lekki pulower żabojad zapalił kolejnego papierosa. Nie był zadowolony - hasło Karskiego nie dawało się złamać, a to wpędzało przystojnego cudzoziemca w rozdrażnienie. Stał i obserwował w zamyśleniu jezioro. Nie dopalił do końca. Rzucił niedopałek na ziemię i ruszył spacerkiem w drogę powrotną.

Szedł poboczem krętej szosy i już z daleka widział wyrastającą ponad ścianą parkowych drzew bryłę zamku, oświetlaną pierwszymi delikatnymi

promieniami słońca, jakby budzącą się do życia. Ładne miejsce.

Nietypowe.

Minął zamek, zrównał się z zamkowym mostem i podziwiał pływające po fosie dwa białe jak śnieg łabędzie. Ptaszyska nie

72

śpieszyły się, płynęły dostojnie, jakby celebrując swoją wolność w jakiś szczególny, niedostępny dla ludzi sposób.

Zatrzymał się tutaj i wyciągnął komórkę. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Nantes, lecz wskaźnik telefonu alarmował, że wyczerpała się bateria. Zrezygnował z obudzenia Bibi. Minął zamek i na wysokości rozległego dziedzińca wszedł w pierwszą otwartą furtkę po lewej stronie. Tuż przy jeziorze stał masywny, otynkowany na biało, dwupiętrowy dom. Nazywano go Oficyną nad Jeziorem, gdyż za budynkiem rozciągała się jeziorna rynna. Tu właśnie wynajęli z Joanną pokój.

Delikatnie otworzył drzwi i ostrożnie wszedł na drugie piętro do pokoju. Drewniane schody trzeszczały przy każdym kroku, potem okropnie skrzypiała podłoga w holu na piętrze, gdy szedł do sypialni.

Joanna jeszcze spała. Była piękna także kiedy spała. Takie kobiety zawsze były piękne, a Pierre był wrażliwy na kobiecą urodę. Joanna mu się podobała, chociaż nie znaczyło to, iż nie oglądał się za innymi dziewczynami. We Francji zostawił cudowną kobietę, dla której mógłby zrobić wszystko, łącznie z najgorszym głupstwem świata.

Joanna przewróciła się na drugi bok, a Pierre bacznie ją obserwował. „Dla niej też mógłbym zrobić niejedno głupstwo” - pomyślał. Ostrożnie podszedł do szafy i otworzył drzwi. W tym domu wszystko skrzypiało, szafa także. Uklęknął i delikatnie rozsunął suwak w walizce Joanny. Wyjął

z przegródki opakowanie na płytę CD i umieścił w nim srebrzysty krążek, który ze sobą przyniósł. Zamknął szafę.

Potem podszedł cicho do okna wychodzącego na jezioro. Woda była jaśniejsza niż pół godziny temu; zeszła też mgła. Nie chciało mu się spać. Wstał dzisiaj wcześniej, bo miał umówione spotkanie na parkingu, odebrał płytę i dowiedział się, że hasła nie można złamać za pomocą prostych metod. Na szczęście płyta została skopiowana i wkrótce wezmą się za nią specjaliści. Zachciało mu się palić, lecz rozsądek nakazał wstrzeźliwość.

- Wychodziłeś? - wyrwał go z zamyślenia głos Joanny. Ziewnęła. - Mon Dieu! Jest tak wcześnie...

73

Drgnął i szybko się odwrócił. Leżała w łóżku oparta na łokciu, blada i półprzytomna. Zaspanymi, błękitnymi oczami patrzyła na niego w cudownie niewinny sposób.

- Przeszedłem się - odpowiedział miękkiem głosem i posłał jej uroczy uśmiech. - Nie mogłem spać.

*

Barber i Omnibus znaleźli się pod zamkiem kwadrans przed dziewiątą. Chcieli być koniecznie pierwszymi gośćmi w Bibliotece, gdyż słusznie założyli, że prędzej czy później zjawią się tutaj Karska z córką. Dzięki urządzeniu podsłuchowemu wiedzieli, że Barbara to straszny śpioch i córka nie mogła jej dobu-dzić. A kiedy jej się to udało, musiały się jeszcze odbyć długie czynności związane z toaletą i kosmetyką. Dzięki temu codziennemu zabiegowi poprawiania dzieła Pana Boga, Karskie nie

zjawily się na zamku wraz z nimi. Inna sprawa, że obydwie były pewne, iż tylko one wpadły na trop sygnatur, wierzyły, że Barber blefował, mówiąc, że odgadł właściwe hasło.

Detektyw nie był typem myśliciela. Nie lubił nawet rozwiązywać krzyżówek, a co dopiero mówić o historycznych zagadkach. Wykonywany zawód nauczył go prostoty działania. Kontrolował zatem Barbarę i Klaudynę za pomocą elektronicznego cacka, oprócz tego wstawał bardzo wcześnie, co było nie tyle spowodowane jego upodobaniami, ile wynikało właśnie z nawyku profesjonalisty. Z samego rana zdążył już zatelefonować do zaspanego Patryka i umówić się z nim. Syn Karskiego obiecał przyjechać do Kórnika w samo południe. Autobusem. Mieli zatem kilka godzin na zbadanie trzech tytułów w Bibliotece.

Nie kupili biletu uprawniającego do zwiedzania zamku. Postanowili, że zrobią to później. Od razu skierowali się do Biblioteki. Z sieni, poprzez portal zwieńczony herbami rodowymi, przeszli do korytarza - będącego w istocie reprezentacyjnym holem z dwubiegową klatką schodową. Niezbyt szerokimi schodami dostali się na pierwsze piętro. Przejęci swoją misją nie zwracali uwagi na przepiękne, stylowe wnętrza zamku, wypastowane posadzki, białe ściany, wzniosłe kolumny i bogato zdo-

74

bione stropy. Nawet wiszące na ścianach wielkie obrazy nie zrobiły na nich wrażenia. Przyjdzie czas na ich podziwianie.

Zbiory Biblioteki Kórnickiej udostępniano w czytelnicy na piętrze; jedynie mieszkańcy Kórnika i okolic mogli wypożyczać niektóre książki do domów. Najczęściej jednak z bogatego księgozbioru korzystali naukowcy, studenci i dziennikarze, czasem także uczniowie szkół średnich.

Wystarczyło tylko okazać dowód tożsamości.

Zgłosili się u dyżurującego pracownika biblioteki, któremu Barber pokazał licencję detektywa. Omnibus został przedstawiony jako wnuk, w związku z czym wręczono im tylko jedną kartę biblioteczną. Nie mieli ze sobą kurtek ani teczek, z wyjątkiem laptopa, którego nie musieli zostawić w szatni. Po wejściu do czytelni wpisali się jeszcze do księgi odwiedzin i pozostawili u dyżurnego bibliotekarza swoją kartę.

W przestronnym pomieszczeniu, którego północne okno wychodziło na Kórnik, mogli korzystać ze zbioru podręcznego, z dzieł znajdujących się w magazynie, a także sprowadzonych z innych bibliotek poprzez Wypożyczalnię Międzybiblioteczną.

Barber przeszedł od razu do rzeczy i podał bibliotekarzowi trzy interesujące ich sygnatury: „236251 Def.”, „13113”, „BK 02629”.

Nie było innych czytelników, więc bibliotekarz mógł poświęcić im trochę czasu. Posłał kogoś po egzemplarze i czas oczekiwania przeznaczył na niezbędne wyjaśnienia.

- Po tytułach znajduje się miejsce wydania, nazwa wydawcy bądź drukarza - opowiadał nabożnym tonem. - Wreszcie mamy rok, potem liczbę stron i kart. Jeżeli występuje nawias kwadratowy, to znaczy, że strony lub karty są nieliczbowane. Potem podaje się format, na przykład 4°. W przypadku rękopisu „17 w.” oznacza, że pochodzi on z XVII wieku.

I tak dalej i tak dalej...

Po kwadransie nasi detektywi pochylali się już nad trzema wybranymi przez Karskiego pozycjami, a temperatura ich oczekiwań wzrosła do tego stopnia, że nawet gruboskórny Barber poczuł coś w rodzaju niepokoju zmieszanego z podekscytowaniem. Niektórzy nazywają to odczuciem

metafizycznym.

75

Pierwsze dzieło de Guevary *Horologium principum, sive de vita M[arci] Aurelii imperatoris] libri III...* oprawione było w brązową skórę, na jego grzbiecie widniały złocenia oraz skórzana naklejka z wytłoczonym skróconym tytułem.

- Znakiem szczególnym tego druku - mówił bibliotekarz - jest tytuł naklejony na wyklejkę, wycięty z karty tytułowej, której, niestety brakuje.
- To egzemplarz uszkodzony - dodał Omnibus - i dlatego w sygnaturze występuje zapis „Def.”
- Tak, młodzieńcze - pochwalił go pracownik biblioteki. - Inna osobliwość druku to długie zapiski proveniencyjne, które nie zostały dotąd odczytane. Brak informacji o tym, że książkę zakupił Tytus Działyński. Jej akcesja¹³ to tak zwany stary zasób.
- Co to znaczy?
 - A to, że książka była w Bibliotece przed 1945 rokiem.

Książka Głoskowskiego *Zegarek abopamiątka [...] męki y śmierci Zbawiciela...* nie miała oprawy; w środku znaleźli drzeworyty: frontispis¹⁴, herb Wieniawy Bogusława Leszczyńskiego, winiety¹⁵ i sygnety drukarskie¹⁶. Trzecia pozycja - rękopis pod tytułem *Wskazówki dla myśliwych* - oprawiona była w tekturę obciążoną barwionym na zielono pergaminem.

Przeglądali zawartość tych pozycji, lecz z każdą przerzucaną kartką tracili wiarę w rozszyfrowanie zagadki. Nie była to prosta sprawa. Nie tylko nieznamość łaciny stanowiła podstawową przeszkodę w

badaniach, ale także staropolski język nie należał do łatwych. Siedzieli przy stoliku z zapaloną lampką i gapili się na pożółkłe, stare stronicie w milczeniu i z coraz większym rozczarowaniem. Zaczęli szukać jakichś zapisków

¹³ Przyjmowanie i rejestrowanie książek i czasopism wpływających do biblioteki.

¹⁴ Frontispis - ozdobna ilustrowana karta tytułowa dzieła.

¹⁵ Winieta - ozdoba graficzna umieszczana na karcie tytułowej, na początku lub końcu określonego fragmentu tekstu bądź na marginesie.

¹⁶ Sygnet drukarski - znak rysunkowy lub literowy używany jako godło drukarni lub firmy wydawniczej.

76

na marginesach stron, czegoś szczególnego, intrygującego. Niestety, nie znaleźli nic takiego, a jak wyjaśnił im później bibliotekarz, Tytus Działyński zbierał egzemplarze nieuszkodzone, czyste, a jeśli zdarzały się druki uszkodzone, to z pewnością bibliofil dbał o to, żeby po nich nie pisano i nie rysowano. Tytus Działyński miał fioła na punkcie czystości i porządku.

- Czy jest coś, co łączy te druki i rękopis? - nie wytrzymał wreszcie Barber.
- Nie rozumiem - bibliotekarz zmarszczył czoło. - Łączy je to, że są w zbiorach Działyńskiego.

- Nie o to mi chodzi - westchnął niepocieszony detektyw.

Omnibus pośpieszył mu na pomoc.

- Na oko widać, że ich treść dotyczy czegoś zupełnie innego
- zwrócił się do bibliotekarza. - To znaczy, tak mi się tylko wydaje. Ale może mają inne wspólne cechy. Jak to, że wszystkie trzy tytuły pochodzą z XVII wieku.

Bibliotekarz się zastanawiał.

- Trudno powiedzieć. Z pewnością nie zostały wydane przez tę samą oficynę. Zresztą mamy tu dwa druki i jeden rękopis. Nie wiem, o co panom chodzi, lecz moim zdaniem, są to trzy przypadkowo wybrane pozycje. Traktują bowiem o czymś zupełnie różnym. Żywot Marka Aureliusza niewiele ma wspólnego z poradami dla myśliwych albo „modlitwami” braci polskich.

Ta odpowiedź ich nie zadowoliła, więc dalej przerzucali karty druków, potem rękopisu. Barber poczuł okropne znużenie i zaczął się wiercić na twardym krześle, Omnibus zaś robił dobrą minę do złej gry, bo wiedział, że detektyw liczy na niego. Wcześniej zakładał, nader optymistycznie, że teraz już łatwo pójdzie, lecz, niestety, rozwiązanie zagadki wciąż im się wymykało. Nie poddawał się, ale zarazem nie wiedział, co robić? Przypomniał sobie jedną z rad ojca o tym, iż „w życiu należy kierować się zarówno intuicją, jak i rozumem, przede wszystkim dostrzegać związki między faktami”. Łatwo powiedzieć.

Barber postanowił ugryźć problem z innej strony.

- Mógłby pan sprawdzić - zwrócił się do bibliotekarza - czy pan Emanuel Karski korzystał z tych druków i rękopisu?

- Po co to panu? - zdziwił się tamten.

77

•Prowadzę coś w rodzaju śledztwa. Pan Karski interesował się zbiorem

Działyńskiego...

- Tak, był tu częstym gościem. Ale o to już pan pytał kilka dni temu.
- Owszem, lecz teraz interesują mnie te trzy pozycje.
- W porządku - pokiwał głową bibliotekarz. - To nie będzie takie trudne, gdyż nie pozbyliśmy się jeszcze karty pana Karskiego.

Bibliotekarz chciał już odejść, lecz Barber zatrzymał go jeszcze.

- Aha - uniósł wyżej rękę. - Niech pan sprawdzi, z łaski swojej, kto jeszcze interesował się tymi pozycjami.

Bibliotekarz kiwnął głową i wyszedł. Wkrótce dowiedzieli się, że Karski ani razu po nie nie sięgnął. I to było bardzo dziwne.

- Co o tym sądzisz, Omnibus?
- Nie wiem. Z jakiegoś powodu te tytuły są ważne. Ale nie wiem jeszcze z jakiego.

Po chwili bibliotekarz przekazał im informację, że oprócz nich nikt inny nie interesował się tymi pozycjami. Ostatnim czytelnikiem, który przeglądał dwa lata temu pierwszy z druków był docent z Poznania.

Postanowili jeszcze raz przerzucić strona po stronie. Poprosili nawet bibliotekarza o porządną lupę. Kiedy tak ślęczeli pochyleni nad starodrukami, do czytelni weszły dwie osoby: Barbara Karska z córką.

Wzrok Barbary i Klaudyny spoczął na rękopisie i starych drukach leżących na blacie stolika, przy którym siedzieli Barber i Omnibus.

- Co za spotkanie - wyszeptała nieco zaskoczona.

Bibliotekarz podszedł do nowo przybyłych i przyjął od nich karty. Zdziwił się, gdy podały mu tytuły, które je interesują. Zmarszczył czoło i zaskoczony zerknął na Barbera. Ten nic nie powiedział. Trącił

lekko łokciem wpatzonego w Klaudynę chłopaka, wrywając go z zamyślenia.

78

- Miło panią widzieć - detektyw uklonił się Karskiej. -Przyjechała pani prosto z Poznania?

- Może i przyjechałam - syknęła i zmarszczyła gniewnie czoło.

Wiedziała dobrze, że detektyw się zgrywa. - Ale co to pana obchodzi? Dla kogo pan teraz pracuje? Przecież zwolniłam pana, a właściwie to pan sam się zwolnił.

- Teraz to ja pracuję dla pani brata - odpowiedział z satysfakcją.

- Dla Patryka?

Detektyw uśmiechnął się, czym jeszcze bardziej ją rozzłościł. „Jak ja żałuję, że wynajęłam tego starego capa - pomyślała - skoro mam pod ręką córkę. Ona też umie rozwiązywać szarady". Jej zdaniem Klaudyna jest nawet lepsza! Ten Bar-ber musiał być niezgorszym cwaniakiem. Siedzi sobie przy stole i przegląda druki, które my powinniśmy teraz oglądać. „Jakim cudem wpadł na trop sygnatur? - zastanawiała się. - I co tu robi ten smarkacz, którego spotkałam w willi ojca?"

Klaudyna podeszła bezceremonialnie do nich i przyjrzała się książkom. Wzięła do ręki oprawiony rękopis i smutno pokiwała głową, co można by odebrać jako uznanie dla sprytu detektywów. Omnibus patrzył na nią, na jej ładną twarz, inteligentne oczy. W pewnym sensie Klaudyna była podobna do Joanny, siostry Barbary.

- Wpadliście na to - powiedziała zamyślona. - Brawo.

- Ale nic jeszcze nie odgadliśmy - palnął chłopak. Barber natychmiast

dał mu solidnego kuksańca.

- Buzia na kłódkę, Omnibus - warknął.

- Omnibus? - Klaudyna zdziwiła się i zaraz uśmiechnęła, a w jej głosie słychać było nutkę ironii. - Ty jesteś Omnibus? Tak się nazywasz? Bardzo śmieszne.

- To pseudonim artystyczny - odpowiedział zawstydzony.

Wreszcie Karska nie wytrzymała - podeszła i oskarżycielskim gestem wskazała na chłopaka.

- Miał go pan wsadzić do ciupy - szeptała. - Oszukał mnie pan. Kto to jest? Dlaczego jest jeszcze na wolności?
- To mój współnik - odparł obojętnie Barber. - Ale co to panią obchodzi, skoro już nie pracuję dla pani?

79

- Ach, tak... w takim razie oskarżę pana o...

- O co? O włamanie do willi pani ojca? Zdaje się, że pani też tam była. Byliśmy tam razem. Nielegalnie. O zesz ty kartofel! Chce nas pani wsadzić do paki? Ha, w trójkę będzie różniej.

Zaniepokojony kłótnią bibliotekarz chrząknął i popatrzył na nich z pretensją. Uciszyli się, lecz emocje jeszcze w nich nie opadły.

- Te, Omnibus? - Barber wskazał głową leżące na stole stare druki i rękopis. - Znalazłeś coś?
- Nic, panie Juliuszu.
- No to zmykamy - wstał i pociągnął chłopaka za sobą.

Ustąpili miejsca Karskim. Klaudyna usiadła na krześle z cichym westchnięciem. Jej ładna buzia wyrażała głębokie rozczarowanie

przebiegiem wizyty na zamku. Niepokoił ją ten niski chłopak o brązowych, inteligentnych oczach. Nie znosiła bowiem konkurencji i wyczuwała groźnego przeciwnika. Jakimś cudem znalazł się tu przed nią i wyprzedził w wyścigu po hasło do spadku dziadka. „Jeśli ustąpił mi miejsca, to znaczy, że nie rozwiązał jeszcze całej zagadki albo w tych rozłożonych na stoliku drukach nie ma nic ważnego - myślała. - I co on sobie wyobraża? To rodzinna sprawa! Dlaczego ten przybłęda wtrąca się w nie swoje sprawy? Wspólnik Barbera? E, tam! Lipa. Nie wygląda na żadnego wspólnika. Mama widziała go w domu dziadka, nocował tam i Barber naprawdę był zaskoczony jego obecnością”.

- Te, Omnibus, chodź, zwiedzimy ten zameczek - zaproponował tymczasem detektyw.

*

W sieni zwróciły ich uwagę dwie dębowe i bogato rzeźbione szafy gdańskie z początku XVIII wieku. Wejściem po prawej stronie, zdobionym portalem w stylu mauretańskim, przeszli do pokoju Władysława Zamoyskiego - ostatniego właściciela zamku. Pomieszczenie miało piękną, ozdobną posadzkę¹⁷, ma-

¹⁷ Wykonaną z korzenia brzozy, mahoni i orzecha, której kompozycja naśladuje wzorzysty dywan.

80

honiowe biurko, na którym Zamoyski - słynący z umiłowania do ascezy - podobno sypiał, szafy gdańską¹⁸ i bretońską¹⁹, XIX--wieczny stojak na mapy i kilka obrazów, w tym portret Władysława²⁰. Idąc dalej zachodnim

skrzydłem natrafili na Pokój Generalowej. Wcześniej zamieszkiwała go Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka, znana lepiej jako Biała Dama. Mieszkała w nim także Celina Działyńska²¹, lecz ostatnią osobą, która tu rezydowała, była Jadwiga, matka „pana o hetmańskim obliczu”, czyli wspomnianego już Zamoyskiego²². Pomieszczenie urządzone zabytkowymi meblami²³ oraz wieloma pamiątkami rodzinnymi, wisiały tu także cenne obrazy: *Uchwalenie Konstytucji 3 Maja* Jeana Pierre'a Norblina i olejne szkice obrazów z historii Polski, pędzla Marcellego Bacciarellego.

Kolejne pomieszczenie zwróciło uwagę zwiedzających swoim reprezentacyjnym charakterem. To Salon - najpiękniejsza komnata na zamku, z kompletem mebli wykonanych przez miejscowych rzemieślników. Znaleźli w niej też marmurowy kominek, piękne drewniane portale w stylu północnego renesansu oraz złożone sztukaterie sufitu, dzięki którym salon zyskiwał ciepłą tonację. Stał tu również fortepian wiedeński firmy Brodmana, na którym grał ponoć Fryderyk Chopin²⁴, i harfa pedałowa.

Omnibus zatrzymał się przed oprawionym w złote ramy portretem Tytusa Działyńskiego²⁵, zawieszonym nad kominkiem. Obraz przedstawiał starszego mężczyznę, bystre spojrzenie uwiecznionego na płótnie arystokraty wskazywało na to,

¹⁸ Orzechowa, z końca XVII w.

¹⁹ Z rzeźbionymi postaciami 12 apostołów (z 1628 r.).

²⁰ Dzieło Jana Sokołowskiego.

²¹ Żona Tytusa Działyńskiego Celina z Zamoyskich (1804-1893)

²² Nazywano go także „Don Kichotem”, „dziwnym hrabią”, „zbawcą

Tatr", a nawet „wariatem z Kórnika".

²³ Między innymi hebanowy kabinet holenderski z XVII w., mebelki dzie
cięce, sekretarzyk angielski z XVIII w., barokowa szafa gdańska, łóżko,
ka
napa i fotele.

²⁴ Miało to miejsce w drezdeńskim mieszkaniu Klaudyny Potockiej,
sio
stry Tytusa.

²⁵ Pędzla Leona Kaplińskiego.

81



Portret Tytusa Działyńskiego

że zachował energię i przytomność umysłu do ostatnich dni życia.

- Oto sprawca całego zamieszania - odezwał się Omnibus, wpatrując się w portret „nachmurzonego wásacza”, jak zdążył już nazwać Tytusa.
- Jakiego zamieszania? - zapytał Barber.
- Gdyby nie było Tytusa Działyńskiego, nie mielibyśmy sprawy Emanuela Karskiego. Karski zdziwaczał, bo pragnął być podobny do Działyńskiego.
- Te, Omnibus - mruknął detektyw. - Co oni właściwie mają ze sobą wspólnego? No, ten Działyński i Karski? Ten cały Tytus był bibliofilem, prawda? Znaczą się, zbierał książki... a Karski, co? Gdzie jego księgozbiór?
- Może był bibliofilem teoretykiem? A może miał kilka cennych egzemplarzy, o których rodzina nie wie? Nie wiemy też, ile cennych książek należy posiadać, żeby stać się bibliofilem.
- Dobra, idziemy dalej - rzucił zniecierpliwiony Barber. - Jak patrzę na tego Tytusa, to ciarki mi po plecach chodzą.

Za nimi, dokładnie nad fortepianem wisiał inny portret -syna Tytusa, Jana, w stroju polskim z 1864 roku. Potomek Tytusa - choć pełen arystokratycznej dystynkcji - pozbawiony był groźnego, wręcz dyktatorskiego spojrzenia rodzica.

Zajrzeli jeszcze tylko na sekundę do Saloniku - niewielkiego pomieszczenia sąsiadującego z Salonem, które znajdowało się w narożnej wieży - i wrócili do barokowej sieni. Na wysokości Salonu miała ona podłogę pokrytą biało-czarnym marmurem, lecz kiedyś planowano tutaj położyć ceramikę, następnie pomalowano ją czarną farbą i stąd przyjęła się nazwa Czarnej Sali. Oprócz charakterystycznej podłogi uwagę zwiedzających zwracało także kryształowe sklepienie wsparte na czterech

ośmiobocznych filarach. Były tu także zabytkowe stoły, ławy i zydle oraz ciekawe portrety²⁶.

Idąc dalej w kierunku wschodnim, wchodzi się do reprezentacyjnej Sali Jadalnej, zwanej herbową. Jej drewniany kasetonowy strop mieści w 71 skrzynkach tarcze z herbami rycerstwa polskiego²⁷. Jak na jadalnię przystało, znajduje się tu długi stół z neobarokowymi wyplatanyimi krzesłami z połowy XIX wieku, po bokach zaś stoją szafy gdańska i holenderska oraz kolejny stół, prasa do bielizny i cztery gerydony²⁸ w kształ-

²⁶ Między innymi Mikołaja Kopernika, ks. Władysława Czartoryskiego (szwagra Jana Działyńskiego) i wojewody chełmińskiego Jana Działyńskiego-go (1590-1648).

²⁷ Wykonanie oparto na dziele XV-wiecznego kronikarza Jana Długosza, uznawanym za pierwszy polski herbarz.

²⁸ Podstawy do świeczników.

83

cie satyrów i murzynów. Po prawej stronie niszy wisi duży portret Teofili z Działyńskich Szołdrskiej-Potulickiej, namalowany około 1754 roku przez Francuza Antoniego Pesnego. Przedstawia młodą kobietę w białej peruce i krynolinie, pochyloną w dworskim ukłonie i trzymającą w lewej ręce wachlarz. Omnibus przystanął przed portretem i zerknął w folder.

- Według miejscowej tradycji Biała Dama tuż przed północą ożywa, schodzi z obrazu i udaje się do ogrodu. Tam czeka na nią jeździec na karym koniu. A potem para wędruje wspólnie po mrocznych alejkach parku, wizytuje dawne majątki Teofili i z pianem pierwszego kura

kobieta powraca na obraz.

- Nie lubię takich bajeczek, Omnibus - skrzywił się detektyw. - Mnie nie ruszają takie bzdury. Szkoda czasu. Czy to nam pomoże w odgadnięciu hasła?
- Chyba nie, chociaż... - Omnibus zajrzał do folderu. - Niech pan posłucha tego.

I podekscytowany zaczął czytać.

- „Nieopodal zamku kórnickiego znajdował się średniowieczny zameczek myśliwski, w podziemiach którego zostały podobno ukryte przez ostatnich jego właścicieli - rodzinę Górków - ogromne bogactwa. Skarby te przejęły we władanie złe duchy, nie pozwalając nikomu do nich dotrzeć. Znana ze swojej gospodarności i dbałości o okoliczną ludność, Teofila rozkazała rozebrać ruiny zameczku aż do fundamentów. Mieszkańcy Kórnicka z uzyskanej cegły mogli postawić w swoich domach murowane kominy, zabezpieczające domostwa przed pożarami. Złe moce zemściły się za to na Teofili, każąc ją błądzeniem po parku do czasu, gdy odkryte zostaną stare skarby Górków. Wówczas do piero straci władzę nad Teofilą moc diabelska. I będzie mogła spokojnie udać się w ostatnią podróż”.

Omnibus zerknął na detektywa z triumfalnym błyskiem w oku.

- No i co pan na to? Może Karski odnalazł skarb Górków?
- E tam - zrezygnowany Barber machnął ręką. - Bajdurze-nie. Jakby odnalazł, to ta cała Biała Dama musiałaby przestać straszyć po nocach, a nic nie wiadomo, żeby przestała.
- Faktycznie. W folderze nic o tym nie piszą.

- I jaki to ma związek z sygnaturami Karskiego?
 - Ma pan rację, związku nie widać. Ale to i tak ciekawa postać. Jak na swoje czasy była osobą nieprzeciętną i zasłużoną dla Kórnika oraz Bnina. Podobno robiła jakieś doświadczenia chemiczne. Co dalej? Przeżyła pierwszego męża...
 - Może go otruła?
 - Nie, aż taka zła nie była. Stefan Szoldrski zmarł śmiercią naturalną. Z kolei drugie małżeństwo miała nieudane.
 - A ja oba - mruknął pod nosem Barber.
 - Nie znalazła oparcia w rodzinie męża, więc musiała sama gospodarować majątkiem. Między innymi przebudowała zamek, nadając mu cechy barokowe, założyła też park francuski. W ogóle miała niezwykle pomysły na usprawnienie miejscowej gospodarki...
 - Margaret Thatcher ówczesnego Kórnika, co? - westchnął detektyw.
 - Thatcher? - zdziwił się Omnibus. - Ta angielska premier?
 - Ta sama, która walczyła ze związkami zawodowymi.
 - Za czasów Białej Damy nie było chyba związków zawodowych.
 - Może dlatego Teofila mogła zrobić tak wiele dla regionu.
- Pojawienie się na sali zwiedzających wyrwało detektywa z zadumy i przerwało Omnibusowi lekturę. Zerknęli w bok i ujrzeli kroczącą ku nim parę młodych ludzi - Joannę Karską i jej adoratora.

*

Zwiedzanie wyższej kondygnacji odłożyli na później. Zamilkli i zamienili się w słuch. Mieli bowiem doskonałą okazję podsłuchać, o czym

rozmawiają Joanna i żabojad, tym bardziej że mówili po polsku. Nowo przybyli nie wiedzieli, kim są Barber i Omnibus. Według zapewnień Marka nie mogli w nim rozpoznać osoby z poznańskiej restauracji, gdyż byli wtedy zbyt zajęci sobą. Na wszelki wypadek detektyw kazał mu się schować za swymi plecami.

Joanna ubrana w obcisłe dżinsy i biały t-shirt wyglądała

85

rewelacyjnie. Była bardzo piękna. Towarzyszący jej cudzoziemiec zdawał się to doceniać, gdyż co pewien czas zerkał na nią z zachwytem. Pasowali do siebie. Francuz nie ustępował jej wzrostem, a jego ciemna karnacja kontrastowała z jasną skórą eksmodelki.

Barber z przyjemnością zrezygnował z towarzystwa Białej Damy na obrazie i wołał patrzeć na młodszą Karską. Niby to od niechcienia, leniwym krokiem ruszyli za nonszalancko zachowującą się parą. Nonszalancko - w tym znaczeniu, że nie zwracali większej uwagi na zamkowe eksponaty, sprawiali wrażenie, że przyszli tutaj dla zaliczenia muzeum. W końcu żabojad przyszedł do muzeum z własnym skarbem.

- Nie wiem - westchnęła niepocieszona Karska - co my w tym Kórniku robimy, Pierre? Mówiłeś, że lada dzień rozpocznie się casting we Francji... że do tego czasu odgadniesz hasło. I co?
- To nie takie phoste - tłumaczył się cudzoziemiec, mówiąc z charakterystycznym akcentem.
- Zrezygnujmy z testamentu. Ojciec pewnie sobie z nas zakpił. Co ma wspólnego ten zamek z jego spadkiem? Rozumiesz coś z tego? Mon Dieu! I ten dziwny szyfr od mecenasa?

- Po co twój ojciec miałby sobie z was kpić? - powątpiewał adorator. - Na co tyle zamieszania z notariuszem, naghanie magnetofonowe, płyty CD... Nie, nie! To nie dowcip, Jeannette. Już ten cały Czapliński wiedziałby, że z waszym ojcem jest coś nie tak. Stahy naphawdę coś ukhył i chce naghodzić zwycięzcę. Może i był dziwakiem, ale z pewnością nie zwahiował.
 - Znasz się na ludziach, Pierre - uśmiechnęła się ironicznie.
 - Tak, znam się na ludziach - przyznał poważnie. - Jako asystent Gerarda Annoux muszę znać się na ludziach.
 - No dobra, a co z tym castingiem? Dzwoniłeś do przyjaciół?
 - Gehahd da mi znać. Nie mahtw się. Przygotowania przeciągają się z winy phoducenta, ale tak jest zawsze na początku każdego filmu. Spokojnie, Jeannette. Dostaniesz tę rholę.
 - Codziennie to powtarzasz.
 - Phawda nie boli.
- Joanna odetchnęła z wyraźną ulgą i z większą ochotą zaczę-

86

ła podziwiać eksponaty.-Znajdowali się cały czas w Sali Jadalnej. Uwagę kobiety zwróciły gerydony.

- Zobacz, jakie to ładne i stylowe - rozmarzyła się. - Mon Dieu! Przydałyby się takie do naszego domu.
- Jakiego? Przecież sprzedajecie willę i dzielicie się pieniędzmi.
- Dołożymy i kupimy nowy dom. Mam też nadzieję, że wynegocjujesz godziwe honorarium za film.

Odwróciła się od okna i zerknęła na stojącą dalej intarsjowaną hebanem i palisandrem szafę holenderską.

- I ta szafa też mi się podoba - dodała niewinnie.

Joanna i Pierre zajrzeli na chwilę do buduaru - małego pokoiku mieszczącego się w wieży dobudowanej w XIX wieku do południowej fasady zamku. W tym dawnym saloniku, później pokoju gościnnym, Joannę zainteresowały kolejne cenne meble: XVII-wieczne komoda i biurko, na których stały neoro-kokowa waza i zegar z Miśni, a także złożony, barokowy stół i białe klasycystyczne fotele. Obrazy jej nie interesowały. Po przejściu do pokoju Marii Zamoyskiej²⁹ sytuacja się powtórzyła i Joanna wyraziła podziw wyłącznie dla mebli, szczególną uwagę poświęcając dwóm gdańskim sekretom z szafiastymi nastawami z drugiej połowy XVIII wieku i stołowi holenderskiemu. Cóż, w pewnym sensie Joanna czuła się jak w eleganckim salonie meblowym z antykami.

Nasi detektywi podążali ostrożnie za parą kochanków. W ośmiobocznym pomieszczeniu w północnej baszcie, znajdował się zakątek myśliwski i tam Pierre znalazł coś dla siebie.

- Lubisz polowania? - zdziwiła się Joanna.

Pytanie nie było pozbawione sensu, gdyż w nadprożach drzwi umieszczono rzeźbione głowy jeleni z autentycznymi porożami, na ścianach zaś wisiały trofea myśliwskie - poroża jeleni, łosi i danieli.

- Nie, nie jestem myśliwym - odparł Pierre. - Ale intehe-

²⁹ Pierwotnie pełniącego funkcję paradnego pokoju gościnnego. Potem była tu sypialnia Izabelli, żony Jana Działyńskiego, a następnie Marii Zamoyskiej, młodszej siostry Władysława Zamoyskiego.

suje mnie ta ekspozycja kolekcji etnograficznej. Byłem kiedyś w Austhalii... mam sentyment.

- Kręciliście film?
- Dokumentalny. Ta blizna pod łopatką, któhą widziałaś...
- Tak, wiem.
- ... to pamiątka po rhafie kohałowej. Rzeczywiście, urządzono w tej części zamku ekspozycję

zbiorów z obszaru Australii, Malezji, a nawet Nowej Kaledonii i innych wysp Pacyfiku, które Władysław Zamoyski zgromadził w latach 1879-1881. Były tutaj bumerangi, maczugi i siekiery, muszle, minerały, a nawet strusie jaja. Nie brakowało też przeróżnych masek i rekwizytów związanych z kultem malanggon³⁰ oraz czaszek.

Francuz oglądał niemal z nabożeństwem owe egzotyczne rekwizyty, szczególną uwagę poświęcił minerałom, jednak szybko go to znudziło.

Para bez słowa wyszła z pomieszczenia i nagle zatrzymała się przy wyjściu na korytarz. Oto bowiem na schodach z bogato rzeźbioną balustradą w stylu renesansowym spotkali starszą siostrę Joanny z córką.

Barbara z Klaudyną wracały właśnie z piętra. A to oznaczało, że wizyta w bibliotece dobiegła końca. Barber znał się na ludziach i po ich minach wiedział, że były srodze zawiedzione.

„Nic nie znalazły” - pomyślał z satysfakcją.

Spotkanie u podnóża schodów zaskoczyło wszystkich. Do kompletu brakowało jedynie Patryka, ale i on miał niebawem zjawić się w Kórniku. Wyglądało na to, że cała rodzina Karskich wzięła się za rozwiązywanie

zagadki i deptała sobie po piętach. „Walka wkroczyła w ostrzejszą fazę” - śmiał się w duchu Barber.

Siostry nasrożyły się na swój widok. Barbara zmarszczyła czoło, Joanna zbladła. Natomiast wzrok Klaudyny powędro-

³⁰ Kult zmarłych w Nowej Irlandii.

88

wał w stronę Omnibusa, który wraz z detektywem chował się obok wejścia do pomieszczenia w baszcie.

- Co za spotkanie - wyrwało się Barbarze.
- Dzień dohny pani - uklonił się grzecznie Pierre.
- No proszę, moja siostra zabawia się w detektywa - szydziła kobieta. - Myślałam, że pojechałaś na ten cały casting. Nie mów, że wpadłaś na jakiś trop!
- A ty, siostrzyczko?
- Och, ja to co innego. Rozszyfrowaliśmy z Klaudyną te tajemnicze litery i liczby. - Barbara popatrzyła na siostrę z wyższością.
- E tam, blefujesz - machnęła ręką Joanna.
- Nie blefuję, właśnie wracamy z biblioteki...
- Mamo! - skarciła ją córka. - Nie zdradzaj naszych tajemnic.
- Jakich tajemnic? - fuknęła Barbara. - Przecież tak naprawdę nic jeszcze nie odgadliśmy.

W tej samej chwili połapała się, że za dużo powiedziała i zmieniła taktykę.

- Och, to beznadziejna zagadka - szczebiotała. - Zresztą

węszy tu ten cały detektyw i też nic nie odkrył.

Barbara urwała w pół zdania, dostrzegła bowiem czających się w Zakątku Myśliwskim detektywa i Omnibusa.

- O, jest pan! - zmieszała się. - O wilku mowa.

Joanna i Pierre odwrócili się z zaciekawieni nagłą reakcją Barbary. Ujrzeni starszego jegomościa z niewysokim chłopakiem. Nie znali ich, lecz ze słów Barbary wynikało, że był to wspomniany wcześniej detektyw.

- Dzień dobry państwu - bąknął speszony Barber i uklonił się.
- A pan wciąż się łudzi, że odgadnie hasło? - ironizowała Barbara. - Czy może nas pan podsłuchuje?

Matka z córką zeszły ze schodów na dół i dołączyły do Joanny, Barber z Omnibusem także opuścili pomieszczenie w baszcie.

- Kim jesteście? - zapytała Joanna.
- Jestem prywatnym detektywem - przedstawił się Barber. - Pani siostra wynajęła mnie, abym odszukał przyjaciółkę pana Karskiego. Lecz już nie pracuję dla niej.

89

- Niech pan powie, kto jest teraz pańskim klientem? - poprosiła go cynicznie Barbara.
- Nie jest to żadną tajemnicą, proszę pani. Otóż reprezentuję Patryka Karskiego.
- Ach, tak - kiwnęła głową Joanna i przyjrzała się Omnibusowi. - A ty kim jesteś? Asystentem detektywa?

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. Wersja, którą mógł ich uraczyć,

była zbyt szokująca, dlatego długo się zastanawiał nad najlepszym wyjaśnieniem.

Wyręczył go detektyw.

- To mój wnuk - oświadczył krótko.
- A jak się nazywa?

- Omnibus Bonaparte - palnął Barber. - Jak?!
- Tak go nazywają w szkole.

- Nie umiesz mówić? - Klaudyna zmierzyła chłopaka miazdzącym wzrokiem. - A może się wstydzisz?
- Na imię mam Marek - powiedział wreszcie.
- Marek Omnibus Bonaparte - ironiczny uśmiech zakwitł na ustach dziewczyny. - Brzmi dziwnie!
- Ma pan niesamowitego wnuka - dodała Barbara. - Tak więc, działacie razem. No, ładnie. Oszukał mnie pan wtedy nad jeziorem, prawda?
- A co, byłeś w willi ojca? - zdziwiła się Joanna. - Przecież dom należy do gminy. Ty się tam włamałaś, siostrzyczko!
- A guzik! Drzwi na taras były otwarte. Ktoś wszedł przed nami i rozbił szybę.

Barbara Karska zaszczyliła Omnibusa spojrzeniem pełnym pretensji.

Po chwili wszyscy zgromadzeni przy schodach patrzyli z zainteresowaniem na chłopaka.

- Ma pani rację - potaknął Barber. - Byliśmy tam i ktoś rzeczywiście stłukł szybę w drzwiach tarasowych. Omnibus wszedł do willi przed nami, to też prawda. Tak się jednak składa, że ja wiem, kto był przed

nim.

- To pan! - oskarżycielski palec Barbary wystrzelił w kierunku detektywa. - Sam pan powiedział, że poprzedniego wieczora tam polazł.

90

- Owszem, zgoda. Ale był ktoś jeszcze, ktoś, kto nie potrafi otwierać zamków. Ja potrafię. Moja profesja mnie tego nauczyła.
- Nie jest pan chyba włamywaczem? - zaśmiała się nerwowo Joanna.
- Nie, ale muszę znać sztuczki moich przeciwników. Wszedłem do willi i wyszedłem, zamknąwszy dokładnie drzwi wejściowe. Potem zjawił się tam Omnibus.
- Niby po co? - zapytała Klaudyna. - Przecież działacie razem.
- Polazł tam w charakterze obserwatora - skłamał Barber. - Wysłałem go jako szpicla, założyłem bowiem, że ktoś, wcześniej czy później, zjawi się w willi. I tak też się stało.
- Kto to był? - zapytała Barbara.
 - Te, Omnibus - detektyw szturchnął chłopaka. - Powiedz państwu, kogo widziałeś.

Omnibus powoli skierował wzrok na milczącego do tej pory cudzoziemca.

- Czemu mi się przyglądasz? - zdenerwował się Pierre.
- To pana tam widziałem - odpowiedział spokojnie Omnibus. - Ukryłem się za krzakami w ogrodzie. Widziałem wszystko. Rozbił pan szybę i wszedł przez taras.

Joanna z wrażenia wstrzymała oddech. Nie padło nawet to jej śmieszne

„Mon Dieu!” Wydawało się, że pobladła jeszcze bardziej. Była bielsza od ściany w zamkowym korytarzu. Instynktownie odsunęła się od przyjaciela.

- Pierre! - zwróciła się do niego. - Czy to prawda, co mówi ten chłopak?

- Chciałem ci pomóc, Jeannette - wyjaśnił speszony. - Przecież za wszelką cenę phagniesz odgadnąć hasło.

- Ale włamanie?!

- Szukałem jakiegoś thopu - tłumaczył. - Ci panowie też tam byli. Nawet pani Bahbaha odwiedziła willę.

Barbara nie skomentowała tej uwagi, jedynie ironicznie wykrzywiła usta.

- Nie prosiłam cię o to. Obiecywałeś odgadnąć hasło, używając do tego głowy, a ty zabawiasz się we włamywacza - upierała się modelka.

91

- I co z tego, że tam byłem? - cudzoziemiec posłał jej błądy uśmiech i spojrzał na chłopaka. - Zeznasz na policji, że włamałem się do willi?

Omnibus wzruszył ramionami. Cóż, wizyta na policji nie była mu na rękę.

- Ja tylko stwierdziłem, że widziałem pana zakradającego się do domu bibliofila nad jeziorem - odezwał się po chwili namysłu chłopak. -

Dlaczego mam iść na policję? W końcu gra dotyczy skarbu pana Karskiego, willa stoi pusta i nic dziwnego, że większość z nas tam łązi.

- Ma rhację - poparł go Pierre. - Tylko że w willi nic nie ma. Pan Kahski

wszystko wyniósł, część mniej cennych książek przekazał miejscowym szkołom i ośhodkowi kultury.

- Zostaje zatem rozwiązać zagadkę drogą intelektu - stwierdziła Joanna i popatrzyła z nadzieją na ukochanego.
- Prędszej gruszki wyrosną na wierzbie, niż odnajdziesz hasło! - obruszyła się Barbara.
- Zobaczymy, siostrzyczko!
 - Ano zobaczymy! Przecież ty nawet nie wiesz, jak zabrać się za te sygnatury od Czaplińskiego.
- A co, ty wiesz?
 - Ciekawska jesteś, prawda? - uśmiechnęła się z wyższością Barbara.
 - Zaraz - zaskoczona Joanna rozdziawiła usta. - Powiedziałaś „sygnatury”? To są sygnatury! Te trzy wiersze złożone z cyferek i liter?
- Mamo, znowu -jęknęła zrozpaczona Klaudyna i ostentacyjnie opuściła towarzystwo, kierując się do sieni. - Mam tego wszystkiego dość.

Klaudyna szła mostkiem ku schodom opadającym na niżej położony dziedziniec i w pierwszej chwili nie zauważyła człowieka czekającego w cieniu murka łączącego się ze schodami. Z zamku wyszli też Barbara i detektyw z Omnibusem, Joanna z Pierre'em poszli zaś do czytelni na piętrze sprawdzić sygnatury, o których istnieniu dowiedzieli się od rywali.



Zamek w Kórniku

Pomimo że dzieliła ich różnica czterech lat, Patryk oficjalnie był jej wujkiem. Oczywiście byli na „ty”, lecz nie przepadali za sobą. W przypadku Karskich było to zachowanie normalne, ale nie było też między nimi większych spieć. Pacyfistyczna i nieco romantyczna natura Patryka nijak nie pasowała do ognistego temperamentu dziewczyny. Tolerowali się jednak.

Klaudyna stanęła przed Patrykiem.

- Myślałam, że gardzisz pieniędzmi - stwierdziła z wyrzutem.
- Nie rozumiem - udał zdziwionego.
- Wyszedłeś od mecenasa Czaplińskiego z hukiem. Podobno zrzekasz się spadku. Co w takim razie tutaj robisz?
- No tak, właściwie pieniądze mnie nie interesują - wymamrotał hamując zażenowanie. - Ale skoro pan Barber za-

proponował mi swoje usługi, czemu miałbym odmówić? Jeśli odgadnie hasło, to zostanę spadkobiercą i przeznaczę pieniądze na jakiś szlachetny cel. Dlaczego miałbym odmawiać?

- Ty też? - westchnęła Klaudyna. - Wszyscy uważają się za detektywów. Nawet Joanna myśli, że jest Sherlockiem Holmesem.
- Daj mi dokończyć - poprosił Patryk. - Nie uważam się za detektywa i nie zależy mi na spadku. Traktuję to jak przygodę.
- Mnie nie nabierzesz - drwiła Barbara, schodząc po schodach. - Słyszałam, co powiedziałaś. Akurat chciałoby ci się ruszyć tyłek i przyjeżdżać tu tylko dla zwykłej zabawy.
- Nie chcesz, to nie wierz - wzruszył ramionami Patryk.
- Wcześniej pan przyjechał - popatrzył na zegarek Barber.
- Czy mógłbym z panem porozmawiać na osobności? - poprosił go młody Karski i wymownie spojrzał na Barbarę.
- A rozmawiajcie sobie - obruszyła się siostra. - Myślisz, że mogłabym cię podsłuchiwać?

Po twarzy Patryka przemknął cień uśmiechu.

- Czy możemy znaleźć jakieś ustronne miejsce? - zwrócił się do detektywa.
- Nie musisz - powiedziała Klaudyna. - Konspiracja niepotrzebna. Pan Barber powie ci o dwóch starych drukach i jednym rękopisie, które przejrzał w bibliotece. My też to zrobiłyśmy. A teraz przeglądają je Joanna i Pierre. Mamusia była tak dobra, że podrzuciła jej ten trop.
- Przestań mnie już katować - prychnęła Barbara. - Guzik im z tego przyjdzie.
- To fakt - kontynuowała dziewczyna. - Nikt z nas nie jest w stanie

wyjaśnić, dlaczego te trzy pozycje są tak istotne w tej łamigłówce.

- Do czasu - westchnął Omnibus.

Klaudyna zerknęła na niego z niepokojem. Nie wiedzieć czemu poczuła irracjonalny strach wywołany uwagą chłopaka. Czy był to strach przed porażką? Klaudyna nie lubiła przegrywać i była to cecha odziedziczona po matce. Intuicja dodatkowo ostrzegała ją przed tym niziołkiem.

- Te, chłopcze - sapnął zmęczony upałem detektyw i wy-

94

konał palcami zabawny gest wokół ust, jakby naśladował czynność szycia.

- Buzia na kłódkę, rozumiemy się?

- Przecież on nic nie wie - odezwała się Barbara, wskazawszy głową Omnibusa. - Gdybyście coś wiedzieli, nie sterczelibyście przed zamkiem, tylko poszli odkopać skarb.
- Skąd to przypuszczenie, że skarb został zakopany? - spytał Barber.
- Nie wiem, tak mi się powiedziało. W każdym filmie o poszukiwaczach skarbów wykopują jakąś starą skrzynię z ziemi.

Rozmowę przerwało nagłe pojawienie się na mostku Joanny i Francuza. Szli ku nim z minami wyrażającymi nie tylko zadowolenie, ale i pewność siebie. Ich wizyta w bibliotece nie trwała długo, a jednak para zachowywała się tak, jakby wpadła na rozwiązanie zagadki.

- Tylko nie to - szepnęła przerażona Barbara. - Tylko nie to. Jeśli się dowiem, że odgadli hasło, zachoruję.

W tej chwili oczy wszystkich zgromadzonych przy schodach śledziły Joannę i żabojada, a oni chichocząc, zeszli ze schodów i stanęli przed nimi.

- Państwa miny - Barber próbował się uśmiechnąć - świadczą, że misja w czytelni zakończyła się sukcesem.
- Jeszcze nie - Joanna poprawiła błyszczące w słońcu włosy. - Pan bibliotekarz obiecał mi przyjrzeć się tym tytułom. Jak na coś wpadnie, da mi znać. Zrobi to dla mnie. Wyjątkowo.

„No tak - pomyślał Barber. - Z taką buzią i figurą! Sam bym ci podał rozwiązanie każdej zagadki. Ty byś i samego diabła namówiła na przyjęcie komunii świętej”.

To niefrasobliwie wypowiedziane oświadczenie pięknej Joanny do reszty zdołowało Barbarę. „Pracownik miejscowej biblioteki jest fachowcem, zna się na drukach i rękopisach, pamięta ojca i z pewnością ma słabość do spódniczek, jak większość facetów - myślała z przerażeniem. - Joanna już o to zadba, żeby jej pomógł”.

Rozwścieczona Barbara ruszyła do baru obok wejścia do parku. Z impetem roztrąciła tłoczących się przed kasą kolonistów, wpadła do baru i zaraz - zanim inni podążyli za nią -

95

wybiegła z butelką wody mineralnej. Piła łapczywie, nie zważając na cieknącą po brodzie strużkę wody. Upał nie był aż tak dokuczliwy, lecz pragnienie kobiety miało bardziej podłoże psychiczne niż fizjologiczne. Po wypiciu połowy butelki, wyrzuciła ją do kosza znajdującego się pod ścianą baru.

- Nie martw się, siostrzyczko - Joanna uśmiechnęła się pobłażliwie. - Jeszcze nie odgadliśmy hasła. Bibliotekarz obiecał zająć się tym dopiero po dyżurze. Myślę, że rano poda mi hasło jak na tacy. Masz czas do jutra.

Barbara zareagowała na te uszczypliwości, używając środkowego palca. Wykonała ten niegrzeczny gest, który nie przystoi nie tylko damom, ale nawet rozwydrzonym nastolatkom.

- Pierre, zwiedzimy park? Zobacz jakie piękne są tutaj drzewa i kwiaty.

Na prośbę Joanny Pierre posłusznie ustawił się w kolejce do kasy. Chwilę potem dołączyli do niego Barber, Omnibus i Patryk. W końcu nawet Klaudynie udało się namówić matkę do zwiedzenia parku.

6

Słowo „arboretum” pochodzi z łaciny i określa miejsce zadrzewione, plantację drzew. Teren otaczający kórnicki zamek znany jest właśnie jako Arboretum Kórnickie i pod względem liczby gatunków i odmian drzew należy do największych parków w Europie Środkowej. Nie tylko różnorodność gatunków i odmian nadają temu miejscu wyjątkowy charakter, imponujący jest także wiek drzew. Niektóre okazy liczą sobie 130-180 lat i pochodzą z okresu działalności Tytusa Działyńskiego - z pierwszej połowy XIX wieku. Jego syn, Jan, wzbogacił bogatą kolekcję drzew i krzewów; szczególnie interesowały go drzewa iglaste.

Minąwszy wschodnią elewację zamku z charakterystyczną nieotynkowaną kolistą wieżą oraz brzeg XVI-wiecznej fosy, bohaterowie znaleźli się na tyłach zamku, na skraju starej

96

lipowej alei biegnącej od zamku w kierunku Bnina. Drobnolistne lipy

uchodzą za najstarsze w kórnickim arboretum i mają około 300 lat. Drzewa były świadkami całej historii zamku i przylegającego doń parku, znały wszystkich właścicieli rezydencji, niestety milczą, nie mogą opowiedzieć, co widziały.

Arboretum zajmuje nisko położony, płaski teren w dolinie jeziora. Kiedyś tereny starej części parku były bagnami, a na miejscu dzisiejszej alei lipowej biegła usypana wśród bagien grobla.

Imponująca to aleja. Wygląda jakby żywcem przeniesiona ze starych, romantycznych płócien niemieckich malarzy, nieco nierealna i bajkowa. Mieszają się tu zapachy lipowego miodu i żywicy pobliskich drzew iglastych. Stojąc między ciągnącą się na południe aleją a zamkową fosą, bohaterowie znaleźli się w innym świecie. Po lewej stronie zielonego tunelu rzucał się w oczy stary, potężny buk o majestatycznej, szerokiej koronie i grubym pniu pokrytym bluszczem, po obu stronach parkowego traktu rosły śliczne okazy magnolii, były tu też stare krzewy bukszpanu, wysokie cisy, srebrzyste świerki, jeden wspaniały świerk serbski, a także imponujące jodły kalifornijskie. Takich drzew skupionych w jednym miejscu nie spotka się nigdzie indziej w Polsce!

Joanna zwróciła uwagę na kilka interesujących krzewów iglastych rosnących na niskiej rabacie przy fosie. Dalej jej oko szybko wyłowiło oryginalny okaz - starą gruszę wierzbolistną, o szerokiej, kopulastej koronie ze zwisającymi gałęziami. Wąskie, szaro-kutnerowate liście upodabniały drzewo do wierzby. Najdziwniejsze, że rosły na nim nieduże, okrągłe jasnozielone owoce - gruszki.

- Widzicie! - Joanna wskazała palcem owoce. - To przecież gruszki! Gruszki na wierzbie. Mon Dieu! A jednak wyrosły!

Przy Joannie znaleźli się zaraz Pierre, Klaudyna i Omnibus. Cudzoziemiec nic nie mówił, oglądał zdziwiony pochodzącą z suchych obszarów Kaukazu gruszę. Młodzież również nie mogła się nadziwić temu niecodziennemu widokowi.

- Rzeczywiście, jakiś cud - potwierdził Barber.

97



Grusza wierzbolistna (*Pyrus salicifolia*)

- Widzisz, siostrzyczko - śmiała się Joanna. - Nawet gruszki wyrosły dla mnie na wierzbie! Sama powiedziałaś, że prędzej wyrosną, niż odgadnę hasło potrzebne do otwarcia pliku.
- To znak - wyszeptał Pierre. - Znak, że Joanna odziedziczy majątek pana Kahskiego.

Kiedy wypowiadał te słowa, Omnibus przeglądał przewodnik po arboretum kórnickim. Szybko odnalazł w nim wzmiankę o gruszy, którą niesłusznie podejrzewano o to, że była szczepiona na wierzbie.

- Proszę państwa! - odezwał się głosem uczonego. - To nie jest wierzba.

To jest *Pyrus salicifolia*

- Że co? - zmarszczyła czoło Barbara. - Jaka znowu „folia”?
- *Pyrus salicifolia* to łacińska nazwa gruszy wierzbolistnej - wyjaśnił. - To nie wierzba. To jest grusza. Po prostu jej liście są podobne do wierzbowych.

Barbara odzyskała dobry humor, a Joanna wyrwała Omnibusowi przewodnik. Szybko go przekartkowała.

98

- No tak, to grusza— wzruszyła ramionami. - Po prostu wygląda jak krzyżówka wierzby z gruszą.
- Podobno Tytus Działyński opowiadał córce, że to on zaszczepił gruszę na wierzbie - dodał Omnibus. - Drzewo miało odtąd rodzić gruszki, tyle że gorzkie.
- A, no właśnie! - ożywiła się Joanna. - Poza tym w nazwie jest coś z wierzby. Grusza wierzbolistna! Moim zdaniem można od biedy uznać to drzewo za rodzaj wierzby.
- Prędzej kaktus wyrośnie mi na dłoni - śmiała się Barbara - niż odgadniesz hasło. Nie pomoże ci nawet sto wierzb z gruszkami czy bez gruszek!

Na wszelki wypadek Barbara przyjrzała się uważnie swoim dłoniom.

- Mamo! - fuknęła na nią Klaudyna. - Przestań już się wygłupiać.
- A ty co? - nasrożyła się Barbara. - Z kim właściwie trzymasz?
- Skończ z tymi wierzbami i kaktusami! Joanna ma bibliotekarza! Twoje czary nie działają. I odkąd wierzysz w przesady?

Barbara straciła dobry humor. Joanna zaś uczepiła się ostentacyjnie ręki

ukochanego, a następnie pociągnęła go aleją na południe.

- Chodźmy zwiedzić ten park - posłała mu anielski uśmiech.

*

Wczesnym popołudniem Barber opuścił Kórnik, tłumacząc się koniecznością załatwienia kilku formalności w Poznaniu. W tym czasie Omnibus obiecał trzymać rękę na pulsie, co przekładając na język praktyczny, oznaczało patrzeć na ręce pozostałym członkom rodu Karskich.

- Pamiętaj - pouczał Barber. - Barbara Karska i jej córka wiedzą, gdzie się zatrzymaliśmy w Kórniku, ale nie mają pojęcia, że są podsłuchiwane. Uważaj na nie. Dla odprężenia przejdź się na zamek. Miej też oko na Joannę i żabojada. Weź ze sobą Patryka.

Potem detektyw odjechał polonezem na północ, zostawiw-

99

szy skąpany w słońcu Kórnik. Nie pojechał jednak w stronę Poznania, jak poinformował chłopaków, na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Na kempingu nieopodal stadionu kupił dużą paczkę kawy, wrzucił ją na tylne siedzenie i ruszył dalej na południe. Zostawiwszy za sobą ośrodek, minął ścieżkę prowadzącą do willi Karskiego nad jeziorem i po ujechaniu dwustu metrów znalazł kolejną odnogę, która zaprowadziła go pod równie samotny dom nad jeziorem. Jego celem była posesja położona w pobliżu domu architekta. Tam mieszkał najbliższy sąsiad Karskiego.

Las porastał gęsto cypel i chronił przed każdym powiewem, nawet tym ozdrowieńczym. Nic dziwnego, że detektyw spocił się i ciężko oddychał.

Nie znosił upałów i duchoty. Wreszcie zostawił poloneza w jakimś zagajniku i wolno ruszył ku samotnej chatce oddalonej od willi Karskiego około czterystu metrów. Dom stał ukryty w rzadkim lesie nad brzegiem jeziora, a ścieżka, która do niego prowadziła, nie nadawała się do jazdy samochodem osobowym.

Chatę odwiedził przedwczoraj. Rozmawiał nawet z żoną właściciela, brzydką i nerwową niewiastą, która nie miała mu nic do powiedzenia na temat Emanuela Karskiego. Owszem, widywała go czasami, bardzo rzadko, i nigdy z nim nie rozmawiała. Kilka razy widziała młodszą od niego kobietę, w wieku około czterdziestu lat. Podobno odwiedzała architekta dość systematycznie. Mówiono, że to jego kochanka. Było to jednak dawno - sześć, może pięć lat temu. Jedyne Edek, jej mąż, widział kobietę z bliska, a nawet raz z nią rozmawiał. Stało się to ponoć wtedy, gdy zepsuł się jej samochód i utknęła w lesie. Jako że Edek znajdował się wtenczas w pobliżu, bo wracał z miasta, poznał ją. „To była trochę wyniosła babka i według mnie leciała na pieniądze starego dziwaka”. Tak twierdził Edek, a podobno znał się na tych sprawach.

Niestety, dwa dni wcześniej nie zastał pana Edka. Wszystkie informacje zdobył z drugiej ręki, od jego żony.

- Poniosło go - gderała. - Niech pan przyjdzie jutro. A najlepiej pojutrze, bo Edek to znika na dwa dni.

Barber przyszedł zatem w wyznaczonym terminie, licząc,

100

że zastanie człowieka, który jako jeden z nielicznych w okolicy rozmawiał z przyjaciółką Karskiego.

Miał szczęście. Pan Edek leżał zmęczony na drewnianym łóżku i

sprawiał wrażenie ciężko chorego. Dopiero widok paczki kawy dodał mu sił. A kiedy wlał w siebie pierwszy kubek, stał się miły i rozmowny. Okazało się wnet, iż miał zaszczyt poznać tę tajemniczą kobietę, która przyjeżdżała do Karskiego. Nie znał jej nazwiska. Pamiętał tylko, że miała białego, kilkunastoletniego volkswagena i ubierała się skromnie.

- Pewnego razu wracałem z miasta, a tej babce popsuła się bryka - opowiadał pan Edek. - Stała na poboczu. W lesie. Ona była bardzo zdenerwowana... o pomoc błagała. No, ale ja nie znam się na samochodach...
 - A na czym ty się znasz, gałganie? - dogryzała żona.
 - Cicho bądź! Nie przeszkadzaj, podaj panu kawę. Napijemy się. Pan nie pije? No to ja sam...
- Pan Edek upił trochę czarnego jak noc płynu.
- Tak więc zaszedłem do kolegi mieszkającego niedaleko kempingu - kontynuował. - Kumpel zgodził się zaholować wóz do Wrześni.
 - Do Wrześni? - oczy Barbera zabłyśły. - Ona mieszka we Wrześni? Ta przyjaciółka Karskiego?
 - No, tak, nie mylę się. We Wrześni. Jak odstawiliśmy samochód do warsztatu, to ona zaprosiła nas na herbatę. I to zieloną. Pamiętam, że mieszkała obok poczty, a wchodziło się do niej przez taką dużą bramę. Ulicy to ja nie pamiętam, panie, ale mieszkała nad takim sklepem z wystawą.
 - Obok poczty mówi pan?
 - Tak jest - potwierdził pan Edek i sięgnął po kawę. - Taki stary budynek z ciężkiej cegły. A pan czemu nie pije?
 - Nie mogę - wstał od stołu Barber. - Boli mnie serce, a muszę jeszcze

dzisiaj pojechać...

- Do Wrześni?
- Do Wrześni.
- No to życzę powodzenia!

*

101

W tym czasie Omnibus i Patryk usiedli w barze pod parasolem, popijając colę i czasami zerkając na pierwsze piętro zamku, w otwarte okno czytelní. Wprawdzie biblioteka była już nieczynna, lecz bibliotekarz został po godzinach, aby rozwiązać zagadkę trzech sygnatur. W tłumie wycieczkowiczów zdążających do arboretum wypatrywali czasami rywali, jednak nic szczególnego się nie działo. Czas płynął leniwie i kpił sobie z ich misji.

Zacząli rozmawiać o dotychczasowych postępach w śledztwie, aby zabić czas. Patryk Karski na dobre przyjął warunki współpracy. Detektyw miał odgadnąć za niego hasło, on zaś zobowiązał się przekazać połowę wartości spadku Barberowi. Układ był czysty.

- To mówisz, że kluczem do odgadnięcia hasła jest Tytus Działyński? - zastanawiał się Patryk. - Niesamowite.
- Na to wychodzi - przytaknął mu Omnibus. - Twój ojciec interesował się księgozbiorem kórnickim, był zafascynowany Tytusem Działyńskim. Nie na darmo trzy sygnatury, które dostaliście od mecenasa Czaplińskiego, pochodzą z tutejszych zbiorów. Przypomnij sobie ojca, jego zachowanie, charakter i przyzwyczajenia. W tej grze każda informacja może okazać się bezcenna.

- Ojciec był skryty. Tak naprawdę tylko matka go znała. I chyba tylko ona mogłaby powiedzieć o nim coś więcej. Miałem zaledwie trzy lata, gdy ojciec zamieszkał nad jeziorem. Do Poznania przyjeżdżał rzadko. Nawet nie wiem, co robił w domu nad jeziorem. Nie mam pojęcia, co tam trzymał. Czy posiadał cenny księgozbiór i jak wyglądała ta jego przyjaciółka. Nic o nim nie wiem.
- A jego biblioteka w Poznaniu? Musiałeś ją widzieć.
- Wszystkie książki, kilogramy papierów i dokumentów zabrał ze sobą. O ile dobrze pamiętam, na Sołaczu zostawił jedynie pudła pełne dokumentów związanych z jego poprzednim zawodem, architekturą. Książki nie były szczególnie cenne. Podręczniki, albumy, pamiętniki znanych ludzi, filozofia, trochę poezji, ale to wszystko były współczesne wydania.

102

- Może warto je przejrzeć - zaproponował Omnibus. - Czasami wystarczy jedna notatka zrobiona na marginesie książki albo listu, aby wpaść na właściwy trop.
 - Moje siostry już to zrobiły.
 - I coś odkryły?
 - Chyba nic. Gdyby coś wyniuchały, wiedzielibyśmy już o tym. Inaczej, po co Barbara wynajmowałaby pana Barbera?
- Patryk upił z butelki trochę coli i przyjrzał się Omnibusowi.
- Czy zawsze pomagasz Barberowi? - zapytał.
 - Czasami.
 - Dziwna z was para.

Omnibus nie podjął wątku. Dla świętego spokoju wolał zmienić temat i powrócił do osoby Tytusa Działyńskiego. Piętnastolatek miał znakomitą, genialną wręcz pamięć. Raz przeczytany tekst - nawet dwie bite strony tekstu - mógł powtórzyć niemal bezbłędnie.

Zaczął od początku - od edukacji założyciela kórnickiej biblioteki. Otóż w dzieciństwie uczył go katolicki ksiądz, w 1806 roku trafił pod skrzydła Franciszka Theremina, teologa protestanckiego. Rok później - do szkoły irlandzkiej w Paryżu (miał wtedy 11 lat!), w której uczył się języków, zdobywał wiedzę ogólną, a także umiejętności przydatne w życiu towarzyskim (taniec, rysunek, szermierka). Nie były to lata spokojnej nauki. W 1812 roku Tytus wrócił do kraju i wkrótce jego rodzina musiała uchodzić do Drezna, gdyż ziemie polskie zajęły wojska rosyjskie. W 1813 roku wstąpił do szkoły politechnicznej w Pradze, zgłębiając chemię, arytmetykę i algebrę, geometrię, trygonometrię, statykę z mechaniką oraz budownictwo. Młody Działyński za doskonałe oceny został wyróżniony praktyką przy regulacji Dunaju, Łaby i Wełtawy.

W 1814 roku został słuchaczem wykładów z mineralogii i technologii na Uniwersytecie Karolińskim w Pradze. Edukację zakończył jesienią 1815 roku i zyskał ogólne wykształcenie humanistyczne, znajomość języków klasycznych, niemieckiego i francuskiego, wreszcie literatury oraz historii. Najbardziej cenił kulturę francuską.

103

Ta krótka notka o edukacji Działyńskiego, w porównaniu ze współczesnymi życiorysami, brzmi już dzisiaj niemal egzotycznie.

Dziewiętnastoletni Tytus nie poprzestał jednak na nauce. Po powrocie

do Konarzewa w 1815 roku zajął się porządkowaniem rodzimego archiwum i tak zrodziła się wielka pasja kolekcjonera. Z biegiem czasu stał się znawcą literatury, historii i bibliografii polskiej. Ze świecą dziś szukać młodego człowieka zajmującego się starymi księgami, solidnie wykształconego, słowem - erudyty. W latach 1817-1819 jeździł po wielkopolskich klasztorach, objętych kasatą. Umożliwiło mu to nabywanie bezcennych dzieł z bogatych bibliotek. Potem odwiedził Podole, Wiedeń, Paryż. Rok 1823 spędził w Warszawie, Danii i Szwecji. Podczas tych podróży i wizyt nawiązał wiele znajomości z uczonymi, księgarzami oraz bibliofilami, stworzył nawet sieć własnych informatorów. I tak, jego agentem w Czechach był filolog i profesor praskiego uniwersytetu, Wacław Hanka.

Tytus Działyński nie zbierał tych ksiąg dla zysku. Kierował nim szacunek dla literackich skarbów, a pragnienie uratowania od zagłady zabytków piśmiennictwa narodowego stało się życiową pasją, obowiązkiem. Chętnie udostępniał najcenniejsze egzemplarze uczonym, na przykład Lelewelowi, Bentkowskiemu, Muczkowskiemu czy Niemcewiczowi.

- Jaki jest związek między Działyńskim a ojcem? - zastanawiał się znudzony długim wykładem Patryk. - W końcu biblioteka ojca nie była wielka. Żadnych białych kruków czy starodruków nie widziałem. Nie, to się kupy nie trzyma. Po co mi wiedza o tym całym Działyńskim? Nie cierpię historii. Kogo obchodzi, co było kiedyś? Ja żyję terażniejszością, chwilą obecną.
- Niektórzy sądzą, że przeszłość kształtuje terażniejszość, że historia ma wielki wpływ na to, co jest teraz. Dzień dzisiejszy z kolei wpływa na

to, co będzie jutro.

- Istnieją poetyckie metody próbujące przez teraźniejszość opisać przeszłość.

Omnibus wzruszył ramionami. Patryk zaś zmrużył oczy,

104

jakby szukał czegoś w pamięci i po chwili wyrecytował jeden z wierszy znanej polskiej poetki.

Omnibus popatrzył na Patryka pytającym wzrokiem.

- To *Chwila* Wisławy Szymborskiej - wyjaśnił tamten. - Wiedziałeś w ogóle o tym, że nasza noblistka urodziła się tutaj, w Kórniku?
- Tak - przytaknął Omnibus. - Ale żeby odgadnąć hasło założone przez twojego ojca, trzeba liznąć nieco historii. Poezja mniej się przyda. Musimy cofnąć się w czasie do XIX wieku, a może i dalej.
- Nie znałem własnego ojca - westchnął Patryk - a co mówić dopiero o jakimś Działyńskim z XIX wieku. Słuchaj, a kim jest twój ojciec? Profesorem uniwersytetu? Jesteś chodzącą encyklopedią.
- Mój ojciec nie żyje - odparł smutnym głosem Omnibus. - Tak jak i twój.

Patryk pokiwał ze zrozumieniem głową.

- No to obaj jesteśmy sierotami - dodał.

*

Barber nie lubił małych miast, a takim bez wątpienia była prawie trzydziestotysięczna Września położona nad rzeką Wrześnicą - siedziba powiatu. Miasto wydzwignęło się już z socjalistycznego marazmu, lecz wiele tutejszych kamienic czekało na solidny remont. Barber nie lubił

nierównych chodników, drażniły go też stare ceglane fasady budynków i szare tynki udekorowane szyldami reklamowymi. Nieco lepiej poczuł się na rynku otoczonym zabytkowymi kamienicami, którego ozdobą był ratusz z charakterystycznymi witrażami. Nie znał się na historii, więc nie wiedział, że Września ma długą historię, sięgającą aż XIII wieku³¹. Zresztą nie interesowało go to zupełnie. Jednakże słyszał o pewnym ciekawym wydarzeniu, do którego doszło tu w maju 1901 roku, mianowicie o strajku dzieci wrześnińskich. Było to za czasów zaboru pr-

-¹¹ Wzmiankowana od 1256 r.; prawa miejskie z 1357 r.

105

skiego, kiedy to specjalnym zarządzeniem władz wprowadzono język niemiecki na lekcjach religii. W katolickiej szkole ludowej dzieci zaprotestowały w ten sposób, że nie udzielały odpowiedzi w języku niemieckim. Wobec opornych zastosowano areszt i chłostę w obecności inspektora szkolnego. Wkrótce w obronie dzieci stanęli rodzice, akcja strajkowa zaś rozszerzyła się na inne miejscowości. Strajk wygasł dopiero po Wielkanocy 1904 roku, a w obronie strajkujących dzieci wystąpili Henryk Sienkiewicz i Maria Konopnicka.

Detektyw bez trudu odnalazł pocztę. Jej zabytkowy gmach mieścił się na ulicy Warszawskiej w centrum miasta. Zgodnie z relacją pana Edka, do owego gmachu przylegała wymagająca remontu kamienica. Na parterze był sklep z oszkloną wystawą, łukowaty zaś otwór bramy prowadził na podwórko.

„To tutaj - pomyślał zadowolony detektyw. - Znalazłem kochankę Emanuela Karskiego”.

Na pierwszym piętrze kamienicy natrafił na dwoje drzwi. Wybrał te pomalowane na wiśniowo, zrobione z solidnego drewna. Naciskał dzwonek ponad minutę. Bez rezultatu. Zlitowała się dopiero sąsiadka

- Pan do kogo? - zapytała, obrzucając go czujnym spojrzeniem.

Barber zbliżył się do lekko uchylonych drzwi i opisał przyjaciółkę Karskiego.

- A pan kto? - pytała dalej kobieta. - Z policji?
- Detektyw Barber - pokazał licencję.
- Co się, na miłość boską, stało?
- Właśnie próbuję to ustalić. A ta pani, której rysopis podałem, może wiele wyjaśnić.
- Ona już tu nie mieszka - oświadczyła. - Teraz jest tu ktoś inny.
- Nie mieszka? - jęknął zawiedziony. - O żesz ty kartofel. Znaczy, wyprowadziła się? Nie zna pani przypadkiem jej adresu?
- Przepadkiem znam. Mój zięć pomagał jej przewieźć rzeczy... ona miała dużo mebli i książek...
- Książek?! - wyrwało się Barberowi.

106

- Książek. Bo pani Marczenko jest nauczycielką. W liceum uczy.
- Niech zgadnę - przerwał jej Barber. - Historii?
- Nie, zdaje się, że polskiego.
- Aha. I gdzie ona teraz mieszka?

Uprzejma sąsiadka podała mu adres osiedla.

- Nie pamięta pani, czy przypadkiem ta Marczenko nie spotykała się z

jakimiś facetami? Rozumie pani, jakiś roman-sik albo zażyła znajomość?

- Nie, nie widziałam. To była porządna osoba, nie jakaś lafirynda. Nikt tu nie przychodził, oprócz starszego mężczyzny. Kiedyś widywałam go tu często, ale ostatnio już nie. To zdaje się był jej ojciec...

Detektyw opisał jej Emanuela Karskiego - zaszuszonego osobnika o spalonej słońcem twarzy i siwej czuprynie pozostających w nieładzie włosów.

- Tak, to on - potwierdziła. - A co, zmarło mu się?
- Niestety.

Karski ze względu na wiek rzeczywiście mógłby być ojcem pani Marczenko, to fakt, lecz Barber nie podjął wątku. „Bóg wie, co sobie pomyśli ta wścibska baba” - pomyślał. Porozmawiał jeszcze chwilę o nauczycielce i wyszedł na ulicę. Udał się do zaparkowanego przy najbliższej przecznicy poloneza.

Nie ulegało wątpliwości, że wpadł na trop przyjaciółki Karskiego. Miał ją! Bingo. Zadowolony, jak rzadko kiedy, pojechał wolno na północ, minął stadion KS „Wiktoria” i po kwadransie kluczenia znalazł się na osiedlu Sokołowskim. W trakcie jazdy widział siedzącego mu na ogonie srebrnego fiata punto z przyciemnionymi szybami, ale samochód wkrótce skręcił w jakąś osiedlową uliczkę.

Bez trudu odszukał ulicę Zofii Nałkowskiej. Zaparkował przed blokiem nauczycielki.

Zerknął za zegarek. Była szesnasta jedenaście.

W celu załagodzenia napięcia między Karskimi, Pierre zaprosił

wszystkich na ognisko zorganizowane na tyłach Oficyny

107

nad Jeziorem. Tam Joanna i Pierre wynajęli pokój ze skrzypiącymi podłogami i meblami. W oficynie - zwanej też „Australia”³² - znajdowały się mieszkania dla pracowników biblioteki, pomieszczenia biurowe, a także pięciopokojowy apartament gościnny na drugim piętrze.

Około dwudziestej pierwszej na tyłach Oficyny stawili się wszyscy zaproszeni goście. Wszyscy, oprócz Barbera, który do tej pory nie zjawił się w Kórniku. Nikt z uczestników ogniska nie wiedział, że pojechał do Wrześni, nawet Omnibus i Patryk byli święcie przekonani, że detektyw jest w stolicy Wielkopolski.

- Gdzie twój dziadek, mały? - zapytała go Barbara.
- Dziadek? - zaniemówił na chwilę. - A, o dziadku Julku mowa?

Dla Barbary Karskiej i pozostałych Barber był jego dziadkiem, detektyw wszak oficjalnie przedstawił go jako swojego wnuka. Musiał więc dalej ciągnąć tę grę.

- Pojechał do Poznania - uśmiechnął się.

Nie pytali więcej o Barbera. Wszyscy z niecierpliwością czekali na informacje dotyczące sygnatur, zastanawiali się, co takiego odkrył lub odkryje zbajerowany przez Joannę bibliotekarz z kórnickiego zamku? Jednakże Joanna milczała, Pierre zaś z zaangażowaniem pełnił rolę gospodarza.

Na początek zapędził chłopaków do zbierania chrustu. Nad brzegiem rosły wielkie wierzby, klony, graby i wszędzie było pełno suchych gałązek. Pierre już wcześniej porąbał większe gałęzie, a nawet ułożył z nich zgrabny stos. Kiedy panowie zmagali się z chrustem, panie układały

jedzenie na stoliku. Wydawało się, że oto nad sennym jeziorem spotkali się dobrzy znajomi, aby miło spędzić czas.

Był ciepły wieczór. Słońce szykowało się do snu. Bliżej jeziora odczuwało się przyjemny chłodek. Słysząc było syrenę powracającego z ostatniego rejsu statku wycieczkowego „Biała Dama”. W przybrzeżnych zaroślach kryły się łyski i perkozy.

³² Przed wojną znalazły tu schronienie australijskie zbiory Władysława Zamoyskiego oraz księgozbiór i nakłady wydawnictw własnych.

108

Zapłonęło ognisko, trawiąc stos chrustu i roztapiając nieufność zebranych wokół niego gości. Biesiadnicy zaczęli piec kiełbaski.

- I kto by pomyślał, że nasza rodzina spotka się jak gdyby nigdy nic w Kórniku - zauważył Patryk.
- Jak to śmiesznie brzmi - śmiała się Joanna. - Kórnik! Mon Dieu! - zachichotała. - Spotykamy się w „kurniku”, jak dla kur. Tylko, że nazwa miasta jest pisana przez „o z kreską”.
- Co za idiotyczna nazwa - westchnęła Barbara. - Kto to w ogóle wymyślił?

Pomógł jej niezawodny w takich przypadkach Omnibus.

- W *Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL* Stanisław Rospond wywodzi współczesną nazwę „Kórnik” od rybackiej kurnej chaty stojącej nad jeziorem. W XIV wieku pojawiła się nazwa „de Cornik”, potem używano „de Curnik”, „Kornik”, wreszcie w drugiej połowie XIX wieku pojawiła się kolejna for

ma - „Kurnik”. Profesor Rospond założył, że w chacie wędzono ryby, a zatem dymiło, inaczej „kurzyło”. Nie wyklucza jednak, że chodziło o liche, drewniany zameczek należący do rodziny Górków w XV wieku, który dopiero później był rozbudowywany i wzmacniany³³. Zdaniem innych badaczy nazwa miasteczka pochodzi od hodowli na tym terenie kur lub łowiectwa ptactwa leśnego, inaczej kuraków. Staropolski wyraz „kur” odnosił się nie tylko do ptactwa domowego, lecz także określał ptactwo dzikie. Pełno tu w okolicy lokali spod znaku „kura”. Sam ja dłem obiad „Pod Złotym Kurem”.

Nikt nie skomentował jego słów, więc Omnibus mówił dalej, przytaczając to wszystko, co wyczytał w ostatnich dniach o właścicielach Kórnika.

³³ Stanisław Górka (ur. 1538; zm. 1592) - wojewoda poznański. Dokonał rozbudowy zamku według założeń charakterystycznych dla renesansowej rezydencji obronnej. Po śmierci króla Polski Stefana Batorego próbował zjednoczyć polskich protestantów do obrony zagrożonej przez katolików konfederacji warszawskiej. Popierał wybór na tron arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Wielokrotnie zmieniał polityczną orientację. W przebudowanym i gotowym już zamku podejmował w 1574 r. jadącego na koronację do Krakowa Henryka Walezego.

- Tak więc po ostatnim z Górków, Stanisławie, zamęt' odziedziczyli jego siostrzeńcy, Czarnkowscy. Za ich czasów zaczął niszczyć, choć do jaśniejszych kart historii zaliczyć wypada wizytę króla Zygmunta III

Wazy. Podjął go Adam Sędzi-wój Czarnkowski w 1623 roku. Potem przyszedł szwedzki potop i era kolejnych właścicieli, Grudzińskich, a od 1678 roku Działyńskich. Dopiero za Teofili z Działyńskich przystąpiono do renowacji zamku i gospodarczego ożywienia przyległych dóbr. Biała Dama ściągnęła tutaj kolonistów niemieckich, przeważnie protestantów. W sąsiednim Bninie wybudowała im zbór, mieszczanom zaś ufundowała piękny ratusz w stylu barokowym. Nie zapomniała też o katolikach i dlatego przebudowała kościół w Kórniku. To ona przerobiła zamek na pałac i założyła rozległy park w stylu francuskim. Zapoczątkowane przez nią dzieło kontynuował wnuk kuzyna Teofili, Augustyna Tytusa, Adam Tytus Działyński, syn Ksawerego.

Ciekawostką jest, że Jan Działyński, syn Tytusa, hodował w Kórniku... kury. Kupował we Francji szlachetne rasy drobiu, które później krzyżował i trzymał tutaj dla walorów smakowych i jajek. Oprócz kur hodowano kaczki, gęsi, indyki amerykańskie, ale także gołębie, perliczki oraz pawie. Dopiero po śmierci Jana w 1880 roku kórnickie kurniki zaczęto likwidować.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zdziwiła się Barbara.
- O, to nic nadzwyczajnego - wzruszyła ramionami Klau-dyna i przybrała pozę prześmiewcy. - Trzeba sięgnąć po dobry przewodnik i kilka książek historycznych. Też o tym wszystkim wiem, tyle że się nie przechwalam jak Omnibus.
- Ja się przechwalam? - zdenerwował się chłopak. - Zapytano mnie, więc odpowiedziałem.
- To był wykład, a nie normalna odpowiedź.
- Spokój, dzieciaki! - Joanna z pretensją zerknęła na Klau-dynę. -

Omnibus opowiada ciekawe rzeczy. Nic nie wiedziałam o kurnej chacie i Teofili z Działyńskich zwanej Białą Damą.

- Dlatego mówię - nie dawała za wygraną Klaudyna - że wystarczyło trochę poczytać, kochana ciociu.

Słyszając zwrot „kochana ciociu” - wypowiedziany z wyraźnym przekąsem - Barbara zachichotała.

110

- Joanna nigdy nie lubiła czytać - nie omieszkała zaznaczyć.
 - A ty lubiłaś? - zachnęła się młodsza siostra.
- Zawsze więcej od ciebie czytałam! Patryk to potwierdzi. Brat wzruszył jedynie ramionami. Do akcji wkroczył wreszcie Pierre.
- Uspokójcie się, dżogie panie - próbował wnieść trochę luzu. - Jedzmy kiełbaski, bo się przypalą. Kto chce wina?
 - Ja - ożywiła się Klaudyna.
 - A guzik, nie dostaniesz - pokręciła głową Barbara. - Napij się soku z czarnej porzeczki. Wygląda jak wino.
 - Ale smakuje jak sok z porzeczki, mamo.
- Po kilku kęsach kiełbaski ktoś zaczął śpiewać: *A mnie się marzy kurna chata...*
- Z chóralnego śpiewu nic nie wyszło, więc wkrótce znowu powrócono do testamentu Karskiego.
- Dla naszej sprawy najważniejsza jest postać Tytusa Działyńskiego - zaczęła Klaudyna. - Co nas obchodzą jacyś tam Górkowie i kurna chata. Dziadek interesował się Tytusem Działyńskim i już!

- Moim skhomnym zdaniem - wtrącił Francuz - kluczem jest rhaczej Emanuel Kahski, wasz ojciec i dziadek.
- Owszem - poparła go niespodziewanie Barbara. - Szkoda tylko, że nie wiemy o nim za dużo. Nawet nie znaliśmy nazwiska tej jego kochanicy. I czy ktoś pamięta, żeby ojciec miał duży lub cenny księgozbiór? Od kiedy to zbierał książki? Jedyne, co pamiętam dość dobrze, to powrót ojca z Australii. Patryk nie może tego pamiętać, Joanna prędezej. Ojciec wrócił odmieniony. Wtedy wszystko zaczęło się walić w naszej rodzinie. Wkrótce popsuło się między nim a mamą. Na dobrą sprawę, więcej wiemy o Tytusie Działyńskim niż o ojcu.
- Ja uważam, że trzeba rozgryźć te trzy sygnatury - powiedziała Joanna.
 - Prawda, Pierre?
 - Owszem - przytaknął.
 - I co z tym waszym bibliotekarzem? - zagadnęła ich Klaudyna.
 - Jeszcze nic. Ale dajmy mu czas do rana. A co z twoim

Barberem, Patryczku?

111

Syn Karskiego otrząsnął się z melancholii, która go dopadła i zerknął pytająco na Omnibusa.

- Nie wrócił - odpowiedział piętnastolatek.
 - Może na coś wpadł? - zgadywała Barbara.
 - To możliwe - dodał Omnibus, czym zaniepokoił rywali. - Barber ma nosa do takich spraw.
 - Bahbeh? - zdziwił się żabojad. - O swoim dziadku mówisz Bahbeh?
- Omnibus znowu sklął się w duchu za nieostrożność w rozmowie z

rodziną Karskich.

- Wszyscy w naszej rodzinie tak do niego mówią - wyjaśniał. - Po prostu Barber i już!

Nagle odezwała się melodyjka w telefonie komórkowym Francuza.

- Allo? - rzucił do aparatu i wstał energicznie.

Odszedł od ogniska, odprowadzany pełnymi ciekawości spojrzeniami pozostałych biesiadników.

- Może bibliotekarz zadzwonił? - Klaudyna przygryzła dolną wargę.
- Raczej nie - pokiwała głową Joanna. - Nie ma telefonu Pierre'a. Może z wytwórni filmowej dzwonią? Jeszcze w tym miesiącu spodziewam się zaproszenia na casting. Tak, to na pewno ktoś z filmu!

Po chwili mężczyzna dołączył do skupionych wokół ogniska ludzi.

- Dzwonili z Francji - oświadczył.
- A nie mówiłam! - klasnęła w dłonie uradowana Joanna.
- Casting przełożono na początek sierpnia - ściszył głos.

Joanna w ułamku sekundy zmieniła się. Z pięknej i pogodnej kobiety zamieniła się we wściekłą jak osa jędzę. Dopiero teraz uwidoczniły się w całej okazałości więzy pokrewieństwa łączące ją z siostrą.

- Mon Dieu! - jęknęła. - Miało być w lipcu!
- Przykcho mi - Pierre posłał jej blady uśmiech. - Zbiehają fundusze. Nie ma czasu, miesiąc szybko zleci. Będziemy mieli czas na odgadnięcie hasła, jeśli bibliotekarz nie da rady.

Bibliotekarz pełen samozaparcia pracował całą noc. Z samego rana przyniósł na zamek niepomyślne wieści.

- Jeszcze nie wiem, droga pani - tłumaczył się. - Zagadka jest intrygująca, lecz nie mam pojęcia, dlaczego te trzy sygnały interesowały pana Karskiego. Co mają ze sobą wspólnego? Pracowałem całą noc i nic. Ale cierpliwości. Jutro... no, może pojutrze coś wymyślę. Niesłychana historia. Ciekawe... bardzo ciekawe, co się za tym wszystkim kryje?

Tak się złożyło, że oprócz Joanny i Pierre'a świadkami tego spotkania byli Barbara z córką oraz Patryk i Omnibus. Wszyscy z samego rana zjawili się pod zamkiem i z wyraźną ulgą odetchnęli, słysząc oświadczenie bezradnego bibliotekarza. Wszyscy, oprócz Barbera, który nie wrócił na noc do Kórnika.

Omnibus nie wiedział, co począć. Barber nie dał znaku życia. Milczał jak grób. „Co za skojarzenia” - zganił się w myślach. Powinien pójść na policję, lecz zwyczajnie bał się tej wizyty. A raczej pytań, które mogliby mu zadać stróże prawa. Martwiła go przedłużająca się nieobecność detektywa, ale przed rodziną Karskich udawał, że nic się nie stało.

Złapał się też na tym, że absencja Barbera wpędziła go w smutek. Polubił go. I chociaż byli ulepieni z innej gliny, bo przecież dzieliło ich wszystko (wiek, osobowość, zainteresowania, doświadczenie, możliwości intelektualne i wreszcie wzrost), to w jakimś sensie uzupełniali się. Omnibus robił w tym duecie za encyklopedię i mózg, Barber był kimś w rodzaju motoru napędowego.

Z zamyślenia wyrwał go Patryk.

- Co robimy? - zapytał, mrużąc oczy w ostrym, porannym

słońcu. - Masz jakiś pomysł?

Nie od razu odpowiedział. Odprowadzał wzrokiem idących mostem do zamku rywali.

- Wracam na kwaterę - oświadczył po chwili. - Barber może w każdej chwili wrócić. Spróbuję rozgryźć sygnatury na laptopie.
- Pójdę z tobą - zaproponował młody Karski. - Nudzą mnie

113

muzea. I spać mi się chce. Nie wiem... mam dosyć. Jeśli Barber nie zjawi się dzisiaj, to wracam do Poznania. Słuchaj, a może twój dziadek zrezygnował z tej sprawy?

Omnibus zastanawiał się w skupieniu nad odpowiedzią. Nie chciał wpadać w panikę z powodu zniknięcia detektywa. Jako „wnuczek” nie mógł także tego bagatelizować. Przede wszystkim nie powinien dopuścić do tego, żeby Patryk zerwał układ z Barberem. Zależało mu na rozwiązaniu zagadki, jednocześnie musiał kryć własne tajemnice. Na szczęście rodzinka zajęta była sprawą trzech sygnatur i dość obojętnie zareagowała na zniknięcie Barbera. Kto wie, może nawet cieszyli się z tego powodu? Albo po prostu uważali, że stary i cwany detektyw węszy w okolicy. Omnibus też miał taką nadzieję.

- Barber na pewno niebawem wróci - rzucił po namyśle. - Jeśli możesz, to idź na zamek i obserwuj siostry.
- Po co? - zdziwił się Patryk.
- Na wszelki wypadek.

Markotny Patryk zamierzał już odejść w kierunku zamku, teraz pograżonego w głębokim cieniu, gdy na mostku pojawiła się Klaudyna.

- Spiskujecie? - zapytała, gdy zeszła do nich.

Patryk ziewnął i nie przejawiał ochoty do rozmowy.

• A ty, gdzie się wybierasz? - dziewczyna zerknęła na Omnibusa. - Nie zwiedzasz zamku? I gdzie podział się twój Barber?

• Nie wiem - wyrwało mu się.

• Nie wiesz?

• Nie. A ty dużo pytań zadajesz.

Rezygnując z komentarza, zmrużyła chytrze oczy.

• Mama twierdzi, że Barber szuka pewnie przyjaciółki dziadka.

• Po co mu ona?

• Też się nad tym zastanawiałam. Być może ona zna jakiś sekret życiowy dziadka Emanuela. Co my tak naprawdę o nim wiemy? Nic.

• Barber nie wrócił na noc - wtrącił znudzony Patryk. - Nie wiemy, gdzie jest i co robi.

114

• Dobra, dobra, nie zalewaj.

• Mówię prawdę - dodał poważnym głosem syn Karskiego. - Jak się nie zjawi do wieczora, opuszczam Kórnik. I rezygnuję ze spadku.

• Niepotrzebnie - odezwał się Omnibus. - Możesz sobie siedzieć w Poznaniu. My ją za ciebie rozwiążemy.

• Pracujesz u Barbera jako wolontariusz? - ironizowała Klaudyna i poprawiła pasemko włosów zasłaniające brew. - Kim ty właściwie jesteś? Stanowicie dziwną parę. Stary zgred i mały...

Urwała. Ów ostatni przymiotnik spowodował, że Omnibus zacisnął mocniej szczęki. Na podobne odzywki reagował somatycznie, wbrew woli

- krew odpływała mu natychmiast z twarzy i zaciskał nerwowo zęby.

- Chciałam powiedzieć z wnuczkiem - poprawiła się dziewczyna. - Starszy detektyw współpracujący z wnuczkiem.

Omnibus odwrócił się do niej plecami i ruszył w miasto.

•Ej, ty! - krzyknęła. - Nie obrażaj się.

•Omnibus! - próbował uspokoić go Patryk. - Spokojnie, nie znasz jeszcze Klaudyny!

- Dzikus - westchnęła dziewczyna za plecami Omnibusa.

Szedł dalej. Nie zatrzymał się. Nie odwrócił się ani razu.

- E, zostaw go - mówiła głośno Klaudyna. - Niech sobie idzie. Wiesz, co ja myślę? Że Barber zwiął. Zdezerterował. Uświadomił sobie, że nie jest w stanie rozwiązać naszej rodzinnej zagadki i zrezygnował ze sprawy. Od początku, on i ten mały, wydali mi się jacyś lewi.

Dłużej Omnibus nie mógł znieść jej gadania. Coś w nim pękło. Wrócił i patrząc z nienawiścią na Klaudynę, krzyknął:

•Wieczne pióro!

•Co „wieczne pióro”? - zmarszczyła czoło jak jej matka. -Jakie pióro? O czym ty mówisz?

- Po prostu pióro - dodał tajemniczo. - Sprawdźcie skuwkę.

-Ale...

Nie dał jej dokończyć. Odwrócił się na pięcie i uciekł ulicą Zamkową do miasta. Truchtem pokonywał cementowe płyty chodnika i zastanawiał się nad swoim zachowaniem, czując pło-

nący w trzewiach ogień satysfakcji zmieszany z pewnym uczuciem wstydu. W uszach wciąż mu dźwięczały obraźliwe epitety rzucone przez Klaudynę. Nie dość, że był dla niej „dzikusiem”, to jeszcze do tego „małym”. I czemu powiedział jej o piórze, a właściwie o ukrytym w skuwce mininadajniku? Czy chciał grać uczciwie? Nie, pragnął raczej pokazać, że sam potrafi odgadnąć hasło otwierające Sezam Karskiego i dlatego nie musi korzystać z nieuczciwych metod. Stracili z Barberem atut w rywalizacji z rodziną Karskiego - podsłuch. „Ale niech tam, grajmy uczciwie! Zobaczmy, kto będzie lepszy!” Zdradzając Klaudynie ów sekret z nadajnikiem, Omnibus chciał ją jednocześnie upokorzyć za słowa, których nie powinna była powiedzieć.

Dotarł w pobliże kamienicy, w której wynajęli pokoje i wciąż nie mógł ochłonąć. Złość podziałała na niego jak zastrzyk adrenaliny.

Nigdzie nie zauważył parkującego poloneza, co znaczyło, że detektyw nie wrócił. Zabrał z kwatery laptop, zostawiwszy w drzwiach pokoju Barbera kartkę z krótką informacją, że idzie do kafejki internetowej, i wyszedł na ludną ulicę.

W kafejce podłączył się do Internetu, płacąc ze swoich nędznych zasobów finansowych. Kilkanaście złotych pozwalało na kilka godzin porządnego surfowania w sieci. Nie tracił więc czasu na spekulacje nad losem Barbera, tylko kliknął w katalog „Stare druki” zamieszczony na witrynie Biblioteki Kórnickiej.

Tak naprawdę nie wiedział, czego szuka. Czy chodziło mu o tytuły podobne do wyszczególnionych przez Karskiego pozycji? Musiał istnieć jakiś klucz, który łączył w logiczną całość te trzy sygnatury - anonimowy rękopis z dziedziny myślistwa z dwoma starodrukami de Gueavary i

Głoskowskie-go. Tylko jaki?

Szukał na oślep. Błądził. Oddalał się od właściwego rozwiązania.

W przerwie przejrzał niektóre popularne w kraju portale. Nigdzie słowa o wypadku drogowym i polonezie.

116

Kiedy rywale wydeptywali chodniki kórnickich ulic i zamkowe posadzki, próbując poznać tajemnicę Karskiego, detektyw Barber znajdował się w niezgorszych tarapatach.

Cofnijmy się jednak w czasie do wizyty dzień wcześniej w dwupokojowym mieszkaniu Izabeli Marczenko na osiedlu Sokołowskim we Wrześni.

Barber miał szczęście, że ją zastał. W okresie wakacji nauczyciele przebywali często na koloniach i obozach. Izabela Marczenko nie wyjechała tego lata z młodzieżą, a dorabiała do skromnej pensji jako sprzedawczyni. Tego dnia miała wolne.

Kiedy ujrzał ją w uchylonych drzwiach, od razu wiedział, że to ona. Skromna, niewysoka kobieta w wieku czterdziestu kilku lat, o krótko ostrzyżonych włosach, na nosie okulary w drucianych oprawkach. Piwne oczy patrzyły na niego z błyskiem nieufności. Miała na sobie dzinsy i długą, lnianą jasnozieloną koszulę sięgającą prawie do kolan. Nie była ani za gruba, ani za chuda. „Taka w sam raz” - ocenił ze znawstwem Barber. Może tylko ten smutek w jej oczach wydał mu się nie na miejscu. Pani Marczenko nie nosiła obrączki. Czy pasowała do Karskiego?

W głębi małego salonu Barber dostrzegł wypełnione książkami regały. Zdawało mu się, że meble uginają się pod ciężarem tomów i lada moment

się rozleć. „Szkoda mebli” - pomyślał. Przede wszystkim szkoda mu się zrobiło tej skromnej i niebrzydkiej kobiety. Co taka niewiasta widziała w tych książkach? Tego Barber nie potrafił wyjaśnić. „Dlaczego nie wiedzie radosnego i zwykłego życia?” - zastanawiał się. Uwierzył jednak, że musiała ją łączyć z Emanuelem Karskim słabość do książek. W końcu była nauczycielką.

Przedstawił się. Widział, jak smutek kobiety i strach powoli ustępują miejsca ciekawości. Wyjaśnił szybko, że został wynajęty przez rodzinę Karskich w celu odgadnięcia hasła. Nie bawił się w żadne ceregiele. Walił prosto z mostu.

- W czym ja mogę panu pomóc? - zapytała cicho.

Pierwszy raz w życiu spotkała prawdziwego detektywa. Zazwyczaj widywała ich wyłącznie na ekranie telewizora i w kinie, choć w gruncie rzeczy, nie oglądała za wiele takich filmów. Kryminały ją nudziły. W swoim życiu przeczytała dosłownie

117

kilkanaście książek o prywatnych detektywach. Człowiek, który podawał się za jednego z nich, był jednak prawdziwym detektywem i wcale nie przypominał dobrze ubranego osobnika o nienagannych manierach zwanego Herkulesem Poirotem. Nie był to także Perry Mason z powieści Erle'a Stanleya Gardnera, ani chudy, odziany w tweedowy płaszcz Sherlock Holmes stworzony przez Artura Conan Doyle'a.

- Czym mogę panu służyć? - powtórzyła pytanie.
- Nie wpuści mnie pani dalej? - próbował się uśmiechnąć. Wpuściła go dopiero wtedy, gdy pokazał licencję detektywa. W salonie przytłoczyła go bliskość książek. Dopiero tam,

siadając na wytartym fotelu, zdał sobie sprawę z liczby woluminów. Zapełniały wszystkie regały i półeczki zainstalowane między meblami i pod samym sufitem. Nie było tu ani jednego obrazu - same tylko meble, książki i trochę kwiatów. Od razu pomyślał o Karskim, czy aby w tym salonie nie znajdowały się jakieś cenne książki zmarłego architekta i bibliofila?

Pani Marczenko przyciszyła koncert jazzowy i zaproponowała herbatę. Detektyw siedział w salonie i co pewien czas zerkał na stojącą w kuchni kobietę. Złapał się nawet na tym, że obserwował ją z zainteresowaniem. I nie czynił tego w sposób rutynowy - jak detektyw. Patrzył na nią jak mężczyzna. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ta właśnie istota w długiej koszuli i dzinsach tak go zaciekała. Spodobała mu się. Jemu - staremu i ciężko doświadczonemu życiowo człowiekowi. Nauczycielka zdawała się roztaczać wokół siebie aurę bezpieczeństwa, jawiła mu się jako remedium na brzydki świat. On sam żył bowiem nerwowo, babrał się w ludzkich kłopotach, zaglądał do portfeli i życiorysów ludzi, których śledził, i nic dziwnego, że zgorzkniał, obcując ze złem. Izabela Marczenko była zaprzeczeniem brudnej rzeczywistości. Biło z niej ciepło i dziwny, transcendentny spokój, tak bardzo burzący Barberowe wyobrażenie o życiu.

- Jak mnie pan znalazł? - zapytała, stawiając na ławie filiżanki z zieloną herbatą.
- To długa historia.

118

Podła spodeczek do przykrycia filiżanki i usiadła na drugim fotelu.

- Przepraszam, mam tylko herbatę - wyjaśniła speszona. -

Nie pijam coli i żadnych soków. Tylko herbatę.

„Dziwaczka - ocenił ją w duchu Barber. - Jaka szkoda, że nie ma buteleczki zimnego piwa!"

- Gyokuro - oznajmiła.

- Słucham?

- „Drogocenna rosa" - dodała z nabożeństwem w głosie. - Tak się nazywa odmiana tej zielonej herbaty. Cesarskiej. Bardzo ciężko ją u nas dostać. Robi się ją z pięknych, delikatnych listków w postaci ostro zakończonych szmaragdowych igieł. Jestem w niej zakochana. W czasie uprawy przykrywa się herbaciane krzewy matami bambusowymi, aby ochronić delikatne pączki liści przed ostrym słońcem. Dzięki temu Gyokuro zawiera większą ilość chlorofilu i mniejszą taniny. I dlatego herbata ma słodszy, łagodniejszy smak niż inne zielone odmiany.

Barber spróbował gorącego naparu. Rzeczywiście, nauczycielka miała rację. Napój nie był tak gorzki, jak się spodziewał.

- Czy pan Karski również lubił Gyokuro? - zaryzykował.

O dziwo, wcale się nie spieszyła i nie przeszyła go złowrogim spojrzeniem.

- Owszem - odparła. - Ale pił Sencha Fuji lub indyjskie odmiany.

Potem pani Marczenko opowiedziała mu, że przygotowując zieloną herbatę, należy dokładnie przestrzegać kilku istotnych wskazówek.

Potrzebuje ona filtrowanej, względnie miękkiej wody i należy pić ją bez jakichkolwiek dodatków - bez cukru i mleka. Parzy się ją w przegotowanej wodzie, ale nie może być to wrzątek! Dowiedział się też, że zielona

herbata działa orzeźwiająco i chroni przed chorobami. Zawiera minerały i, co ciekawe, działa moczopędnie. Trzy razy bardziej niż piwo! Detektyw próbował sobie wyobrazić życie u boku tej delikatnej osoby, oczami wyobraźni ujrzał siebie siedzącego obok niej i pijącego potulnie zieloną Gyokuro.

119

Otrząsnął się z marzeń i znowu wrócił do wątku związanego z testamentem Karskiego. Zapytał o płytę CD, którą nauczycielka posiadała jako czwarty potencjalny spadkobierca.

- Z początku próbowałam wpisywać różne hasła - opowiadała - na chybił trafił. Nic z tego. Może za słabo znałam Emanuela? Cóż... nie potrafię otworzyć pliku strzegącego testamentu.
- Czy pan Karski posiadał jakieś cenne książki?
 - Nie był to wybitny kolekcjoner. Zajmował się bibliofilstwem teoretycznie. Zawsze powtarzał, że prywatny zbiór nie jest mu potrzebny, gdyż ma pod ręką bibliotekę na zamku w Kórniku. To był Jego" księgozbiór. A jednak kupił kilka białych kruków, lecz wtedy już się rozstaliśmy i nie mogę nic o nich bliżej powiedzieć. Zbierał jakieś stare mapy i atlasy.
- Często odwiedzał bibliotekę?
 - Częściej przebywał na zamku niż u mnie - odpowiedziała spokojnie, bez cienia smutku. -Ale szanowałam jego styl życia.

Chciał ją zapytać, co takiego pociągało ją w Karskim, lecz szybko wycofał się z tego pytania. Nie rozumiał tych spraw, ale wiedział, że musiało tutaj chodzić o jakieś więzi duchowe.

- Tak więc, co cennego mógł posiadać pan Karski? - pytał dalej. - Jak wiemy dom nad jeziorem zapisał gminie na cele społeczne. Zostawił rodzinie rezydencję na poznańskim Soła-czu, ale nic nie wiadomo o żadnym innym majątku? Miał konto w szwajcarskim banku? Znalazł jakiś skarb? Czy może trzymał w depozycie biżuterię albo cenne dokumenty?
- Wie pan - chrząknęła zakłopotana. - Pięć lat temu... tak, to było w 1997 roku, rozstaliśmy się... to długa historia. I nie chcę o tym mówić. Powiem tylko, że mimo dzielącej nas różnicy wieku byłam gotowa wyjść za Emanuela. Imponują mi dojrzały mężczyźni... mądrzy... doświadczeni. Ale on... on nie chciał słyszeć o żadnym ślubie. Jego miłością była zapisana na pożółkłych stronicach wiedza. Kochał umysły wielkie, nieprzeniknione, zatracił się w historii, nauce i z każdym miesiącem w jego życiu coraz mniej było miejsca dla mnie. Dla kobiety. Zresztą jego świętej pamięci żona przerabiała to z nim latami. Szanowałam Emanuela, jego wiedzę i niepowtarzalność. Na swój

120

sposób był wielkim człowiekiem, ale... ta jego mania związana z Tytusem Działyńskim zakrawała na szaleństwo.

- Sądzi pani, że Karski był chory psychicznie?
- Nie, nie - zaprzeczyła zdecydowanie i łyknęła Gyokuro. -Nie z medycznego punktu widzenia...
- A z jakiego?
- Obyczajowego. Chociaż to za radykalna diagnoza...

Potem nauczycielka opowiedziała mu o zwyczajach Karskiego, o tym,

że widział on w Tytusie Działyńskim postać godną naśladowania w dzisiejszych zepsutych czasach. Łączył bowiem w sobie Działyński szacunek dla wiedzy, patriotyzm, z odpowiedzialnym pojmowaniem władzy, co dałoby się skrócić do starej rzymskiej mądrości, że rządzić znaczy inaczej służyć. Sam Działyński ujął to słowami: „zasługi przodków włożyły na nas kapłaństwo, kapłaństwa zaś obowiązkiem - zajmować się społecznymi sprawami, pogardzać próżnościami”.

Patriotyzm fundatora Biblioteki Kórnickiej nie ograniczał się wyłącznie do uczestnictwa w Sejmie Prowincjonalnym w Poznaniu, sejmie berlińskim czy posiedzeniach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (którego był prezesem) i Towarzystwa Naukowej Pomocy, lecz objawiał się przede wszystkim w gromadzeniu i wydawaniu zabytków piśmiennictwa polskiego oraz łacińskich źródeł historycznych³⁴. Mimo iż nie popierał idei Wiosny Ludów, to jednak przyjął podrzędną funkcję organizatora jazdy ułańskiej w powiecie poznańskim. Z tego powodu musiał potem odsiedzieć w więzieniu wyrok, po którym pojechał odpocząć na wyspę Helgoland. Wiosna Ludów zakończyła się, jak wiemy, klęską, była zrywem niepotrzebnym, prowokacją inspirowaną przez rodzącą się w Europie siłę o rewolucyjnych inklinacjach, a powstanie sprowadziło na Księstwo Poznańskie same nieszczęścia.

³⁴ Między innymi wydał drukiem *Acta Tomiciana* — osiem tomów dokumentów do panowania Zygmunta I, a także trzytomowy zbiór materiałów z procesów Polski z zakonem krzyżackim, z XIV-XV w. - *Lites ac res gaesle inter Polonos Ordinemque Cruciferorum*.

- Tytus Działyński to widział - mówiła nauczycielka. -

Emanuel zaś nie darzył szacunkiem lewicowych idei. Chętnie widział we współczesnej Polsce miejsce dla monarchii. I to w XX wieku! Proszę mnie źle nie zrozumieć. Klasa panująca to nie są wredni ziemianie, kapitaliści, wyzyskiwacze; niektórzy dzisiaj nie chcą uwierzyć, że dziedzic czy arystokrata byli najczęściej ludźmi czułymi na nieszczęścia ubogich. Wszak Działyński, arystokrata z krwi i kości, popierał działalność charytatywną żony, bronił interesów poddanych i czasami pożyczał im pieniądze na rozpoczęcie działalności gospodarczej, bywało, że bezzwrotnie. Jego syn Jan i ostatni właściciel Kórnicka, Władysław Zamoyski, również nie byli obojętni na los poddanych. Oni wszyscy, kierując się etyką chrześcijańską, uważali rządzenie za rodzaj służby.

Izabela Marczenko zaczerpnęła powietrza.

- Czy tacy ludzie nie przydaliby się w dzisiejszej Polsce? - zapytała po chwili. - Byliby lepsi od współczesnych banków i niewydajnych urzędów, bardziej sprawiedliwi od współczesnej władzy. Kiedy po Wiośnie Ludów Tytus Działyński nie mógł oficjalnie działać politycznie, zajął się ekonomią i kulturą. Udzielał się w różnych towarzystwach, urządzał wystawy, organizował odczyty, uprawiał! głównie mecenat indywidualny i otaczał opieką uczącą się młodzież. Wreszcie podtrzymywał finansowo polskie firmy i wspomagał weteranów powstań.

Znudzony opowieścią Barber chrząknął dyskretnie. Nauczycielka w mig pojęła jego intencje.

- To wszystko, co opowiadam o Działyńskim, jest bardzo ważne - dodała. - Emanuel bowiem, wzorując się niejako na Tytusie, widział w czynach i poglądach swojego bohatera odrodzenie współczesnej nam Polski. Chce pan przykładów? Niedostatki szkolnictwa były dla niego przyczyną choroby zwanej krótko i dosadnie: „Polską”. Często podkreślał, że oprócz szkół państwowych powinny istnieć na równych prawach szkoły prywatne. Działyński, a co za tym idzie Emanuel, uważał za konieczne stworzenie silnej polskiej klasy średniej przy zachowaniu dotychczasowej pozycji ziemiaństwa; dzisiaj nazwaliby-

122

śmy je elitami. I teraz proszę posłuchać, warunkiem fortuny i pomyślności narodu według Tytusa było utrzymanie w polskich rękach ziemi, handlu i rzemiosła. Mogę panu zacytować jego słowa. Otóż w jednym ze swoich listów pisał tak: „...najgorsza przysługa dla kraju, bankructwo polskiego warsztatu pracy”. Dla niego zaopatrywanie się w polskie wyroby u polskich kupców było wręcz narodową powinnością. Namawiał gorąco znajomych i krewnych, aby kupowali z rąk niemieckich majątki ziemskie. Potępiał emigrację zarobkową. Wyznawał etos rodzinny, służbę dla kraju i społeczeństwa oraz wiarę w Boga. Był dziwakiem w oczach wielkopolskiego ziemiaństwa, stronił od salonów i zabaw.

- Dzisiaj też uznano by go za dziwaka - skwitował Barber.

- Mimo że to idealny kandydat na prezydenta.

Nauczycielka odebrała jego słowa z niezwykłą powagą.

- A żeby pan wiedział. Przydałby się dzisiaj taki człowiek.

*

Izabela poszła zaparzyć kolejną filiżankę zielonej herbaty. Barber wstał z fotela, aby rozprostować kości i stanął przed oszklonym regałem, wypełnionym obficie książkami. Wodził oczami po grzbietach różnych tytułów i ładnie oprawionych albumów. Pomiedzy starym wydaniem encyklopedii a leksykonem zauważył coś interesującego. Upewniwszy się, że kobieta nie patrzy w jego stronę, otworzył witrynę.

Trzymał to coś w ręku z rozdziawioną z wrażenia gębą. Odkrycie dosłownie go sparaliżowało, więc musiał szybko się otrząsnąć. Odstawił ów przedmiot na miejsce i zamknął drzwi regału.

- Co pani sądzi o pomysle pana Karskiego? - zapytał, krzycząc z salonu. Czuł, że głos mu drży. - Chodzi mi o te płyty CD i hasło strzegące informacji o spadku.
- Trochę mnie to zdziwiło - odpowiedziała po namyśle, cały czas stojąc przy kuchence gazowej. - Nie powiem. Emanuel był dziwakiem, ale żeby do tego stopnia? Cóż, widać te kilka lat od naszego rozstania aż do jego śmierci zrobiło swoje i jesz-

123

cze bardziej zdziwaczał. Jeszcze kiedy byliśmy razem, kupił komputer, żeby nadążać za postępem technicznym. Pewnie w ostatnich latach opanował edytor tekstu i podstawowe czynności każdego użytkownika PC; w tym także zapisywanie danych na CD. No bo jakoś musiał przygotować tę płytę z hasłem, prawda? Wiem, że stronił od rodziny... nie znajdował z dziećmi wspólnego języka... żył w innym świecie. Trochę za

daleko zaszedł w swojej alienacji. Jego poglądy na funkcjonowanie kraju, społeczeństwa i cywilizacji nie są dzisiaj popularne. Mawiał, że świat zdziecinniał, a kultura pop urosła do miana bożka, zastępując mądrość, refleksję i dobry smak. Że młodzi ludzie zamiast rozumu mają w głowach popcorn. A politycy schlebiają gustom pospólstwa.

Pani Iza wniosła wreszcie filiżanki ze świeżo zaparzoną herbatą, na widok których Barber skrzywił się z niesmakiem. Miał dosyć Gyokuro. Na szczęście zrobił to w sposób dyskretny, gdyż nie chciał zniechęcać do siebie kobiety.

Usiadł z powrotem w fotelu.

- Ma pani dzieci? - zapytał od niechcienia.
 - Nie. To znaczy... chyba nie powinno to pana interesować - zdenerwowała się; w jej oczach czaił się smutek.
- Przyjrzał się jej badawczo, ważąc coś w myślach.
- Jak pani znosi samotność? Taka kobieta jak pani...
 - Całkiem nieźle - nie dała mu dokończyć. - Jestem przyzwyczajona do samotności. To nas z Emanuelem łączyło... samotność... zamiłowanie do książek, do wiedzy... chociaż dzisiaj nie wiem, nie jestem pewna, czy związałabym się z tym człowiekiem.

Popatrzyła na Barbera uważniej, poprawiwszy na nosie okulary.

- Czy jest pan bliski rozwiązania tej zagadki? - zapytała z powagą.
- Nie. Ale idę właściwym tropem.

Nagle wyprostował się, jak ktoś kto doznał olśnienia.

- A nie zechciałaby mi pani pomóc? - popatrzył na nią chytrze.

-Ja?

- Właśnie!

- Tylko że ja pracuję - dodała ze smutkiem. - To jest problem. Pracuję jako sprzedawczyni... co drugi dzień. Dzisiaj mam wolne, ale jutro zaczynam od dwunastej w południe.

- I dlatego mogłaby mi pani służyć pomocą co drugi dzień - oznajmił i wstał. - To niegłupi pomysł. Pani знаła Karskiego najlepiej ze wszystkich spadkobierców, lepiej niż jego własne dzieci.

Posmutniała jeszcze bardziej.

- Nie mogę - wyszeptała. - Nie mogę z panem pojechać. Pan pracuje dla Patryka Karskiego. Nie wiem, jak rodzina Emanuela zareaguje na moją osobę... Nie, to bardzo głupi pomysł. Do tej pory ich unikałam, więc jak to teraz będzie wyglądało? Teraz mam się im narzucać? Rywalizować z nimi? Pewnie nie życzą mi dobrze.

- Może jednak pojedzie pani ze mną? - nalegał. - Będziemy unikać Karskich. Patryk to równy gość, trochę zbyt buntowniczo nastawiony do sióstr, ale to zwyczajna poza licealisty. Na moje rozeznanie, on ma w sobie coś z rozwiązanego sznurowadła. Poza tym nie zależy mu na spadku. Jeśli zgodził się na moją pomoc, to pewnie robi to na złość rodzinie. To typ młodego wierszoklety w dzinsach, lubi brzdąkać na gitarze, bo mu się nie chce pracować. Mówią o nim kontestator. Spróbujemy się wspólnie dogadać co do procentów. Aha, pomaga mi jeszcze jeden chłopak. Taki mały cwaniak o pseudonimie Omnibus. Uciekł domu. „Omnibus” brzmi śmiesznie, ale młokos ma łeb na karku. Zaręczam pani. To chodząca encyklopedia. Tak między nami, to mózg naszego trio, ale pani... pani jest prawdziwym skarbem! Nikt tak

dobrze nie znał Karskiego. Będzie z nas udany kwartet. To jak? Zrobimy sobie małą wycieczkę? Jutro z samego rana zwiedzimy zamek i wstąpimy do biblioteki. Obejrzy sobie pani dwa stare druki i rękopis. Potem odwiozę panią do Wrześni.

Ciekawość zwyciężyła i nauczycielka po chwili namysłu zgodziła się. Nie dopiwszy herbaty, poszła się spakować.

Kiedy upychała ciuchy i przybory toaletowe do torby, detektyw znowu podszedł do regału. Otworzył go. Tym razem

125

sięgnął po ów przedmiot wciśnięty między encyklopedię a leksykon. Odetchnął z ulgą, schowawszy go głęboko do wewnętrznej kieszeni marynarki.

*

Barber i Izabela Marczenko wsiedli do zaparkowanego przed blokiem poloneza i odjechali na południe. Nie przeczuwali niczego złego. Czułość detektywa osłabła z dwóch szczególnych powodów: przedmiotu, który zabrał z regału w mieszkaniu nauczycielki oraz obecności jej samej. To przez nią nie zauważył jadącego z tyłu srebrnego fiata punto, który podążał za nim od dłuższego czasu. Już go widział tego dnia - bodajże na osiedlu Sokołowskim, wtedy gdy przyjechał do nauczycielki - ale teraz myślał tylko o miłej pasażerze.

Nie był Karskim, więc nie mógł zaimponować jej wiedzą i dlatego świadomość własnych braków, wad, psuła mu nieco humor. Dziwne, nie potrafił wyjaśnić, dlaczego mu na tym zależy? Spodobała mu się? Gdyby był przynajmniej o dziesięć lat młodszy, pewnie mógłby się w niej

zakochać. Lecz dzisiaj nie wiedział nawet, co to słowo znaczy. A jednak nie patrzył na nią obojętnym wzrokiem.

Barber przez całą podróż umiłał sobie czas rozmową z nauczycielką. Zadawał jej coraz to trudniejsze pytania i wyciągał z niej informacje, a jednocześnie podziwiał ją. Patrzył na nią oczami mężczyzny, nie przestając myśleć o niej jako o osobie zaangażowanej w grę wymyśloną przez Karskiego. Przedmiot ukryty teraz w kieszeni marynarki nie dawał mu spokoju.

Gdzieś przed Biernatkami, na drodze biegnącej wzdłuż Jeziora Bnińskiego, zatrzymał samochód. Na poboczu stał biały citroen z otwartą maską. Dobrze ubrany kierowca próbował zatrzymać przejeżdżające samochody. Barber postanowił mu pomóc. Dobrze wiedział, co to znaczy awaria pojazdu w terenie. Jego polonez dość regularnie się psuł, więc miał słabość do kierowców dzielących jego parszywy los.

Citroen miał poznańskie tablice rejestracyjne. Kierowca wydawał się prawdziwym dżentelmenem ubranym w jasne, luź-

126

ne spodnie i kolorową koszulkę z krótkimi rękawami. Na głowie miał słomkowy kapelusz, chroniący go przed słońcem i czarne okulary przeciwsłoneczne. Był sam i mówił po francusku. Mężczyzna podał czystą i zadbaną rękę, a Barber pomyślał, że facetowi nie chciało się nawet pobrudzić.

Nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił cudzoziemiec, lecz doskonale wiedział, o co mu chodzi. Bez namysłu ruszył na przód citroena.

Pochylił się i włożył głowę pod maskę, aby obejrzeć silnik i pozostałe urządzenia. Bywało, że odłączył się jeden głupi kabelek i wystarczyło go

jedynie podłączyć. Nierzadko kończyło się na zawiadomieniu pomocy drogowej. Takie powiadomienie dla kieszeni Barbera było zwyczajnym wyrokiem śmierci, lecz ten opalony dżentelmen w wieku pięćdziesięciu kilku lat na brak gotówki chyba nie narzekał. Pochylony nad silnikiem, widział kątem oka buty cudzoziemca - drogie i lśniące mokasyny z dobrej gatunkowo skóry.

Wreszcie zauważył luźno dyndający przewód elektryczny. Znalazł przyczynę awarii! Był tak pochłonięty diagnozowaniem pojazdu, że nie spostrzegł nadjeżdżającego od strony Prusino-wa samochodu. Fiat punto zatrzymał się cicho za polonezem i wysiadł z niego rostry mężczyzna. Leniwym krokiem zbliżył się do poloneza. Stał obok przednich drzwi i posłał blady uśmiech patrzącej przez szybę pani Marczenko. W niewidocznej dla niej ręce trzymał mały pojemnik z gazem. Nagle otworzył drzwi poloneza i rozpylił gaz w jego wnętrzu.

W tym czasie Barber pracował w pocie czoła pod maską citroena. Udało mu się wsadzić końcówkę przewodu elektrycznego do jakiejś puszki. Nie widział, co się dzieje za samochodem, nie słyszał krztuszenia się pani Izy. Kierowca punto wpakował się już do wnętrza poloneza i wiązał zaskoczona kobietę.

Jednocześnie mężczyzna stojący obok detektywa opuścił maskę citroena. Zrobił to z dużą wprawą. Skutecznie. Zamroczony Barber osunął się na pobocze, a jego kapelusz przeturlał się i wpadł do płytkiego rowu.

Otworzyła jej starsza, niezwykle uprzejma kobieta o pomarszczonej twarzy - właścicielka kilku pokojów nad restauracją „Pod Złotym Kurem”.

- Dzień dobry - Klaudyna starała się być miła. - Czy mogłabym zapytać o jednego z gości. Taki niski chłopak. Przyjechał z dziadkiem.
- A ty kim jesteś, dziecko?
- Siostrą Omnibusa.
- Kogo?
- Tak go nazywamy w domu.
 - Och, jest twoim bratem? No dobrze, idź dziecko, na pierwsze piętro. Tylko że wasz dziadek jeszcze nie wrócił.
- Wiem.

Właścicielka podała jej numer pokoju Omnibusa i chwilę stała przy drzwiach, póki Klaudyna nie zniknęła na górze.

Kiedy nastolatka pokonywała schody, Omnibus leżał na łóżku, mając przed sobą włączony laptop. Znał już na pamięć treść opisów trzech tytułów z katalogu Biblioteki Kórnickiej. Dziesiątki razy je przeglądał i mógł je teraz bezbłędnie odtworzyć z głowy. Wyraz po wyrazie. Na dobrą sprawę umiałby je wyrecytować bez zająknięcia. Tak dobrą miał pamięć.

Cóż z tego, skoro nie przybliżyło go to do rozwiązania zagadki. Ślęczał w wynajętym pokoiku nad laptopem i gapił się w mały ekran wyświetlający stronę z katalogiem Biblioteki. Wiedział, że te trzy z pozoru niepowiązane ze sobą pozycje muszą mieć jakiś wspólny element. Jaki? Jaki? Jaki? Czyżby?

Podkreślił te słowa...

Przerwało mu cichutkie pukanie do drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że Barber wrócił, lecz detektyw nie należał do osób delikatnych. On tak nie pukał. Właściwie, to on wcale nie pukał. Patryk? Czyżby wrócił już z zamku?

Podszedł do drzwi i je otworzył. Na widok Klaudyny dosłownie zaniemówił.

- Cześć - bąknęła. - Mogę?
- Wejdz - otworzył szerzej drzwi.

Wpuścił ją do środka, zapominając jak go nazwała, gdy ostatnio się widzieli. Teraz zaciekawiony przyglądał się jej

128

w milczeniu. Dziewczyna weszła i przez chwilę badała wzrokiem skromnie umeblowany pokój. Zainteresował ją otwarty laptop i notatki. Wyrzała przez okno na ulicę i znowu próbowała odczytać opis starego druku z ekranu komputera.

- Gratuluję - wreszcie spojrzała mu prosto w oczy.
- Czego? - zdziwił się chłopak i zamknął pokrywę laptopa.
- Niczego jeszcze nie odgadłem.
- Mam na myśli nadajnik ukryty w skuwce wiecznego pióra.
 - A, o to ci chodzi - uśmiechnął się zagadkowo. - To zasługa Barbera.
- Jeszcze nie wrócił?
- Nie. A co u ciebie?
 - Nic. Męczymy się nad tymi sygnaturami, ale pocieszam się, że nikt z nas nie potrafi rozgryźć zagadki.

Podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. Chłopak zaniemówił z wrażenia.

- Przepraszam za tamte słowa na dziedzińcu - wyszeptała.
- Nie powinnam tak do ciebie mówić. Czasami coś mnie na padnie, walę prosto z mostu i potem tego żałuję. Mam to po

mamie.

- Nie ma sprawy.

- Przyjmujesz przeprosiny? - Tak.
- To zapraszam cię na lody. W ramach pojednania.
- Mężczyzna nie powinien się na to godzić. Ja stawiam.

- Nie jesteś jeszcze mężczyzną - odparowała i zaraz zre flektowała się, że popełniła kolejną gafę. - Przepraszam. Mam na myśli to, że nie jesteś pełnoletni. Jak chcesz, to bardzo proszę, ty stawiasz.

Omnibus zrobił niewyraźną minę i podrapał się po głowie.

- Coś się stało? - zapytała go.
- Ostatnie pieniądze wydałem na Internet - speszył się.
- No i sam widzisz, dzisiaj ciężko być mężczyzną.

129

8

W pomieszczeniu, w którym zamknięto ich związanych, czuć było stęchliznę. Barber czuł dodatkowo, że znajdują się blisko jeziora. Leżał na brzuchu na drewnianej podłodze i z trudem ułożył się na boku. Był solidnie poobijany, bolała go też głowa. Dopiero po chwili przypomniał sobie wydarzenia poprzedzające utratę przytomności. Zaskoczył go facet jeżdżący białym citroenem. Pułapka! Nabrał się na awarię samochodu na drodze do Kórnika. Trik tak banalny, że aż śmieszny.

Nie wyczuł pod marynarką pistoletu, więc zabrali mu broń.

Izabela Marczenko leżała obok niego na brudnej podłodze i szybko oddychała. Z powodu mroku panującego wewnątrz pomieszczenia nie widział jej dobrze.

- Jest tam pani? - rzucił w ciemność. - Pani Izo? Poruszyła się i odpowiedziała po chwili.
- Jestem.

Jej słabiutki głosik paradoksalnie dodał mu sił. Barber poczuł się odpowiedzialny za tę drobną istotę.

- Wygodnie pani? - zapytał i zaraz ugryzł się w język.

Co za głupie pytanie! Nauczycielka nie odpowiedziała.

- Co się stało, gdy próbowałem naprawić tego citroena? - zaczął po chwili. - Widziała pani, co tam się działo? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, to silnik samochodu i odłączony przewód elektryczny. Nieuszkodzony, ale celowo odłączony przez tego elegancika w kapeluszu. Potem łobuz zatrzaskał maskę citroena...

Opowiedziała mu o innym samochodzie, który niespodziewanie stanął za polonezem. Zdaje się, że był to fiat punto. Jego kierowca wyszedł i wtargnął do samochodu Barbera. Rozpylił paraliżujący gaz i bez trudu ją obezwładnił. Założono jej na oczy opaskę, związano i uspio, przyłożywszy do nosa tam-ponik nasączony jakimś świństwem. Barber sam sobie dopowiedział dalszy rozwój wypadków.

- Niedobrze - sapnął. - Są zorganizowani.
- Niech pan przestanie - załkała. - Dlaczego... dlaczego

- Widziałem dzisiaj to punto w drodze do Wrześni - próbował ją zagadać. - Śledzili mnie, a to znaczy, że chodzi im o mnie. Pani jest tutaj przypadkowo. Jestem pewny, że nic pani nie zrobią.

- Na pewno?

- Tak - powiedział z przekonaniem. - Im chodzi o mnie.

- To dlaczego tu jestem? Nie rozumiem.

- Pewnie dlatego, że widziała pani całe zajście i mogłaby ich rozpoznać.

- Ten przy Citroenie miał kapelusz i okulary. Nie wiem, czy rozpoznałabym go na ulicy, gdyby był w innym ubraniu i bez nakrycia głowy. Tego drugiego nie za bardzo pamiętam... to była chwila. Moment. On też miał ciemne okulary.

- Im chodzi o mnie, rozumie pani? Porwali panią dla świętego spokoju. Bo mogłaby pani pójść na policję i powiedzieć o Citroenie, o tym eleganciku noszącym skórzane mokasyny. O fiacie punto. Nie chcą ryzykować. W końcu żyjemy, prawda? Im nie chodzi o nasze życie. Mają względem nas inne plany.

- O co im może chodzić? O jakich planach pan mówi?

Barber zastanawiał się nad pytaniem nauczycielki.

- Wszystko wskazuje na to - odezwał się po chwili - że

interesują się tą samą sprawą co my: testamentem Karskiego.

Detektyw się nie mylił. Gdzieś po godzinie usłyszeli nadjeżdżający z oddali samochód. Odgłos pracującego silnika stawał się coraz bardziej donośny, po chwili jednak ucichł tuż za ścianą. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, czyjeś kroki i skrzypnięcie drzwi w budynku. Ktoś podszedł do pomieszczenia, w którym ich przetrzymywano i przekręcił klucz w zamku. Otworzyły się drzwi. Mocne światło latarki padło na nauczycielkę, potem

oślepiło detektywa.

- Przestań - zamruczał nerwowo Barber. - Czego chcecie?

Pieniądzy?

Osobnik kryjący się za żółtą kulą światła, zachichotał.

- A ile masz? - zapytał po chwili detektywa.
- Niewiele.

131

- To się nie wypchaj.

Aby pokazać, kto tutaj rządzi, nieznajomy kopnął Barbera w kostkę.

- Mów, co wymyśliłeś z tym hasłem! - padło wreszcie pytanie.

Detektyw zanotował w pamięci, że człowiek świecący mu w twarz latarką wiedział, kim on jest. Pewnie sprawdził to wcześniej, wyjąwszy mu licencję z wewnętrznej kieszeni marynarki. Mogło być i tak, że gość od dawna wiedział, kim jest, gdyż śledził go już w drodze do Wrześni. Nieznajomy mówił dobrze po polsku, lecz z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Mógł to być kierowca punto - współnik faceta w citroenie.

- O jakim hasle mówisz? - Barber udał zaskoczenie.
- Nie udawaj głupka. Zajmujesz się testamentem Karskiego. Węszysz z tym dzieciakiem po Kórniku. Interesuje was biblioteka na zamku i stare druki. Zgadza się? A ta pani, kim jest? No, słucham!
- To moja znajoma - odpowiedział Barber.
- Facet - zdenerwował się osobnik. - Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Wiemy o tobie wszystko! Wszystko!
- „Wiemy”? Kim jesteście?

- Mów, co z tym hasłem!

Nieznajomy znowu kopnął Barbera w nogę. Tym razem uderzenie zadane czubkiem buta było silniejsze.

- Zostawcie! - zapiszczała nauczycielka. - Ten pan nic nie wie!

Przysięgam!

- Pani Izo - zaprotestował Barber. - Proszę mu nic nie mówić!
- Przeciwnie - zarechotał osobnik. - Wyśpiewacie mi wszystko, jak na spowiedzi. Podaj hasło, Barber! A może ta pani je zna?

Nie wiedzieli, że nauczycielka była przyjaciółką Karskiego. To go podbudowało.

- Poczekaj - westchnął detektyw. - Wyluzuj, człowieku. To ty nie rozumiesz, co się do ciebie mówi. Owszem, pracuję nad tym hasłem, ale żadne z nas nie zna rozwiązania.

132

- A co z tymi starymi drukami z biblioteki? - indagował natarczywie ich prześladowca. - Co ustaliłeś?
- Nic. Zupełnie nic. Nie mam pojęcia, o co chodziło temu staremu dziwakowi.

Zagalopował się w epitetach. W pewien sposób obrażał nauczycielkę.

- Chodzi mi o pana Karskiego - poprawił się zaraz. - Moja odpowiedź brzmi: nie wiem. Mam powtórzyć? Czy pękła ci membrana? Nie wiem! Rozumiesz mnie?

W wilgotnym pomieszczeniu zapanowała cisza. W końcu nieznajomy zrobił krok do przodu, potem drugi i stanął nad wystraszoną kobietę.

- Proszę wstać - rozkazał jej. - Natychmiast.

- Nie - zajęczała.

- Zostawcie ją - zaprotestował detektyw. - Macie mnie! Ją zostawcie.

Nieznajomy nie słuchał. Poderwał kobietę z ziemi, zaczęła więc piszczeć.

- Cicho! - ryknął porywacz.

Umilkła, lecz była jeszcze bardziej przerażona, o czym świadczył jej spazmatyczny oddech.

- Pójdiesz ze mną! A ty, Barber, masz dwie godziny.

- Na co? - spytał.

- Na podanie hasła.

Kiedy opuszczali pomieszczenie, Barber zauważył na głowie mężczyzny kominiarkę.

*

Leżał w ciemności i nie potrafił pozbierać myśli. Czuł się fatalnie. Jak w takich warunkach mógł cokolwiek wymyślić? Przynajmniej nie mylił się co do powodu porwania. Porywacze pracowali nad tą samą sprawą, co i on. Sprawa testamentu bibliofila obejmowała coraz to szerszy krąg zainteresowanych. Kim byli ich prześladowcy? Dlaczego przypuszczali, że on, stary detektyw, zna hasło? Najwyraźniej go przecenili. I dokąd wywieźli Izabelę Marczenko? „Jak jej pomóc? - myślał. - Po-

133

dając im hasło? Żartownisie". Nie potrafił. Był za słaby na intelektualne łamigłówki. Ostatnio popełniał nawet głupie błędy. „O zesz ty kartofel, dać się tak podejść! - z żalem wspominał epizod na szosie do Kórnik. -

Zachowałem się jak amator. Starzejesz się, Barber. Jeśli tylko wyjdiesz cało z tej afery, przechodzisz na emeryturę. Jak nic!"

Ciekawiło go, co dzieje się teraz w Kórniku? Czy Omnibus wpadł na rozwiązanie zagadki? A może bibliotekarz uczyni to przed nim i Joanna zostanie jedyną spadkobierczynią Karskiego?

Po pół godzinie znowu znawczo zawarczał silnik samochodu - ich prześladowca zjawił się wcześniej, niż zapowiedział. Rzeczywiście, po chwili Barber usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu, zaskrzypiały drzwi rudery i podłoga, wreszcie mężczyzna wszedł do środka razem z nauczycielką. Poznał to po zapachu. Fiołkowe perfumy przepędziły na chwilę nieznośny odór stęchlizny wypełniającej dom.

- I co, Barber? - zapytał nieznajomy. - Co wykombino wałeś?

-Nic.

- Nic? Co z ciebie za detektyw! Nie martw się, dam ci do pomocy kobietę. Będziecie tu siedzieć, aż wydobędę z was hasło.
- Człowieku - zajęczał Barber. - Miej litość. Moje stare kości nie zniosą tego dłużej. Przynajmniej przetnij sznur na nadgarstkach.
- Nie ma mowy. Dowcipniś.

Nieznajomy odłożył latarkę na parapet i związał nauczycielce nogi. Barber mógł mu się przyjrzeć, gdyż snop światła padający na ścianę rozproszył ciemność. Był młody i wysoki. Nie dawał mu więcej niż trzydzieści lat. Dryblas ubierał się na czarno. Niestety, na głowie nadal miał kominiarkę.

Porywacz wyciągnął z ust kobiety knebel, ściągnął jej z oczu opaskę i wyjął z kieszeni kartkę papieru. Podszedł do Barbera i oświetlając

widniejącą na niej notatkę, wskazał ją ruchem głowy.

- Poznajesz, co to jest? - zapytał cicho.
- Nie - skłamał.

134

Doskonale wiedział, że są to opisy trzech pozycji z Biblioteki Kórnickiej, na trop których wpadli z Omnibusem. Skąd miał je ten dryblas?

- Zapytaj swoją nauczycielkę, co to jest. Powie ci.

Mężczyzna wyszedł bez słowa, zamykając drzwi na klucz.

Barbera naszły wątpliwości, czy aby Izabela Marczenko gra z nim fair.

„Zdaje się, że to ona podsunęła porywaczom ten trop” - pomyślał.

- Skąd pani wiedziała o tych trzech sygnaturach? - zapytał rozżalony.
-Wcześniej nic pani o nich nie wspominała. Oszukała mnie pani.
- Przepraszam - szepnęła, a w jej drżącym głosie słychać było skrucę. -
Tak, wiem... źle zrobiłam. Pan wybaczy, nie mogłam obdarzyć pana całkowitym zaufaniem. Ale i tak powiedziałabym panu, co udało mi się ustalić.
- Sama pani na to wpadła?
•Że to są sygnatury? Ależ to akurat jest dziecinnie proste. Od razu wiedziałam, że to sygnatury. Tylko co dalej?
•Ano właśnie. Mamy dwa stare druki i rękopis. Tylko że do hasła daleka droga.

Umilkli, gdyż zawarczał samochód. Odgłos silnika cichł z każdą sekundą.

- Jezu - szepnęła pani Iza. - Co to za ludzie?

- Nic pani nie zrobili? - przestraszył się detektyw.
 - Wywiózł mnie do lasu, bo czułam intensywny zapach żywicy. Zrewidował mnie i znalazł ten zapisek. Wszedł więc z samochodu zadzwonić... rozmawiał z kimś kilka minut. Zdaje się, że słyszałam, jak zwracał się do kogoś per „szefie”. Mówił po francusku. Potem odczekał chwilę i zapytał mnie o hasło. Powiedziałam mu to samo, co teraz panu. Ze nie wiem, co kryje się za tymi konkretnymi pozycjami ze zbiorów biblioteki w Kórniku. No więc odwiózł mnie z powrotem, żebym razem z panem myślała nad hasłem.
 - Bardzo dobrze zrobił. Lepiej, żebym to ja miał panią na oku. Znowu zapanowała cisza, którą przerwał Barber.
 - Ciekawe, po co im hasło? - zamyślił się.

135

- Jak to po co? Myślą pewnie, że Emanuel ukrył jakiś skarb...
- Tak, tak, rozumiem. Ale widzi pani, żeby odnaleźć skarb trzeba odgadnąć hasło, a przede wszystkim trzeba mieć płytę CD. Tylko ten, kto posiada jedną z czterech płytek, może wpisać odpowiednie hasło i uzyskać informację o skarbie. Jakim cudem ci ludzie chcą zdobyć płytę CD? Dziwne. A jeśli mają dostęp do jednej z nich?
- Nie rozumiem.
 - Ktoś z rodziny Karskich może na ten przykład współpracować z tymi łobuzami - odpowiedział po chwili namysłu.
- Naprawdę pan tak uważa? Niesamowita historia.
 - Jak pani sądzi - zaczął z innej beczki - dlaczego Karski wybrał te trzy sygnatury? Może ma pani jakąś teorię? Chyba nie chce pani siedzieć

tutaj kilka dni bez jedzenia i swojej ulubionej Gyokuro?

- Byliby do tego zdolni? Trzymać nas bez jedzenia i picia?
- A bo ja wiem? Lepiej wytężmy mózgownice, może uda nam się coś wymyślić.

Kobieta z trudem przysunęła się bliżej detektywa. Nadal się nie widzieli się, lecz tak wygodniej było rozmawiać.

- Wie pan co mnie zastanowiło, kiedy po raz setny czytałam karty bibliograficzne? - zaczęła.
- Słucham.
- Mamy rękopis nieznanego autora traktujący o radach dla XVII-wiecznych myśliwych i dwa stare druki: Głoskow-skiego i de Guevary. Nijak nie mogłam poskładać do kupy tych trzech pozycji. Nie pasują do siebie. Znalazłam jednak coś, co je łączy... to nikły trop... zaledwie jego namiastka.
- Co takiego pani odkryła? - wykrztusił detektyw.
 - Jest pewien element wspólny dla tych trzech pozycji. Znajdzie go pan w tytułach. Chodzi mianowicie o czas.
 - O czas? - powtórzył zawiedziony. - Jak mam to rozumieć?
 - W tytule de Guevary występuje łaciński rzeczownik *ho-rologium*, który znaczy po prostu „zegar”. U Głoskowskiego znajdziemy słowo „zegarek”, tytuł zaś rękopisu brzmi *Wskazówki dla myśliwych*. Wskazówki to atrybut zegara, prawda?

A zatem wspólnym elementem łączącym te trzy pozycje jest czas, bo do

czego służy zegar? Do odmierzenia czasu. Ale jakie jest hasło, nie wiem.

Barber nie krył podziwu. Nabrał w płuca powietrza i powoli je wypuścił. Rzeczywiście, rozumowanie nauczycielki było diabelsko logiczne. To się trzymało kupy! Ta skromna osóbką z Wrześni wpadła na właściwy trop!

- O żesz ty kartofel - pokiwał z uznaniem głową.

*

Klaudyna wyciągnęła Omnibusa na spacer. Zanim wyszli z pokoju, zdążyła zerknąć na jego notatki rozsypane na stole. Nie zrobiła tego z premedytacją, ot, po prostu, zauważyła je i odruchowo przeczytała co nieco - a zatem przepisana treść trzech kórnickich sygnatur i podkreślenia kilku wyrazów. Podkreślenia kilkakrotnie pogrubiono. Chodziło o łacińskie *horo-logium* oraz słowo „zegar” z następnego tytułu. Więcej nie dostrzegła, gdyż opuszczali pokój.

Wychodząc była dziwnie przekonana, że wizyta w tym pokoju zaowocuje wskazówką w sprawie, która przywiodła ich wszystkich do Kórnicka. Co miały ze sobą wspólnego *horolo-gium* i „zegar”? Nie znała łacińskiego znaczenia pierwszego wyrazu i wiedziała, że koniecznie musi je później sprawdzić w słowniku.

Poszli na lody. Potem kórnicką uliczką udali się nad jezioro. Noc była ciepła. Pachniało drzewami i trawą. Bliżej brzegu, za osłoną drzew i budynków odgradzających ich od miasta, panowała absolutna cisza. Dopiero po chwili okazało się, że na brzegu ktoś jest. Kilkadziesiąt metrów dalej kilka osób cicho rozmawiało, poleciał nawet do wody niedopałek papierosa.

Klaudyna usiadła na brzegu. Omnibus oparł się o pochyłe drzewo.

Zjadł wafelek po lodach i zwrócił się do Klaudyny.

- Dlaczego do mnie przyszłaś? Zachciało ci się lodów?
- Ale z ciebie nudziarz - westchnęła. - Już mówiłam, że zrobiło mi się głupio po tym, co powiedziałam przed zamkiem. Chciałam przeprosić. Mogły być ciastka, lody albo cola. Czy to takie ważne?

137

- Moim zdaniem przyszłaś do mnie w innym celu.
- O czym mówisz? - zdenerwowała się.
- Widziałaś je.

Przerażał ją ten mikrus - widział jej wzrok utkwiony w notatkach. Był naprawdę bystry. Takiego ciężko było przechytryć, lecz Klaudyna nie przyszła do niego na żadne przespiegi. Rzeczywiście zrobiło jej się głupio za garść epitetów rzuconych pod jego adresem.

- Widziałaś moje notatki - kontynuował chłopak. - Zasta nawiasz się, co znaczą te podkreślone wyrazy, prawda? Bo mnie one zainteresowały.

Ależ ją zdenerwował tymi pytaniami! Zacisnęła mocno zęby i próbowała się uspokoić. Nie potrafiła.

- Pójdiesz zaraz do siebie i sprawdzisz, co znaczy łaciński wyraz - mówił łagodnym głosem. - Jak chcesz, to ci powiem. I tak niedługo się dowiesz.
- Nie, dziękuję - wzruszyła ramionami.
- Wszystkie trzy tytuły wskazane przez Karskiego mają związek z czasem. Ale czy „czas” jest tym słowem, o które chodzi, nie wiem.
- Bravo! - pochwaliła go, lecz zaraz posmutniała. - Uwierz mi, nie

przyszłam do ciebie na przeszpiegi.

- Chciałbym.
- Nie wierzysz?

Teraz on wzruszył ramionami.

Nagle rozmawiający nieco dalej ludzie skończyli naradę i ruszyli brzegiem w ich stronę. Zaniepokojona męskimi głosami Klaudyna wstała energicznie i obserwowała zbliżających się osobników z niepokojem.

Tamci zauważyli ją z daleka.

- Ej, ty! - wołali pijackimi głosami. - Masz szluga?

Klaudyna nie odpowiedziała. Przestraszyła się. Omnibus poznał po głosie Bryzola i jego kumpli.

- Mała, może chcesz grzdyla? - rechotał inny i uniósł w górę prawie pustą butelkę po winie. - Chodź do nas!
- Z kim jesteś? - dopytywał się inny. - Kto to?!
- Stój, gówniaro! Dokąd zwiewasz?!

138

Klaudyna uciekała w stronę miasta.

- Chłopaki, gońcie ją! - wrzasnął Bryzol, niszcząc tym samym doszczętnie spokój okolicy. - Ja zajmę się jej kołem!

Wtedy to Omnibus zdobył się na odważny gest. Wyszedł naprzeciw zbliżającej się bandy.

- Czego chcecie? - zapytał twardo i obejrzał się za siebie. -

Klaudyna, wracaj! Nic nam nie zrobią.

Dziewczyna zdążyła uciec dobre trzydzieści metrów ścieżką ciągnącą się wzdłuż porośniętego trzcinami brzegu. Zatrzymała się, gdy dystans

dzielący ją od pochyłego drzewa zapewniał jej bezpieczeństwo.

Niepokoili ją nonszalancka postawa Omnibusa, który zachowywał się jak ktoś niespełna rozumu. Czyżby zamierzał walczyć z podejrzanymi typami? „Udaje bohatera!” - pomyślała. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Otóż na widok Omnibusa grupa pijanych facetów zatrzymała się. Podpici osobnicy po prostu spuścili z tonu.

- A, to ty! Siema! - usiłował trzymać fason Bryzol, dobrze pamiętający spotkanie na kórnickiej alei, a tak naprawdę miał na uwadze pistolet Barbera. Broń zrobiła na nim i jego kumplach duże wrażenie. -
Wszystko git! To tylko zgrywy!
- Ja myślę - rzucił gniewnie Omnibus.
- No to spadamy - dodał któryś. - Idziemy szukać kapitału. I pozdrów od nas dziadka.

Odeszli zaroślami, niemalże kłaniając się im w pół. Dlatego też Klaudyna mogła wrócić do Omnibusa, odprowadzającego wzrokiem Bryzola i jego ludzi.

- Znasz ich? - zdziwiła się.
- Nie za bardzo - odparł obojętnym tonem.

Nic z tego nie rozumiała. Jakim cudem ten niepozorny chłopak ujarzmił bandę pijanych nierobów? Kim był jej rówieśnik, że słuchali go miejscowi żule? Patrzyła w twarz Omnibusa tak natarczywie, aż sprowokowała go do komentarza.

- W zasadzie to nieszkodliwi goście - dodał. - Trzeba tylko właściwie z nimi rozmawiać.

Klaudyna pokiwała ze zdumieniem głową.

*

Po incydencie nad jeziorem Omnibus odprowadził ją do pensjonatu i wrócił do siebie. Na ulicy przed wejściem do znajomej bramy znalazł automat, z którego zamierzał wykonać jeden ważny telefon. Niestety, po drugiej stronie nikt nie odbierał. Zawiedziony ruszył do bramy i wszedł na górę. U Patryka świeciła się lampka nocna - widział światelko w szparze nad podłogą. Jednak chrapanie dochodzące z za drzwi znaczyło, że młody Karski wcześniej położył się spać, rezygnując z rozwiązywania zagadki. Nie było z kim pogadać. Na wszelki wypadek zapukał do Barbera. Cisza. Nieobecność detektywa zaczynała go poważnie niepokoić.

Wrócił do swojego pokoju i zmusił się do przejrzenia notatek. Emanuel Karski wybrał te a nie inne pozycje z Biblioteki Kórnickiej, a właściwie cała sprawa rozbijała się o tytuły, jak bowiem sprawdzili w czytelni zamku, zmarły bibliofil nigdy nie sięgnął po te konkretne pozycje. On nawet nie trzymał ich w ręku! Trzy wspomniane tytuły były elementami pewnej gry, układanki, w której spostrzegawczość odgrywała najważniejszą rolę. Zaznaczone przez Omnibusa elementy występujące w tytułach, sprowadzały się do „czasu”. Zegar i wskazówki! Czy istnieje bardziej obrazowy sposób przedstawienia czasu?

Otworzył laptop. Załadował encyklopedię wirtualną i zaraz odszukał definicję słowa „czas”..

- „Czas jest miarą długości trwania zjawisk” - odczytał.

Znalazł jeszcze inne wyjaśnienie pojęcia czasu. Przeczytał, że to „podstawowa właściwość, a zarazem jeden z najważniejszych sposobów ujmowania istnienia i że kwestia jego natury pozostaje po dziś dzień sprawą wielce dyskusyjną”. Nie za mądre? Kiedy właściwie powstał czas?

Czy jest skończony, czy też nieskończony? Czy „strzałka czasu” ma jeden kierunek? Tymi zagadnieniami zajmowały się w historii ludzkości wielkie umysły - naukowcy, teologowie, poeci i filozofowie. Dla pitagorejczyków na przykład czas był związany z ruchem i zmianą, Platon przedstawiał czas jako „ruchomy obraz wieczności”, Arystoteles również kładł nacisk na związki odczuwania czasu z postrzeganiem ruchu i dzielił go na:

„wcz-

140

śniej”, „teraz” i „później”. Święty Augustyn (podobnie jak święty Tomasz) uważał, że czas został stworzony wraz ze światem i jest nierozzerwalnie związany z przeżyciami i wrażeniami człowieka. Newton z kolei „stworzył” czas absolutny - niezależny od czynników zewnętrznych i wewnętrznych, ten sam dla wszystkich układów odniesienia. Z tym stanowiskiem nie zgadzali się Berkeley i Kant. Ten drugi rozwinął nawet teorię, według której czas (i przestrzeń) nie jest obiektywną cechą świata materialnego, a pochodzi z naszych zmysłów - jako forma naszego poznania, czyli sposób, w jaki umysł ludzki grupuje i układa docierające doń bodźce; człowiek zawsze doświadcza świata w czasie i przestrzeni i tym samym go formuje.

Z kolei dla Bergsona czas był doświadczany w sposób bezpośredni i intuicyjny przez naszą świadomość (filozof ten „oddzielił czas od przestrzeni” - cechę deformującą, według niego, rzeczywistość). Balmes widział czas powstający w umyśle w kontekście stosunku „być” do „nie być”. Husserl zaproponował koncepcję bezczasową (czas jako odpowiednik stanów umysłu), odrzuconą następnie przez Heideggera, który w „cza-sowości” widział sens naszej egzystencji (a człowieka jako

podmiot własnego bytu). Hegel, Marks i Engels - a więc materialiści dialektyczni - uważali czas za atrybut materii. Współczesna nauka postrzega już czas jako parametr czasoprzestrzeni, dzięki pracom Einsteina. Znany współczesny fizyk, autor głośnej książki *Krótką historia czasu* Stephen W. Hawking jest twórcą teorii, że czas i przestrzeń nie mają granic ani brzegów, są jednak skończone. Wszechświat zaś miał się wyłonić z nicości. Niemożliwe? Wydaje się to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, lecz autor wspomnianej książki proponuje powierzchnię kuli jako model owej przestrzeni. Jest „skończona” i pozbawiona brzegów oraz granic.

Poglądy Hawkinga były dla Marka, o dziwo, zbieżne z wizją zaczerpniętą z Apokalipsy: „i odtąd czasu już nie będzie”. Według Apokalipsy nadejdzie kiedyś taka chwila, gdy czasu już nie będzie! Przyznajmy otwarcie - tego normalny człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić, podobnie zresztą jak teorii

141

Hawkinga nie można było ogarnąć zmysłami. Lecz, o dziwo, wizje świętych i współczesnych geniuszy nauki bywały czasami zbieżne. Najbardziej spodobała się Omnibusowi wypowiedź świętego Augustyna o złudności i nieuchwytności czasu. Dla tego wczesnochrześcijańskiego filozofa i teologa - przeszłości już nie ma, przyszłości jeszcze nie ma, teraźniejszość natomiast nieprzerwanie rozpada się na przyszłość i przeszłość. Ciekawe. Czy tak bardzo rozumienie pojęcia czasu przez świętego odbiegało od poglądów współczesnych nam fizyków, którzy z „czasem” robili, co chcieli?

„Tylko co to wszystko ma wspólnego z zagadką wymyśloną przez

Karskiego? Jak zrozumieć przesłanie «czasu»? I czy w ogóle chodzi o «czas»?" Omnibus był pewien, że tak. „Zegar” i „wskazówki” kojarzą się przede wszystkim z „czasem”. Z jego upływem! „Jak to rozumieć? Jak rozgryźć «czas» Karskiego?” - zastanawiał się chłopak.

Tego wieczora nie udało mu się ta sztuka, choć był bliski rozwiązania zagadki. Przyszło ono następnego dnia rano. I to nie za jego sprawą.

*

Nie mógł dłużej spać. Przebudził się, gdy za oknem świt zamienił się w kolejny ładny dzionek. Kórnicka ulica tętniła życiem i rozbrzmiewała wakacyjnym gwarem. Było po ósmej i pierwsze co zrobił po wyjściu z wyrka, to z nadzieją zapukał w drzwi pokoju Barbera, a następnie zawiedziony ciszą po drugiej stronie, poszedł do łazienki.

Po wyjściu z niej natknął się na korytarzu na wychodzącego ze swojego pokoju Patryka, a właściwie stojącego już za progiem. Spał jeszcze i wydawało się, że nie dostrzega sąsiada.

- Cześć - rzucił Omnibus.
- Hejo - ziewnął Patryk.

Młody Karski mruczał coś pod nosem i zamknął się w łazience. Omnibus zaś zauważył pewien drobny, acz istotny szczegół. Otóż, dałby sobie uciąć głowę, że przed wyjściem z własnego pokoju starannie zamknął drzwi. Teraz były lekko uchylone. Tylko Patryk mógł tu wejść lub w najlepszym razie

je otworzyć. Pokój obok zamieszkiwała para spokojnych turystów, i automatycznie skreślił ich z listy podejrzanych. W rachubę wchodził tylko

młody Karski!

Udawał zaspanego. Spłoszony powrotem Omnibusa wyszedł szybko z jego pokoju, nie zamknawszy dokładnie drzwi. Czego szukał? Czy przeglądał jego notatki? Pewnie zdążył tylko na nie zerknąć i nie miał czasu na otworzenie laptopa. Niewykluczone jednak, że podkreślenia w notatniku naprowadziły go na właściwy trop związany z czasem.

„Dlaczego Patryk mi o tym nie powiedział? Przecież Barber i ja pracujemy dla niego? Nie ma do nas zaufania? - myślał gorączkowo. - A może mnie sprawdza?”

Szybko dopadł do wciśniętego pod łóżko plecaka i z ulgą odetchnął; niczego nie T*uszano. Legitymacja szkolna włożona głęboko pod dnem usztywnionym tekturą, była na swoim miejscu.

Omnibus postanowił nie poruszać sprawy owego incydentu. Będzie obserwował zachowanie Patryka. Musi na niego uważać.

Po spałaszowaniu smacznej jajecznicy przyrządzonej przez właścicielkę hoteliku, poszli na zamek. W drodze rozmawiali o Barberze, zastanawiając się, co się z nim dzieje i czy nie zawiadomić policji o jego zniknięciu.

- Poczekajmy jeszcze jeden dzień - zaproponował Omnibus.

Patryk zgodził się bez słowa.

Powoli zbliżali się do zamku. Północna fasada pogrążyła się w cieniu, gdyż słońce wschodziło ponad parkiem po lewej stronie. Jedyne wschodnia wieża odpierała dzielnie atak ostrych promieni.

Chłopcy dostrzegli wychodzącą z Oficyny nad Jeziorem parę. Na ich widok zatrzymali się i przylgnęli do ściany szarego domu. Joanna i żabojad przeszli szybko ulicę i podeszli pod pomnik Tytusa

Działyńskiego. Spieszyło im się.

- Wcześniej zaczynają - zauważył Patryk.

- Być może dostali wiadomość od bibliotekarza - myślał na głos Omnibus. - Może idą na spotkanie z nim i za chwilę poznają rozwiązanie zagadki.

143

Na obojętne dotąd oblicze Patryka spłynął lekki cień niepokoju.

Kiedy znaleźli się w zamkowej sieni, udało im się wykupić bilety przed grupką młodzieży szkolnej i chcieli pobiec na górę. Jednakże nie wybrali najprostszej drogi prowadzącej do schodów. Przeszli przez Pokój Generałowej i Salon, aż do Czarnej Sali. Dopiero z tego pomieszczenia wymknęli się cichaczem na korytarz. Joanna i Francuz stali przy schodach prowadzących na pierwsze piętro i przeglądali przewodnik po zamku. Naradzali się szeptem.

- Zacznijmy od góry, mój ty geniuszu - zaproponowała Joanna.

- Dobrze - kiwnął głową Pierre.

Para ruszyła schodami na piętro.

Omnibus szybko zlustrował plan zamku, który miał przy sobie. Już po chwili pociągnął Patryka do Sali Jadalnej we wschodniej części zamku, z której przeszli do Pokoju Marii Zamoyskiej. Wreszcie znaleźli się w Zakątku Myśliwskim. Omnibus wskazał renesansowe schody z bogato rzeźbioną balustradą, prowadzące na piętro.

- Tędy - rzucił krótko.

Na piętrze ukłonili się grzecznie wychodzącemu z pokoju po prawej stronie jakiemuś pracownikowi i dali nura do sali sąsiadującej od północy

z Salą Mauretańską. Znaleźli się w Apartamencie Gościnnym z ozdobną posadzką i staropolskimi portretami wiszącymi w niszach, lecz nie przyszli tutaj zwiedzać. Za plecami mieli wyjścia na korytarz i schody, przed sobą przejście do Sali Maurerańskiej.

Głos Joanny dochodził z północnej części kondygnacji, tuż za ścianą. Zakochani zmierzali albo do czytelnicy i sekretariatu, albo do sali, w której przebywali chłopcy. Siostra Patryka mówiła po francusku, jednak jej głos zagłuszyło opowiadanie przewodnika oprowadzającego grupę młodzieży.

- Ta sala, zwana Mauretańską, była za czasów Tytusa Działyńskiego biblioteką, potem jego syn Jan urządził w niej salę muzealną - opowiadał. - Sala składa się z trzech połączonych ze sobą wewnątrz nawiązujących do Dziedzińca Lwów i Dziedziń-

144

ca Mirtów Alhambry, t& jest pałaców arabskich w*Grenadzie.. Pod portykiem widzicie liczne militaria związane z husarią, lufy armatnie z XVIII wieku, kopie husarskie, pod galeryjką widzicie obrazy o tematyce historycznej, wizerunki hetmanów oraz portrety królów. Tam... między oknami znajdują się XVI-wieczne miecze dwuręczne... tutaj zaś neogotycka szafa ze strzelbami... obok szafa hamburska z początku XVIII wieku z wyrzeźbionymi postaciami biblijnymi. Przejdźmy dalej...

Cień Joanny i cudzoziemca położył się na posadzce korytarza za drzwiami Pokoju Gościnnego i przesuwiał się szybko ku nim. Omnibus i Patryk rzucili się w przeciwnym kierunku -do Sali Mauretańskiej. Udało im się uciec w ostatniej chwili.

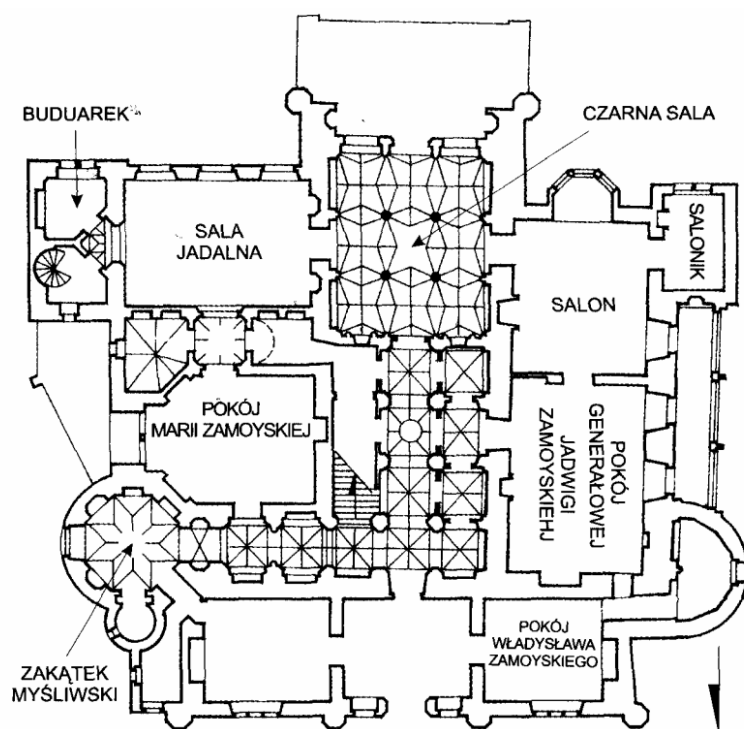
Wycieczka stała na środku wielkiej i wysokiej sali, która nawet w chwili niezbyt odpowiedniej do zwiedzania imponowała wystrojem i

bogactwem zgromadzonych eksponatów. Sala Mauretańska powstała z połączenia dwóch pomieszczeń i dobudowania trzeciego oraz podwyższenia o jedną kondygnację. Jej przednią, zachodnią część przykrywał drewniany strop. Otoczona była z trzech stron mauretańskim, kolumnowym portykiem. Wschodnia część miała sklepienie gwiaździste. Część środkową przykrywał płaski, belkowany strop, na ścianach zaś umieszczono liczne herby Polski i Litwy, pod oknami stały gabloty z bronią pochodzenia wschodniego i cennymi karabelami.

Przewodnik wskazywał na ustawione w środkowej części sali popiersia.

- To XIX-wieczne popiersia brązowe Tytusa Działyńskiego-go, księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, generała Władysława Zamoyskiego i kanclerza Jana Zamoyskiego - kontynuował. - Naprzeciw okien stoją dwie XIX-wieczne gabloty z ceramiką i srebrami. Zwróćcie uwagę na dwa obrazy wiszące nad gablotą: *Wjazd Henryka III do Wenecji z 1574 roku* oraz dzieło szkoły hiszpańskiej z pierwszej połowy XVII wieku *Dwunastoletni Jezus w świątyni*.

Omnibus i Patryk, widząc wchodzących do sali Joannę i żabojada, szybko wmieszali się w gromadę młodzieży. Na szczę-

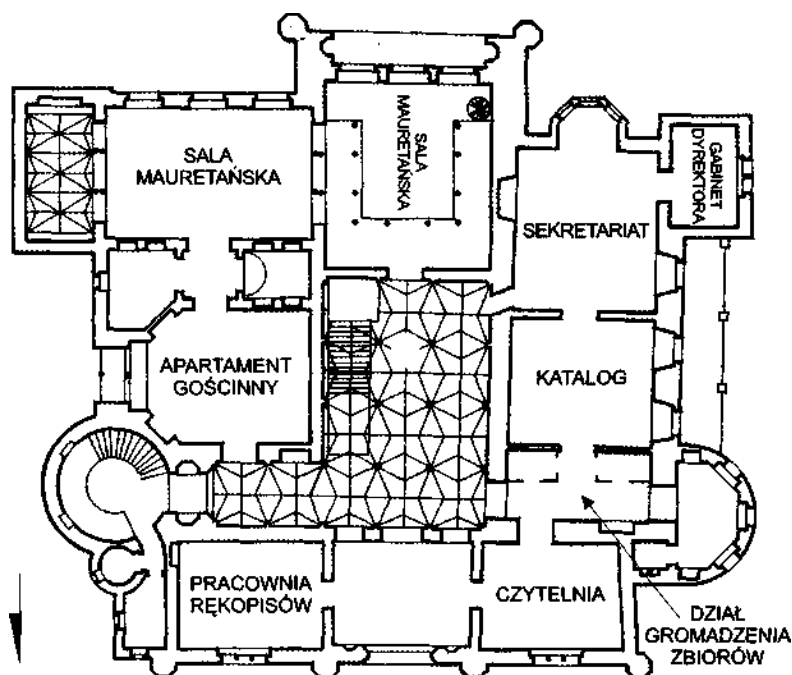


Parter zamku kórnickiego

ście, nie musieli obawiać się dekonspiracji, gdyż para najwyraźniej nie zwracała uwagi na ludzi, a wyłącznie interesowały ją gabloty. Było to zwiedzanie pobieżne, jakby szukali konkretnego eksponatu. Zresztą szybko przekonali się, że nie ma go w tej sali i poszli dalej.

Młodzież z przewodnikiem dotarła wreszcie do kolejnej, wschodniej części sali, przykrytej sklepieniem gwiazdzistym, w której zgromadzono zabytki sztuki kościelnej. W tym czasie Joanna z ukochanym ruszyli dziarskim krokiem ku przedniej części pomieszczenia z zamiarem opuszczenia go. Szli wzdłuż ustawionych w rzędzie zbroi i armat. Kierowali się ku wyjściu do holu.

Chłopcy zrezygnowali z towarzystwa wycieczki. Podążyli śladem narzeczonych. Ci szli już trzynawowym hołem z ostro-



Piętro zamku kórnickiego

łukowymi sklepieniami, które wspierały ośmioboczne filary.

Zrezygnowali z odwiedzin apartamentów Izabeli Działyńskiej po lewej stronie i kierowali się ku schodom.

Schowani za filarami chłopcy słyszeli fragment rozmowy w języku francuskim.

W pewnym momencie z sekretariatu wyszedł znajomy bibliotekarz. Zaskoczony obecnością Omnibusa, schowanego za filarem, zatrzymał się.

Chłopak ocknął się w porę.

- Czy to Jan III Sobieski? - zagadnął mężczyznę, wskazując obraz wiszący nad wejściem do sekretariatu.

-Tak.

- Ładnie na nim wyszedł - palnął.

Bibliotekarz pewnie zatrzymałby się dłużej i udzielił Omni-

busowi obszerniejszych wyjaśnień, gdyby nie to, że w głębi holu, między drzwiami do czytelnicy i pracowni rękopisów, dojrzał Joannę i jej narzeczonego.

- Och, jak dobrze, że państwa widzę! - rzucił głośno i popędził do nich.
- Dzwonię już od godziny do pani i nic.
- Widocznie telefon się rozładował - bąknęła.
- Mam pewien trop, pani Joanno... Te trzy tytuły mają ze sobą coś wspólnego...! To pasjonujące! Dopiero dzisiaj z samego rana to zauważyłem. „Zegar” i „wskazówki”... niesłychana historia! Moim zdaniem to wyraźna aluzja do czasu. „Tem-pus”... „temporis”... o co chodzi konkretnie, jeszcze nie wiem, ale niedługo podam pani ostateczne rozwiązanie.
- Bardzo panu dziękujemy - klepała grzecznie Joanna.
- Nie jest pani zadowolona? - zmartwił się bibliotekarz. - W trzech tytułach wybranych przez pana Karskiego występuje dwa razy słowo „zegar” i raz „wskazówki”. Czy istnieje lepsza aluzja do „czasu”?
- Tak, wiemy o tym - Joanna ściszyła głos i nieoczekiwanie zerknęła w bok.

Na szczęście chłopcy byli dobrze schowani za filarami.

- Państwo już wpadli na ten trop? - zdziwił się bibliotekarz.
- Tak - odpowiedziała z dumą. - I tu nie chodzi o czas...
- Tu ne dit rien du horloge - ostrzegł ją Pierre w swoim ojczystym języku.
- Do widzenia panu - urwała rozmowę Joanna. - Musimy już iść.
- Do widzenia - mruknął wielce zawiedziony mężczyzna.

Para skierowała się pospiesznie ku schodom. Oparty zaś

o filar Omnibus wpatrywał się w wiszący na ścianie portret Jana III Sobieskiego i nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Dosłownie zamarł, a powodem jego reakcji były słowa wypowiedziane przez żabojada. Jak to dobrze, że od siódmego roku życia uczył się francuskiego. Nie przesłyszał się. „Tu ne dit rien du horloge”. Pierre przestrzegł Joannę, żeby nie wspominała bibliotekarzowi o zegarze. „Ani słowa o zegarze!” - tak jej powiedział.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że w zagadce Karskiego

148

chodzi o „zegar”. A to oznaczało, że zagadka była łatwiejsza do rozwiązania, niż przypuszczał. Niepotrzebnie doszukiwał się podtekstów i głębszych znaczeń. „Horologium”. „Zegar”. „Wskazówki”. Jakież to proste! Po prostu Karski chciał zwrócić ich uwagę na „zegar”! Odkrycie go zelektryzowało, mimo że Omnibus nie miał pojęcia, o jaki zegar chodzi. „I jakim cudem ten cały Pierre wpadł na to?” - zastanawiał się.

Z zamyślenia wyrwało go energiczne potrząśnięcie za ramię.

- Obudź się! - szeptał podekscytowany Patryk. - Co ci się stało?

9

Noc była okropna. Nauczycielka i detektyw, potwornie zziębnięci i znużeni, przyjęli wizytę nieznanego z ulgą. Bar-ber był pewien, że słyszał nadjeżdżające dwa albo nawet trzy samochody. Zgadywał więc, że były to citroen lub punto, którym jeździli porywacze, ale znajomy warkot swojego rozklekotanego poloneza zidentyfikował z łatwością. Silnik

gruchota przypominał odgłos maszynki do golenia produkcji radzieckiej i rozpoznałby go w każdym zakątku Ziemi. A zatem, drani było co najmniej dwóch, prawdopodobnie trzech, bo zajechali pod rudę kilkoma samochodami. „Zapewne chcą ukryć poloneza” - zgadywał. Zniknięcie detektywa z Kórnika nie przeszło pewnie bez echa. Ktoś z Karskich albo też Omnibus, albo właścicielka pensjonatu, mogli zawiadomić policję. Jeśli go szukali, to łatwo było namierzyć stojące na poboczu szosy auto Barbera.

Facet wszedł w kominiarce i tylko jego oczy spozierały na nich groźnie przez szparki wycięte w materiale. W tej chwili wydawał mu się wyższy, niż to ocenił wcześniej. Dryblas, a właściwie olbrzym, nie przywitał się, tylko od razu zapytał o hasło. Zaklął cicho pod nosem, gdy dostał negatywną odpowiedź. Nieco się uspokoił, gdy usłyszał wersję przedstawioną przez nauczycielkę Barberowi, tę dotyczącą czasu. Wszedł na chwilę na

149

zewnątrz i wrócił z termosem oraz kanapkami, które łatwo można kupić na każdej stacji benzynowej. Rozwiązał im ręce i kazał jeść. Znowu opuścił pomieszczenie, ale obserwował ich przez szparę w drzwiach. Wrócił po pięciu minutach.

W tym czasie więźniowie się posilili. Izabela Marczenko nienawidziła salami i papryki. Na głód jednak nie było rady. O dziwo, pierwszy raz w życiu smakowała jej słona wędlina.

W dziennym świetle wpadającym do wnętrza rudery detektyw obserwował ją z uwagą. Kobieta wyglądała na zmęczoną, zniechęconą, choć nie dawała po sobie niczego poznać. Jedli w milczeniu. Nieznajomy

czuwał w drugim pomieszczeniu, więc Barber zrezygnował z jakiegokolwiek próby uwolnienia się. Miał mocno związane nogi i samo ich rozwiązanie zajęłoby mu dłuższą chwilę.

Potem przyszedł olbrzym i zabrał termos.

- No jazda! - krzyknął. - Zaczynicie lepiej główkować. Chcę konkretnego hasła. Wtedy wróćcie do domu. Jak na razie gadacie zbyt ogólnikowo.
- Jak mamy, człowieku, główkować bez żadnej pomocy? Nawet zwykłej encyklopedii tu nie ma.
- Masz nauczycielkę.

Wyszedł bez słowa. Słyszeli odjeżdżające samochody.

Przez cały dzień zastanawiali się nad znaczeniem słowa „czas”. Pod wieczór Barbera oświeciło. Nie za bardzo rozumiał sens wywodów Izabeli na temat istoty „czasu”. Zgłębianie filozoficznej strony ludzkiej egzystencji nie leżało w naturze detektywa. Ponadto nie znał Karskiego i nie nadążał za tokiem rozumowania kobiety, starającej się przypomnieć szczególne epizody z życia byłego przyjaciela. „Przemijanie... iluzoryczność czasu... narodziny i śmierć... Co za głupoty!” - tego było za wiele jak na biedną głowę Barbera.

Oświeciło go w chwili, gdy nauczycielka po raz któryś powtórzyła słowa: „horologium”, „zegar” i „wskazówki”.

Barber nie wytrzymał i palnął:

- O żesz ty kartofel! A może Karskiemu chodziło o normalny zegar? O rzecz. No bo tak... mamy dwa razy „zegar” i „wskazówki”. Prawda? Po co tyle kombinować z tym czasem

i przemijaniem? Może miał on na uwadze jakiś konkretny zegar...

- Zegar? - zastanowiła się nauczycielka. - Zaraz... pomyślmy. Emanuel dał wskazówkę, że trop prowadzi na zamek w Kórniku. Tak, tak... To też możliwe. Zegar na zamku...

Pod wieczór olbrzym w kominiarce przywiózł im kolację i Barber podsunął mu pomysł z zegarem. Kategorycznie zażądali uwolnienia.

- A skąd ja mogę wiedzieć, czy mnie nie oszukujecie? - powiedział. - Sprawdźmy, zobaczymy.

I wyszedł, zamknąwszy starannie drzwi na klucz.

Izabela Marczenko wydała z siebie coś w rodzaju szlochu połączonego z jękiem. Nie płakała, lecz była w kiepskim nastroju. Puściły jej nerwy. Dzisiaj powinna była stawić się w sklepie. Nie zrobiła tego. Czuła, że straciła posadę. A tu zamknęli ją w jakiejś norze i nie wiadomo, kiedy wypuszczą.

Każdy na ich miejscu czułby się podle. Nie dość, że leżeli związani w jednym miejscu ponad dobę, to jeszcze wszystko ich bolało. Złość mieszała się ze zmęczeniem. W nocy dokuczał chłód, a nadto szechobecny odór stęchlizny, którego nie potrafił zneutralizować żywiczny zapach lasu. Dobijała zaś świadomość, że ich prześladowca nie dotrzymał słowa. Nie uwolnił ich. Prawdopodobnie sprawdzał teraz z „dżentelmenem” jeżdżącym białym citroenem użyteczność hasła. Być może pomagał im nawet ktoś z potencjalnych spadkobierców. Na przykład - Pierre Clarmount. Bo jeśli planował ożenić się z Joanną, to mógł dostać w swoje łapy majątek Karskiego.

Barber miał nadzieję, że zegar stanowi klucz do rozwiązania zagadki. Podzielił się z nauczycielką swoimi przypuszczeniami, które ona zaraz

podważyła.

- Nie rozstrzygniemy teraz tego - jęknęła. - Nie wzięłam ze sobą płyty CD. Komputera też tu nie ma. A nawet gdyby były i trzy komputery, to ze związanymi rękami nie moglibyśmy otworzyć nawet jednego. Obawiam się, że nawet James Bond miałby z tym trudności.
- Ano miałby.
Po chwili znowu zaczęła mówić.

151

- Gdy tylko zrozumiałam, że Emanuel poprzez dobór trzech tytułów pragnie zwrócić uwagę na „zegar”, natychmiast pomyślałam, że hasłem jest słowo „czas”. Mówiłam panu jeszcze we Wrześni o „innym tropie”. Niestety, plik się nie otworzył. Wprowadziłam inne propozycje... „klepsydra”... „minuta” albo „godzina”. To ze względu na ową „wskazówkę” w tytule rękopisu. Nic. Zupełnie nic. Wtedy pojęłam, że zadanie nie jest takie proste, że zagadka jest bardziej wyrafinowana i że przyjdzie się pomęczyć, zanim zrozumiemy, co symbolizuje „zegar”. W jednym muszę oddać panu sprawiedliwość, panie Barber, a mianowicie, że może pan jest bliższy prawdy i chodzi tu o „zegar”, nie o „czas”. Tylko że jeśli ci bandyci nie otworzą pliku, to my tu zostaniemy na zawsze.

Gdyby tylko Barber nie leżał na starej, drewnianej podłodze i nie miał związanych rąk i nóg, pewnie wyprężyłby z dumą pierś. Odczuwał autentyczną satysfakcję z pochwały. W końcu był doświadczonym detektywem. Co z tego, że „w myśleniu nie grzeszył subtelnością” - co często powtarzała jego pierwsza żona - skoro jego rozumowanie zmierzało zawsze prosto do celu. Prostota myślenia stanowi często zaletę.

Potem Izabelę Marczenko ogarnęła depresja. Mówiła ciągle o pracy i o

tym, że ma dość wszystkich zagadek świata. Barber próbował ją bezskutecznie pocieszać. Jednocześnie zastanawiał się, czy przypadkiem kobieta nie próbuje go przechytrzyć. Wcześniej nic nie wspomniała mu o tym całym „czasie” i „zegarach”. Jeśli wcześniej przypuszczała, że „czas” to właściwy trop, czemu nie pomyślała o „zegarze”. W końcu to nasuwało się samo i on na to wpadł. Udawała? Barber byłby wściekły, że obcy dobiera mu się do spadku, więc ona także mogła być nie do końca lojalna wobec niego. Za dużo było w tym wszystkim kręcenia, z tym całym „czasem” i „klepsydrami”.

Ale mogło być i tak, że mówiła prawdę. W końcu zależało jej na szybkim powrocie do domu. Nie umiałaby udawać niewiedzy i rozżalenia w tak mistrzowski sposób. Była autentycznie załamana. Musiała wybierać: albo spadek, albo dom. O jej silnym zaangażowaniu w historię spadku świadczył przedmiot

152

schowany w kieszeni marynarki, ten, który Barber zabrał z jej domu. Tak, tak... albo spadek, albo dom.

Zasnął po zachodzie słońca. Budził się w nocy kilka razy. Nasłuchiwał, wyteżał w ciemności wzrok, węszył jak zwierzę, a potem przekręcał się na drugi bok i spał dalej. Pani Izabela także spała, gdyż za każdym razem słyszał jej równy i dość spokojny oddech.

Wstał nowy dzień i rozlał złociste światło na okolicę. Wraz ze świtem zbudziły się nowe nadzieje rozgłaszane przez poranne ptasie koncerty. Niestety, w ruderze panowała atmosfera daleka od idylli.

Poza tym nikt się nie zjawił.

*

Omnibus powiedział Patrykowi o odkryciu żabojada. Nie było czasu na zabawę w pytania i odpowiedzi, gdyż para zakochanych zeszła na dół oglądać zegary.

Narzeczeni zatrzymali się w Saloniku na parterze. Owo pomieszczenie w południowo-zachodniej wieży zamku wypełniały barokowe i klasycystyczne meble pochodzące z wieków XVIII i XIX, pod oknem stała kanapa i krzesło, z boku zaś pod ścianą ustawiono barokowe komody, a na nich - zegary. Trzy zegary na trzech komodach. Trzy - jak trzy sygnatury wyróżnione przez Karskiego. Największy i najbardziej okazały zegar stał na szerszej komodzie na środku ściany. Nad nim wisiał portret syna księcia Bonawentury - Galezzina, dzieło szkoły weneckiej z 1560 roku. Po lewej stronie zawieszono portret Aleksandra Sobieskiego (syna króla Jana III) oraz po prawej płótno przedstawiające śmierć św. Sebastiana.

Chłopcy poszli za nimi. Stanęli przed wejściem do niewielkiego pomieszczenia, w którym urzędowała młoda para, więc słyszeli każde słowo.

Joanna rzuciła się na środkowy zegar z zachłannością dziecka i Pierre musiał przywołać ją do porządku. Wkrótce obejrzelni pozostali zegary, lecz modelka szybko straciła cierpliwość.

- Zegary jak zegary - gderła.

W tym czasie cudzoziemiec kartkował folder.

153

- Mamy tu zegar szafkowy z mechanizmem Cohneliusa

Liehba z Rhegensbuhga, z przełomu XVII i XVIII wieku, białozłoty z malowanymi płycinami porcelanowymi w stylu Ludwika XVI i klasycystyczny w drewnianej złożonej oprawie. To ten pośhodku.

Chwilę się krzątali i wreszcie Francuz wskazał jakiś fragment opisu z folderu.

- Idziemy do Buduahu! - zakomenderował. - Tam powinien być jeszcze jeden zegar!

Buduarek znajdował się w przeciwległym, południowo--wschodnim narożniku zamku. Ażeby do niego trafić, należało cofnąć się do Salonu, następnie przejść kolejno przez Salę Czarną i Jadalną. Omnibus i Patryk nie mieli wyjścia. Jeśli chcieli uniknąć spotkania z Joanną i jej narzeczonym, musieli natychmiast zwieźć z Salonu. Nie namyślając się ani chwili dłużej, dali drapak w kierunku najbliższego pomieszczenia po lewej stronie. Patryk był szybszy i zdążył się schować w Pokoju Generałowej. Gorzej było z Omnibusem. Czuł już na plecach oddech Pierre'a, więc nieoczekiwanie zmienił zamiar. Odbił w lewo za stojący pod ścianą fortepian i ukrył się za nim. Dosłownie przylgnął do ściany. Na wszelki wypadek zasłonił się jeszcze kawałkiem zasłony.

Narzeczeni truchtem pokonali Salon i zniknęli w wejściu do Czarnej Sali.

Omnibus odetchnął z ulgą.

*

Jak już wiemy, dzień wcześniej po epizodzie z bandą Bryzola nad jeziorem, Omnibus odprowadził Klaudynę do pensjonatu i wrócił do

siebie. Dziewczyna zaś, zabrawszy z pokoju płytę CD, wróciła na oświetloną latarniami ulicę. Pognała do kafejki internetowej. Czasami lokal był otwarty dłużej. Jak poinformował ją właściciel, nierzadko klienci siedzieli aż do północy. Miała szczęście. Kafejka nie tylko była otwarta, ale znalazło się też wolne miejsce przy komputerze.

Klaudyna otworzyła internetową stronę kórnickiej bibliote-

154

ki. Kliknęła na elektroniczny katalog i wybrała trzy pozycje, wskazane przez dziadka Emanuela - dwa stare druki i rękopis. Z treści tytułów wybrała trzy słowa:

Horologium

Zegar Wskazówki

Te konkretne wyrazy podkreślił Omnibus w swoich notatkach i z jakiegoś powodu uważał je za istotne. Pytanie: dlaczego? Zegar i wskazówki miały ze sobą wiele wspólnego, lecz nie wiedziała, co to takiego jest *horologium*. Wystukała łaciński wyraz w polu popularnej wyszukiwarki internetowej i otrzymała hasło, które wprawiło ją w zdumienie.

„*Horologium*, Hor, Zegar - niepozorny gwiazdozbiór nieba południowego pomiędzy Erydanem a Siecią, wyodrębniony przez N. L. de Lacaille'a. Najjaśniejszą gwiazdą Zegara jest *d* Hor (olbrzym typu widmowego K1 III jasności 3,83^m, odległy o 175 lat świetlnych)\".

„*Horologium* to po łacinie «zegar» - myślała. - Omnibus o tym wie. Bystry z niego gostek, nie ma co! A zatem trzy tytuły podane przez dziadka mają jeden wspólny element: zegar. Czy jednak chodzi o zwykły

przedmiot? Czy może raczej o gwiazdozbiór nieba południowego? - tego nie wiedziała. - Zaraz... chwileczkę... czemu gwiazdozbiór nieba południowego? W Polsce ta część nieba nie jest widoczna, ale dziadek wiele podróżował. Był przecież w Australii na półkuli południowej. Tam z pewnością gwiazdozbiór Hor jest dobrze widoczny!"

Założyła, że hasłem może być słowo *horologium*. A może *hor*?

Włożyła płytę do kieszeni odtwarzacza CD-ROM i załadowała odpowiedni plik przygotowany przez dziadka Emanuela. Wnet ukazał się biały prostokąt z nagłówkiem: *password*. Wpisała drżącymi palcami magiczne słowo: *horologium*. I zaraz spotkał ją srogi zawód. Hasło było nieprawidłowe. Spróbowała kolejny raz. *Hor*. Ten pomysł także okazał się niewypałem. Później próbowała wpisać pozostałe wyrazy.

O wpół do dwunastej w nocy ktoś klepnął ją w ramię. Odwróciła się przestraszona i ujrzała zaciekawioną matkę.

155

- Masz coś? -Nie.
- To wracamy! Pora spać!

Dziewczyna niechętnie wyjęła płytę z CD-ROM i włożyła ją do plastikowego pudełka.

- Właściwie to mam pewien trop - oświadczyła, kierując się do wyjścia.

Po uiszczeniu należności wyszły na ulicę i poszły do pensjonatu. Klaudyna zdała mamie relację ze swoich poszukiwań. Potem, już w pokoju, obie nie mogły długo zasnąć, myśląc cały czas nad znaczeniem tych trzech słów. „*Horologium*, zegar, wskazówki”.

Na szczęście, jakoś zasnęły.

Około ósmej rano Barbara Karska brała prysznic. Po chwili wyskoczyła spod niego czymś podekscytowana. Ociekająca wodą wpadła do pokoju w mokrym szlafroku i usiadła ciężko na krzesło.

- Co się stało? - przeraziła się Klaudyna. - Dobrze się czujesz, mamó?
- Ojciec miał na myśli zegar - ściszyła głos. - Zrozumiałam to dopiero pod prysznicem. „Nie szukajcie w gwiazdach”, tak właśnie powiedział...
- I że „prawda leży bliżej”. Tak, to jego słowa. No dobra, ale nadal nie rozumiem.
- Nie chodzi o gwiazdozbiór, a o zwykły zegar. Rozumiesz? Przecież na zamku są jakieś zegary. Musimy je uważnie obejrzeć.
- Idziemy - Klaudyna zerwała się z łóżka jak oparzona. Podeszła do matki i ucałowała ją w policzek. - Jesteś cudowna!

Barbara nie odpowiedziała. Zadowolona z pochwały wzruszyła jedynie ramionami, dopiero po chwili jej gniewne oblicze rozpogodziło się, a serce przepełniła autentyczna duma. I radość. Nie mogła pozwolić, żeby Joanna ubiegła ją w wyścigu po spadek.

Kiedy weszły po dziewiątej na zamek, skierowały się prosto do Saloniku w południowo-zachodniej wieży. Mijały właśnie Pokój Generałowej, gdy wpadły na wybiegającego stamtąd Patryka.

156

- Uważaj! - syknęła Barbara.

Brat posłał jej niewinny uśmiech i oddalił się bez słowa. Klaudyna przeszła dalej do Salonu i ku swojemu zdziwieniu ujrzała kucającego za zabytkowym fortepianem Omnibusa. Barbara Karska stanęła za plecami

córki i zobaczyła to samo co ona.

-1 ty też się wygłupiasz? - fuknęła na niego. - Powariowaliście dzisiaj czy co?

*

Wyglądało na to, że tym razem nikt nie przywiezie im śniadania, przysły też nadzieje na szybkie uwolnienie. Detektyw od pół godziny próbował pozbyć się więzów krępujących nadgarstki. Podczołgał się w kąt rudery, w którym stała szafka z jakimiś szpargałami, i szybko skapitulował. Nie znalazł żadnego ostrego przedmiotu. Wyschniętym, starym pędzlem do malowania trudno było przeciąć sznur. Była też puszka po farbie -zamknięta. Żadnej butelki. Żadnego szkła. Zrezygnowany zacisnął wargi, po czym posłał pod adresem niebios kilka niewybrednych uwag. Stracił dużo sił, niemalże trząśł się ze zmęczenia, a pot z czoła skapywał mu dużymi kroplami na podłogę. Tak bardzo wyczerpało go przeczołganie się po wilgotnej podłodze, że miał dosyć wszystkiego. A tu jeszcze upał dawał się solidnie we znaki. Dochodziło południe.

Nagle krzyk nauczycielki poderwał jego zwaliste ciało do góry, jakby zamierzało lewitować. Pani Iza nie wytrzymała psychicznie niewoli. „Pękła”. Barber próbował zbagatelizować ich położenie, a gdy to nie poskutkowało, podniósł głos. Odniósł połowiczny sukces - kobieta przestała krzyczeć, ale zaczęła płakać. Potem detektyw zmienił taktykę i przemówił do niej tak łagodnie, że aż przestraszył się własnej przemiany. Swoją drogą nie podejrzewał siebie o taką subtelność.

- Już dobrze, dobrze - mówił do niej. - Proszę nie płakać, pani Izo. Pewnie dranie próbują coś zrobić z hasłem. W końcu daliśmy im powód do główkowania. Jeśli moje podejrzania są

słuszne i współpracują z jednym z członków rodziny Karskiego, to pewnie siedzą teraz przed komputerem i zastanawiają

157

się nad hasłem. To może jeszcze trochę potrwać. Cierpliwości. Zapomnieli o nas na śmierć, bo tak bardzo zajęci są hasłem...

- Ładna mi pociecha - zatkąła, ale trochę się uspokoiła. -

Jeśli o nas zapomnieli, to prędko nas stąd nie uwolnią, prawda? Z tą śmiercią niezbyt panu wyszło, panie Barber.

- Tak mi się tylko powiedziało. Nauczycielka znowu jęknęła rozpaczliwie.
- Ja chcę do domu! Do domu!

Po chwili przestała łkać i zapytała:

- Jak pan sądzi, kto z Karskich może z nimi współpracować?

Nie zdążył odpowiedzieć. Usłyszeli kroki na zewnątrz i dosłownie zamarli. Zdążyli jeszcze popatrzeć na siebie ze zdumieniem i zaraz zwrócili głowy w stronę okna. Ktoś tam chodził w najlepsze. Detektyw ostatkiem sił podczołgał się pod okno i szeptem poprosił nauczycielkę o milczenie. Potaknęła.

Nieznajomi zaczęli rozmawiać. Naradzali się, co robić. Było ich kilku. Detektyw zrozumiał, że zamierzają dostać się do wnętrza rudery.

- To nie nasi porywacze - szepnął Barber. - Tamci jeżdżą punto, citroenem i prawdopodobnie oplem. I to nie ich głosy.

Miał rację. Nie było samochodów. Intruzi nadeszli od strony lasu na własnych nogach. Ich polskiej mowy nie kaleczył żaden obcy akcent; nadużywali tylko niecenzuralnych słów.

Po chwili skrzypnęły drzwi wejściowe i kroki przybyszów wprawiły

rudere w drzenie.

- Idą tu - wyrwało się Barberowi.
- O Jezu! - jęknęła nauczycielka.

Ktoś próbował wejść do środka, ale drzwi były przecież zamknięte na klucz.

- Zamknięte! - krzyknął.

- Nie gadaj tyle! - objechał go inny. - Włóż przez okno.

Barber pomyślał o złodziejach włamujących się do domków nad jeziorem. To mogli być oni. Dziwne, ale chyba znał te głosy. Nagle czyjaś ręka rozbiła szybę. Pęknięte szkło poleciało wprost na detektywa. W pomieszczeniu pociemniało, gdy czyjaś postać zasłoniła okno. Na widok leżącej na podłodze nauczycielki intruz zaczął znowu krzyczeć.

158

- Ty, Bryzol! Dawaj! Jakaś sztuka tu jest!
- Chrzanisz?!
- Związana!

Potem szybkie kroki zatrzęsły rudere i jeden z intruzów zaczął wlaźić przez okno do środka. Detektyw przypomniał sobie niedawny epizod na kórnickiej ulicy, gdzie miał okazję poznać grupę dowodzoną przez niejakiego Bryzola - kilkusobową bandę zwykłych żuli. Gdyby nie pistolet, który wówczas zabrał za sobą, nie wiadomo, jak zakończyłaby się tamta nocna przygoda.

Osobnik, który wlaźił przez okno, potknął się o leżącego na podłodze Barbera. Stracił równowagę. Upadł.

- Co jest? - Bryzol wsadził głowę w okno. - Jeszcze nie

wytrzeźwiałeś?

Dojrzał nauczycielkę i zaniemówił.

- Co my tu mamy? - zagwizdał zaintrygowany.

Ten, który zwał się na detektywa, otrzepał się szybko i stanął przed Barberem.

- Odsuń się - rozkazał Bryzol. - Nie zasłaniaj!

- Zobacz, kogo my tu jeszcze mamy!

Po chwili Bryzol i dwóch innych kompanów znaleźli się wewnątrz rudery. Bryzol drapał się po głowie, a następnie ukucnął i zbliżył swoją twarz do spoconego oblicza detektywa.

- No i co, dziadek? - kpił. - Znowu się spotykamy. Szybko go zrewidował. Znalazł licencję detektywa.

- O w mordę! - zaklął. - To prywatny glina!

Pozostali osobnicy obejrzeliby legitymację i, nie wiedząc czemu, zachichotali.

- Co ty tu robisz, detektywie? - drwił Bryzol. - Bawisz się w Bogusia Lindę? Za stary jesteś.

Ponownie go zrewidował, dokładniej.

- Gdzie masz kłamekę?

- Zabrali mi tacy jedni. A wy co? - rzucił oschle. Wiedział, jak z takimi rozmawiać. - Dalej okradacie domki?

- My? - udał zdziwienie przywódca gangu. - Jakie domki, co ty, dziadek? Masz na myśli tę rudę?

- Nie. Tamte inne domy nad jeziorem. Wille i domki letni-

skowe. Te, z których wynieśliście cenne przedmioty. Dwa tygodnie temu i tydzień temu...

- Dużo wiesz.

- Ty, Bryzol - zapytał ten, który rozbił szybę - co my z nimi zrobimy?

- Zostawmy ich tutaj - zaproponował trzeci z nich. - Zabieramy poloneza i spadamy stąd.

- Nie radzę - odezwał się Barber niby to obojętnie. - Ci, którzy nas związali, nie napadają na domki letniskowe. Koledzy, to mafia. Zrozumiałeś, co do ciebie mówię, Bryzol? Mafia nas tak urządziła. Kiedy otworzycie drzwi samochodu, ten eksploduje. Zamontowali ładunek wybuchowy. Po domku nie zostanie śladu, nie wspominając o naszych skromnych osobach.

- Mafia? - wystraszyli się.

- Membrana ci pękła?

- I co, nie zatłukli was? - niedowierzał Bryzol. - Po co was związali?

- Przyjdą tu jeszcze. Przynajmniej tak powiedzieli. Jak chcecie, poczekajcie tutaj na nich i zapytajcie, co jest grane. Prowadzę śledztwo. Wynajęła mnie ta pani, ale nie wiedziałem, że w to wszystko zamieszana jest mafia. Tyle ci powiem, Bryzol. A te raz rozwiąż mnie i rozstaniemy się jak dobrzy znajomi.

Banda złodziei zaczęła się naradzać w kącie pomieszczenia, lecz rozmowy nie trwały długo.

- Przykro nam, dziadek - zawyrokował herszt. - Nie będziemy huczeć z miastowymi. Nie jestem jakiś nemas. Spadamy stąd!

Odeszli prędko, pomimo protestów detektywa. Gdy tylko ucichły ich

kroki i głosy, detektyw zaczął się uśmiechać pod nosem. Poirytowana zachowaniem Barbera nauczycielka -przede wszystkim jednak wystraszona przebiegiem spotkania - ciężko westchnęła.

- Do śmiechu panu? - kręciła niezadowolona głową. - Czemu im pan naopowiadał te bzdury o mafii? Gdyby nie to, uwolniliby nas. A tak, wystraszyli się i uciekli.
- Nie jestem tego taki pewien, pani Izo - odpowiedział spo-

160

kojnie. - Ukradliby poloneza i odjechali. Tyle by zrobili! A tak, przynajmniej uratowałem samochód.

- Panie Barber! - niemalże krzyknęła. - Na co nam samochód, skoro leżymy związani jak bydłeta?

Barber ułożył wygodniej w dłoniach kawałek pękniętej szyby, która spadła na niego podczas wtargnięcia bandy i powoli zaczął nacinać sznur opasujący nadgarstki.

*

Omnibus otrzepał się z niewidocznego pyłu i stanął przed Karskimi na baczność. Bąknął „dzień dobry” i ukłoniwszy się im, wybiegł z sali za Patrykiem. Z Pokoju Generalowej szybko dostał się na zamkowy korytarz, stamtąd przeszedł do Czarnej Sali, a następnie do Sali Jadalnej. Patryk stał w tym ostatnim pomieszczeniu, przytulony do ściany niszy obok ostrołukowego wejścia do narożnego gabinetu zwanego Buduarkiem.

Niemal na palcach zbliżył się do Patryka. Usiadł na jednym z zabytkowych krzeseł z wysokimi oparciami, które rzędem podpierały ściany obok niszy. Pierre i Joanna rozmawiali po francusku w Buduarku,

więc tylko Omnibus rozumiał, o czym mówią. Patryk, który nie znał języków obcych, zrobił krok do przodu, jakby chciał zajrzeć do małej salki. Omnibus przytrzymał go za rękaw kurtki.

- I co? - niecierpliwiła się Joanna.
- Nic - odpowiedział zawiedziony cudzoziemiec. - Zegah jak zegah. Ładny okaz.
- Chyba eksponat.

• Co za różnica - prychnął. - Phoponuję whócić do poprzedniej salki. Jeszcze rhaz obejrzymy tamte trzy.

• Tylko czego my właściwie szukamy? - niecierpliwiła się dalej młodsza z sióstr Karskich. - Nic z tego nie rozumiem, Mon Dieu!

Patryk zerknął pytająco na Omnibusa, więc ten pokazał mu na migi, że rozmowa za ścianą dotyczy zegara z Miśni. Nagle zauważyli idącą cicho, na palcach, Klaudynę. Dziewczyna skra-

161

dała się wzdłuż rzędu krzeseł, gestem nakazując im milczenie. Bez słowa zajęła miejsce na krześle obok i zamieniła się w słuch. W Buduarku dalej rozmawiano po francusku.

- Jak to czego szukamy? - głos cudzoziemca zabrzmiał nieco arogancko. - Któryś z zegahów na zamku może być wskazówką phowadzącą do hasła. To oczywiste, Jeannette! Twój ojciec chciał zwhócić uwagę na „zegah”. Tu, w Kóhniku! O co innego może chodzić, jak nie o zegah?
- A jeśli z tym zegarem to znowu jakaś metafora?
- Nie wiem... nie wiem.

- Ja wiem!

-Co?

- Pójdziemy znowu do bibliotekarza. Ten człowiek zrobi dla mnie wszystko. Widziałeś jak na mnie wczoraj patrzył?
- Każdy tak na ciebie patrzy - stwierdził Pierre.

- No właśnie, więc pewnie znowu chętnie mi pomoże.

Do Sali Jadalnej weszła zdenerwowana pracownica muzeum, która wypatrzyła z korytarza młodych ludzi, urządzających sobie na zamku wyścigi. Najpierw widziała wyrośniętego młodzieńca, który biegiem przeciął korytarz i zniknął w Sali Jadalnej, potem z Pokoju Generałowej wyfrunął młodszy i dużo drobniejszy nastolatek, po nim zaś wybiegła dziewczyna. Tego było za wiele dla strażniczki, która pierwszy raz w życiu widziała w tych nobliwych murach podobne harce.

I oto zastała trójkę młodych ludzi przyczajoną pod wielkim portretem rodzinnym. Jej oburzenie sięgnęło zenitu - dzieciaki okupowały zabytkowe krzesła.

- Natychmiast wstać z krzeseł! - wrzasnęła na nich.

Klaudyna, Omnibus i Patryk posłusznie wstali. W tym samym momencie głosy za ścianą zamilkły.

- Co wy robicie?! - kontynuowała swoją tyradę strażniczka. - Proszę opuścić salę! Natychmiast! Nie umiecie zachowywać się w muzeum? Dla takich nie ma wstępu!

-Ale...

- Żadnych „ale”!

Z Buduarku wychyliły się głowy Joanny i cudzoziemca. Widok młodych ludzi wprowadził ich w szczere zdumienie. Otrzą-

snęli się szybko i weszli do Sali Jadalnej krokiem oskarżycieli sądowych.

- Pod słuchujecie? - wycedził powoli Pierre, mrużąc podejrzliwie oczy.
- Że co, proszę? Oni niszczą zabytkowe meble! - fuknęła oburzona pracownica muzeum i zwróciła się znowu do młodzieży. - Proszę stąd wyjść! Tu nie klub młodzieżowy.
- Chcieliśmy tylko spróbować - tłumaczył za nich Omnibus - jak to się siedziało w XIX wieku...
- Zaczynasz, mały?
- Już, już.

Posłusznie ruszyli ku wyjściu pod czujnym okiem strażniczki.

Wychodząc, słyszeli jeszcze szept Joanny.

- Nie bój się, kochanie - mówiła do Pierre'a w jego ojczy
stej mowie. - Oni nie znają francuskiego. Patryk miał zawsze
same dwóje z języków.

Nie myliła się. Jej brat, rzeczywiście, miał w szkole wiele problemów i to nie tylko z językami obcymi, ale i z przedmiotami ścisłymi. Klaudyna marzyła o studiowaniu romanistyki, więc od niedawna chodziła na korepetycje z włoskiego. Żadne z nich nie znało francuskiego, oprócz, rzecz jasna, Omnibusa. Chłopak znał go wystarczająco dobrze, aby zrozumieć o czym rozmawiano w Buduarku. Dzięki tym umiejętnościom mógł się na własnej skórze przekonać, że w profesji detektywa wykształcenie jest podstawowym narzędziem pracy, bronią skuteczniejszą od pistoletu. I na tym między innymi polegała przewaga Omnibusa nad rywalami dążącymi do zdobycia spadku po Karskim.

Przepędzona przez srogą strażniczkę młodzież szła zamkowym

korytarzem, tłumiąc w sobie niemałe rozbawienie całą sytuacją. Za nimi wyszli Joanna i Pierre, lekko zaniepokojeni wybrykiem smarkaczy, lecz w głębi ducha przekonani o swojej przewadze. Na głównych zaś schodach pojawiła się nieoczekiwanie Barbara w towarzystwie tego samego bibliotekarza, który dla Joanny męczył się nad rozwiązaniem zagadki bibliofila.

- Proszę pana! - zawołała Joanna na widok bibliotekarza.

- Mam wielką prośbę. Musimy porozmawiać w cztery oczy.

163

Barbara zatrzymała się u podnóża schodów, próbując ogarnąć sytuację na zamku. „Co tu się dzieje?” - zdawała się pytać.

- Pani wybaczy - bibliotekarz wskazał głową Barbarę. - Ale mam z tą panią do pomówienia.
- Do pomówienia? - zdziwiła się młodsza z sióstr.
- Otóż to. Pani już mi podziękowała za współpracę, z kolei pani siostra zwróciła się do mnie o pomoc w sprawie spadku pana Karskiego.
- Mon Dieu! - wybałuszyła oczy Joanna. - Co takiego?
- A to, siostrzyczko - uśmiechnęła się nieco zjadliwie Barbara - że pan bibliotekarz pomoże mi z tymi zegarami.
- Skąd pani wie o zegarach? - zdziwił się Pierre.
- Skąd? - zachichotała Barbara. - A pan myśli, że tylko Francuzi znają francuski? Pan bibliotekarz także zna język pana i pańskich przodków. „Nie tylko on - pomyślał z satysfakcją Omnibus. - Zdaje się, że jest nas więcej”.
- Nie rozumiem - cudzoziemiec rozłożył bezradnie ręce.

Ale Barbara poklepała bibliotekarza przyjacielsko po ramieniu i zeszła na dół w sposób tak dystyngowany, jakby co najmniej była Białą Damą. Omnibus domyślił się, że mężczyzna usłyszał na piętrze wypowiedziane przez Pierre'a ostrzeżenie adresowane do Joanny. „Tu ne dit rien du horloge”. A ponieważ Joanna w sposób dość niegrzeczny podziękowała bibliotekarzowi za współpracę, ten zgodził się przyjąć propozycję Barbary.

W ten oto sposób wszyscy zainteresowani byli na właściwym tropie.

10

Polonez zatrzymał się na stacji benzynowej w Bninie za ładnie położonym ryneczkiem z XVIII-wiecznym ratuszem. Ustalili, że później zawiadomią policję - zresztą nauczycielka

164

nie nalegała, detektyw zaś nie chciał tracić czasu na męczące przesłuchania, które i tak niczego by nie wyjaśniły. Teraz liczyła się tylko sprawa testamentu. Należało działać szybko. Nie wyjaśnił też nauczycielce powodu, dla którego owa stacja tak bardzo go interesowała. Zatrzymał samochód na małym parkingu, schował pistolet (pozostawiony przez porywaczy w samochodzie na siedzeniu) do schowka i wysiadł. Pani Iza -osoba, która brzydziła się bronią i w ogóle wszelką przemocą -nie mrugnęła nawet okiem na widok pistoletu. Przeżycia ostatnich godzin zahartowały jej wrażliwą duszę.

- Zaraz wracam - powiedział do niej.
- Nie tankuje pan? - zdziwiła się.

- Mam jeszcze trochę paliwa w baku. Wystarczy.
- Niech pan tylko szybko wraca, bo marzy mi się kąpiel. Albo wie pan co? Wyjdę z panem. Zadzwońię do pracy.

Z telefonu skorzystał najpierw detektyw, gdyż musiał zgłosić zaginięcie komórki zabranej przez porywaczy. Potem poszedł porozmawiać z pracownikiem obsługującym kasę. Prowadził on także mały sklep. Były tam w sprzedaży między innymi kanapki owinięte w folię.

- Z papryką i salami są? - zapytał, wskazując na stos kanapek.

-Są.

- To poproszę jedną...
- Z salami?
- Nie, z serem.

Zapłacił. Chwilę porozmawiał jeszcze z pracownikiem stacji i wyszedł do czekającej na niego nauczycielki.

- Mogę nie wracać - zdaje się, że była smutna. - Straciłam posadę w zieleniaku.
- Tak mi przykro.
- Nie pańska wina.
- A nie jest przypadkiem pani głodna?
- Trochę.
- To proszę.

Wręczył jej kupioną przed chwilą kanapkę.

- Z serem - wyjaśnił uspokajająco, gdy odwijala folię. - Ale

mają też kanapki z salami i papryką. Proszę sobie wyobrazić, że nasz punciak był tutaj. Jego kierowca kupował dla nas kanapki z salami. Wysoki, barczysty, o wrednym spojrzeniu małych oczek. Nic dziwnego, że zakłada na łeb kominiarkę. Poza tym jest dobrze opalony.

- Kto to może być?

- Dowiemy się. Mam znajomą w policji. Sprawdzi dla mnie wszystkie fiaty punto, które zostały wypożyczone w Polsce w ostatnich dniach. Wsiedli do poloneza. Barber zapalił silnik. Pani Iza przełknęła ostatnią kęs kanapki.

- A wie pan co? - mruknęła po chwili.

- Tak?

- Ta kanapka z salami... ta, którą dał nam w ruderze porywacz... dziwne, ale smakowała mi. Pierwszy raz w życiu smakowało mi wtedy salami.

W czytelnicy na pierwszym piętrze Joanna i Pierre dosłownie rzucili się na „Pamiętniki Biblioteki Kórnickiej” - wydawnictwo naukowe ukazujące się cyklicznie i zawierające interesujące artykuły o zamku i jego zbiorach. Barbara zaszyła się z bibliotekarzem gdzieś w zamkowych murach, próbując rozgryźć problem zegara, a Patryk poleciał do miasteczka załatwić jakąś sprawę. Na schodach opadających ku dziedzińcowi Omnibus napotkał samotną Klaudynę. Dziewczyna opierała się o murek zwieńczony figurką dzika. Mrużąc oczy, przyglądała się uważnie schodzącemu wolno chłopakowi.

Omnibus przypuszczał, że Klaudyna została z nim w jednym celu - w charakterze Anioła Stróża. „Niepotrzebnie” - pomyślał. Po pierwsze, nie

wiedział, jak zabrać się za rozwiązanie zagadki. Po drugie, nawet gdyby je znał, nie powiedziałby o tym dziewczynie. Wreszcie, po ekscesach w Sali Jadalnej zabroniono im wstępu do muzeum. Po czwarte, to raczej on powinien patrzeć jej na ręce. To przecież jej matka buszowała na zamku z bibliotekarzem.

166

Zwycięstwo powoli wymykało mu się z rąk. Ta myśl **psuli** mu humor. Zresztą powodów do zmartwień miał więcej. Martwiła go też sytuacja rodzinna. Po dwóch dniach milczenia zadzwonił do domu, lecz tam nikt nie odbierał. No i niepokoiło go również zniknięcie Barbera. I właśnie wtedy, kiedy o nim pomyślał, stał się cud! Nieoczekiwanie na ulicy pojawił się w ostrych promieniach słońca polonez Barbera. Ściągnął go myślami do Kórnik. Samochód nadjeżdżał od strony Bnina i pomknął do miasteczka. Dziwne, wydawało mu się, że na fotelu pasażera dostrzegł kogoś. Barber nie wracał sam. Zdaje się, że z kobietą.

Klaudyna zauważyła na twarzy chłopaka zmianę.

- Coś się stało? - zapytała.
- Barber wrócił! Wracam do hotelu.
- Idę z tobą!

Towarzystwo Klaudyny przyjął z umiarkowanym zadowoleniem; w końcu była rywalką. Poszli do miasteczka razem.

Szum prysznicza dochodzący z łazienki upewnił Omnibusa, że tajemniczy pasażer detektywa bierze kąpiel. On sam był w swoim pokoju. Zapukali.

- Cześć, Omnibus - przywitał ich zmęczony detektyw.

- Co się stało? - zapytali.
 - Długa historia - machnął ręką. Unikał ich wzroku. - Wracalem z Wrześni...
- Nie z Poznania?
 - We Wrześni też miałem sprawę do załatwienia. Zresztą czy to ważne, gdzie mnie napadli, wnuczku?

Opowiedział w skrócie o wydarzeniach, które rozegrały się na drodze do Kórnik w okolicach Biernatek, potem o tym, co wydarzyło się w lesie nad jeziorem bnińskim i wreszcie o spotkaniu z bandą Bryzola.

- Przywiozłem ze sobą bardzo cenną osobę - powiedział po chwili tajemniczo. - Właśnie bierze prysznic. To przyjaciółka Emanuela Karskiego, pani Izabela Marczenko.

- Kochanica! - dorzuciła Klaudyna w stylu swojej matki. Omnibus szczerze się zdziwił i po chwili, korzystając z nie uwagi dziewczyny, szepnął Barberowi do ucha:

167

- Pojechał pan szukać przyjaciółki Karskiego, a nam wci snął kit, że załatwia inną sprawę.

Ten wzruszył ramionami.

- Nieładnie oszukiwać wnuczka - pogroził mu palcem chłopak. - A gdzie jest Patryk?
- Właśnie - klepnął się w czoło detektyw i szybko wyjął z kieszeni pomietą kartkę papieru. - Znalazłem ten liścik pod drzwiami twojej sypialni. Od Patryka.

Wziął kartkę i przeczytał na głos wiadomość:

W Kurniku zrobiło się zbyt tłoczno. Rezygnuję z waszych usług. Patryk K.

- Wymówił wam - ucieszyła się Klaudyna.
- Pewnie myśli, że sam rozwiąże zagadkę - odpowiedział Omnibus. - Zwiął. Dowiedział się tego, czego potrzebował, i myśli, że dalej sam poprowadzi śledztwo. Patrz - podał jej kartkę -jak twój młody wujek napisał nazwę miasta. Przez „u” zwykle.
- Jaki on tam wujek - wzruszyła ramionami. - Starszy o kilka lat.
- Może to i dobrze, że zrezygnował - ziewnął detektyw.
- Przecież Patryk był naszym klientem - zdziwił się Omnibus.
- Jeśli odgadniemy hasło, to możemy je sprzedać komukolwiek z zainteresowanych. Niepotrzebny nam Patryk. Ale tak się składa, synu, a właściwie - wnuczku, że mamy nowego klienta. Otóż pani Marczenko, a więc osoba wyróżniona w testamencie przez nieboszczyka, wynajęła mnie. Patryk zwiął! Pokazał charakterek, nie ma co. Przy okazji zwolnił się pokój. Pięknie! A co u was?

Nie powiedzieli mu o ostatnich odkryciach. Z łazienki bowiem wyszła kobieta. Była w męskiej koszuli sięgającej do kolan, na głowie miała wdzięcznie zawinięty turban z białego ręcznika. Była na bosaka. Na widok młodych ludzi dosłownie zdrętwiała. Wypadły jej z ręki przybory toaletowe, które Omnibus szybko podniósł. Przełknęła ślinę, zamrugła oczami i zrobiła krok, zostawiając na podłodze mokry ślad.

168

- Dzień dobry pani - Omnibus podał kobiecie przybory. -

Witamy w drużynie detektywów.

*

Barber musiał przyznać, że wieści, którymi uraczył go Omnibus, nie były szczególnie radosne. Mruczając coś pod nosem, poszedł pod prysznic zmyć wspomnienia złej nocy. Ogolił się, a potem przebrał. Założył nową koszulę, spodnie, a nawet buty, i tylko zamszowa marynarka wydawała się nietknięta, jakby każde szczotkowanie było aktem terroru wobec jej właściciela. Usiedli w trójkę w restauracji na dole i zjedli obiad. Omnibus nie miał apetytu. Pani Iza - odświeżona i umalowana - siedziała markotna. Udawała, że je i tylko czasami rzucała w stronę chłopaka ukradkowe i pełne ciekawości spojrzenia.

Szybko poskładali wszystkie fakty do kupy. Pierwszy zabrał głos Barber.

- Wychodzi na to, że Pierre współpracuje z podejrzanymi typami. To właściciele białego citroena i punto. Jeden z nich, dryblas w kominiarce, przekazał zabojadowi nasze odkrycie dotyczące hasła. I dlatego z samego rana poleciał z Joanną Karską szukać zegarów na zamku. Tak, to się trzyma kupy. Nie przewidzieli dranie jednego, że uwolnimy się z panią Izą i wrócimy do Kórniku cali i zdrowi. Szybciej, niż się spodziewali. A swoją drogą, ciekawe, jak długo zamierzali trzymać nas w tej ruderze?
- Niech pan nie wspomina tego okropnego miejsca - westchnęła nauczycielka. - Lepiej zastanówmy się, co dalej robić?
- Czytelnia na zamku jest już zamknięta - powiedział Omnibus. - Pani Barbara Karska zbajerowała bibliotekarza i niewykluczone, iż wkrótce ogłosi zwycięstwo.

- Proponuję obejrzeć zegary na zamku - zaproponował Barber. - Przy okazji dowiemy się, co słychać u konkurencji.
- Mnie tam nie wpuszczą - oświadczył ponuro Omnibus. -Przynajmniej nie dzisiaj.

- A co takiego zmalowałeś? - zapytała nauczycielka.

Opowiedział w szczegółach, jak było. Pochwalił się znajomością języka francuskiego.

169

- Brawo - westchnęła pani Iza. - Musisz mieć dobrych i odpowiadialnych rodziców - w jej głosie było coś dziwnego.
 - Jestem sierotą.
 - Sierotą? - otworzyła szeroko oczy.
 - On tylko tak mówi - detektyw poklepał chłopaka po plecach. - Ojciec odszedł od matki. Wie pani, jak to jest. Chłopak się zbuntował i obraził na rodzicielkę. On lubi nazywać siebie sierotą.
- Na szczęście ma dobrego i wyrozumiałego dziadka -
uśmiechnęła się smutno nauczycielka, a w jej głosie słychać było jakby nutę goryczy.

Detektyw poszedł na zamek z panią Izą. Omnibus zaś odwiedził znajomą kafejkę internetową. Ponieważ nie mógł obejrzeć zegarów na zamku, więc wykombinował wariant zastępczy. Otóż niedawno wyszukał w sieci stronę Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej mającą elektroniczne publikacje związane z Kórnikiem oraz zamkiem. Między innymi opublikowano w niej wszystkie dotychczasowe numery „Pamiętników

Biblioteki Kórnickiej". Wystarczyło tylko załadować odpowiedni program do odczytania zarchiwizowanych artykułów i przejrzeć ich zawartość. Nie była to jednak prosta sprawa, gdyż „Pamiętniki...” wydawano od kilkudziesięciu lat, a każdy numer zawierał kilkanaście obszernych artykułów. Tak się złożyło, że Omnibus lubił szperać w różnego rodzaju archiwach, był bystry i cierpliwy. Posiadał zatem cechy dobrego detektywa. Ponadto biblioteka na zamku była już tego dnia nieczynna i tylko dzięki dobrodziejstwu Internetu mógł przejrzeć artykuły.

Wystukał adres biblioteki cyfrowej

www.wbc.poznan.pl

Wkrótce znalazł publikację o czterech zegarach, eksponatach wystawionych na zamku. Czy nieboszczykowi chodziło o klasycystyczny zegar w drewnianej, rzeźbionej obudowie?

170

Wykonano go przed rokiem 1794 i był pamiątką po stryju Tytusa - Ignacym Działyńskim. Tak, to był jakiś trop! Emanuel Karski bowiem miał hopla na punkcie Działyńskiego. Omnibus oczami wyobraźni widział ukryty wewnątrz klasycystycznego zegara jakiś cenny przedmiot, a może kolejną informację, tym razem wskazującą konkretne miejsce ukrycia skarbu. Tylko jakim cudem udało się Karskiemu włożyć cokolwiek do środka mechanizmu eksponatu? Tego dnia sam na własnej skórze doświadczył, że majstrowanie przy zabytkach jest rzeczą praktycznie niemożliwą. Wystarczyło usiąść na starym krześle, a już zrobiła się z tego afera na cały Kórnik. Jak Karski dostał się zatem do wnętrza zegara? Niemniej, ten ekscentryczny bibliofil często odwiedzał zamek. Zapewne

pracownicy muzeum i biblioteki zdążyli przywyknąć do widoku starszego pana o bujnej czuprynie siwych włosów, przeglądającego w czytelni pożółkłe strony inkunabułów i myszkującego wśród eksponatów. Jego nobliwy wygląd i nieposzlakowana reputacja mogły uspić czujność strażniczek.

I kiedy zrezygnowany elektronicznymi poszukiwaniami Omnibus zamierzał już odejść, natrafił w spisie treści na ciekawy artykuł.

- „Tajemniczy zegar w zbiorach Biblioteki Kórnickiej” - szeptem przeczytał tytuł. - Autor: Zygmunt Dolczewski. Zeszyt numer 25.

Zainteresowała go ta publikacja. Skopiował szybko każdą stronę i pognął do hotelu z ekscytującym uczuciem odkrywania tajemnicy.

*

Przed zamkiem natomiast doszło do spotkania Barbera i pani Izy z powracającymi z muzeum narzeczonymi. Pierre próbował ukryć zaskoczenie na ich widok. Detektyw był przekonany o jego współpracy z porywaczami, więc musiał wzbić się na wyżyny aktorstwa. „Lepiej, żeby banda drani nie znała moich podejrzeń” - pomyślał. Bał się jednak reakcji nauczycielki, lecz wkrótce przekonał się, że i *ona umiała grać*.

171

- Mon Dieu! - krzyknęła Joanna na ich widok. - Gdzie pan przepadł? I gdzie podział się pański kapelusz?
- Przeżyliśmy z panią Marczenko pewną przygodę - odpowiedział. - Szkoda kapelusza. Miał z dziesięć lat.

Francuz ucałował nauczycielkę staropolskim zwyczajem w rękę, zupełnie jakby urodził się tutaj, w Polsce.

- Pierre - rzucił w jej stronę.
- Izabela - zaczerwieniła się, nie patrząc na niego.
- Pani Iza została oficjalnie moją klientką - wyjaśnił Barber. - Znała dobrze pana Karskiego. Przez kilka lat utrzymywała z nim kontakty...
- Ach - Joanna zmrużyła śliczne oczy. - To pani była przyjaciółką ojca?

Piękna modelka powiedziała to z naciskiem w głosie. -Znaliśmy się - spieszyła się pani Iza. - Nie traktowałabym tego w tych kategoriach.

- Wszyscy byli ciekawi, jak pani wygląda - dodał Pierre.
- Raczej tego, czy pierwsza otworzy plik na CD - dodała z przekąsem Joanna. - Szczególnie moja siostrzyczka była ciekawa.

Na dziedzińcu pojawiła się Klaudyna, ale nawet do nich nie podeszła.

Pobiegła szybko na zamek. Dziwnie się zachowywała, jakby unikała towarzystwa.

- A pan, widzę, zmienia klientów jak rękawiczki - zmieniła taktykę Joanna. - Najpierw pracował dla mojej kochanej siostrzyczki. Potem dla Patryka, teraz dla kochanki.... o, przepraszam, chciałam powiedzieć dla znajomej ojca.

- Było, minęło - machnął ręką Barber. - Ważne jest, że teraz pani Iza mi rozkazuje. Patryk zaś zwiął. Zrezygnował z moich usług.
- Może pańskie śledztwo nie było zbyt owocne? - zauważył chytrze Pierre.

- Czy ja wiem? Udało nam się odkryć tajemnicę trzech sygnatur, prawda, pani Izo?

Nauczycielka kiwnęła głową. Zwracając się do niej, detektyw kątem oka obserwował zabojada. Francuz spuścił wzrok. Szybko się jednak pozbierał i odwzajemnił przeciwnikowi twar-

dym spojrzeniem. Barber natychmiast pożałował swojej reakcji - niepotrzebnie prowokował cudzoziemca. Tamten mógł się domyślać, że jest podejrzewany o współpracę z porywaczami. Detektyw był już tego pewny.

- Pan Barber mówi prawdę - przytaknęła nauczycielka.
- Dophawdy? - chrząknął Pierre.
 - Bo my również wpadliśmy na pewien trop - dodała Joanna.
- I co? Macie już państwo hasło?
- Nie, jeszcze nie!

*

Skopiował na twardego dysku artykuł o tajemniczym zegarze i zaczął czytać. Już pierwsze zdania publikacji były interesujące:

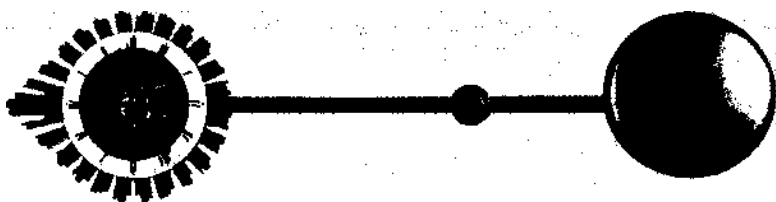
„W zamku kórnickim, wśród wielu interesujących pamiątek pozostawionych przez pokolenia rodziny Działyńskich zachował się dziwny przedmiot, który długo nie był w pełni rozpoznany”.

Według autora artykułu owym przedmiotem było ramię długości około 27 centymetrów, z decentrycznie umieszczoną piastą, zakończone z jednej strony masywnym grotem w kształcie bogato zdobionej maski boga słońca Apollina, z drugiej zaś okrągłym pojemnikiem o średnicy 5,7 centymetra zawierającym w środku mechanizm zegarowy. Zegar ten napędzało się sprężyną nakręcaną kluczykiem, poruszała ona jednak nie wskazówki, a „soczewkowy ciężarek obiegający po okręgu środek tego urządzenia”. W zasadzie był to zegar rotacyjny. Oś kółka wychwytywego osadzona była w rubinach. Promienista maska miała dodatkowo nad czołem wskaźnik

pokazujący godzinę - osadzony na osi i przy obrocie ramienia pozostający zawsze w pozycji pionowej. Cienki pręcik wskazówki umieszczony na przedłużeniu pręta przypominał nieco „dyski wahadeł niektórych XVIII-wiecznych zegarów paryskich”.

Czy tajemnica zegara dotyczyła jego budowy? Albo inaczej: mechanizmu działania? Omnibus wyczytał, że stopniowe przesuwanie się soczewkowego ciężarka wewnątrz koperty powo-

173



Zegar F. Didelota

dowało ruch ramienia wokół osi. Wtedy to osadzona na jego końcu promienista wskazówka przesuwiała się równomiernie. Niestety urządzenie nie było kompletne, brakowało „tarczy zegarowej, na której obracając się, mogło ono mierzyć czas, pokazując kolejne godziny”. Jednakże ów zegar był w opinii autora publikacji - żartem. W XIX wieku w powszechnym użyciu były przyrządy pokazujące czas dokładniej niż ten dziwny zegar; znane były wówczas mechanizmy ze wskazówkami sekundowymi.

Niewykluczone, że osoba konstruktora zegara stanowiła właściwy trop. Kim był jego twórca? To Francois Didelot - znany zegarmistrz poznański. W 1832 roku wybrano go na stanowisko zegarmistrza miejskiego, który miał opiekować się zegarami na ratuszu i na wieży zegarowej dawnego kolegium jezuickiego. Człowiek ten nosił wprawdzie w uszach złote

kolczyki, lecz był osobą wielce poważaną. Zegarmistrzostwo w owych czasach traktowane było jako zajęcie dla wybrańców (interesowali się nim nawet królowie Zygmunt III Waza oraz Ludwik XVI). Warsztat Didelota mieścił się w dawnym pałacu Miel-żyńskich. Syn dobrego znajomego zegarmistrza, znany poznański pamiętnikarz, Marcelli Motty, tak oto wspominał Didelota: „Na tym domu dawnymi czasy widziałeś od strony Rynku wielki szyld malowany, przedstawiający Apollina siedzącego i trzymającego jedną ręką zegarową tarczę z podpisem: «Francois Didelot*. Już teraz w Poznaniu ledwo pewnie trzech, czterech ludzi

174

znajdziesz, którzy by o tym Didelocie cośkolwiek wiedzieli, a był to jednak człowiek nietuzinkowy”³⁵.

Didelot pochodził z miasta Besancon w Burgundii. Po rewolucji francuskiej wstąpił do armii, gdzie został dowódcą batalionu Gwardii Narodowej i brał udział w kampanii holenderskiej na przełomie lat 1794-1795. Jego dowódcą był generał Charles Pichegru (notabene znajomy z Besancon), który w 1795 roku stłumił powstanie jakobinów - odpowiedzialnych za wybuch rewolucji francuskiej. Oskarżono go wkrótce o udział w spisku mającym na celu restaurację dynastii Burbonów, zbiegł jednak z więzienia do Anglii i działał w konspiracji. Po kolejnym spisku uwięziony został we Francji i popełnił samobójstwo. Być może Didelot -jako znajomy generała - wyniósł się z Francji na dobre, aby uniknąć nieprzyjemności? Niestety, dokładna data jego przybycia do Poznania nie jest znana.

Wiadomo jednak, że Didelot znał nie tylko ziemianina z Wielkopolski, Józefa Ignacego Grabowskiego, lecz także Tytusa Działyńskiego - ludzi o

umysłach otwartych i wykształconych. Tytus Działyński był ponadto człowiekiem o dużym poczuciu humoru. Przykładem niech będzie, wspomniana już, jego historia o zasadzeniu gruszek na wierzbie. Czasami też raczył towarzystwo opowieściami, jakoby w skrytce na opał w salonie szukał schronienia przed rewidującymi zamek pruskimi żołnierzami. Czyżby „żart” Didelota z zegarem spodobał się Działyńskiemu do tego stopnia, że odkupił od Francuza ów wynalazek? Hrabia był w końcu inżynierem budownictwa cywilnego, interesował się mechaniką i fizyką. To wszystko stanowiło tylko domysły autora publikacji. Nie ma bowiem żadnej pewności, że ów tajemniczy zegar (znaleziony na zamku między portretami królewskimi, kopiami i gotyckimi dzbanami z Norymbergii) jest dziełem Didelota. Czy był to żart poznańskiego zegarmistrza? Na to wychodziło. Omnibus widział pewne podobieństwo między zegarem Didelota a testamentem Karskiego. Dziwne. Zarówno zegar, jak i testament były swego rodzaju żartem.

³⁵ M. Motty, *Przechadzki po mieście*, Poznań 1999.

175

Kolejny cytat z pamiętników Motty'ego: „... żałuję nieraz, iż nie ma tu już na rogu Apollina z zegarem, a w oknie siwej głowy Didelota z złotymi obrączkami w uszach”.

Emanuel Karski był także osobnikiem o siwej czuprynie. Co za podobieństwo! Nie nosił jednak złotych kolczyków! Stop! Omnibus zapędził się w tych porównaniach. Popuścił wodze fantazji i zaczął bredzić.

Interesujący był kolejny fragment publikacji o zegarmistrzu. Nikt, nawet

wspomniany Motty, nie słyszał o śmierci i pogrzebie Didelota.

Najprawdopodobniej zmarł on między rokiem 1836 a 1843, w czasie nieobecności Motty'ego w Poznaniu. Podobno „córka jego wyszła za Polaka, a syn wrócił do Francji". W marcu 1854 roku synowa starego zegarmistrza napisała do hrabiny Celestyny Działyńskiej, przebywającej wówczas w paryskim Hotelu Lambert, list z prośbą o przyjęcie jej córki do pracy. Odpowiedzi hrabiny historycy, niestety, nie znają.

Omnibus zaczął gorączkowo myśleć. Zdaje się, że żabojad, ten cały filmowiec, pochodził właśnie z Burgundii. Z tego samego rejonu Francji, z którego wyszedł w świat Didelot. Nie był chyba dalekim potomkiem syna Didelota? Wyobraźnia chłopaka poszła jeszcze dalej - oto ujrzał córkę owej synowej, przybywającą pewnego dnia na zamek kórnicki. Kobieta wychodzi za mąż za Polaka i zmienia nazwisko.

Kto wie, może to Karscy należą do dalekiej linii Didelotów? Omnibus zrezygnował z dalszego fantazjowania. Bzdura! Na siłę szukał sensacji.

- Chwileczkę - zamyślił się. - Zaraz... zaraz - szeptał do siebie olśniony nagłym pomysłem. - Didelot... Karski... zegar...

Sięgnął po swój plecak leżący pod łóżkiem.

Jeszcze nie ochłonał, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzył. W drzwiach stała Klaudyna. Pierwsze, co zrobił po zamknięciu drzwi, to opuścił pokrywę laptopa.

- Ostatni trop z zegarem dał wszystkim niezłego kopa - nadawała. - Każdy lata po Kórniku jak opętany. Najwięcej roboty mają panie strażniczki na zamku. Wiesz, jaka jest moja

mama... gotowa dotknąć każdego eksponatu. Gdyby mogła, to rozbiłaby zabytkową amforę, żeby tylko zobaczyć, co znajduje się w środku.

Popatrzyła na niego uważniej. Chłopak był rozpalony, czerwień dosłownie rozlała się na jego policzkach, pocił się prawie jak Barber, w oczach zaś migotały szaleńcze błyski. „O, rany! Nie! - zawyła w duchu. - On znalazł rozwiązanie zagadki”.

- Czy ty... czy coś już wiesz? -jęknęła.
- Nie rozumiem - trochę się zmieszał.

Z trudem udawał, że nic się nie stało. Po prostu nie potrafił w sposób jednoznaczny zaprzeczyć, przybrać obojętnej pozy lub wyprosić ją za drzwi - tak bardzo oszołomiło go to odkrycie.

- Słuchaj, gdybyś nic nie wiedział, łąziłbyś po muzeum i szukał zegara. Twoja mina mówi wszystko.

Zrezygnowana usiadła na krześle. Westchnęła.

- Nie mogę być na zamku - wyjaśniał nieprzekonująco. -Wyproszono nas stamtąd, nie?
- Widzę to w twoich oczach - wstała i śmieiej zrobiła krok w jego stronę. Zerknęła na zamkniętą pokrywę laptopa. - Ty na coś wpadłeś. Przyznaj się!

Nie odpowiadał. Wciąż myślał o tym, co kilka minut temu pojawiło się na ekranie komputera.

- Słuchaj, Omnibus - zaczęła z innej beczki Klaudyna. -Pomyślałam sobie, że szkoda, żeby żabojad pierwszy odgadł hasło. Moja mama nie przeżyje, jeśli Joanna zgarnie majątek dziadka. Dlatego przychodzę z propozycją współpracy. Musimy stworzyć jedną silną drużynę, żeby przeszkodzić Pierre'owi w zdobyciu skarbu, fortuny czy co tam

dziadek Emanuel schował przed światem.

- Mamy zostać partnerami? - zdziwił się Omnibus.
- Czemu nie? - uśmiechnęła się. - A majątkiem podzielimy się po połowie.
- To nie ode mnie zależy.
- Wiem, wiem... od tej nauczycielki - kiwała głową. - Barber pracuje teraz dla niej. Słuchaj, a może porozmawiam z mamą, żeby znowu wynajęła Barbera?
- Porozmawiaj - przytaknął nieobecny duchem.

177

Uch, żebyś wiedział! Ten zabojad mnie po prostu wkurza - gadała jak najęta. - To taki śliski typ. Nie ufam mu. Nie możemy pozwolić, żeby zwyciężył. To byłby koniec świata! Lepiej podzielić się nagrodą po połowie, niż ryzykować, że on wygra.

- Niekoniecznie to on musi zostać spadkobiercą...
- Ty jednak na coś wpadłeś - znowu popatrzyła na laptop.
- No, dobra, z czym przychodzisz?
- Z propozycją.
- Jaki masz kapitał?
- Że co proszę?
- Co dla mnie masz? Chcesz znać hasło, a sama nie masz nic do zaoferowania?
- Nie, ty nie znasz hasła - stwierdziła z chytrym uśmieszkiem. - Gdybyś je znał, nie rozmawiałbyś ze mną. Na co ci mój kapitał, skoro masz hasło?

- Jestem bliski rozwiązania zagadki Emanuela Karskiego.
Powiedział to z takim przekonaniem, że dziewczyna aż stru-
chłała zaskoczona chłodem tego wyznania.

*

Joanna poczuła narastające zmęczenie. Była tak zde gustowana przebiegiem dotychczasowego śledztwa, upokorzeniem, jakiego doznała na zamku, że nie otworzyła nawet laptopa. Miała dość zabawy z hasłem. Dopiero gdy oczami wyobraźni ujrzała triumfującą i szczęśliwą Barbarę, zmusiła się do wysiłku. Wyjęła głęboko ukrytą w torbie płytę CD, wręczoną im przez mecenasa Czaplńskiego, i zaczęła wprowadzać wymyślone na poczekaniu hasła w pole prostokątne. Tematem przewodnim był motyw „zegarowy”, lecz po kilku minutach wyczerpał się Joannie zasób odpowiednich słów. Skapitulowała.

Od dłuższej chwili nie rozmawiali ze sobą. Pierre obraził się na jej obcesowe zachowanie względem niego. Ona zaś miała pretensje, że narzeczony nie wpadł na właściwe hasło. To nie był „zegar”.

Gniewali się. Niedawny przebieg wydarzeń na zamku wy-

178

prowadził ją z równowagi, choć dobrze udawała dzielną Joasię. Połknęła dwie tabletki jakiegoś uspokajającego lekarstwa i legła w ubraniu na łóżko. Pierre przez kilka minut wpisywał bzdurne hasła. Wreszcie i on dał spokój. Nic z tego, przerabiali to już wiele razy.

Pocałował w policzek senną Joannę, choć jeszcze wciąż rozgoryczoną, i poinformował, że wychodzi.

•Przejadę się na stację benzynową - oświadczył. - Zatankuję do pełna.

Może po drodze coś mi wpadnie do głowy?

- Znowu jedziesz po paliwo? - jęknęła. - Mon Dieu! Rano to samo mówiłeś.

Przewróciła się na drugi bok. Francuz wzruszył ramionami. Zszedł na dół. Wsiadł do opla i odjechał szosą na Bnin. Zaraz za zamkiem droga zakręcała ostrym łukiem, oddalając się nieco od jeziora. Po prawej stronie znajdował się rozległy, asfaltowy plac z parkingiem i budkami z żywnością. Tutaj zatrzymywały się wycieczki spragnione odpoczynku. Działała też wypożyczalnia sprzętu wodnego, więc nic dziwnego, że za dnia panował tutaj niezły ruch, tym bardziej, że pogoda w ostatnich dniach dopisywała. Dopiero na tym gwarnym placu Pierre poczuł prawdziwy smak wakacji, chociaż jego misja nie miała nic wspólnego z urlopem.

Nie pojechał po paliwo. Zaparkował na pierwszym wolnym miejscu i dalej ruszył na piechotę. Citroen stał bliżej brzegu, tuż pod drzewem, rzucającym błogosławiony cień na rozgrzaną blachę karoserii. Siedzący za kierownicą człowiek czekał na niego, więc gdy tylko zbliżył się do samochodu, tamten otworzył mu drzwi. Narzeczony Joanny nie zauważył parkującego dalej fiata punto i siedzącego w nim osobnika o beznamiętnym spojrzeniu, który obserwował każdy jego ruch.

Rzucił opalonemu facetowi w hawajskiej koszuli grzecznościową formułkę i streścił przebieg wydarzeń na zamku. Mężczyzna za kółkiem nie krył rozczarowania jego opowieścią. Wyjął papierosa i zapalił go w milczeniu. Pierre nie śmiał nawet otworzyć ust. Monsieur Gerard nie przywykł do takiego traktowania. Już sam fakt jego przyjazdu do Polski stanowił w ich światku istną sensację. Ten doświadczony podróżnik,

awanturnik i poszukiwacz skarbów, był człowiekiem wykształconym i kulturalnym. Na oko nie sprawiał wrażenia okrutni-ka. Nieliczni wiedzieli, że potrafił być bezwzględny dla tych, którzy weszli mu w drogę lub nie wykonali zadania. Jednakże tacy ludzie najczęściej nie mówili. Tacy, jeśli tylko aktualnie nie wachali kwiatków od dołu, po prostu mieli na tyle oleju w głowie, żeby przynajmniej milczeć.

Pierre czekał, wdychając w milczeniu tytoniowy dym.

- A ty, czemu nie palisz? - zapytał go cicho kierowca. -

Rzuciłeś, czy co?

Pierre z wielką ochotą wyjął własne papierosy i zapalił.

Starszy mężczyzna nie był filmowcem. Pierre ciągle zwodził Joannę obietnicami występu w filmie i powoływał się na znajomość z reżyserem. Prawda była taka, że nie znał żadnego filmowca Gerarda i w ogóle nie znał nikogo z tej branży. Jedyne znany mu człowiek o tym nazwisku siedział obok niego i zaciągał się głęboko papierosem. On także nie miał nic wspólnego z X Muzą.

- Ile ci płacę, Pierre? - przerwał ciszę.

Głos miał niski, a przy tym aksamitny. Łatwo było odnieść wrażenie, że to człowiek o łagodnym charakterze. Tylko czemu Pierre przełknął z niepokojem ślinę i nie odpowiadał?

- Odpowiesz mi? - naciskał na niego mężczyzna.

Pierre z trudem wymienił niemąłą sumę.

- I co za to mam? - pytał dalej Monsieur Gerard. - Domysły, domysły, domysły.
- Trop z zegarem wydaje się interesujący...
- To zasługa tej nauczycielki, nie twoja. Pomogliśmy ci z porwaniem.

Dostałeś nawet ekstrabonus, lecz wciąż błędzisz, Pierre. Ja potrzebuję hasła. Rozumiesz? Otwórz mi ten cholerny plik Karskiego. Zapłać komu trzeba, powieś za nogi, jak chcesz, utop w jeziorze, ale daj mi to hasło. Czekam do jutra.

Pierre się zasepił.

- Sprawa nie jest łatwa - wymamrotał.
- Zgoda. A moje pieniądze nie śmierdzą.
- A wasz informatyk? Nadal nie może otworzyć pliku?
- Nie może. Tego pliku nie można otworzyć bez hasła. Nie

180

chcę też żadnych nieprzyjemności. Nikt nie może powiązać twojej osoby ze mną! Rozumiesz?! Jestem tutaj incognito. Pierre zamilkł na chwilę.

- Co ten Karski mógł ukryć, szefie? - zapytał i zaraz przestraszył się własnego zuchwalstwa.

Zapytany wolno zwrócił głowę w jego stronę i zlustrował go z wyraźną niechęcią. Jego twarz jednak wnet złagodniała.

- To dawna sprawa - mruknął i wyrzucił niedopałek przez uchyloną szybę. - Spotkaliśmy się w Australii. Karski jest mi coś winien. A raczej, był mi coś winien. Przed śmiercią wysłał do mnie list i o wszystkim napisał. Kawał drania był z niego. Zakpił sobie ze mnie. Kiedy przyjechałem, już się przekręcił. Szczyt cynizmu. Postanowiłem przyjechać tutaj znowu, jak jego adwokat zaczął tę szopkę z testamentem.

Szef nie jest rozmowny - pomyślał Pierre. - Tyle to i ja wiem. W końcu wynajął mnie do roli „narzeczonego” Joanny Karskiej.

Jako że Pierre był zawodowym kłamcą, a przy tym człowiekiem pełnym uroku, przystojnym, łatwo nawiązywał znajomości z kobietami i szybko je od siebie uzależniał. Joanna nie była „trudną sztuką”. Spragniona filmowej sławy, zatraciła się w marzeniach, ułatwiając mu zadanie. Uwiódł ją szybko. Inna sprawa, że podobała mu się ta Karska! A przecież Pierre nie tak dawno zakochał się w jednej ze swoich byłych ofiar. W filigranowej brunetce z Nantes - Bibi.

Był ciekaw, co Emanuel Karski ukrył przed rodziną i co takiego zmusiło Monsieur Gerarda do przyjazdu do Polski, lecz na wszelki wypadek nie naciskał. Intuicja podpowiadała mu, że gra musi się toczyć o wielką stawkę.

- Nie twoja rzecz - kontynuował kierowca citroena. - Szukaj dalej. Umówmy się o północy w parku. Tu masz mapę z zaznaczonym miejscem spotkania.
- Po co ta konspiracja? - zdziwił się. - Mamy telefony komórkowe.
- Tutaj ciągle zanika mi pole.

Pierre przypomniał sobie, że jego pracodawca wynajął w lesie za Bninem ekskluzywną willę. I narzekał na działanie komórki. Zgoda, sam także miewał problemy.

181

- Nie mogę dać gwarancji, że do wieczora to zrobię, szefie.
- Musisz, Pierre. Inaczej zwrócisz forszę. A to może być dla ciebie problem. Przecież zapłaciłeś kilka czynszów, z którymi zalegała twoja Bibi.

Zamurowało go. Monsieur Gerard wiedział o kochance z Nantes.

Śledził go, zanim go wynajął. Wiedział o nim wszystko. Ten opanowany człowiek wiedział chyba wszystko! No, może poza hasłem wymyślonym przez Emanuela Karskiego.

11

Obejrzeni wszystkie cztery zegary z kórnickiej ekspozycji. Pani Iza służyła Barberowi za przewodnika, choć o samych zegarach wiedziała niewiele. Nie dało się w tak krótkim czasie odgadnąć hasła. Zamknięta dla zwiedzających czytelnia na piętrze odroczyła konieczny przegląd literatury fachowej do dnia następnego. Ich spokój burzyła dodatkowo świadomość obecności w zamkowej bibliotece Barbary Karskiej. To ona mogła najszybciej otworzyć wrota Sezamu!

Nie zdawali sobie sprawy, że Omnibus już tego dokonał.

Należał im się odpoczynek po tylu godzinach spędzonych w ruderze. Konstruktywne myślenie zaczynało szwankować. Spacerkiem ruszyli w powrotną drogę do miasteczka. Idąc chodnikiem naprzeciwko Oficyny nad Jeziorem, ujrzeli wyjeżdżającego opła Pierre'a. Cudzoziemiec nawet nie raczył ich pozdrowić. Oczywiście, Barber nie martwił się tym zupełnie. Zatrzymał się i obserwował oddalający się w kierunku Bnina samochód. Dopiero, gdy opel zniknął za zakrętem na wysokości zamku, pociągnął zaskoczoną nauczycielkę za sobą.

- Muszę coś sprawdzić - wyjaśnił i ruszył przez pustą ulicę ku otwartej bramie.
- Co się stało? - pytała pani Iza.
- Później.

i idąc po podjeździe, skierowali się na tyły Oficyny nad Jeziorem.

Detektyw zachowywał się dziwnie. Nie patrzył przed siebie. Pochylał swoją dużą głowę nad ziemią, jakby czegoś szukał. Dopiero, gdy znaleźli się na małym parkingu usytuowanym obok garaży, zrozumiała, że Barber szukał śladów opon.

- Pięknie - wskazywał palcem jakiś ledwo widoczny ślad odcisnięty na powierzchni. - Widzi pani? Taki sam wzór opon znalazłem przed ruderą. To znaczy, tak mi się wydaje.
- Nic nie widziałam. Sądzi pan, że ten cały Pierre też tam był?
- Z samego rana. Przyjechał z naszym znajomym w kominiarce. No pewnie! Ten w kominiarce - punto. Żabojad - oplem. Nie było tylko citroena tego elegancika w słomkowym kapeluszu. Bo to widać ich szef. Niezła z nich paczka, co nie?

Jeszcze raz przyjrzał się śladom opon.

- Dam sobie uciąć głowę, że to te same opony. Taki sam rodzaj bieżnikowania. To jest istotny dowód, że żabojad współpracuje z naszymi porywaczami.

Nauczycielka ziewnęła dyskretnie.

- No dobra - wyprostował się detektyw. - Idziemy poleżakować. Trzeba wreszcie wyprostować stare kości. O, przepraszam, miałem na myśli wyłącznie mój szkielet.

Przed kamienicą z restauracją „Pod Złotym Kurem” detektyw zadzwonił z automatu do znajomej pracującej na policji. Niestety, kobieta bawiła akurat na urlopie i ustalenie nazwiska osoby, która wypożyczyła

citroena, było aktualnie niemożliwe.

Zanim zamknęli się we własnych pokojach, zajrzeli na chwilę do Omnibusa. Ku ich zdziwieniu gościła tam Klaudyna Karska. Młodzi stali pochyleni nad jakimś urządzeniem elektronicznym, a chłopak nerwowym ruchem ręki dawał im znak, aby zachowywali się cicho. Klaudyna także milczała, ale jej twarz wyrażała autentyczne poruszenie.

Głos należący do cudzoziemca chrypiał z małego głośniczka ustawionego na parapecie okna. Barber szybko pojął, w czym rzecz -jakimś cudem dwójka dzieciaków podsłuchiwała rozmowę żabojada odbywającą się w języku francuskim. Wprawdzie

183

detektyw nie rozumiał ani w ząb, o czym rozmawiano, to jednego był absolutnie pewny, a mianowicie, że rozmówcy znajdowali się w promieniu dwóch kilometrów od Kórnika.

- *Me mogę dać gwarancji, że do wieczora to zrobię, szefie* -mówił Francuz.
- *Musisz, Pierre. Inaczej zwrócisz forszę. A to może być dla ciebie problem. Przecież zapłaciłeś kilka czynszów, z którymi zalegała twoja Bibi.*

Po chwili nastąpiła cisza i trzasnęły drzwi samochodu. W tle zawarczał silnik. Narzeczony Joanny zaklął i przypalił papierosa. Wtem z głośnika dobył się suchy, nieprzyjemny trzask. Co mogło oznaczać, iż Pierre znalazł pióro i je oglądał.

Cała czwórka słuchała dalej. Wkrótce trzaski ustały i jakość nagrania pogorszyła się.

Barber szybko wyjaśnił nauczycielce, o co chodzi.

- Pierre dostał w „prezencie” wieczne pióro z ukrytym w skuwce mikronadajnikiem.
- To zasługa Klaudyny - dodał Omnibus.
Barber podszedł do chłopaka i groźnie na niego popatrzył.
- Skąd ona o tym wiedziała?
 - Przypadkowo znalazłam w skuwce nadajnik, panie Barber - wyręczyła chłopaka Klaudyna. - Pomyślałam, że to wasza sprawka i przyszedłam po wyjaśnienia.
 - Pięknie - mruknął Barber. - Tylko jakim cudem pióro ma przy sobie żabojad?
 - Bo zanim tutaj przyszedłam, spotkałam go na zamku z Joanną. Trochę pogadaliśmy i w pewnym momencie włożyłam pióro do kieszeni jego marynarki. I co, źle zrobiłam?

Barber pokiwał z uznaniem głową, ale nic nie powiedział. Faktycznie widział Klaudynę przemykającą przez dziedziniec, gdy spotkali tam Joannę i Pierre'a. Kręciła się w pobliżu zamku i dziwnie zachowywała. Pomyślał wtedy, że ich unika. A ona pewnie obmyślała sztuczkę z piórem. Później oglądał zegary z panią Izą, a dziewczyna przybiegła tutaj do Omnibusa.

Wkrótce trzasnęły drzwi opla i zawarczał silnik.

- Oho, żabojad wraca.
- I po co to wszystko? - zapytała pani Iza.

184

- Nie rozumie pani? - Klaudyna uniosła ze zdziwienia brwi. -
Pomyślałam, że podsłuchanie Pierre'a może być naszym atutem. Bo ja

przyszłam dobić targu.

- Jakiego targu?
- Powiedz panu Barberowi.
 - Klaudyna chce połączyć nasze siły i wymienić się cennymi informacjami - zaczął nieśmiało tłumaczyć chłopak. - Ażeby później podzielić się spadkiem. Po połowie. Wkład Klaudy-ny to pióro w kieszeni zabojada. On spotyka się z pewnym tajemniczym gościem, którego nazywa szefem...

- No nie wiem - pani Iza pokiwała z niezadowoleniem głową.

- A nasz wkład jaki jest?

Omnibus spuścił wzrok i uśmiechnął się.

- W zasadzie to udało mi się odgadnąć hasło.

W pierwszej chwili Barber myślał, że to jakiś dowcip. Nauczycielka zareagowała podobnie. Zapomnieli o targu.

- Poszperałem trochę w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej i natrafiłem na interesujący artykuł o tajemniczym zegarze w kórnickich zbiorach - kontynuował chłopak.

- Jakie to hasło? - wychrypiała pani Iza.

Omnibus zrobił teatralną pauzę i wypowiedział to jedno magiczne słowo.

Tymczasem w zamku bibliotekarz tłumaczył Barbarze Karskiej zasadę działania zegara Didelota. Na próżno. Matka Klaudy-ny ni w ząb nie rozumiała, co się do niej mówi. Potem sympatyczny bibliotekarz zanudzał ją opowieściami o pierwszych zegarach wodnych stosowanych przez Egipcjan i Chińczyków oraz pierwszych zegarach mechanicznych z XrV

wieku. Źródłem ruchu w tych drugich urządzeniach była energia mechaniczna zawarta w sprężynie lub obciążniku. Nie miały one jeszcze ani tarcz, ani wskazówek, a ich rolę pełnił dzwon. Najstarszym takim zabytkiem w Polsce był zegar z 1368 roku umieszczony na frontonie ratusza wrocławskiego. Podobno jeszcze w XIV wieku dodano do zegara tarczę i wskazówkę godzinową. I tak można było określić czas z dokładnością do

185

piętnastu minut. Takie zegary zwano *horloges*, od łacińskiej nazwy zegara wodnego *horologium*.

Bibliotekarz nie omieszkał wspomnieć o tak zwanych zegarach powozowych, norymberskim jajku (pierwszym przenośnym zegarku z małą sprężyną do napędu mechanizmu z 1511 roku) i XVII-wiecznym wynalazku Christiana Huyghensa - słynnym zegarze wahadłowym. Ten znany Holender wynalazł także spiralny włos. Nie zabrakło wzmianki o pewnym Szwajcarze, który wpadł na pomysł zastosowania w zegarach rubinu jako łożyska, oraz o innym szwajcarskim wynalazku - systemie ochrony przed wstrząsami i tourbillonie (urządzeniu kompensującym wpływ grawitacji na działanie zegarka). Ciekawe, że nieznana była dokładna data pojawienia się pierwszego zegarka na rękę. Prawdopodobnie w 1810 roku niejaki Breguet skonstruował takowy dla królowej Neapolu.

Barbara Karska chrząknęła niecierpliwie i znowu sięgnęła po leżącą na stole publikację. Mężczyzna natychmiast zmienił temat i zaczął mówić o urządzeniu zbudowanym przez Didelota.

- Wskazówek tu nie ma, proszę pani - wyjaśniał życzliwie. - Mamy za

to soczewkowaty ciężarek. Obiega on po okręgu...

- Czy to ważne? - przerwała niezbyt grzecznie. - Ten cały mechanizm! I ta cała historia zegarków. Co mnie obchodzi zegary wodne, astrolabium albo klepsydra? Mnie interesują związki między zegarem a testamentem ojca.
- Hm, zegar Didelota nazwano tajemniczym, więc pomyślałem sobie, że jeśli pan Emanuel Karski miał na uwadze jakiś zegar, to właśnie ten. To jedyny zegar na zamku w Kórniku, który nie jest udostępniony zwiedzającym.
- Chciałabym go obejrzeć.
- Jest mały problem. Trzymamy go w naszej pracowni, lecz tak się składa, że kilka miesięcy temu zawieźliśmy go do konserwatora w Gdańsku. Wymaga bowiem gruntownej renowacji. Na szczęście mamy trochę fotografii.

Barbara Karska zatrzymała wzrok na fragmencie opisującym promienistą maskę zdobiącą grot umieszczony na końcu ramienia zegara.

- Czy nie sądzi pan, że maska tego całego Apollina może

186

być kluczem w naszej sprawie? - zaciekawiona popatrzyła na bibliotekarza.

- Trudno powiedzieć.
- A kim był ten Apollin?
- Apollo! To nie jest żadna tajemnica. Wystarczy wziąć do ręki którąkolwiek z książek o mitologii greckiej. To syn Zeusa. Utożsamiany ze słońcem. Wraz z Heliosem uważano go za boga słońca.

To taki urodziwy mężczyzna w złotej koronie. Mieszkał sobie w pałacu ze złota i drogich kamieni. W mitach greckich o świcie pojawiał się jego wóz, który ruszał na codzienny objazd. O zachodzie zaś znikał za oceanem. Apollina często utożsamiano z Heliosem, woźnicą słonecznego rydwanu, też bogiem. W Egipcie było nawet miasto słońca Heliopolis, znane jako siedziba słonecznego ptaka Feniksa. W tymże Heliopolis 1500 lat przed naszą erą postawiono przed tamtejszą świątynią Iglę Kleopatry, urządzenie do mierzenia cienia i wyznaczania upływu czasu. A zatem coś w rodzaju zegara. Dopiero 500 lat później pojawiły się pierwsze egipskie pręty służące do określania czasu...

- Znowu ten Egipt -jęknęła Barbara. - Och, przepraszam. Dzisiaj tak gorąco... wie pan, robię się wtedy nieznośna. A pan taki grzeczny... tłumaczy mi wszystko pięknie. Tylko, co ojciec może mieć wspólnego z Egiptem? Owszem, był tam dawno temu, jakieś pół roku. Jednak znacznie dłużej bawił w Australii...
- Przepraszam - odezwał się bibliotekarz. - A ja wciąż robię historyczne dygresje. Skupmy się na zegarze Didelota. Jak wspomniałem, tego zegara nie możemy obejrzeć. Mamy za to kilka zdjęć zamieszczonych w artykule z „Pamiętników Biblioteki Kórnickiej”.

Zaczęli je oglądać, lecz raczej nie znaleźli nic ciekawego.

Zdegustowana Barbara zamierzała już opuścić czytelnię, gdy bibliotekarz przypomniał sobie pytanie Barbera, który poprosił o sprawdzenie starych rewersów z nazwiskiem Karskiego. Jeśli bibliofil interesował się tym konkretnym zegarem, to ślad tego musiał istnieć w historii jego odwiedzin na zamku. Cóż prostszego, jak sprawdzić, czy przeglądał zeszyt

dwudziesty piąty z artykułem Dolczewskiego o tajemniczym zegarze Didelota?

187

Bibliotekarz wrócił do czytelni z triumfalną miną.

- No i proszę! - nie krył emocji. - Mamy dużo rewersów po nieboszczyku, bo pan Karski przeglądał wiele pozycji w miesiącu. Kilkakrotnie korzystał w czytelni z tego konkretnego numeru „Pamiętników...” Ostatni raz w tamtym roku zimą.
- Trafiony! - ucieszyła się Barbara. - Ma pan rację, chodzi o ten właśnie zegar.

Ze zdwojoną energią zaczęła wertować stronice artykułu. Dopiero po kilkunastu minutach bibliotekarz zwrócił uwagę na oprawę mechanizmu kórnickiego zegara. Była to koperta z dwiema pokrywkami.

- Wewnętrzna jest perforowana dwunastoma okrągłymi otworkami - tłumaczył. - Na pokrywce widoczna jest ryta sygnatura...
- „Didelot A POSEN” - przeczytała Barbara.

Nagle oboje spojrzeli na siebie i trwali tak przez kilka sekund. Pierwsza ochłonęła Barbara.

- Czy myśli pan o tym samym, co ja? - zapytała.
- Jeśli chodzi pani o to, że hasłem wymyślonym przez pani ojca jest nazwisko zegarmistrza, to tak.

Barbara Karska złapała za komórkę i zadzwoniła do Klau-dyńy.

Włożył srebrny krążek pani Izy do kieszeni CD-ROM i wpisał nazwisko zegarmistrza z Burgundii w puste pole z hasłem.

DIDELOT

Prostokącik zniknął z ekranu. I wtedy wszyscy, oprócz Omnibusa, wstrzymali oddech z wrażenia.

- System męczy się z ładowaniem innego pliku - wyjaśnił.

Wreszcie ukazał się niewielki, niebieski prostokącik o następującej treści:

Gratulacje!

Teraz kliknij:

TUTAJ

188

Chłopak postąpił zgodnie z instrukcją zmarłego, a w tym czasie pozostali klasnęli w ręce z radości. Lecz wkrótce, ku rozżaleniu pozostałej trójki - bo tylko Omnibus znał wynik tego eksperymentu - załadowała się kolejna strona, tym razem z jakimiś cyferkami. Nic więcej. Żadnego testamentu, mapy, planu albo informacji o miejscu ukrycia skarbu. Ani słowa. Tylko osiem cyfr, układających się w tajemniczą liczbę:

17141790

I kolejny pusty prostokącik domagający się hasła. Patrzyli w ekran laptopa jak zahipnotyzowani, nie mając pojęcia, co znaczą te cyferki.

- O żesz ty kartofel! Siedemnaście milionów, sto czterdzieści jeden tysięcy, siedemset dziewięćdziesiąt - odczytał podekscytowany Barber. - Miliony Karskiego! Zgromadził ponad siedemnaście milionów złotych! Kto wie, może chodzi o dolary?! Taką sumą można podzielić się z konkurencją! Starczy dla wszystkich!
- Niemożliwe - nauczycielka z niedowierzaniem pokręciła głową. - Nie

wierzę, żeby Emanuel miał tyle pieniędzy. To wprost niedorzeczne. Żył skromnie, jak... pustelnik... willa nad jeziorem od dawna wymagała remontu, nie było go stać na położenie nowej dachówki, nawet wody w studni nie było.

- Może nie miał czasu albo ochoty na remont - zauważył detektyw. - To dziwak. Nie przywiązywał wagi do wyglądu i stanu domu.
- To nie pieniądze - weszła w słowo Klaudyna. - Dlaczego dziadek miałby podawać stan swojego konta? Po co, jeśli nie ma wskazówki, jak się do tych pieniędzy dostać?
- A ty, co o tym sądzisz, Omnibus? - Barber spojrział na chłopaka.
- Klaudyna ma chyba rację. Ta liczba jest po prostu kolejną wskazówką.

W obliczu nieoczekiwanego odkrycia cała czwórka zapomniała, że są rywalami. Pani Iza słowem nie odniosła się do możliwości współpracy z Barbarą Karską. Nie miała zdania lub po prostu jej głowę zaprzętała teraz tajemnicza liczba. Wprawdzie

189

chłopak rozwiązał układankę Emanuela z trzema sygnaturami, mieli jednak przed sobą nową łamigłówkę.

Ciszę przerwało popiskiwanie komórki Klaudyny. Dziewczyna szybko odebrała telefon i odeszła w kąt.

- Tak, jestem mamó... co? Mów głośniej, bo pole zanika!

Dobra... zaraz będę. Powiedz tylko...

Nagle Klaudyna znieruchomiała.

- Powtórz to? - zachichotała. - Naprawdę znasz hasło? To pogratuluj panu bibliotekarzowi. Tylko widzisz... ja je także

znam. „Didelot”.

Nikt z nich nie widział twarzy pani Barbary, ale musiała być diabło zaskoczona.

- Mamo, słyszysz mnie? - kontynuowała rozmowę dziewczyna. - To hasło prowadzi do następnego hasła. Porozmawiamy, jak się spotkamy! Pa!

Jednakże dziewczyna nie od razu wyszła.

Oto bowiem odezwał się głośnik aparatury podsłuchowej. Pierre zgasił silnik i szedł, pogwizdując piosenkę niegdyś wylansowaną przez Yves'a Montanda. Lecz ta liryczna ballada w wykonaniu Pierre'a nie miała uroku i subtelności oryginału. Robił to odruchowo, tak jak mężczyźni nucą przy goleniu, fałszując przy tym potwornie. Wtem zajęczały stare drzwi i zatrzeszczały schody.

Mężczyzna szedł do pokoju, który dzielił z Joanną.

*

Zamknął cicho drzwi. Wyjął wieczne pióro i oglądał je uważnie pod oknem wychodzącym na jezioro. Tym razem nie podziwiał widoków. Interesowało go wyłącznie pióro. Nie było drogie. Przede wszystkim nie było jego. „Jakim cudem znalazło się w mojej kieszeni? Czyżby Jeannette włożyła je przez nieuwagę? - zastanawiał się. -Au diablo! To jednak niemożliwe! Nigdy nie widziałem u niej takiego pióra”. Dlaczego więc ten przedmiot tak bardzo go niepokoił? Uwagi szefa o forsie i Bibi wręcz go wystraszyły. A teraz to pióro nie dawało mu spokoju.

Postanowił rozwiać wątpliwości, więc podszedł po trzeszczącej podłodze do łóżka, na którym leżała śpiąca Joanna.

- Jeannette, obudź się - potrząsnął ją za ramię.

Środki uspokajające wciąż działały, więc piękna „narzeczona” nie chciała się obudzić. Dopiero po kilkakrotnym potrząśnięciu otworzyła jedno oko.

- To ty? - wyszeptała z trudem. - Co się stało?

Już zamierzał zapytać wprost o pióro, gdy niespodziewanie zmienił zamiar. Jakiś wewnętrzny głos kazał mu nie poruszać tego tematu. To nie było pióro Jeannette!

- Spij spokojnie - posłał jej czułe spojrzenie. - Chciałem się upewnić, że się dobrze czujesz.

- Pić... pić mi się chce - szeptała zaspanym głosem.

Wyciągnęła zabawnie rękę przed siebie niczym dziecko albo lunatyczka, a on podał jej otwartą butelkę wody mineralnej. Joanna piła łapczywie. Potem grzecznie położyła głowę na poduszce i szybko zasnęła.

Pierre wstał i podszedł do okna. Stateczek wycieczkowy „Biała Dama” zbliżał się do pobliskiej przystani na wschodnim brzegu. Jeszcze raz obejrzał intrygujący go przedmiot w świetle wpadających przez okno promieni słonecznych. Pióro jak pióro. Nic nadzwyczajnego. Odkręcił skuwkę i sprawdził stalówkę. Nie była najwyższej jakości. Potrząsnął nim i spróbował napisać coś na rękę. Zostawiło na skórze ślad atramentu - prawdziwe. Obejrzał jeszcze zbiorniczek z tuszem, a następnie sprawdził złoconą klamrę. Siedziała mocno w skuwce. Już miał ją nasadzić, gdy zajrzał do środka owej zakrętki. Za pierwszym razem niczego nie zauważył, lecz, o dziwo, skuwka wydała mu się zbyt ciężka jak na plastikowy wyrób. Klamrę także wykonano z plastyku, a jednak wciąż

odnosił wrażenie, że waży za dużo.

Dopiero gdy skierował skuwkę otworem ku światłu bijącemu z okna, zauważył w jej wnętrzu jakieś urządzenie wetknięte na samo dno. W końcówkę skuwki wmontowano miniaturowy nadajnik - wtłoczono go w sam jej środek i przykręcono sprytnie klamrą. Ów mikrofon był od zewnątrz pokryty złotą farbą, tak jak reszta skuwki, więc nie można go było rozpoznać.

Stał przy oknie sparaliżowany dokonanym odkryciem. W pierwszej chwili przeraziła go myśl, że wieczne pióro zostało mu podłożone przez przebiegłego Monsieur Gerarda. Zale-

191

dwie piętnaście minut temu. „Tego faceta stać na wszystko i kto wie, czy mnie nie kontroluje. On nie ufa przecież nikomu. Niepokoił go brak moich sukcesów. Naciskał. Te jego sugestie odnośnie do forsy - myślał w panice. - Tak, to może być sprawka Gerarda”.

„A jeśli to nie szef, to kto? Ktoś z konkurencji? Tylko gdzie mi to podłożono? Na zamku? Czy podczas rozmowy ze starym detektywem i nauczycielką?” Czuł, że Barber tego nie zrobił. Po prostu nie miał okazji. Stali na dziedzińcu i jedyne, co go teraz martwiło, to dziwne spojrzenie starego. Patrzył tak, jakby go podejrzewał o porwanie, ale i to wydało mu się niemożliwe. Barber poszedłby na policję, gdyby coś na niego miał, a ci przyskrzyniliby go bez wahania. Inna sprawa, że nie docenił starego - jakimś cudem ten *vieux crouton*³⁶ zdołał się uwolnić. Pokrzyżował im plany. A zatem kto podrzucił pióro? Klaudy-na? Patryk? Ktoś, kogo nawet nie podejrzewał?

Od samego rana nie zdejmował z siebie lnianej marynarki. Był w niej

cały czas. Nie potrafił więc ustalić nawet w przybliżeniu momentu, w którym włożono mu do kieszeni nadajnik.

Był podsłuchiwany. I to go przerażało. Jeśli to sprawka rywali, to należało niezwłocznie zawiadomić Monsieur Gerarda. Natychmiast! Żeby facet przekonał się, że jest zawodowcem. Jeśli zrobił to szef, tym bardziej musi mu o tym powiedzieć.

Noc zapowiadała się pracowicie dla Barbera. Wprawdzie połączono siły dwóch ekip, jednak nie wyobrażał sobie udziału w nocnej misji Barbary, Izy, Klaudyny i Omnibusa. To było zadanie przekraczające możliwości amatorów.

Siedzieli nad brzegiem jeziora przy przystani i zastanawiali się nad znaczeniem tajemniczej liczby, którą „wyczarował” Omnibus. W jego pokoju zostawiono włączoną aparaturę podsłuchową na wypadek, gdyby nadajnik ukryty w wiecznym piórze zarejestrował nową rozmowę. Mogli ją odsłuchać póź-

³⁶ *vieux crouton* - stary piernik.

niej. Wiedzieli jednak, że cudzoziemiec opuścił Oficynę nad Jeziorem, zostawiwszy pióro w pokoju.

Nie przeszkadzała im obecność grupek młodzieży, ich śmiech i wakacyjna beztroska. Dzieciarnia lgnęła do wody niczym spragnione kąpieli hipopotamy. Piątka naszych detektywów usiadła na tarasie tawerny, próbując zrozumieć charakter i sposób myślenia Emanuela Karskiego. Po raz kolejny bibliofil sobie z nich zakpił, choć trzeba

przyznać, że dzięki tej perfidnej grze zagadka stawiała się coraz bardziej intrygująca. Nawet Barbara Karska, pragmatyczka pozbawiona fantazji, dała się ponieść emocjom wywołanym pojawieniem się nowej szarady.

- Skoro udało się odgadnąć pierwsze hasło - mówiła - trzeba rozwiązać drugą łamigłówkę.

Pod koniec spotkania zjedli skromny obiad. Nie zdawali sobie sprawy, że Pierre stał w pobliżu tawerny i obserwował ich naradę zza krzaka bzu. Nie odważył się podejść bliżej, wypalił jednego papierosa i niebawem się oddalił.

Piątka nad brzegiem jeziora omówiła kolejny raz plan działania na wieczór. Barber mówił, reszta słuchała. Wkrótce skończyli naradę i rozeszli się.

Detektyw nie zamierzał jednak odpoczywać. Marzył o drzemce, o wyprostowaniu starych kości. Niestety, musiał odwiedzić pewne szczególne miejsce w Kórniku. Zostawił nauczycielkę i Omnibusa przed restauracją „Pod Złotym Kurem” i wsiadł do auta.

Na końcu długiej ulicy - tam, gdzie trasa poznańska łukiem zbliżała się do północnej części jeziora - skręcił w prawo i zatrzymał swojego grata na chodniku małej uliczki.

Było gorąco i duszno, a ból w mostku stawał się nie do zniesienia, więc Barber skorzystał z nitrogliceryny w sprayu. Kiedy poczuł się lepiej, wysiadł z samochodu. Minał boczną ścianę piętrowego budynku i znalazł doń wejście od głównej ulicy, obok których lśniła w promieniach słońca tabliczka z napisem POLICJA.

Wieczór był chłodny. Stanowił idealną przeciwwagę dla upalnego dnia, który pół godziny wcześniej skończył na dobre za

zachodnim brzegiem jeziora. Wieczorami chciało się żyć. Barber kochał chłodne wieczory, wtedy lepiej mu się oddychało. Poruszał się żwawiej i szybciej myślał. Niestety, nie było mu dane ani odpocząć, ani rozkoszować się spacerem. Miał zadanie do wykonania. Przeciwnik także nie spał.

Z rozmowy zabojada z szefem wynikało, że o północy mieli się spotkać na terenie parku. Barber nie miał pojęcia, gdzie konkretnie ma się odbyć „schadzka” złoczyńców. Należało więc przyczytać się w jakimś miejscu i mieć na oku Oficynę nad Jeziorem. Na wszelki wypadek zaparkował poloneza na tyłach oficyny zamykającej dziedziniec zamkowy od wschodu, przed tylną ścianą dawnej stajni i powozowni. Był to dobry punkt obserwacyjny. Nie będą widoczni dla Pierre'a opuszczającego położoną po drugiej stronie dziedzińca oficynę. Mieli stąd blisko do wejścia na teren arboretum. Przede wszystkim siedząca wewnątrz auta czwórka towarzyszy detektywa była bezpieczna. Pod żadnym pozorem - Barbara, Izabela, Klaudyna i Omnibus - nie mogli opuszczać samochodu. Tylko na tych warunkach zgodził się na ich udział w tej niebezpiecznej misji.

Barber opierał się o chropowaty mur i w napięciu obserwował oddalony o dwieście metrów budynek z mansardowym dachem. Używał noktowizora. Czasami odrywał wzrok od Oficyny nad Jeziorem, by podziwiać wyeksponowaną w świetle reflektorów północną fasadę zamku. Ukryty w wiecznym piórze mikrofon rejestrował każde słowo wypowiedziane przez Joannę i jej Francuzika, tylko że w ich pokoju królowała głęboka cisza.

Dopiero kwadrans przed północą Pierre wyszedł z oficyny. Przeszedł

szybko przez pustą ulicę i znalazł się na dziedzińcu. Barber przylgnął do ściany, obserwując marsz cudzoziemca wzdłuż schodów prowadzących na zamek. Za schodami skręcił w stronę parku. Rozejrzał się i sprawnie przeskoczył przez niewysoką furtkę.

Detektyw poszedł za nim, lecz musiał pokonać przeszkodę w postaci ogrodzenia za pawilonem z pamiątkami i bufetem. Dlatego też na krótką chwilę stracił zadojada z oczu. Przełaząc na drugą stronę barykady, nadepnął na gałązkę, która

194

wydała głośny trzask, więc sklął się w duchu za ten wypadek przy pracy. Zatrzymał się na chwilę, dla bezpieczeństwa, i po chwili wszedł za rząd żywotników, aby wypatrzeć w ciemności Francuza.

Miał go! Tamten szedł alejką przy brzegu fosy, minął drewniany mostek i dalej skręcił w prawo. Szedł wyraźnie ku alei lipowej i detektyw miał szczęście, że Pierre ani razu nie obejrzał się.

Przed aleją lipową odbił w lewo i minął potężne drzewo, z wysoko osadzoną, szeroką koroną, dość dobrze widoczną w księżycowej pełni. Jednakże tu na dole wszystko tonęło w gęstym mroku, i to właśnie ułatwiało Barberowi śledzenie. Cudzoziemiec przeszedł mostek na kanale i zatrzymał się dopiero nad brzegiem stawu, z którego roztaczał się widok na otaczające go drzewa.

Nagle Barber zrozumiał, że coś tutaj nie gra. Zadziały jednocześnie intuicja i pewne spóźnione spostrzeżenie. Otóż, osobnik, za którym szedł, był wyraźnie wyższy od Pierre'a, choć tak samo jak on ubrany na czarno. Nie było jednak czasu na myślenie. Oto bowiem dryblas przeskoczył strumyk i schował się za pniem drzewa pochylającym się nad brzegiem.

Barber usłyszał za plecami jakieś szmery. Odwrócił się. Nie zdążył wykonać rutynowego uniku i oberwał w głowę. Upadając, nie widział już nikogo i nic. Słyszał tylko oddech napastnika i odgłos szurania butów na żwirowej alejce.

Dał się podejść. To nie facet Joanny chował się za drzewem. To był wspólnik tamtego. Kiedy Barber przełaził przez ogrodzenie na tyłach pawilonu z pamiątkami, rolę zaboja przejął ktoś inny.

Leżał oszołomiony po ciosie. Szybko pojął, iż osobnikiem, który zdzielił go w łeb, był sam Pierre. Już drugi raz w krótkim czasie dał się podejść jak żółtodziób. „Pięknie! No i co Barber, stary pierniku? Kiedy wreszcie przejdziesz na emeryturę?”

Leżał twarzą do ziemi i walczył nie tylko z bólem, ale i uciekającą świadomością. Próbował jeszcze zmusić się do wysiłku i niepostrzeżenie dla napastników włożył rękę za pazuchę. Wymacał płaskie pudełeczko. Zdążył nacisnąć gu-

195

zik, a już ci dwaj stali nad nim, niczym kaci gotowi spełnić swoją powinność. Ten wyższy, którego wziął omyłkowo za zaboja, podniósł go z ziemi niczym piórko i przeniósł kawałek dalej. Dopiero nad brzegiem stawu rzucił Barbera brutalnie na niewysoką groblę, oświetloną księżycem. Pierre usunął się w cień, jakby obawiał się ujawnić swoją tożsamość, co było niepotrzebną ostrożnością z jego strony, gdyż już dawno został przez Barbera rozpoznany. Wszystko pięknie, lecz detektyw znalazł się w poważnych tarapatkach. Za późno pojął, że dał się wciągnąć w pułapkę - ci ludzie jakimś cudem zauważyli, że wieczne pióro jest nadajnikiem i postanowili dorwać Barbera. Detektyw jęknął i mrużąc oczy

przed księżycowym światłem, próbował zidentyfikować napastnika stojącego nad nim. Ten złapał go brutalnie za resztki włosów i unieruchomił mu głowę.

- Spokojnie, facet - odezwał się lodowato, a Barber rozpoznął głos olbrzyma w kominiarce.

Teraz dopiero zorientował się, że jego polszczyzna ma lekki francuski akcent. To był ten sam dryblas, który dopytywał się o hasło w ruderze nad jeziorem, potem zaś przekazał Pierre'owi wspólne odkrycie Barbera i nauczycielki na temat zegara.

- Podaj mi hasło! - warknął olbrzym. - Szybko.
- „Didelot” - odpowiedział Barber bez namysłu. - Niestety, to znowu początek szarady.
- Bredzisz?
- Niech twój wspólnik weźmie płytę od swojej laleczki i wpisze to hasło - mówił z trudem, ale czuł, że walczy o życie i musi im to zdradzić. - Pojawi się kolejna zagadka... szyfr... „17141790”.

Zaskoczony tymi rewelacjami olbrzym wyprostował się i zerknął w stronę alejki. Ktoś się zbliżał.

- Słyszał pan, Monsieur? - zagadnął nowo przybyłego mężczyznę po francusku.
- Mów! - rozkazał tamten.

Barber rozpoznał po głosie tajemniczego dżentelmena w słomkowym kapeluszu.

- Mamy nowy problem. Nazywa się 17141790.

Joanna nie spała już od dobrej godziny. Miała zamknięte oczy i bała się, że w końcu drgnie jej powieka. Czuła, że Pierre od czasu do czasu na nią zerka. Po zażyciu dwóch tabletek naprawdę solidnie podrzemała. Za wszystkie czasy! Przebudziła się dopiero po południu. Natychmiast wyczuła dziwną atmosferę. Niepokój mieszał się z irracjonalnym uczuciem osamotnienia. Nie poznawała go. Pierre był jakby nieobecny duchem. Dziwnie obcy.

Potem znowu zasnęła. Obudziła się wieczorem, gdy za oknem było ciemno. Pierre nie był gotowy do snu. Podał jej zimną herbatę. Lecz wcześniej - dokładnie to widziała - wrzucił do kubka tabletkę i dokładnie wymieszał płyn łyżeczką.

Wtedy ogarnęło ją przerażenie.

Poprosiła go o przyniesienie cukru z kuchni, a gdy wyszedł z pokoju, szybko podlała bursztynowym płynem dorodną paprotkę wiszącą na ścianie. Serce biło jej przy tym niemiłosiernie głośno, waliło jak młot i nie potrafiła się uspokoić. Dla swego dobra musiała grać. „W końcu Bóg obdarzył mnie talentem aktorskim” - dodawała sobie otuchy.

Pierre uspokoił się na widok leżącej na łóżku sennej Joanny.

- A cukier? - zapytał i położył kostkę cukru na stoliku.
- Męczyło mnie pragnienie - wyjaśniła. - Wypiłam gorzką.

Pogłaskał ją po głowie i przez chwilę wyrzucał z siebie czułe słówka. Lecz ona dalej prowadziła grę, bo przecież chodziło mu tylko o to, żeby zasnęła.

Już wcześniej nabrała niejasnego przekonania, że jej przystojny chłopak zmienił się po przyjeździe do Kórnik. Coś go gryzło. Od czasu do czasu znikał na godzinkę po paliwo, mimo że bak powinien być pełny. Spacery

skoro świt także nie były w jego stylu. „Dokąd on łązi z samego rana? - zastanawiała się od kilku dni. - Podziwia snujące się po tafli jeziora mgły? Słucha w parku koncertów rudzika? Dokąd wyjeżdżał swoim oplem?" Na te pytania Joanna nie potrafiła odpowiedzieć.

Pierwsze uczucie strachu dopadło ją niedawno, gdy zorien-

197

towała się, że Pierre szperał w jej rzeczach. Była niemal pewna, iż dobierał się do płyty CD, lecz w żaden rozsądny sposób nie umiała wyjaśnić motywów jego postępowania. Czego szukał? Dlaczego nie poprosił o płytę? W zasadzie nie musiał jej nawet prosić - Joanna bowiem obdarzyła go zaufaniem osoby zakochanej. Byli razem. Kochali się. Wierzyła, że nie mieli przed sobą żadnych sekretów. A jednak Pierre coś przed nią ukrywał. Niedawno zaś przyłapała go, gdy rozmawiał przez komórkę po francusku. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyż mógł rozmawiać z kimś ważnym ze światka filmu, z rodziną albo przyjacielem, jednak ucho Joanny wyłapało jedno magiczne słowo: „Bibi”. Pierre wyjaśnił później, że dzwonił do siostry, chociaż nigdy wcześniej nie wspominał o niej. Tłumaczył się, że owa Bibi straciła rozum i przebywa w szpitalu dla obłąkanych. Jednakże Joanna czuła, że ukochany kłamie. „Nie dzwonił do żadnej siostry. On ma kochankę! Kto wie, czy ta kobieta nie przyjechała tutaj i Pierre nie umawia się z nią na krótkie schadzki o świcie?”

Czasami otwierała jedno oko i obserwowała, jak krząta się nerwowo po pokoju. Wreszcie narzeczony przebrał się w ciemne ubranie. Już to wydało jej się bardzo dziwne, gdyż zbliżała się północ. On jednak najwyraźniej zamierzał wyjść. Odniosła wrażenie, że wybiera się na nocną akcję. „A może to skok? Czy raczej schadzka?”

W pewnym momencie zerknął na nią niespodziewanie, więc musiała błyskawicznie zamknąć oko. Potem znowu go obserwowała. Czuła jak wielki znak zapytania wbija się w jej głowę i rozłupuje ją na dwie połówki.

Kiedy wyjął z kieszeni marynarki wieczne pióro i schował je do kieszeni czarnej kurtki, zgłupiała. Nigdy nie widziała u niego pióra. Wreszcie przypomniała sobie, że już je widziała w kancelarii mecenasa Czaplińskiego, tyle że wtedy obracała je w palcach jej kochana siostrunia.

Mon Dieu! Czyżby Pierre miał schadzki z jej siostrą? To brzmiało nieprawdopodobnie. Barbara nie była w jego guście i tak atrakcyjna jak ona! Była starsza! „O Boże, a może oni dogadali się w sprawie hasła! Może działają razem, żeby prze-

198

jąć spadek po ojcu?" Owo słodkie „Bibi” zaczynało się na literę „B”. „B” jak „Barbara”.

Drgnęła, dotknięta boleśnie tą myślą.

- Spisz, kochanie? - usłyszała jego zaniepokojony głos.

Bąknęła coś niezrozumiałego i szybko przewróciła się na drugi bok, żeby na nią nie patrzył. Pierre wyszedł po kilku minutach z pokoju, upewniwszy się, że Joanna zapadła w głęboki sen.

Odczekała zaledwie minutkę. Zerwała się z łóżka jak wariatka i wskoczyła w dzinsy oraz kurtkę.

Wyszła w noc. Nie czuła chłodnego powiewu - tak bardzo była przejęta swoją misją. Najgorsze, że jasno oświetlona ulica utrudniała jej śledzenie kochanka. Ten zaś mijał właśnie schody prowadzące na zamek i podszedł pod pawilon z pamiątkami. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, widząc

Pierre^ przeskakującego przez furtkę do parku.

Ruszyła za nim. Biegła dziedzińcem, gdy zza wschodniej oficyny wyszła jakaś postać, burząc spokój okolicy stukotem obcasów. Ta kobieta zmierzała prosto w jej kierunku.

„Mon Dieu! Toż to Barbara!”

Joanna zdębiała na jej widok. Zatrzymała się dosłownie w miejscu. Co ciekawsze, siostrunia również ją dostrzegła i stanęła jak wryta. W tej chwili Joanna była już pewna, że coś ich łączy. Nie rozumiała tylko, dlaczego Pierre polazł do parku, a siostra czaiła się za tamtą oficyną za olbrzymim trawnikiem.

Podeszły bliżej siebie niczym rewolwerowcy przystępujący do ostatecznej rozgrywki. Brakowało tylko pistoletów.

- Co tu robisz?! - pierwsza zapytała Barbara.
- Ja?! - zdenerwowała się Joanna. - A ty?!
- Właśnie idę po ciebie - odpowiedziała jej.
- Po mnie? Żartujesz! Nie mów, że stęskniłaś się za mną.

- Teraz to ty żartujesz! Pewnie, że nie! Idę, żeby cię ostrzec przed Pierre'em.

Joanna zrobiła teatralną pauzę.

- Ostrzec? Bo mnie się wydaje, że spotykacie się za moimi plecami - wydusiła to wreszcie z siebie.

199

- Idiotka - westchnęła jej siostra. - O czym ty mówisz?
- A gdzie pobiegł Pierre?! Nie na schadzkę przypadkiem? Mon Dieu, ale ja jestem głupia! - Joanna złapała się za głowę.

- No pewnie! To proste. Gdy mnie zauważyłaś, wyszłaś z ukrycia, żeby odwrócić kota ogonem.

- Miałabym się zadawać z tym żabojadem? - obruszyła się Barbara. - On jest młodszy ode mnie!
- Mało to aktorek ma młodszych partnerów? Taka Madonna na przykład...
- Nie jestem jakąś tam głupią aktorką!
- Mądra też nie jesteś!
- A ty co? - zaperzyła się Barbara. - Rozumem nigdy nie grzeszyłaś! Zrozum, głupia, że lecę do ciebie, żeby powiedzieć ci całą prawdę o tym twoim zakichanym filmowcu. To żaden reżyser. To jest jakiś gangster.

- O co tu chodzi? - jęknęła bezradnie Joanna.

Zamiast odpowiedzi usłyszała charczący z głębi parku głos, niosący się echem, a następnie ciężkie, zduszone słowa wylały się z megafonu na okolicę:

- Policja! Nie ruszać się! Jesteście okrążeni. Powtarzam: policja!

Monsieur Gerard zbliżył się do leżącego na brzegu stawu Barbera i stanął za jego plecami. Olbrzym pilnował, żeby detektyw przypadkiem nie spojrzął na szefa. Ten wyjął papierosy i zapalił w milczeniu, które wydało się Barberowi długie i nieznośne. Tak naprawdę trwało zaledwie kilka sekund.

Mężczyźni zaczęli rozmowę po francusku.

- Co z nim zrobimy, szefie?

- Przetrzymajcie go w jakiejś dziurze, zanim nie wyjadę -odpowiedział modulowanym, ciepłym głosem starszy osobnik.

- Jutro o dziesiątej rano mam samolot do Paryża. Zapytaj go, kto jeszcze wie o naszym spotkaniu.

Barberowi zadano to pytanie w języku polskim.

- Działam sam - odpowiedział Barber.

200

- A nauczycielka? Aten smarkacz? Wcześniej pracowałeś dla Barbary Karskiej, potem dla jej brata. Ostatnio widzieliśmy waszą naradę w tawernie nad jeziorem. Zgadza się?
- I co z tego? - próbował grać na zwłokę Barber. Przede wszystkim chciał, żeby to oni mówili. - Wiem więcej niż oni.
- Poważnie? No to mów, co wiesz? - zaproponował z kpiną w głosie gangster. - Im szybciej to załatwimy, tym lepiej dla ciebie.
- Najpierw wy powiedzcie, co wiecie - zaryzykował.

Z miejsca pożałował swojej beczelności. Olbrzym strzelił go na odlew. Barber stęknął.

Nagle stał się cud. Zza drzew zabłysło światło. Potężny reflektor objął ich przyczajone sylwetki i smagnął powierzchnię stawu. W parku zagrzmiął zniekształcony głos z megafonu.

- Policja! Nie ruszać się! Jesteście okrążeni. Powtarzam: policja!

Barber pamiętał jedno - Monsieur Gerard wydał kompanom zdecydowaną komendę po francusku. Żabojad i ten wysoki rzucili się do ucieczki. Nie uciekali jednak razem, a sprytnie się rozdzielili, co

spowodowało niezłe zamieszanie w parku. Pierre wybrał kierunek południowy - uciekał brzegiem stawu na Bnin, olbrzym biegł z kolei prosto na zamek. Chcąc nie chcąc, policjanci musieli się rozdzielić.

Zza różaneczników wyskoczyło kilku policjantów z latarkami i rzuciło się na olbrzyma. Pierre też był w opałach, lecz Barber nie interesował się żadnym z nich. Dla niego najważniejszy był Monsieur Gerard.

Zauważył go biegnącego na północ, tam, gdzie ukryli się wcześniej policjanci, lecz oni pobiegli przeciw za Pierre'm i olbrzymem. Widocznie ich szef skrył się w pierwszej fazie ucieczki za drzewo, chroniąc się przed światłem reflektora, i dopiero po chwili kontynuował bieg. Teraz uciekał rozłożystym trawnikiem, miejscami porośniętym szlachetnymi krzewami. W parku rozbrzmiewały krzyki policjantów i odgłosy zamieszania spowodowane pościgiem za dwoma gangsterami, ale detektywowi chodziło wyłącznie o ich szefa.

201

Wreszcie na ścieżce pojawił się oficer.

- Tam! - Barber wskazał mu kierunek ucieczki szefa cudzoziemców. -

Czemu tak wcześnie weszliście do akcji?!

- Przepisy, panie Barber! Gotowi byli zrobić panu krzywdę!

Prowadząc ten dialog, biegli na północ. Oficer, jako młodszy wiekiem, wysforował się do przodu i oświecał część parku latarką. Barber odbił nieco w prawo ku trawnikowi, tam, gdzie -jak mu się zdawało - zniknął Monsieur Gerard. Policjant reflektorem szperał między pniami. Rozległ się nawet strzał ostrzegawczy za ich plecami, co mogło świadczyć, iż któremuś z pozostałych gangsterów udało się jednak uciec.

Obolały Barber nie zwolnił jednak kroku. W biegu zażywał nitroglicerynę, gdyż łąpały go przeklęte duszności. Bał się zawału. W pewnym momencie mijał wysoki krzak berberysu, słabo widoczny w świetle księżyca, lecz uwagę detektywa zwrócił jakiś odgłos. Zatrzymał się zziębnięty i kompletnie wykończony, próbując podejść bliżej krzaka. Nie zdążył już wyciągnąć pistoletu.

Ktoś przyczajony za berberysem skierował paralizujący gaz z dozownika prosto w twarz Barbera. Detektyw zaczął się dusić. Charczał przeraźliwie. Przyklęknął i puścił kolbę pistoletu tkwiącego w kaburze. Padł obok berberysu, straciwszy przytomność.

Kiedy kilka minut po północy ciszę zawisłą nad Kórnikiem przeszył zniekształcony głos z megafonu „Policja!”, siostry Karskie przerwały rozmowę pod pomnikiem Działyńskiego. Zaniepokojona Joanna bez namysłu ruszyła w kierunku parku, za nią podążyła Barbara. Matka Klaudyny kolejny raz zignorowała ostrzeżenie Barbera o niepodejmowaniu na własną rękę żadnych działań. Joanna była wolna od podobnych obietnic, a zatem mogła robić, co jej się żywnie podobało.

Strzał w parku padł w chwili, gdy Joanna pokonywała furtkę. W gorszej sytuacji była Barbara. Po pierwsze, nie była tak sprawna jak Joanna, w końcu modelka, po drugie, przeszka-

202

działa jej w tym zadaniu sukienka. Przy wejściu do arboretum rozgrywał się nie mniejszy dramat niż w samym parku, w którym słyhać już było nawoływania policjantów.

Nagle Barbara zawisła w górze w niebezpiecznej pozycji, zahaczywszy sukienką o furtkę.

- Mamo!

Przerażona sytuacją Klaudyna wysiadła z auta i darła się wniebogłosy.

- Wracaj!

Słowa nie pomogły, więc Klaudyna pobiegła matce na pomoc.

Niepotrzebnie. Barbara straciwszy równowagę, z krzykiem spadła na drugą stronę, rozdzierając sobie przy tym ubranie. Zapatrzeni w widowisko, jakie zafundowała im Karska, Omnibus i Iza także opuścili samochód. Zatrzymali się na rogu pawilonu, więc nie widzieli, co dzieje się za parterowym budynkiem.

Oto bowiem w miejscu, które wcześniej sforsował Barber, ktoś próbował wydostać się z parku.

Dopiero kiedy usłyszeli kroki na betonie, odwrócili się i ujrzeli nieznanego im starszego mężczyznę, ubranego w ciemne spodnie i luźną marynarkę. W pierwszej chwili pomyśleli, że to powracający z parku Barber, ale mężczyzna nie był ani tak tęgi, ani tak źle ubrany.

Stali jak wryci i gapili się na wymachującego pistoletem osobnika. W tym czasie zapaliły się światła w dwóch oknach w oficynie i jeden z mieszkańców przywoływał ich - Omnibusa i Izę - do porządku, jakby to oni byli winni całemu zajściu w parku. Głos mieszkańca oficyny ucichł, a oni zobaczyli jak mężczyzna dopadł pustego samochodu.

Nieznajomy wsiadł za kierownicę poloneza, kilka razy próbował go zapalić, a gdy ta sztuka mu się udała, wykręcił przed oficyną. Wiekowy pojazd Barbera warczał i kasłał, zagłuszając skutecznie odgłosy dochodzące z parku. Wreszcie oddalił się w kierunku miasta, zostawiając

za sobą „piekło”, które sam zgotował.

Adieu, Monsieur Gerard!

203

12

Barber odzyskał przytomność jeszcze w ambulansie. Opiekowano się nim troskliwie. Przychodziły mu do głowy różne myśli, jak chociażby, że nikt dotąd nie dbał o niego z taką troską jak ta miła pani doktor, której asystowali dwaj pielęgniarze. W ambulansie panowały warunki zdecydowanie lepsze niż w niejednym szpitalu. Mógł tak sobie leżeć i jechać w nieznane aż po kres swoich dni. Jego serce i oddech były pod kontrolą aparatury, tlen w zasięgu ręki, strzykawki z lekarstwami gotowe do iniekcji przez założony na przedramieniu wenflon.

Podczas transportu przyrzekł sobie, że odchodzi na emeryturę. „Kiedyś trzeba. Trzy razy w krótkim czasie zostałem obezwładniony przez bandytów, w łeb oberwałem dwa razy”. Głowa w zawodzie detektywa była największym atutem i kapitałem, ostatnio mocno zdewaluowanym. Za stary był na uganianie się za gangsterami w ciemnych zaułkach. Na dobrą sprawę mógł mówić o wielkim szczęściu, że przeżył. „Koniec ze szpiclowaniem. Pora odpocząć”.

Ambulans zawiózł go do szpitala w Poznaniu. Tam trafił na drugie piętro do dwuosobowej sali. Spał do dziewiątej rano snem sprawiedliwego, w czym zasługa sporej dawki leków nasennych. Podano mu posiłek, który z trudnością przełknął, a potem znowu spał. Cały dzień składał ofiarę Morfeuszowi. Oddech miał równy, a myśli spokojne. Kiedy się przebudził następnego dnia w czwartek, zobaczył nad sobą twarz leka-

rza. Za nim stał znajomy policjant z Kórnika z jakimś drugim, okropnie ponurym osobnikiem. Jak się wnet okazało, był to oficer z komendy wojewódzkiej. „Znowu się zaczyna” - pomyślał ze zgrozą detektyw.

Wizyta trwała dwa kwadranse. W tym czasie Barber udzielił dodatkowych informacji o wydarzeniach ostatnich dni. Opowiedział o testamencie bibliofila i wysiłkach rodziny Karskich zmierzających do odgadnięcia hasła. Policjanci zrewanżowali się detektywowi i puścili trochę farby o rezultacie nocnej obławy na gang cudzoziemców. Niestety, nie udało się zła-

204

pać Monsieur Gerarda. Człowiek, dla którego pracowali Pier-re i olbrzym - uciekł. Natomiast pogoń za dwójką pomocników zakończyła się sukcesem i obaj cudzoziemcy przebywali teraz w poznańskim areszcie. Olbrzym zaprzeczał jednak, że zna kogokolwiek o imieniu Gerard. Pierre Clarmount zaś rzucił trochę mętnego światła na tajemniczą postać ich pracodawcy. Automatycznie rozesłano za nim list gończy do wszystkich służb granicznych. Wiedziano już, że Citroena i Punto wynajął w Poznaniu olbrzym. Nazywano go Maxem. Ów osobnik szczycił się niezbyt chlubnym życiorysem: obieżyświat pochodzenia polskiego, ostatnio zamieszkały w Belgii, często odwiedzał Francję. Znał podobno kilka języków, w tym polski. Pewnie dlatego Monsieur Gerard zabrał go ze sobą do Polski. Kiedyś Max był zamieszany w handel narkotykami i zniknięcie wpływowej osoby we Włoszech. Uczestnik kilku wypraw do Australii, na Borneo i do Egiptu. Nigdy nie poznał Emanuela Karskiego. Twierdził, że dowiedział się o jego śmierci z gazet. Obaj panowie nie przyznawali się do winy. Pierre Clarmount z uporem maniaka twierdził, że autentycznie

zakochał się w Jeannette i po prostu chciał jej pomóc w zdobyciu spadku. Gorzej mu poszło z wyjaśnieniem swojej obecności w parku i ucieczki przed policją. Jego wersja była następująca - śledził Barbera, gdyż chciał na własną rękę rozwiązać zagadkę Karskiego, detektyw był, jakby nie patrzeć, rywalem. Uciekł ze strachu, nie wierząc, że ma do czynienia z prawdziwą policją. Wyparł się też znajomości z Maxem. Wreszcie nie drgnęła mu nawet powieka, gdy policjanci poinformowali go, iż Joanna Karska złożyła obciążające go zeznania.

- Do niczego nie chce się przyznać - opowiadał pierwszy z policjantów. - Idzie w zaparte. Twierdzi, że naprawdę zna jakiegoś reżysera i w tej chwili nasza ekipa bada jego francuskie powiązania ze światem filmu. Sądzymy jednak, że nie należy on do tego środowiska. Nie widział też żadnego wiecznego pióra i lubi spacerować o świcie.
- Zmiękną obaj - obiecał ponury oficer. - To kwestia czasu. Po czterdziestu ośmiu godzinach większość aresztantów mięknie. Widzi pan, najgorsze jest to, że nagranie rozmowy Pier-

205

re'a Clarmounta z tym ich szefem zniknęło. Gerard uciekł pańskim polonezem, zabrawszy ze sobą taśmę z tym nagraniem i sprzęt do podsłuchu. Dysponujemy jedynie waszymi zeznaniami, pańskimi i pani Marczenko.

- Jak ona się czuje? - wyrwało się Barberowi.
- Ma pan okazję sam ją o to zapytać. Czeka za drzwiami. Detektywa poruszyła ta wiadomość. Zanim poproszono

nauczycielkę do środka, rozmawiali jeszcze kilka minut. Barber zapytał o nagranie rozmowy z gangsterami w parku.

Cofnijmy się w czasie do owego feralnego dnia zakończonego o północy obławą w parku. Otóż Barber za zgodą policji miał ukryty pod marynarką mikrofon z nadajnikiem. W odpowiednim momencie włączył urządzenie, aby policjanci mogli nagrać rozmowę z cudzoziemcami. Okazało się, że nagranie jest jednak kiepskiej jakości i nie może posłużyć w sądzie jako dowód.

- Pańskiego poloneza jeszcze nie odnaleziono - kontynuował oficer. - Ale proszę być dobrej myśli.

Lekarz dał policjantom znak do odwrotu. Po nich na salę weszli Izabela Marczenko i Omnibus. Chłopak trzymał w ręku jakiś pakunek w plastikowej reklamówce.

- Jak się pan czuje? - zapytała z autentyczną troską w głosie nauczycielka.
- Całkiem nieźle, pani Izo - odpowiedział. - Chyba czas skończyć z zawodem detektywa. A u was co słychać?
- Jak to pan kończy? - zdziwił się Omnibus. - A nasza zagadka?
- Sami ją rozwiążecie - westchnął i posłał im pełne oburzenia spojrzenie. - Beze mnie. Stanowicie kapitalny duet. Wykształcona mama, nauczycielka, i jej syn, młody geniusz. Najmłodsze dziecko Emanuela Karskiego. Gdybym bardzo się starał, to i tak nie mogę się z wami równać. Nie mam szans. Nie znam historii. Moja głowa nie do takich zagadek została stworzona.

To oświadczenie zaskoczyło ich i w równym stopniu wprawiło w zmieszanie. Kobieta nawet się zarumieniła i wbiła wzrok w lśniącą posadzkę, chłopak, jej syn, wpatrywał się w detektywa z największym zdumieniem.

- To pan wie - westchnął Omnibus.
- Źle, Omnibus - uśmiechnął się z bólem detektyw. - Wiedziałem.
- Kiedy pan na to wpadł? - zapytała.
- To proste - uśmiechnął się. - Podczas wizyty w waszym mieszkaniu.
Chłopcze, podaj mi marynarkę z szafy.

Omnibus podszedł do mebla, otworzył go i podał detektywowi zamszową marynarkę. Ten wyciągnął z wewnętrznej kieszeni fotografię przedstawiającą młodszego o kilka lat Omnibusa z matką, obecną tutaj panią Izą.

- Stało za szkłem w salonie w waszym mieszkaniu - wyjaśnił Barber. -
W tym regale z książkami. Wziąłem je na wszelki wypadek.
Przepraszam za to. Zwrócę wam je teraz.
- O żesz ty kalafior! - wyrwało się speszonemu chłopakowi.
- „Kalafior”? - brwi detektywa uniosły się wyżej. - Jeśli już, to „kartofel”.
- Co za różnica, panie Juliuszu? To i to warzywo, i do tego na „k”.
- Może brzmi podobnie, synu, ale smakuje inaczej.

Matka i syn uśmiechnęli się pod nosem, lecz zaraz ich myśli powróciły do tajemnicy, którą detektyw odkrył i później ukrywał przed nimi. Przez chwilę w sali panowała cisza, którą zmaćił dopiero zgrzyt sprężyny dochodzący z sąsiedniego łóżka pod ścianą. Leżący tam pacjent przewrócił się na bok.

- Wiedział pan o nas - kobieta znowu spuściła wzrok. - Pan przed nami grał.
- No tak, nie da się ukryć - pokiwał głową. - Tak jak wy graliście przede

mną. Podejrzenia podejrzeniami, ale najbardziej zastanowiło mnie to, co Omnibus chlapnął o Emanuelu Karskim... że był mianowicie pedantem. To było w dniu, w którym się poznaliśmy. Twoje wyjaśnienia były jakieś takie pokrętne. Nie mogłeś tego powiedzieć, ot tak sobie, musiałeś mieć powód, żeby tak sądzić. Ty znałeś Emanuela Karskiego. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jesteś jego synem. I pewnie dlatego z początku tak szybko i łatwo szło ci rozwiązywanie tej zagadki. Bo ty już wcześniej nad nią myślałeś. Jeszcze we Wrześni, co nie?

207

Pani Iza i Omnibus wpatrywali się w detektywa w osłupieniu i z niemałym podziwem.

- Panicznie bałeś się wizyty na policji - kontynuował Barber. - Postawiłeś mi warunek współpracy: nie wtrącaj się w moje rodzinne sprawy. Miałem już wówczas wrażenie, iż wcale nie uciekłeś z domu, że masz jakiś interes w tym, żeby mi pomagać. Ja widziałem, chłopcze, z jakim przejęciem słuchałeś rozmowy w gabinecie mecenasa Czaplńskiego, wtedy gdy siedzieliśmy w aucie na rynku w Poznaniu i Karski mówił z taśmą magnetofonowej... że ja wtedy nie wpadłem na to od razu! Na to, że jesteś jego synem! Nie dziwię ci się, w końcu słuchałeś głosu swojego ojca. Poza tym wydałeś mi się za mądry jak na zwykłego nastolatka! No i spadłeś mi jak z nieba.

W dalszym ciągu matka i syn milczeli. Przypomnieli sobie obiad „Pod Złotym Kurem”, podczas którego cała trójka grała przed sobą komedię. Barber udawał, że nie wie o ich sekrecie, oni udawali, że się nie znają.

Nauczycielka pytała nawet o rodziców Omnibusa i było w tym dużo ironii!

- A pani Iza też się czymś zdradziła podczas mojej wizyty we Wrześni - posłał jej blady uśmiech. - Nie licząc tego zdjęcia.

Popatrzyła na niego pytająco, więc szybko wyjaśnił.

- Nie mogła pani wiedzieć, że pracuję dla Patryka Karskiego. Skąd niby mogła pani o tym wiedzieć, skoro ani słowem o tym nie wspomniałem, a widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu? Tę informację przekazał pani Marek. Pięknie! Co dalej? Jakoś nie paliła się pani do tego, żeby pójść na policję po tym, jak udało nam się uciec z rudery nad jeziorem. Potem, na stacji benzynowej zauważyłem, że wcale nie było pani smutno, iż straciła pracę w warzywniaku. Wtedy zrozumiałem! Spadek po Emanuelu Karskim jest lepszym kąskiem.

Barber spojrzał na Omnibusa.

- I jeszcze jedno, chłopcze. Otóż przetrząsnąłem twój plecak, który ukryłeś pod łóżkiem na kwaterze w Kórniku. Pod tekturowym dnem znalazłem ciekawe przedmioty. Wiem, wiem, to nieładnie z mojej strony, ale jestem detektywem... sam rozumiesz. Kiedy znalazłem tam twoją legitymację i ko pięć płyty CD, wiedziałem na sto procent, kim jesteś.

208

- Brawo, panie Juliuszu - chłopak pokiwał głową z uznaniem.
- Jest pan genialny - wyszeptała z zachwytem Iza.
- Ja? r oczy Barbera o mało nie wyszły z orbit. Cóż, takiego komplementu nie słyszał nigdy w życiu. - Dziękuję, ale myślę, że to

wy jesteście lepsi. I nie mówcie do mnie, Juliuszu. Barber wystarczy.

- Niestety - odezwał się Omnibus.

- Co „niestety”?

 - Nie wiemy jakie jest znaczenie liczby 17141790.

Izabela złapała syna za łokieć i wskazała w milczeniu na reklamówkę, którą wniósł do sali. Omnibus podszedł do detektywa i wyjął jakieś pudełko. Wyciągnął z niego ładny scyzoryk i nowy, filcowy kapelusz, podobny do tego, który Barber zgubił podczas porwania.

- To dla pana - oznajmił chłopak.

- O żesz ty kartofel!

Twarz pana Juliusza pojaśniała ze szczęścia na widok nowego nakrycia głowy. Natychmiast go przymierzył.

 - Mój rozmiar - uśmiechnął się do nich. - Pięknie dziękuję.

*

Patryk leniuchował w willi na Sołaczcu. Wylegiwał się całą środę i to samo zamierzał powtórzyć w czwartek. Od samego rana leżał na tapczanie wpatrzony w bielutki niczym śnieg sufit i słuchał nowej płyty Stinga. Po powrocie z Kórnika, a właściwie po tym, jak uciekł stamtąd, nie miał ochoty na nic innego. Zachował się jak ostatni tchórz. Wtedy, w Kórniku, wydawało mu się, że ten cały Barber z Omnibusem nie będą mu już więcej potrzebni. Jakież było jego rozczarowanie, gdy przekonał się, że sam nie potrafi złamać hasła. Nienawidził historii i żył chwilą obecną. Na nic zdały się jego szpiegowskie zabiegi poczynione w Kórniku. Najpierw przejrzał notatki Omnibusa w jego pokoju, gdy małolat brał prysznic. Zresztą, o mało nie został przyłapany na gorącym uczynku. Potem już razem trafili na trop związany z czasem, konkretnie z zegarem. Myślał

sobie, przepełniony nieuzasadnioną pychą, że już więcej nie

209

będzie potrzebował pomocy tych dwóch. No i przeliczył się. Uciekł z Kórnika pewny wygranej. Przegrał. Nienawidził szarad i łamigłówek. Kochał poezję i kontestację. I dobrą romantyczną muzykę.

Dzisiejszy telefon na zamek przelał czarę goryczy. Udało mu się porozmawiać z bibliotekarzem, tym samym, który pomagał Joannie. Zadzwoił do niego w akcie desperacji. Sam nie wiedział, dlaczego to właściwie zrobił? Czy chciał prosić pracownika biblioteki o pomoc, czy też podstępem wydobyć od niego cenne informacje?

Jakież było jego zdumienie, gdy sympatyczny bibliotekarz zdradził mu hasło! „Didelot”. Patryk osłupiał. Zgłupiał do reszty, gdy dowiedział się, iż owo hasło przestało być dla kogokolwiek tajemnicą. Wszyscy zainteresowani je znali, stąd pracownik biblioteki nie czuł się zobowiązany do zachowania milczenia w tej sprawie.

- Didelot prowadzi do kolejnej zagadki - usłyszał na koniec rozmowy z bibliotekarzem.

Potem sam przekonał się o prawdziwości jego słów. Rzeczywiście. Wpisanie hasła „Didelot” prowadziło do kolejnego szyfru: „17141790”.

Z matematyki był słaby, wcale jej nie kumał. Ba, nienawidził przedmiotów ścisłych. Może dlatego nie mógł nawiązać z Omnibusem kontaktu. Gówniarz był jakiś dziwny - zamiast cieszyć się urokami wakacji, słuchać płyt modnych zespołów i podrywać dziewczyny, on wolał stare książki, przewodniki i szarady. No, trochę Patryk przesadził, sam też nie używał życia w takim stopniu, w jakim jego koledzy i koleżanki zwykli to czynić. Wszyscy oni bawili teraz nad morzem albo w górach,

część wyjechała na Mazury lub za granicę, tylko on został w Poznaniu jak ostatnia sierota. Inna sprawa, że się nie nudził. Lubił samotność. Wtedy mógł godzinami słuchać muzyki albo czytać współczesne wiersze. Czasami sam próbował coś wyskrobać. Tak więc i on był w pewnym sensie dziwny, Omnibus jednak wydał mu się w tym względzie zjawiskiem. Ten piętnastolatek przerażał go i dlatego w Kórniku znosił jego towarzystwo wyłącznie dla dobra sprawy. Już nie musiał go więcej

210

widzieć, z tym, że w tej chwili dałby wiele, żeby znowu mieć go u swego boku. Omnibus potrafił odszyfrować znaczenie dziwnej ośmiocyfrowej liczby. A może już to uczynił? I co wtedy? Sprzeda hasło Barbarze! Albo Joannie!

Leżąc tak na łóżku, zastanawiał się nad ową liczbą. Dziwne, ale ostatnie cztery cyfry wydały mu się znajome. Z początku nie wiedział, skąd wzięło się to wrażenie. Dopiero potem skonstatował, że wczesną wiosną przerabiał w szkole mnóstwo materiału o ulubionej epoce - romantyzmie. Liczył, że na maturze znajdzie się pytanie związane z tym właśnie okresem historii. Nie przeliczył się! Maturę z polskiego zdał celująco, chociaż wiedza z romantyzmu okazała się potem niewystarczająca w dostaniu się na polonistykę. Na przyszły rok obiecał sobie wykuć pozostałe epoki.

Cztery ostatnie cyfry układały się w znajomą datę: 1790. W tymże bowiem roku urodził się jeden z twórców francuskiego romantyzmu, poeta i zarazem polityk, Francuz Alphonse de Lamartine. Pamiętał jedną jego myśl, która mogłaby stanowić życiowe credo Patryka: „Życie jest twym okrętem, a nie twym mieszkaniem”. Gdy tak dalej wyteżał mózgowicę,

znalazł kolejną datę. W tym samym roku przyjechał do Polski Johann Wolfgang Goethe i łąził po Karkonoszach oraz Górach Stołowych, odwiedził też Kraków. Pamiętał to z lekcji. Ale zaraz! O ile nie myliła go pamięć, tego samego roku urodził się Polak Tomasz Kantorbery Tymowski, uczestnik kampanii napoleońskiej w Hiszpanii, a zarazem poeta, który w swej twórczości czerpał z ducha klasycyzmu, filozofii oświecenia i preromantyzmu.

Nagle Patryk wstał z tapczanu. Poderwała go z miejsca pewna odkrywczą myśl! Był niemal pewny, że wpadł na rozwiązanie zagadki, a raczej, że był na jej tropie. „17141790” nie było wcale liczbą, a zlepkiem dwóch dat! 1714 i 1790. Ależ tak, nie mylił się! Zagadka była dziecinnie prosta. Łatwiejsza od tej z sygnaturami. I wszystko dzięki temu, że ostatnio przygotowywał się do matury i przerabiał okres romantyzmu.

- Mam! - uderzył triumfalnie dłonią w poręcz tapczanu. -Trzeba znaleźć osobę, która urodziła się w 1714 i zmarła w 1790 roku!

211

Po południu Omnibus i jego matka wrócili pekaesem do Kórnika. W drodze na przystanek rozmawiali wyłącznie o Barberze. Najbardziej bolało ich to, że ten niepozorny w gruncie rzeczy człowiek, rozgryzł ich niemal od samego początku. Bolało i wprawiało w zażenowanie. Powodem były kłamstwa, którymi chłopak, a potem jego matka uraczyli Barbera.

Nie powiedzieli mu, że Marek znał Emanuela Karskiego, choć detektyw się tego domyślał. Bibliofil odwiedzał ich pierwszy dom we Wrześni (ten obok poczty) przez prawie dziesięć lat, aż do wygaśnięcia uczuć między nim a Izą. Przyjeżdżał do nich nieregularnie, bywało, iż nie widywali go

nawet i pół roku, ale też czasami przez kilka wieczorów wypełnionych muzyką jazzową i symfoniczną opowiadał pięknie o swoich przygodach, potem o poglądach - naukę przedstawiał niejako nudną konieczność, ale atrakcyjną przyjaciółkę. Omnibus pamiętał go jako dziadka, bo tak kazał nazywać siebie Karski. Wtedy też uformowały się jego pierwsze przekonania, że warto poznawać świat i zdobywać wiedzę. Słyszał o Działyńskim, epoce napoleońskiej i starych księgach. Poza tym był zdolnym dzieckiem, matka zaś pielęgnowała w nim ów pęd ku poznawaniu świata. Chłopak świetnie rachował, miał genialną pamięć i dociekliwą naturę. Uczył się francuskiego. Mając zaledwie cztery lata pamiętał wiele mądrych zdań wypowiedzianych przez Emanuela Karskiego, sentencji, których z początku nie rozumiał i które dopiero z upływem czasu utraciły swą tajemniczość.

Przed pięciu lat stary architekt przestał ich odwiedzać. Zdziwaczał. Iza nie wyjaśniła nigdy synowi powodów ich rozstania. Czasami sama ich nie rozumiała. A cóż miała mu powiedzieć? Że kochała kiedyś Emanuela, ale nie mogła mu wybaczyć, iż od niej odszedł i nie przyznał się oficjalnie do ojcostwa? Tego nie mogła zrobić, gdyż był on dla Marka cały czas „dziadkiem”. Dopiero po śmierci Karskiego powiedziała synowi prawdę. Marek ciężko to przeżył. Między nimi coś pękło. Dopiero testament Emanuela zbliżył ich do siebie. Zaczęli zastanawiać się nad hasłem na płycie CD, którą dostali od mecenasa Czaplińskiego. Mieli różne pomysły, ale Marek uparł się, że to

212

on rozwiąże zagadkę. Pewnego dnia, po małej sprzeczce wyszedł z domu; trafił do domu nad jeziorem.

Nie była to klasyczna ucieczka.

Po pierwsze, chciał zobaczyć dom ojca. Po drugie, nad jeziorem zaczęły dziać się dziwne rzeczy, a raczej pojawiali się tam dziwni ludzie, i dlatego postanowił zabawić się w wakacyjnego detektywa. Po trzecie, spotkał Barbera i cała przygoda nabrała rumieńców. Po czwarte wreszcie, zadzwonił w końcu do matki i o wszystkim jej opowiedział.

Dziwnym uczuciem była rywalizacja z Karskimi. Oni wszyscy stanowili jedną rodzinę. Gdyby Patryk wiedział, że szperał w plecaku przyrodniego brata. A Barbara? A Joanna? A rówieśnica Klaudyna? Jaki ten świat jest zwariowany!

Od chwili niefortunnej akcji w kórnickim arboretum, w której wyniku Barber znalazł się w szpitalu, Omnibus mniej czasu spędzał nad książkami i laptopem, który detektyw wspaniałomyślnie mu podarował. W autobusie miał trochę czasu. Włączył komputer i przeglądał w pośpiechu różne pliki, które udało mu się w ostatnich dniach ściągnąć z Internetu, interesowały go szczególnie opisy starych druków z elektronicznego katalogu Biblioteki Kórnickiej oraz publikacje na temat zamku z Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej. Omnibus i jego matka założyli, że tajemniczy szyfr 17141790 ma ścisły związek z Kórnikiem. W końcu, sam Emanuel wyraźnie wskazywał na kórnicki trop.

Omnibus próbował już różnych matematycznych sztuczek z tajemniczą liczbą. Lecz jak na razie nic mu nie wychodziło.

Podjeżdżali do pławiącego się w upale Kórnika, a on kończył lekturę artykułu o właścicielach zamku. W pewnej chwili w tekście o Teofili z Działyńskich Szoldrskiej-Potulickiej dojrzał interesujący szczegół.

Informacja dosłownie nimi wstrząsnęła.

Klaudyna z matką nie próżnowały. Tego samego dnia odwiedziły zamek w Kórniku. Kiedy Patryk wylegiwał się w łóżku w willi na Sołacz, nauczycielka i Omnibus gościli z wizytą

213

u Barbera w poznańskim szpitalu, one - wiedzione instynktem poszukiwacza - raz jeszcze zwiedziły zamkowe komnaty. Wizyta przeciągnęła się do drugiej po południu, przed każdym bowiem eksponatem zatrzymywały się nieco dłużej, niż czyni to zwyczajny turysta. Po zwiedzeniu pierwszego piętra miały dość morderczych poszukiwań. Nie natrafiły na nic, co mogłoby mieć związek z tajemniczą liczbą 17141790. Penetracja eksponatów w Sali Mauretańskiej wyczerpała energię nie tylko niecierplivej Barbary, lecz także dziewczyny. Ileż zgromadzonych skarbów cieszyło tam oczy zwiedzających!

Dopiero na parterze, w Sali Jadalnej uśmiechnęło się do nich szczęście. Stały przed portretem Białej Damy - właścicielki kórnickiego zamku jeszcze sprzed „kadencji” Tytusa Działyńskiego - i wpatrywały się w opis obrazu.

Teofila z Działyńskich Szoldrska-Potulicka (1714-1790), mai. nieznany, ok. 1754 r.

- Widzisz to, co ja? - wyszeptała Barbara do córki. - Te daty... 1714 i 1790. Nie wierzę... Hurra!
- Biała Dama żyła w latach 1714-1790 - zdumiona Klau-dyna wpatrywała się w tabliczkę zamieszczoną pod obrazem. Była tak samo poruszona odkryciem jak jej matka, tyle że reagowała mniej żywiołowo. - Dziadek Emanuel miał na myśli Białą Damę. W tej grze

chodzi o Teofilę! Niesłychane!

- Jesteśmy bogate! - Karska zacierała ręce z radości. - Udało się, kochanie!
- Dziadek chciał nas zmylić i połączył zapis dwóch dat w jeden ciąg.
- Zawsze był złośliwcem - Barbara paplała jak najęta. - To w jego stylu. Ciągłe utrudniał nam życie, ty tego nie pamiętasz. Moja matka miała z nim krzyż pański. Był strasznie marudny, ciągle niezadowolony... że to nie w tym miejscu... że tu ktoś coś przekręcił... denerwowało go, gdy ktoś mylił fakty i daty. Zaraz, zaraz... tylko co on chce nam dać do zrozumienia z tym obrazem? Co Biała Dama może mieć wspólnego z jego testamentem?

214

- Nie wiem - pokręciła głową zamyślona Klaudyna.

Wreszcie ochłonęły po pierwszym ataku euforii. Nie potrafiły dostrzec związku między osobą z portretu a hasłem niezbędnym do otwarcia kolejnego pliku na płycie CD;

- Wiem - pokiwała głową Klaudyna. - Musimy poczytać o tej całej Teofili. Może w jej życiorysie znajdziemy brakujące ogniwo. Omnibus mówił coś o skarbie Górków i złym duchu nawiedzającym Białą Damę z portretu...
- Przestań! - fuknęła na nią matka. - Nie chcę słyszeć o żadnych duchach! Rozumiesz? Te bzdury raczej mnie nie interesują. Ojciec był racjonalistą. Owszem, wierzył w Boga, był praktykującym katolikiem, ale w żadne gusła nie wierzył.
- Mamo! - podniosła głos Klaudyna. - Skarb Górków może leżeć w

ziemi, zakopany wiele lat temu w miejscu dawnego dworu.

Przerwały rozmowę prowadzoną w dość swobodny sposób i ujrzały za sobą osłupiałego Patryka. Chłopak - zasłonięty częściowo przez podłużny stół z krzesłami - stał w wejściu do Czarnej Sali oparty o portal. Pod pachą trzymał kilka przewodników, jego twarz zaś wyrażała zdumienie obecnością siostry i siostrzenicy w tym pomieszczeniu. Przyjeżdżając do Kórniką i wchodząc do tej sali, był pewny, że to on jest pierwszą osobą, która odkryła związek pomiędzy dziwną liczbą podaną przez ojca a Białą Damą. Niestety, ubiegła go jego własna siostra! Był tak zaskoczony, że plik folderów i przewodników wypadł mu z rąk na lśniącą podłogę.

Udali się do kafejki internetowej. Tam Omnibus zasilił z Internetu utworzony w komputerze katalog dotyczący Białej Damy. Interesowało ich wszystko, co było związane z osobą Teofili.

Jej młodość na przykład była owiana mgłą tajemnicy, nie wiadomo bowiem, gdzie spędziła „siedem lat, które upłynęły między śmiercią jej matki, a zawartym w Kórniku 24 sierpnia 1732 r. małżeństwem ze Stefanem Szoldrskim, starostą łączyc-

215

kim, synem właściciela Czempina"³⁷. Małżeństwo trwało do śmierci Stefana w 1736 roku. W tym czasie Teofila wydała na świat troje dzieci, z których dwoje zmarło w niemowlęctwie. Jedynym potomkiem z tego związku był Feliks Antoni Ignacy, który dożył sędziwego wieku. Drugie małżeństwo z Aleksandrem Hilarym Potulickim zakończył się szybko rozwodem. Córka Karolina zaś zmarła jako dziecko.

Teofila, mimo niepowodzeń w życiu osobistym, była osobą energiczną i zdecydowaną. Po rozwodzie sama zarządzała majątkiem i dość często wyrażała w listach niezadowolenie z nadzorców i urzędników. Długo nie przeprowadzała remontów zamku (szczególnie przeciekającego dachu), oprócz kilku drobnych napraw. W latach pięćdziesiątych XVIII wieku postawiono dzisiejsze oficyny - tę po wschodniej stronie dziedzińca i tę nad jeziorem. W 1791 roku, już po śmierci Teofili, ukończono inną, mniejszą, zwaną obecnie Klaudynówką.

„To chyba nie na jej cześć?” - Omnibus pomyślał z rozbawieniem o Klaudynie Karskiej.

Teofila urządzała swe komnaty ze smakiem i zgodnie z panującą wówczas modą płynącą z Francji. Była przy tym okropnie wybredna. Kórnickich rzemieślników nazywała partaczami. Przede wszystkim uchodziła za postać nietuzinkową. Ta oświecona kobieta odebrała wszechstronne wykształcenie, sprowadzała całe kufry ksiąg z Paryża. Jej kontakty z Biblioteką Królewską w Berlinie zaowocowały prenumeratą „Journal Encyclopedique”.

- Ciekawe były jej stosunki z miejscowym kościołem - czytał Omnibus z ekranu laptopa. - Teofila była osobą bardzo pobożną, lecz nie przeszkadzało to jej wieść gorące spory z miejscowym proboszczem. O, tu jest coś ciekawego! W obrębie jej dóbr znajdowały się ruiny dawnego myśliwskiego zameczku należącego do rodu Górków. Był to podobno średniowieczny obiekt. Omawialiśmy tę historię z panem Juliuszem.
- Ja też wiem coś na ten temat. Podobno w piwnicach Górkowie ukryli skarby, których strzegły złe duchy. Te z kolei

mógł przepędzić wyłącznie ksiądz udający się w to miejsce z procesją. Za czasów Teofila proboszcz z Bnina trzykrotnie wybierał się w to miejsce, aby uwolnić skarby od duchów, ale nie udało mu się ta sztuka. Teofila kazała w końcu rozebrać ruiny aż do fundamentów!

-1 złe duchy każą jej teraz błądzić po zamku do czasu, gdy zostaną odkryte skarby Górków - uzupełnił jej wywód Omnibus. - Dopiero wtedy moc diabelska straci władzę nad panią Teofilą.

- To tylko legenda - zamyśliła się jego matka i zdjęła okulary. - Ta opowieść wzięła się mianowicie stąd, że Teofila cierpiała na uciążliwą odmianę migreny i dlatego chętnie spacerowała po parku. Szczególnie uwielbiała wieczorne przechadzki. To pomagało jej znieść dolegliwości.
- Może i my powinniśmy udać się na taki spacer. Musimy tylko znaleźć tę drugą rezydencję Górków.
- Kto wie, może to dobry pomysł, Mareczku.

Matka i syn cofnęli się w czasie do roku 1426, znajdując na stronie internetowej Biblioteki Kórnickiej informację o rozbudowie warowni, którą Mikołaj Górka, wówczas kanclerz kapituły poznańskiej i kanonik gnieźnieński, zlecił cieśli z Poznania o tym samym imieniu. Był to uznany mistrz, który między innymi odbudował wieżę katedry gnieźnieńskiej.

Warownia (zwana za czasów Górków *fortalicium*) miała się składać „z dwóch równolegle stojących do siebie budynków mieszkalnych, zamkniętych w czworobok murami, z wąskim dziedzińcem pośrodku.

Wjazd oflankowany był basztami narożnymi. Stare gotyckie mury zachowały się jeszcze w piwnicach. Zamek dodatkowo został ufortyfikowany w XVI w. przez Stanisława Górkę. Dostępu broniła także szeroka fosa, istniejąca po dziś dzień".

A zatem pierwotnie zamek był raczej konstrukcji murowanej. Jeden z dokumentów z 1523 roku wymienia należący do rezydencji kórnickiej dwór. Po łacinie *curia*. Obiekt ten jest wymieniony także w inwentarzu sporządzonym w 1713 roku (na rok przed urodzeniem Teofili). Miał on być usytuowany nieopodal zamku i składał się z dwu izb oraz kuchni. Nie po-

217

dano, z jakiego materiału został zbudowany. Nie wiadomo też, czy ten właśnie obiekt był tym samym, który wymieniono w źródłach 200 lat wcześniej. Z pewnością na miejscu obecnego zamku stał pierwotnie gotycki zamek zbudowany w XV wieku. W końcu ostatni z rodu Górków, Stanisław, przyjmował na zamku Henryka Walezego, udającego się na koronację do Krakowa w 1574 roku. Stanisław dokonał też modernizacji rezydencji około 1556 roku.

Wracając do Teofili - zmarła 26 listopada 1790 roku w Kórniku. Pochowano ją w krypcie kórnickiego kościoła, mimo że bardziej była związana z sąsiednim kościołem w Bninie.

Omnibus zerknął na matkę.

- W kórnickim kościele mieści się grobowiec nie tylko Działyńskich, ale i rodu Górków - powiedział. - Może warto tam pójść? Albo szukajmy tego myśliwskiego zameczku, w którym Górkowie ukryli swoje skarby?

- Proponuję raczej wpaść na zamek - odrzekła Iza po chwili namysłu.

13

Starszy, przygarbiony mężczyzna z siwą brodą i czupryną srebrzystych włosów mówił po polsku z dziwnym akcentem. Z pewnością był to cudzoziemiec, który przyjechał do szpitala w Poznaniu odwiedzić krewnego. Na każde pytanie zadane przez dyżurną pielęgniarkę, odpowiadał jednym zdaniem, jakby wyuczonym na pamięć, z silnym niemieckim akcentem.

- Chcieć widzieć pan Juliusz Barber - powtórzył po raz trzeci. - Ja jest jego kuzyn.

Mężczyzna sprawiał sympatyczne wrażenie. Był ubrany w drogi płaszcz, nosił eleganckie buty, emanowała z niego ujmująca grzeczność. Przede wszystkim był zatroskany wypadkiem Juliusza Barbera. Pielęgniarka przepuściła go.

218

Przesadna grzeczność zniknęła natychmiast po zamknięciu drzwi sali, w której leżał Barber. Mężczyzna wszedł tam z komórką przy uchu. Zbliżył się do łóżka Barbera i rzucił telefon na kołdrę.

- Słucham pana? - zdziwił się detektyw. - Co jest grane? My się znamy?
- Parlez vous! - rozkazał mu przybyły mężczyzna już w swoim ojczystym języku.

Barber przyjrzał się gościowi uważniej. Miał groźne oczy. I ten znajomy głos. Kim, do licha, był? I czego chciał? Zaraz, zaraz. „Czy to

nie przypadkiem Monsieur Gerard?" - pomyślał.

Przybysz rozpiął płaszcz, ukazując rękojeść pistoletu włożonego w kaburę zawieszoną przy pasku od spodni. Posłał detektywowi chłodny uśmiech, dając do zrozumienia, żeby nie próbował żadnych sztuczek. Pech chciał, że wizytą cudzoziemca zainteresował się pacjent obok. Monsieur Gerard uspokoił go, przykładając palec do swych ust. Sąsiad leżący na łóżku obok spotulniał w jednej chwili.

W detektywie zaś zwyciężyła ciekawość. Sięgnął po komórkę.

- Jestem - rzucił ostrożnie do słuchawki.

- *Dzień dobry panu* - usłyszał miły głos. Człowiek ten mówił dobrze po polsku. - *Proszę dobrze posłuchać, panie Barber. Żarty się skończyły. Proszę wstać, ubrać się i opuścić szpital schodami ewakuacyjnymi. Pański polonez stoi na szpitalnym parkingu. Pojedzie pan z moim klientem. Proszę to zrobić. Natychmiast. Inaczej stanie się coś złego.*

- Jestem chory! - krzyknął Barber.

- *Ma pan dość energii, żeby krzyczeć* - usłyszał w odpowiedzi. - *Nie jest z panem aż tak źle.*

- Gdzie mam pojechać?

Później się pan dowie.

W tym samym czasie pacjent z sąsiedniego łóżka, wykorzystując chwilowe zamieszanie, zrobił rzecz bardzo głupią. Pomimo strachu, zdobył się na odwagę i próbował nacisnąć guzik wzywający pomoc medyczną. W porę zauważył to Monsieur Gerard. Dopadł przerażonego mężczyznę i pistoletem

raźną faceta w rękę. Barber zamknął oczy, usłyszawszy dźwięk podobny do tego, który towarzyszy pękającym kościom. Nierozsądny pacjent krzyknął. „Złamał mu rękę” - pomyślał ze zgrozą detektyw.

- *To jak, panie Barber!* - zapytał na koniec rozmówca.

Z Monsieur Gerardem nie było żartów. Nie miał litości dla Boga ducha winnego chorego, który łkał z bólu przeszywającego jego rękę. Na cudzoziemcu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

Detektyw odłączył wenflon. Wstał z łóżka i umęczonym krokiem podszedł do szafy na ubrania. A co miał robić? Czekać, aż cudzoziemiec pogruhocze mu kości?

Omnibus i jego matka także nie próżnowali. Wynajęli w Kórniku znajomą kwaterę przy głównej ulicy nad restauracją „Pod Złotym Kurem”, a potem poszli czym prędzej do czytelnicy na zamku. W drodze natknęli się przypadkowo na bandę Bryzola stojącą po drugiej stronie ulicy. Na widok Omnibusa unieśli ręce w geście pozdrowienia. Dopiero po chwili rozpoznali w idącej obok niego kobiecie osobę, którą widzieli w ruderze nad jeziorem. Wówczas była ona w towarzystwie zwałistego dziadka, związana i zrezygnowana, teraz łaźła po Kórniku z małolatem.

- Co to za znajomości? - spytała ze strachem pani Iza. -

O Matko Najświętsza!

I przyśpieszyła kroku.

- To ludzie Bryzola. Spokojnie, mamó. Oni się mnie boją.
- Boją się? Ciebie? A co ty im możesz zrobić, Mareczku? -nerwowo przygryzła wargę.

Omnibus zrezygnował z dalszych wyjaśnień. Pomyślał, że jeśli ci ludzie mieliby zamiar coś zrobić matce i Barberowi, to po prostu by to zrobili. Oni zaś uciekli, zostawiwszy ich na pastwę losu. Ale ich nie tknęli. Nawet ich nie obrabowali. Nie musieli zatem się obawiać miejscowych złodziejasków.

Z cienia, jaki rzucały na zakręt ulicy domy, wyszli na oświetlony słońcem dziedziniec. Minęli oficynę i na moście prze-

220

rzuconym przez fosę spotkali wychodzące z zamku Barbarę z córką.

- Co za spotkanie! - powitała ich Klaudyna.
- Cześć - uśmiechnął się chłopak. - Co tu robisz? Wpadłaś na jakiś trop?
- Nie - posłała mu uśmiech. - Tak sobie zwiedzałyśmy zamek.
- Właśnie, nic więcej - dodała pospiesznie Barbara Karska. - Tak jak wy, przyszyliśmy pozwiedzać. Ale muzeum już zamknęli.

Mówiła prawdę. W kwestii zwiedzania, oczywiście. Minęła bowiem czternasta czterdzieści pięć, a muzeum zamknięto przed kwadransem.

- My do czytelni - wyjaśniła niepewnie pani Iza.
- O, siedzi tam właśnie Patryk - dodała Klaudyna.
- Patryk? - zdziwił się Omnibus. - Myślałem, że zrezygnował.
- Jak tylko nas zauważył w Sali Jadalnej, od razu uciekł - powiedziała Barbara.
- W Sali Jadalnej? - zamyśliła się pani Iza.
- Tak, w Sali Jadalnej - wzruszyła ramionami Barbara. - A bo co?
- W Sali Jadalnej wisi portret Białej Damy - wyrwało się Omnibusowi. Te słowa rozwścieczyły Klaudyne.

- Mamo - jęknęła.
- Co ty znowu ode mnie chcesz? - fuknęła Barbara. - Niczego nie powiedziałam! Zresztą co nam przyszło z obejrzenia tego malowidła? Klaudyna ze złości tupnęła nogą i ruszyła ku schodom.
- To my już razem nie pracujemy? - zapytała nauczycielka.
- A czy kiedyś współpracowaliśmy? - odparowała Barbara.
- Tamtej nocy w polonezie. Przynajmniej tak mi się wydawało.
- Wszystkim nam się coś wydaje. To było chwilowe przy mierze. Niech pani nie zapomina, że jestem córką Emanuela Karskiego. Jesteśmy jego rodziną. Prawdziwą. A pani kim jest? Nikim, proszę pani! Kochanicą!

221

W oczach nauczycielki zabłyśły ogniki złości.

- Mój syn - wycodziła, nie panując już nad sobą - ma takie samo prawo do spadku, jak pani! To syn Emanuela!
- Co? - Barbarę aż zatkało z wrażenia. - On? Dobrze sobie! Nawet jeśli, to jest tylko bękartem!
- Proszę przestać! - warknął Omnibus. - Nie chodzi o mnie. Najgorsze w tym wszystkich jest to, że nikt nawet nie spytał o Barbera.
- O Barbera? - Barbara popatrzyła na niego drwiąco. - Pewnie nic mu nie będzie, bo z pewnością ma twardy łeb. Nie podoba mi się, że mnie oszukał. To wielki krętacz. A wy nie jesteście od niego lepsi! Zakpiliście sobie z nas... z rodziny Karskich. Wysłała pani na przespiegi syna. Ukartowaliście to z Barberem! Nie ma co. Ładnie to

tak nabierać ludzi? Jak pani wychowuje syna?

- Proszę pani - uśmiechnął się złośliwie Omnibus. - Tak naprawdę, to jestem pani bratem. Czy mogę mówić „siostró”?
- Jak śmiesz... - Barbara spurpurowiała na twarzy.

I ruszyła pędem w stronę stojącej u podnóża schodów córki. Pani Iza zaś została z Omnibusem na środku mostu z miną nietęgą, blada i wściekła z powodu doznanego upokorzenia. Żadne z nich nie wypowiedziało słowa komentarza na cierpkie uwagi rzucane przez Barbarę. Wiedzieli też, że nie są jedynymi osobami, które odkryły związek pomiędzy złożonym z dwóch dat zapiskiem a Białą Damą. Ba, trzy osoby zdążyły przed nimi obejrzeć portret dawnej właścicielki zamku! Nawet Patryk ich ubiegł.

Na portrecie namalowanym około 1754 roku Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka stoi na tarasie, w tle widoczny jest fragment ogrodu. Jej postać jest lekko zwrócona w prawo, głowa zaś w lewo. Biała Dama występuje na nim w pudrowanej peruce. Uwagę oglądającego zwraca jej biała suknia ze spódnicą *en panier*, z dużym dekoltem przyozdobionym koronkami i narzuconym niebieskim płaszczem podbitym gronostajami. W lewej ręce kobieta trzyma wachlarz. Przed nią, z prawej strony,



Portret Teofili z Działyńskich Szołdrskiej-Potulickiej

stoi taboret, na którym znajduje się książka do nabożeństwa. Za nią, z lewej, na wysokim postumencie widzimy wazę.

Ten obraz uznano kiedyś za dzieło Antoine'a Pesne'a, jednak istnieją podejrzenia, iż namalowano go raczej w pracowni Louisa de Silvestre'a - francuskiego malarza na dworach królów Augusta II i Augusta III. Niewykluczone, iż jest to kopia wykonana z zaginionego oryginału przez mniej znanego artystę.

223

Na odwrocie portretu widnieje napis, z którego jasno wynika, że w roku 1854 płótno trafiło do Kórnika z kościoła w Runowie Krajeńskim - miejscowości, w której Teofila się urodziła i została ochrzczona. W końcu

Kórnik był jej drugą rezydencją. A zatem wiszący w Sali Jadalnej zamku portret zdobił swego czasu ściany pałacu runowskiego, a do tamtejszego kościoła trafił po jej śmierci. Dopiero Tytus Działyński sprowadził go na swój zamek.

Czy jednak Emanuelowi Karskiemu chodziło o portret Teofili? Może podając daty jej urodzin i śmierci, chciał po prostu zwrócić uwagę na nią? Nie ulega wątpliwości, że podana liczba była zlepkiem dwóch dat - narodzin i śmierci Białej Damy. Z pewnością zagadka dotyczyła XVIII-wiecznej właścicielki Kórnika! Portret zaś był jedną z największych atrakcji w zbiorach kórnickich, nic więc dziwnego, że poszukiwanie hasła należało zacząć od tego obrazu.

Lecz im dłużej Patryk oglądał kopię malowidła zamieszczoną w pewnej publikacji, tym większe ogarniały go wątpliwości. Dlaczego Teofila? Dlaczego Biała Dama? Dlaczego?

Skrzypnęły drzwi. Chłopak przerwał lekturę i zerknął w ich stronę. Ujrzał wkraczających do czytelnicy Omnibusa i jakąś kobietę. „Pracownica muzeum? - zgadywał. - Znajoma małolata? Rodzina?” Nowo przybyła para wcale nie okazała zdziwienia jego obecnością. Natomiast młody Karski zaszczyił ich spojrzeniem pełnym zarówno ciekawości, jak i niechęci. A kiedy tamci poprosili o materiały dotyczące Białej Damy, ogarnęło go zwątpienie.

Artyści to ludzie wrażliwi i depresję przeżywają w sposób szczególnie bolesny. Joanna nie była wyjątkiem, tym bardziej, że poniosła klęskę zarówno na niwie zawodowej, jak i osobistej. Jej narzeczony okazał się łajdakiem i oszustem. Nie kochał jej. Nie był też, o zgrozo, asystentem

znanego reżysera. Z planów zostania gwiazdą filmową nic nie wyszło. Zanosiło się i na to, że nie zdobędzie spadku po ojcu. Nie miała ani sił, ani talentu do rozwiązywania szarad i uganiania się po zamku w po-

224

szukiwaniu tropów pozostawionych przez jej szalonego ojca. Ostatnie wydarzenia w Kórniku doprowadziły jej nerwy do ruiny. A potem jeszcze te wszystkie przesłuchania na policji, musiała zeznawać, odpowiadać kilka razy na te same pytania.

Jakoś to przeżyła. Po burzy zawsze przychodzi spokój. Im gwałtowniej przeżywała jakieś nieszczęście, tym szybciej starała się później o nim zapomnieć. Całą środę przespała w pokoju gościnnym w Oficynie nad Jeziorem. Wstała przed południem w czwartek dosłownie wypluta, lecz obojętna na wszystko, co wcześniej się wydarzyło. Wyrzuciła precz ze swej pamięci Pierre'a. Zapomniała o karierze filmowej w słonecznej Francji. Co tam! Znajdzie jakiś kontakt w Warszawie. Znała pewnego agenta, który chwalił się, że może załatwić jej dobrą rolę.

Pod prysznicem jej myśli powróciły do sprawy testamentu ojca.

Kiedy zmyła z siebie wspomnienie ostatnich rozczarowań, postanowiła zostać jakiś czas w Kórniku. Wynajmie taksówkę i pojedzie do Poznania dogadać się z Barberem. Ten podtatusia-ły detektyw wielokrotnie z zainteresowaniem łypał na nią okiem, a przynajmniej tak się jej wydawało. Kto wie, co za myśli przychodziły mu do głowy, gdy tak na nią patrzył. Była aktorką, więc spróbuje użyć swojego talentu i wdzięku do omamienia detektywa. Może zgodzi się dla niej pracować? Trochę się znała na ludziach, więc wiedziała, że przyjmie każde zlecenie za gotówkę. Może nawet nie będą potrzebne żadne aktorskie wyczyny? Barber pracował już

dla Barbary i Patryka. Ostatnio spo-ufalił się z kochanką ojca, tą nauczycielką z Wrześni. Dlaczegoż miałby odmówić o wiele atrakcyjniejszej Joannie?

Na rynku w Kórniku złapała taksówkę.

- Poznań - rzuciła do zadowolonego taksówkarza. - Szpital.

Podawała nazwę, którą usłyszała podczas składania zeznań na policji.

*

Monsieur Gerard związał pacjenta leżącego na sąsiednim łóżku, zakneblował go i zamknął w szafie. Niebawem wyszli z Barberem na korytarz i zaraz skręcili w lewo „w drzwi pro-

225

wadzące na schody ewakuacyjne. Barber szedł wolno, z bólem na twarzy. Ubranie się kosztowało go wiele wysiłku, a teraz szedł jak pijany, z trudem łapiąc oddech. Próbował protestować jeszcze w sali szpitalnej, lecz żadne argumenty nie trafiały do cudzoziemca. Zresztą nie znał on polskiego, Barber zaś ani słowa po francusku, z wyjątkiem popularnych zwrotów.

Ich jedynym tłumaczem był pistolet cudzoziemca.

Detektyw doczłapał jakoś na parter. Wyszli na skąpany w słońcu parking. Barber zbolalym ruchem włożył na głowę kapelusz, który dostał w prezencie i ruszył do zaparkowanego nieopodal poloneza, brutalnie popychany przez cudzoziemca. W końcu wyczerpany usiadł grzecznie na fotelu pasażera. Sapał jak lokomotywa. Pocił się. W pewnym momencie musiał użyć sprayu, gdyż złapały go duszności połączone ze znajomym bólem w okolicach mostka.

Kiedy opuszczali szpitalny parking, na jego teren wjeżdżała właśnie taksówka wioząca Joannę. Niedoszła aktorka zauważyła samochód należący do Barbera.

- Niech pan zawraca! - klepnęła taksówkarza w ramię. -Szybko! Za tym polonezem!

Gdy tylko Omnibus i jego matka usiedli przy sąsiednim stoliku, Patryk zamruczał coś pod nosem, wstał i zostawiwszy publikacje na stoliku, opuścił pośpiesznie czytelnię. Po pierwsze, nie miał pojęcia, jak zabrać się za kolejną historyczną szaradę wymyśloną przez zakręconego ojca. Nie wiedział, dlaczego Biała Dama jest tak ważna w tej układance. Po drugie, w towarzystwie Omnibusa czuł się niezręcznie. Wstydził się niedawnej ucieczki z Kórnik, kiedy to uważał, iż sam odgadnie hasło dzięki wskazówce o zegarze. W tej chwili chciał znaleźć się jak najdalej od Marka. Nie był nawet ciekawy, kim była drobna kobieta, z którą małolat przyłaził do czytelnicy.

Patryk znowu uciekł jak tchórz. Schodził na dół, gdy nagle coś mu zaświtało. Portret Białej Damy... czy to możliwe, że płótno wiszące w Sali Jadalnej stanowi konkretną wskazówkę? Jeszcze w czytelnicy jakiś szczegół na portrecie nie dawał

226

mu spokoju, detal. Biała Dama trzyma w lewej ręce wachlarz skierowany.... nie, to niemożliwe!

Patryk zatrzymał się na schodach i zrobił głęboki wdech, aby się uspokoić. Przywołał w pamięci portret Białej Damy. Widział ją wyraźnie stojącą z wachlarzem na tarasie.

Pobiegł do Sali Jadalnej przyjrzeć się raz jeszcze obrazowi, zapomniawszy, że ekspozycja jest już tego dnia nieczynna.

Zatrzymała go ta sama strażniczka, przez którą ostatnio mieli kłopoty, kiedy śledzili Joannę i Pierre'a.

- A ty dokąd? - popatrzyła groźnie.
- Muszę tam wejść - wskazał nerwowo drzwi.
- Już zamknięte, młodzieńcze.
 - Zostawiłem tam... parasol. W tym gabinecie za Salą Jadalną.
 - W Buduaraku? - zdziwiła się i znowu podejrzliwie zmrużyła oczy. - Parasol? Dzisiaj jest piękna pogoda.
 - Tak, świeci słońce - tłumaczył się beznadziejnie - ale rodzice zawsze powtarzają, że bym nie ruszał się z domu bez parasola.

Z trudem łapał oddech i zbierał myśli. Tak bardzo zelektryzowało go dokonane przed chwilą odkrycie.

- Zobaczymy - dała się przekonać, ale nie spuszczała zeń oczu. - Pójdę i sprawdzę. Dziwnie gadasz. Ty tu zostań.

Strażniczka poszła. Patryk chwilę odczekał i ruszył za nią.

Widział jak kobieta wchodzi do Buduaraku, więc przebiegł przez Salę Jadalną i zdyszany stanął przed portretem Białej Damy. Patrzył jak zahipnotyzowany na jej rękę trzymającą wachlarz. Był tak podekscytowany niezwykłością odkrycia, że nie zauważył powracającej z Buduaraku zdenerwowanej strażniczki.

- A ty co tu robisz?! - krzyknęła na jego widok. - Gdzie miałeś czekać? Nie ma żadnego parasola!

Już jej nie słuchał. Patrzył na Teofilę z portretu, jak na osobę, której wydarto po latach skrzętnie ukrywaną tajemnicę.

*

Matka i syn rzucili się na publikacje zostawione przez Patryka, jakby byli bardzo głodni i żywili się wyłącznie papierem.

227

Iza zapoznawała się z życiem i działalnością Białej Damy, Omnibus zaś od dłuższej chwili patrzył na ten sam portret dawnej właścicielki Kórnika, który studiował młody Karski - reprodukcję zamieszczoną w jednej z publikacji. W skupieniu przyglądał się lewej ręce Teofila. Wachlarz. Przedmiot wskazywał książeczkę do nabożeństwa z inicjałami „IHS” leżącą na taborecie.

„Czy to coś znaczy?” - przemknęło mu przez myśl.

Stracił chwilowo zainteresowanie portretem - musiał odpocząć od niego. Poprosił zatem bibliotekarkę o pomoc w zlokalizowaniu na mapie dawnego zamku Górków. Pomyślał sobie, że może legenda o Białej Damie stanowi klucz do rozwiązania zagadki. Teofila zaś jest wyłącznie drogowskazem.

- Według legendy w tych ruinach miały być ukryte skarby
- przedstawiał bibliotekarce swój punkt widzenia. - Podobno pani Teofila kazała rozebrać ruiny aż do fundamentów i dlatego złe duchy każą jej błądzić po zamku.

- Chcesz odpędzić od Białej Damy złe moce? - zaśmiała się pracownica, zastępująca znanego im wcześniej bibliotekarza.

- Słyszałam, że szukacie skarbów pana Karskiego. I sądzisz, że pan Emanuel znalazł skarb rodu Górków?

• Nie wiem, proszę pani. Najpierw chciałbym zlokalizować miejsce

dawnego myśliwskiego zamku należącego do pierwszych właścicieli Kórnika.

- To raczej nie był zamek - powiedziała. - Ale zaraz sam to sobie sprawdzisz.

Usiadł pospiesznie na swoim miejscu i czekał, tylko od czasu do czasu rzucał niespokojne spojrzenie na reprodukcję portretu Białej Damy, zamieszczoną w publikacji, która otwarta leżała niemalże na krawędzi stołu. Siedząca po jego prawej ręce matka przerzucała uważnie strony innych książek traktujących o Białej Damie i tylko raz zerknęła na syna. Nie pytała go o nic.

Po chwili przed Omnibusem wyrosła sterta książek, albumów i jedna stara mapa. Z nową nadzieją zabrał się do poszukiwań starej rezydencji.

Miejscowa tradycja głosiła, że w powiecie śremskim, na terenie lasu czołowskiego stał zamek należący do Górków. Była

228

to budowla starsza od kórnickiego zamku. Dla jednych było to zamczysko, dla innych pałacyk myśliwski albo nawet kaplica. Omnibus drżącą ręką rozwiązał supeł przy szarej teczce, która chroniła starą mapę z miejscowych zbiorów kartograficznych. Imponujący dokument wykonany został w 1801 roku przez Wismara Kónigla, więc Omnibus z niezwykłą ostrożnością -jakby się obawiał, że wiekowy papier rozsypie się w jego palcach w pył - rozłożył mapę na blacie. Solidna robota robiła wrażenie! Nawet pani Iza straciła zainteresowanie swoimi badaniami i przyłączyła się do poszukiwań zamku Górków.

Legendarny obiekt znaleźli pod nazwą „Schlossberg”. Z mapy wynikało, że znajdował się on po drugiej stronie jeziora w odległości półtora

kilometra na zachód od Kórnika. Porównując starą mapę ze współczesną, szybko ustalili, że ruiny mieściły się około dwustu, trzystu metrów na północ od leśniczówki Czołowo, leżącej przy szosie do Mosiny.

Administracyjnie teren należał do niewielkiej osady Mościenica ulokowanej na zachodnim brzegu Jeziora Skrzyneckiego. W

„Pamiętnikach Biblioteki Kórnickiej” znalazł Omnibus ciekawy fragment:

„Po drugiej stronie kórnickiego jeziora, na wyniosłym w lesie pagórku, znajdują się ruiny starego zamczyska, o którym wieść gminna niesie, że podwodnym tunelem połączone jest z zamkiem na rycinie przedstawionym i że w jego gruzach ogromne spoczywały niegdyś skarby...”³⁸.

Dalsza lektura publikacji nieco zawiodła ich oczekiwania. Otóż dowiedzieli się, że szczegółowa analiza materiału z zachowanych fragmentów zabytkowych ruin, pozwoliła naukowcom ustalić, że na pagórku wzniesiono obiekt o charakterze mieszkalnym, a nawet reprezentacyjnym. Tak więc, stojący tam budynek nie był zamkiem. Nie był też dworem. O jego mieszkalnym przeznaczeniu miała świadczyć obecność w ziemi pieców kaflowych i szkła gomółkowego.

Czym były dzisiejsze ruiny?

³⁸ J. Fogel, A. Karłowska-Kamzowa, *Nieznany zabytek architektury renesansowej z okolic Kórnik*, „Pamiętniki Biblioteki Kórnickiej”, 1973, z. 11.

Pośredniej odpowiedzi dostarczają nam archiwa. Otóż las czołowski z ruinami wchodził kiedyś w skład dóbr kórnickich. Dopiero w 1746 roku

Teofila z Działyńskich sprzedała osadę Mościenica Jędrzejowi Niemierowi. Za jej życia las na zachodnim brzegu Jeziora Kórnickiego określano mianem Zwierzyńca. Jego część wokół dzisiejszej leśniczówki ogrodzono płotem i stworzono bażanciarnię, a dalej rozciągał się teren łowiecki, sięgający dzisiejszych ruin. Tytus Działyński stworzył na terenie Zwierzyńca nowy rezerwat zwierzyny, który przetrwał do połowy XIX wieku. Istniał on tutaj już za czasów Górków. Podobno jeszcze dzisiaj można znaleźć uszkodzenia dolnych partii najstarszych drzew pozostawione przed wiekami przez zwierzęta.

Niewykluczone zatem, że wzniesiony wśród lasów obiekt nie był zamkiem. Jego układ przestrzenny, prymitywna elewacja, a także niedokładna niwelacja terenu wskazują, że był tam raczej pawilon, postawiony w XVI wieku, który za czasów Teofili stał się ruiną. Przypuszcza się także, że w okresie renesansu budowla była schronieniem dla faworyzowanych przez Górków protestantów.

Bibliotekarka zrobiła kopię kilku stron (w tym starej mapy oraz reprodukcji portretu Białej Damy) i wkrótce Iza i jej syn opuścili zamek.

Polonez zbliżał się do Kórnika od północy. Kierowca widział już fragment jeziora, które łączyło się dalej z Jeziorem Kórnickim. Pojawiły się pierwsze zabudowania.

Od dawna zajmował się poszukiwaniem skarbów. Już kilkadziesiąt lat temu zajął się niewyjaśnioną sprawą księdza Be-rangera Sauniera z parafii w małym miasteczku w pobliżu gór Corbieres we Francji. Jak wiadomo, w Renes-le-Chateau miał się znajdować skarb z XIII w, należący do regentki Francji, Blanki Kastylijskiej. Wspomniany ksiądz zmarł w 1917 roku, nie

wyjawiwszy całej tajemnicy. Nikt nie wiedział, za czyje pieniądze wyremontował kościół i kupił willę, padło więc na niego podejrzenie, iż wykopał pod świątynią skarb. Monsieur Gerard szu-

230

kał nie tyle skarbów Korony Francuskiej, ile skarbów templariuszy, które ponoć miały się tam znajdować. Mówiono nawet o grobie Chrystusa ukrytym w tym miasteczku. Monsieur Gerard nigdy niczego nie znalazł w Renes-le-Chateau. Następnym etapem w długiej karierze tego awanturnika były trzy wyprawy na Wyspę Dębów (Oak Island), którą interesowano się już w 1775 roku. Podobno spoczywał tam skarb ukryty przez piratów, złoto Inków, a nawet klejnoty Marii Antoniny i króla Ludwika. W poszukiwaniach skarbu utopiono fortuny i niczego nie znaleziono, oprócz kilku dziwnych przedmiotów i kamiennych płyt z tajemniczymi inskrypcjami. Ten człowiek uważał jednak, że na wyspie ukryto skarby templariuszy. Do dzisiaj był przekonany, że tylko Rycerze Świątyni mogli wybudować osobliwe szyby, sięgające do sześćdziesięciu jeden metrów głębokości. Poza tym w odległości czterdziestu kilometrów od Wyspy Dębów wybudowali oni pod koniec XIV wieku zamek New Ross.

Niestety, i tym razem wydał mnóstwo pieniędzy, a powrócił z pustymi rękami. Potem zainteresował się podwodnymi poszukiwaniami wraków. Na słabo rozpoznanych akwenach Australii szukał zatopionego w 1655 roku słynnego statku „Złocisty Smok”, wiozącego skrzynie pełne złota. Znowu nie dopisało mu szczęście. Po krótkiej wyprawie na Morze Śródziemne, gdzie udało mu się wydobyć z morskiego dna trochę średniowiecznych skarbów, wrócił na australijskie wody. Przez pół roku próbował zlokalizować zatopionego w XIX wieku „Generała Granta” -

statek wyładowany workami drogiego kruszcu wartości ponad miliona dolarów.

Monsieur Gerard był znanym poszukiwaczem skarbów bez spektakularnych sukcesów. Pierre wiedział od jednego ze swoich przyjaciół, że ma on powiązania z mafią i majątku dorobił się drogą nie do końca legalną. Poszukiwanie skarbów stanowiło zaś jego hobby. Za każdy przedmiot związany z mitem o templariuszach gotowy był zapłacić najwyższą cenę. Podobno zdolny był nawet do zbrodni.

Monsieur Gerard zwolnił, ujrawszy szarą bryłę budynku posterunku policji. Wyłonił się groźnie z lewej strony na rogu

231

jakiejś wąskiej przecznicy. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdowało się skrzyżowanie z drogą nr 431 na Rogalin. Cudzoziemiec nie pojechał prosto do centrum Kórnik (i dalej na zamek), lecz skręcił na zachód. Nie chciał się pokazywać w miasteczku tym samochodem.

Pokonali rzeczkę. Las otaczał ich teraz z dwóch stron.

- Dokąd jedziemy? - zaniepokoił się Barber.

Porywacz zaczął mówić do niego po francusku - detektyw nic z tego nie rozumiał. Za mostkiem Francuz jeszcze bardziej zwolnił i zapalił swojego ulubionego gauloise'a, lecz musiał go natychmiast zgasić, gdyż siedzący obok niego detektyw zaczął się dusić. Zatrzymał samochód na poboczu z niejakim strachem, że ten zwalisty facet wyzionie zaraz ducha, a wtedy cała sprawa skomplikuje się jeszcze bardziej.

Powinien ukryć gdzieś ten okropny samochód, o ile można było tak skomplementować ów pojazd. Jechał najgorszym autem w swoim życiu.

Nagle Monsieur Gerard ujrzał tablicę informacyjną.

Ośrodek Sportu i Rekreacji wraz z przyległym doń boiskiem piłkarskim usadowił się przy zachodnim brzegu jeziora, otoczony laskiem - dobre miejsce na kryjówkę przed światem. Nie namyślając się dłużej pojechał tam. Na wszelki wypadek mówił po niemiecku, żeby nikt go nie skojarzył z Francuzem.

*

Taksówka wioząca Joannę jechała za polonezem aż do samego Kórnik. Karska nie zawiadomiła policji. Postanowiła sama zabawić się w detektywa i dociec, co jest grane.

Polonez zwolnił za rzeczką i było już za późno na zatrzymanie się. Dla kierowcy, którego śledziła, taksówka z poznańską rejestracją, siedzącą mu na ogonie, mogła wydać się podejrzana. Ryzyko było zbyt wielkie, dlatego Joanna poprosiła taksówkarza, żeby pojechał dalej.

Kiedy mijali poloneza, skuliła się w fotelu, ażeby siedzący w aucie mężczyźni jej nie rozpoznali. Jej reakcja nie uszła uwagi i tak już zaintrygowanego taksówkarza.

232

- O, widzę, że śledzimy męża - zaśmiał się pod nosem i pu--itił do niej oko.
- Ja? - zarumieniła się. - Dlaczego pan tak myśli?
- Mało to ludzi wożę? Wiem coś o życiu.
- Tak, ma pan rację. Siedzę męża.
- Nie moja sprawa - wzruszył ramionami. - Pani mąż to chyba musi mieć nie po kolei w głowie...

- Co proszę?

- Mając tak piękną żonę, nie powinien pani zostawiać nawet na chwilę.

Joanna obejrzała się za siebie. Polonez skręcił w ulicę Lenną, sąsiadującą z miejscowym stadionem. Wnet stracili go 7. oczu.

- Co robić? - zapytał taksówkarz. - Zawracamy na kem ping?

Joanna nie odpowiedziała od razu. Zaniemówiła, widząc sto metrów przed maską taksówki osobliwą parę. Ludzie ci szli zacienionym przez las poboczem w kierunku zachodnim, mijając południowy brzeg Jeziora Skrzyneckiego. Kobieta i chłopak nie oglądali się za siebie. Sprawiali wrażenie, jakby wybrali się na wycieczkę. Jednakże Joanna nie wierzyła w krajoznawczy charakter tej przechadzki. Przyjaciółka ojca i Omnibus nie przyjechali do Kórniku podziwiać widoki. Jeśli już coś robili, to musiało mieć to związek z testamentem.

Szybko zbierała myśli. „Co robić? - zastanawiała się gorączkowo. - Jechać za polonezem, czy sprawdzić dokąd oni idą? Polonez pojechał na kemping, więc później będę mogła tam pojechać i sprawdzić, co dzieje się z Barberem”.

Taksówkarz, widząc wahanie pasażerki, zatrzymał pojazd.

- Niech pan się nie zatrzymuje - gwałtownie zaprotestowała i wskazała przed siebie. - Widzi pan tę parę na poboczu?

-Tak.

- Na kemping pojedziemy później. Teraz chcę zobaczyć, dokąd oni idą.

- Zna ich pani? - zdziwił się taksówkarz.

- Trochę.

Kierowca popatrzył na nią jak na wariatkę - w oczach pięknej pasażerki oprócz cudownego błękitu dostrzegł także determinację. Nie wyglądała na stukniętą, lecz nie rozumiał, czemu miałby jechać za kimś, kogo dopiero co zobaczyli? Co tutaj było grane? Wyjaśnienie nasuwało się samo - ta piękna, młoda kobieta musiała być lekko szurnięta.

- Ma pani w ogóle gotówkę? - zagadnął nieco nieufnie.
- Mam - pomachała mu przed nosem dwustuzłotowym banknotem.
- No cóż, klient nasz pan.

Obok taksówki przeszło kilku miejscowych chłopaków. Szli i gapili się na Joannę, jakby zobaczyli gwiazdę filmową. Z jej powodu zwolnili i nie mogli oderwać od niej wzroku.

- Niech pan rusza - ponagliła taksówkarza, poirytowana nachalnymi spojrzeniami. - Na co pan czeka?

Taksówka ruszyła z piskiem opon.

- Wolniej - jęknęła Joanna. - Nie tak szybko. Niech pan zwolni.

Szosa oddalała się od Jeziora Skrzyneckiego na zachód. Na odcinku kilkuset metrów biegła dalej samotnie po bezleśnym terenie, mijając nieliczne tylko gospodarstwa. Wkrótce jednak las zwany Zwierzyńcem zbliżył się swoim północnym szczytem do lewej strony drogi, kawałek dalej, z prawej, oparł się o nią las czołowski. Gdzieś za leśniczówką Czołowo drzewa otulały już asfaltową drogę zwartą ścianą pachnącego żywicy drzewostanu. Szeroka ścieżka, która odbijała od szosy na północ, wrzynała się w samo serce lasu i wydała się Omnibusowi drogą wiodącą

przez baśniową krainę. Szli do zamku, w którym ukryto legendarny skarb. Nagle wszystko ucichło z wyjątkiem ptaków, a jego własny oddech wydał mu się dziwnie obcy w tym przyjaznym i pozbawionym kłopotów świecie.

Do celu dotarli szybko. Pagórek, na którym stały ruiny dawnej rezydencji, był wkomponowany w pasmo otaczających go wzgórz porośniętych dorodną sosną. Z dwóch stron - północno-zachodniej i południowo-wschodniej - przylegały doń

234

podmokłe zagajniki z przewagą olszyny. Nie był to imponujący pagórek - liczył zaledwie cztery metry wysokości i około trzydziestu metrów średnicy. Już sama jego wielkość wykluczała istnienie tutaj zamczyska.

Ścieżka doprowadziła ich na zachodnie zbocze wzniesienia. Nikłe fragmenty muru świadczyły o tym, że czas rzucił na (o miejsce czar zapomnienia. Najlepiej widoczny południowo-wschodni narożnik ruin sięgał zaledwie metra wysokości ponad porastającą pagórek trawę. Ławy fundamentowe murów obwodowych zbudowano ze zwykłych kamieni i gruzu ceglanego, a kiedy zajrzeli do wnętrza budowli, zastali tam rumowisko. Górna powierzchnia fundamentów nosiła wyraźne ślady wybierania materiału do budowy.

Omnibus oszacował wstępnie, że długość ściany wschodniej wynosi kilkanaście metrów, południowej mniej więcej osiem, północnej zaś niewiele ponad pięć. Nie wiedzieli, jak wyjaśnić ową niesymetryczność założenia.

Szybko opuścił ich entuzjazm. Dodatkowo byli zmęczeni długim spacerem w słońcu. Usiedli zatem w cieniu, aby odpocząć. Dla zabicia czasu bardziej odporny na upał Omnibus studiował zdobyte z biblioteki

zamkowej dokumenty. Jego matka zamknęła oczy i oparłszy się o mur, oddała się kontemplacji. Trzymała w ręku jakiś badył, którym smagała chwasty porastające zbocze.

- Ciekawe, co porabiają inni? - odezwała się nagle cichym głosem.
- Czy ja wiem - wzruszył ramionami Omnibus, nie przestając przeglądać kserokopii.

Raz tylko oderwał wzrok od kopii reprodukcji portretu Białej Damy i zerknął na matkę zabawiającą się trzymanym w ręku patykiem. Zdawało mu się, że nieświadomie podpowiada mu jakieś rozwiązanie. Teofila na portrecie trzymała bowiem w ręku wachlarz skierowany na książkę do nabożeństwa. „Czy chodzi o modlitewnik leżący na taborecie? - zastanawiał się. - Czyżby kluczem do zagadki było IHS wytłoczone na modlitewniku? Niewykluczone”.

- Beznadziejna sprawa z tym testamentem, Mareczku -

235

westchnęła pani Iza. - Że też zachciało nam się bawić w detektywów. To ten cały Barber skusił mnie do przyjazdu tutaj.

- Ja tam nie żałuję. Chociaż czuję, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek.
- Niepotrzebnie szliśmy taki kawał drogi. A przed nami jeszcze powrót. Nagle, od strony zagajnika, dobiegł ich dźwięk przypominający trzask pękającej gałązki.

- Słyszałeś? - wystraszyła się.

Omnibus nasłuchiwał chwilę, aż wreszcie machnął ręką.

- Pewnie jakieś zwierzę - zerknął w papiery. - Prawdopodobnie był tu kiedyś Gehege.

- Gehege? A co to takiego?

- Teren łowiecki.

- Jakiś ty mądry, Marczyku - westchnęła.

Chłopak nie skomentował komplementu. Zamyślił się.

- Odziedziczyłem po ojcu zamiłowanie do nauki - mówił tonem dorosłego i doświadczonego człowieka, z wyraźną nutką smutku. - Ale ja go wcale nie znałem. Zawsze był dla mnie dziadkiem, który wpadał do nas od święta. Hm... nie wiem, jak to wyjaśnić, ale czuję, że jest dla mnie ciężarem. Jakby rzucił na mnie urok!

Zrobił pauzę.

- Mamo - zapytał z naiwną miną dziecka. - Czy ja jestem w ogóle normalny?

- Też coś - prychnęła.

Rzuciła badył. Otworzyła oczy i spojrzała na niego z dumą.

- Co ci przychodzi do głowy, Marczyku? Chciałbyś być taki jak inni młodzi ludzie, którzy robią wszystko, żeby się tylko nie uczyć?

- Czasami tak sobie myślę, że warto by było rzucić te wszystkie książki w kąt!

- Ach, przestań. Żebyś wiedział, co ja mam z moimi uczniami w szkole.

- Wiem, bo wrywasz sobie włosy z głowy, sprawdzając klasówki.

Pani Iza dotknęła czubka głowy.

236

- Nie, to od szamponu mi wychodzą.

- Mamo, po co mi ten cały skarb? - zmienił temat. - Powiniennem pojechać na obóz, a nie łązić z tobą po bibliotekach i ruinach. Nie lubię, jak mnie nazywają maminsynkiem. I do tego jeszcze kurduplem!
- Przestań już, na miłość boską!
 - I skoro odziedziczyłem po ojcu rozum, to na co mi spadek?
- Spadkiem ja się zajmę - uśmiechnęła się. - Tobie niech zostanie satysfakcja z odnalezienia skarbu.
- Skąd wiesz, że chodzi o skarb?
- Nie wiem. Tak tylko mówię.

Nagle Omnibus stracił zainteresowanie rozmową. Przez chwilę wstrzymał oddech, a potem dziwnym wzrokiem zaczął przyglądać się mapie, na której zaznaczono Schlossberg - obiekt, o który się opierali. Chłopak przykładał palce do mapy, jakby coś odmierzał, a następnie wyjął z kieszeni długopis i przeciągnął linię łączącą zamek kórnicki z ruinami.

- Co się stało, Mareczku? - zapytała go matka.

Podał jej mapę.

- Zobacz - powiedział triumfalnie. - Sama sprawdź, co znajduje się na środku linii łączącej zamek w Kórniku z rezydencją Górków.

Pani Iza stwierdziła ze zdumieniem, że w połowie wyznaczonej linii znajdowało się dobrze jej znane miejsce - dom Emanuela Karskiego nad jeziorem.

Otumaniony odkryciem opuścił zamek. Jakież to było proste! Słynna Biała Dama, Teofila z Działyńskich Szoldrska-Po-tulicka, na XVIII-

wiecznym portrecie wskazywała, trzymanym w lewej ręce wachlarzem, modlitewnik. Ojciec chciał zwrócić ich uwagę na ten konkretny przedmiot. To on, Patryk, uważany za niepoprawnego romantyka, obiboka i w pewnym sensie nieuka, wykazał się spostrzegawczością godną wytrawnego detektywa.

Wizytę na zamku odebrał jako zwycięstwo. Dodało mu ono wiary w siebie, otrzeźwiło, poruszyło. Na moście zatrzymał się.

237

Chciał pobiec na piętro do czytelnicy, lecz uzmysłowił sobie, że siedzi tam Omnibus z jakąś kobietą.

„Żeby tylko nie wpadli na trop” - myślał gorączkowo.

Jeśli on potrafił rozszyfrować znaczenie liczby 17141790, to co dopiero mówić o Omnibusie. Postanowił przeczekać w barze obok pawilonu z pamiątkami do chwili, aż chłopak i kobieta opuszczą zamek. Miał nadzieję, że tam długo nie zabawią.

Przeliczył się. Dopiero po upływie godziny pojawili się na moście i szybko oddalili w kierunku miasta. Odczekał dla świętego spokoju chwilę i gdy zniknęli w głębi ulicy, pobiegł do czytelnicy, licząc, że nie spotka swojej „ulubionej” strażniczki. Miał szczęście.

- Musi się pan pospieszyć - poinformowała go bibliotekarka. - Za kwadrans zamykam. Co tym razem mam panu podać?
- W zasadzie interesuje mnie książka do nabożeństwa. Ta z portretu Białej Damy.
- Książka do nabożeństwa? - zdziwiła się kobieta. - Ale co konkretnego chciałby pan wiedzieć?

Wyjaśnił pospiesznie, że na obrazie widać modlitewnik. Na jego zielonej okładce widnieje tajemniczy napis IHS. Według niego te trzy litery mogą zawierać jakąś tajemnicę.

- Nie jest pan zbyt pobożny - uśmiechnęła się bibliotekarka, lecz chętnie udzieliła odpowiedzi. - Otóż na początku II wieku po Chrystusie imię Jezusa, a mianowicie greckie IHCOYC przedstawiano za pomocą symbolicznych znaków. Wyrażano je skrótem IH od dwóch pierwszych liter: joty i ety. Czasem jotę wpisywano w literę H i powstawał w ten sposób znak krzyża. Od *IV* wieku do monogramu Jezusa dodano następną grecką literę z jego imienia: sigmę. Od tej pory posługiwano się monogramami: IH, IHC lub też IC. Skrót IHC wkrótce zlatynizowano do postaci IHS. W tej nowej formie pojawił się on już na monetach w VII-VIII wieku, a monogram IHS umieszcza się do dziś na hostiach przeznaczonych do konsekracji. W średnio-wieczu IHS tłumaczono jako: „Jesus hominum Salvator”, co znaczy „Jezus Zbawiciel człowieka” lub też „In hoc signo”, dodając jeszcze „vinces”, czyli literę „V”...
- I co to znaczyło, proszę pani?

238

- „W tym znaku zwyciężysz”. In hoc signo vinces. Lecz była to błędna interpretacja. Spotyka się też inne tłumaczenia jak chociażby „Jesu habeo socium”, czyli „Jezusa mam za towarzysza” lub „In hac salus”, co znaczy „W tym (krzyżu) zbawienie”. No i co? Pomogłam trochę?

Patryk nie wiedział, co odpowiedzieć. Wykład bibliotekarki nieco namieszał mu w głowie, a poprzednia nadzieja na szybkie zakończenie

śledztwa uleciała bezpowrotnie. Czyżby „IHS” wskazywało mu drogę?

Jezus Zbawiciel człowieka

W tym znaku zwyciężysz

Jezusa mam za towarzysza

W tym (krzyżu) zbawienie

- Interesuje mnie ten monogram na książce do nabożeństwa na portrecie Białej Damy - powiedział wprost. - Jaki ma to związek z Teofilą...
- Nie wiem - wzruszyła ramionami kobieta. - Należałoby zapytać malarza, ale on dawno nie żyje - zaśmiała się. - Musi pan wiedzieć, że dawna właścicielka Kórnika była osobą pobożną. Wiodła spory teologiczne z proboszczem z Bnina. Pewnie nie ma w tym nic szczególnie tajemniczego, że stoi z wachlarzem, a obok znajduje się taboret z modlitewnikiem.

Sięgnęła po reprodukcję portretu zamieszczoną w jakiejś publikacji.

Oglądała ją chwilę z uwagą.

- Moim zdaniem - oświadczyła wreszcie - Teofila przypadkowo wskazuje na modlitewnik. Dziwne, jest pan pierwszą osobą, którą interesuje ten modlitewnik z portretu i która zadaje tak trudne pytanie.
- Czy w zbiorach Biblioteki znajduje się jakiś egzemplarz należący do pani Teofili? - dociekał rozpaczliwie Patryk.

- Raczej nie - odpowiedziała zdecydowanie i po chwili

zmarszczyła czoło. - Chociaż... przebywający obecnie na urlopie jeden z naszych kolegów badał dostępną korespondencję dawnych właścicieli zamku. Publikacja nie jest jeszcze gotowa, lecz pamiętam jej treść, gdyż pomagałam koledze przygo-

tować literaturę. Nie dysponujemy wieloma listami pisanymi przez Teofilę. Najczęściej są to pomocnicze materiały źródłowe. Gdzieś jednak czytałam o Teofili... zdaje się, że do modlitwy używała popularnego modlitewnika francuskiego, rzecz przeznaczoną w jej czasach dla szerszego odbiorcy. Tak zwane *Godzinki*...

- Godzinki?

Patryk pomyślał zaraz o pierwszym haśle z sygnaturami. *Godzinki* wpasowywały się w ten sam ton, jaki pobrzmiwał w wypadku „zegara” i „wskazówek”. Lecz kiedy bibliotekarka wyjaśniła mu tajemnicę *Godzinek*, zajrzawszy do katalogu w swoim komputerze, nie był już tak bardzo pewny słuszności tego tropu.

2606

Mf4885

Heures

Heures a l'usage de Rome tout au long sans rien requeirir, Avec la destruction de Jerusalem et les figures de la vie de Phomme at plusieurs auetres belles figures. Les presentes heures a l'usage de Rome: [...]. ont este imprimees aParis par Gillet Hardouyn [...] et ou les vent au dit lieu [1516 ca] Francja [79] k., sygn.: niesygn. [79], tabl. 21 8°

- To *Godzinki* z oficyny Gilleta Hardouina. Mamy jeden cenny egzemplarz francuski z XVI wieku. Czy należał do Teo fili? Tego nie wiem. Niestety, jest on oprawiony w czerwony aksamit, a na karcie tytułowej umieszczono wyobrażenie mitologiczne. Pan poszukuje oprawionego w zielone płótno mo

dlitewnika z napisem „IHS”. Od biedy modlitewnik z portretu odpowiada wielkością egzemplarzowi z naszych zbiorów; wymiary kórnickich *Heures* są następujące: dwadzieścia dwa na trzynaście centymetrów. Zawiera godzinki do użytku rzymskiego po łacinie, kalendarz i niektóre informacje w języku francuskim. Tekst podzielony jest na Ewangelię i Pasję Chrystusa według św. Jana, Godzinki o św. Krzyżu i inne religijne teksty. Ale dlaczego w ogóle pomyślałam o *Godzinkach*? Otóż,

240

po pierwsze, Teofila, znała francuski i przywoziła z Paryża kufry pełne książek. Jeśli wachlarz na portrecie wskazuje książkę do nabożeństwa, modlitewnik, to od biedy można by uznać, że to *Godzinki*.

Niewykluczone, że ktoś mógł oprawić tę książkę po śmierci właścicielki. A może malarzowi łatwiej było namalować zielony modlitewnik z monogramem „IHS”? To są jednak moje spekulacje. Prawdopodobnie książka do nabożeństwa z portretu jest fikcyjnym rekwizytem.

Patryk zrobił zawiedzioną minę.

- Jeśli chce pan obejrzeć francuskie *Godzinki*, to zapraszam jutro do czytelnicy - bibliotekarka zerknęła wymownie na zegarek. - Dzisiaj muszę już zamykać. Przygotuję panu ten cenny egzemplarz do wglądu. Mnie jutro nie będzie, ale przekażę pańską sprawę na piśmie zmiennikowi.

I zapisała na karteczce sygnaturę: „BK 2606”.

Monsieur Gerard jechał polonezem ubitą drogą wzdłuż domków kempingowych -jasnych, drewnianych klocków z niewielkimi tarasami - i zatrzymał się na samym końcu alejki. Z tyłu zostawili boisko piłkarskie i tętniące wakacyjnym gwarem pole namiotowe. Za szpalerem drzew po lewej stronie błyskała powierzchnia jeziora, za którym rozłożył się Kórnik. Barber wiedział, że gdzieś w pobliżu ośrodka, bardziej na południe znajduje się dom Karskiego; odizolowany od reszty świata, pachnący lasem i wodą.

Detektyw czuł zmęczenie. W zasadzie był całkowicie bezsilny. Kontuzja i pobyt w szpitalu wycieńczyły go, a jednak próbował się zmobilizować. Przygotowywał się do ofensywy, choć nie wiedział jeszcze, kiedy i jak zaatakuje porywacza.

Cudzoziemiec wynajął ostatni z długiego szeregu parterowych domków, dosłownie na skraju lasu, najbliżej jeziora. Miejsce idealne na ucieczkę od cywilizacji, bo chociaż między dom-

241

kami pojawiały się sylwetki znudzonych turystów, to nikt z nich nie okazywał zainteresowania nowo przybyłymi gośćmi.

Polonez zatrzymał się i Monsieur Gerard głową dał Barbe-rowi znak do opuszczenia auta. Słowa były zbędne. W ręce trzymał pistolet.

Ciasne wnętrze było skromnie urządzone - na środku stała ciemna ława z dwoma fotelami, za nią kanapa, a w przeciwległą ścianę wmontowano nawet kominek. We wnęce przy wąskich drzwiach wejściowych ustawiono telewizor. Widok z okna rozpościerał się na alejkę, a dalej na chowający się za jeziorem, pogrążony w letnim letargu Kórnik. „To tutaj ten szczywany lis zorganizował sobie metę. To tutaj chce się schować przed

policją" - pomyślał detektyw.

Co chciał osiągnąć Monsieur Gerard, zabierając go w to miejsce?

Francuz popchnął go na wersalkę i zaczął związywać taśmą samoprzylepną. Wyjął z kieszeni Barbera spray z nitrogliceryną i położył go na blacie ławy.

Nagle detektyw uświadomił sobie, że w drugiej kieszeni ma scyzoryk ofiarowany mu w szpitalu przez Omnibusa. Jego ostrze z pewnością przecięłoby szarą taśmę krępującą nadgarstki i stopy, lecz najpierw musiał wyjąć nóż. Jak to zrobić? Na szczęście cudzoziemiec związał ręce Barbera z przodu, żeby ten w razie czego mógł skorzystać ze sprayu. Tak więc była jakaś szansa. Należało uzbroić się w cierpliwość i czekać.

- Wody - jęknął.

Francuz domyślił się, o co prosi Barber, i w kuchennej części domku znalazł butelkę wody mineralnej. Otworzył ją i podał swojemu więźniowi. Ten chwycił ją niezdarnie oburącz i pił łapczywie. „Następnym razem poproszę go o kufel zimnego piwa" - pomyślał.

Monsieur Gerard przestał się nim interesować i wybrał jakiś numer w komórce. Barber widział jego skupienie, gdy rozmawiał z kimś w swej ojczystej mowie. Wydawało mu się, że mówią o Wrześni, mieście, w którym mieszkali Izabela Marczenko i Omnibus. Lecz cudzoziemiec strasznie kaleczył polską nazwę.

242

W zasadzie ten człowiek miał dość przyjemną aparycję, przypominał bogatego dżentelmena, mógł też uchodzić za „dobrego wujka", lecz gdy się dobrze wpatrzeć w jego oczy, można w nich było dostrzec coś niepokojącego. Jakieś niezdefiniowane zło czaiło się w jego spojrzeniu.

Rozmawiał dłuższą chwilę, stojąc przy oszklonych drzwiach, i co pewien czas zerkał na leżącego na wersalce Barbera. W pewnej chwili podszedł do detektywa i podał mu komórkę, którą ten chwycił w taki sam sposób jak wcześniej butelkę.

- *Barber?* - usłyszał znajomy głos należący do mężczyzny, z którym nie tak dawno rozmawiał. Zdaje się, że był to tylko tłumacz cudzoziemca.

- *Jest pan tam ?*

- *A gdzie mam być?* - mruknął.

- *Niech pan posłucha. Włos panu z głowy nie spadnie, lecz musi pan z nami współpracować. Odzyskamy skarb Karskiego i już nas nie ma.*

- *To życzę powodzenia. Ale w czym ja mogę pomóc?*

- *Pan skontaktuje się z tym młodym mądralą, który tak ochoczo panu pomagał. On za pana znajdzie skarb, a pan będzie gwarantem, że nikt o tym się nie dowie. Proszę skontaktować nas z tym gówniarzem. Na pewno ma jakąś komórkę.*

- *Tak się składa, że nie ma. Jak Bożę kocham.*

- *A jego matka? Ta nauczycielka?*

- *Też nie ma.*

- *Cholera!* - zaklął nieznajomy. - *Niech pan da mojego*

przyjaciela...

Detektyw oczami dał znak Monsieur Gerardowi, żeby odebrał od niego aparat. Francuz słuchał w skupieniu relacji tłumacza. Kiwał głową i zaznaczył coś na wyjętej z torby mapie. Gdy skończył, podszedł do więźnia i zakleił mu usta taśmą. Potem na wszelki wypadek obwiązał go jak wieprza i popchnął na wersalkę.

Barber wystraszył się, lecz nic nie mógł zrobić. Ten facet wydał na

niego wyrok śmierci. Jeśli tylko pojawią się bóle i duszności, to nie doczeka jutrzejszego dzionka, a nawet dzisiejszego zachodu słońca.

Monsieur Gerard wyjął z torby przedziwne rekwizyty -

243

perukę, tusz i wąsy. Najpierw zdjął marynarkę. Potem włożył na głowę „skalp”, dokleił wąsy i uważnie przejrzał się w lustrze. Barber musiał przyznać, że facet był niezły w te klocki. „Prawdziwy mistrz charakteryzacji” - pomyślał z uznaniem graniczącym z przerażeniem. Mistyfikator z Francji zaś mruzczał coś pod nosem i ani razu nie zaszczycił detektywa spojrzeniem. Wreszcie, zadowolony nałożył marynarkę i tak odmieniony opuścił domek.

Barber nie słyszał warkotu silnika poloneza, co jednoznacznie wskazywało, że cudzoziemiec oddalił się na piechotę. Dokąd? „Nie może skontaktować się telefonicznie z Omnibusem - myślał - więc pewnie poszedł na rekonesans po Kórniku. Miota się, bo został sam i dodatkowo szuka go policja”. Barber był jednak przekonany, że ten człowiek zna miejsce ich noclegu nad restauracją „Pod Żłotym Kurem”. A tam z pewnością zatrzymała się Iza z synem.

Taksówkarz stanowczo odmówił jazdy przez las.

- Dalej nie jadę, droga pani - kręcił niezadowolony głową.

Stanęli kilkanaście metrów przed skrzyżowaniem szosy z leśnym duktem, który odbijał na północ w samo serce lasu czołowskiego. Joanna musiała wybierać: albo zapłaci taksówkarzowi za kurs i dalej pójdzie pieszo, albo wróci taksówką do Kórnika.

- Nie poczekałby pan na mnie kwadransik? - zapytała.

• A co tu jest w ogóle grane? - zapytał z rozbrajającą szczerością.

• Prawdę mówiąc, sama nie wiem.

- Wydawało mi się, że śledzi pani męża. Czemu więc jedziemy za kobietą z chłopakiem? Kim oni są?

- To przyjaciółka mojego ojca - odpowiedziała, szukając w kieszeni pięćdziesięciozłotowego banknotu.

Dołożyła go do poprzedniego.

- Dwieście pięćdziesiąt - powiedziała, wręczając mu bank noty.

244

• Dwadzieścia minut - westchnął i schował pieniądze do kieszonki koszuli. - Ani minuty dłużej.

• Pół godziny - posłała mu czarujący uśmiech.

• Zgoda.

Wysiadła z taksówki i dała nura w las. Początkowo szła ubitą, leśną drogą pnącą się pod górkę. Gdy tylko ujrzała chłopaka i jego matkę, natychmiast uskoczyła w bok. Po dłuższej chwili skradania się dotarła do miejsca, w którym kończyła się droga i roztaczał widok na niewielki pagórek porosły trawą. Wśród chwastów sterczały kawałki muru.

Joanna ukryła się na skraju podmokłego zagajnika i zza krzaków obserwowała poczynania Omnibusa i nauczycielki. Z ich rozmowy zrozumiała, że przybyli tutaj specjalnie po to, by zobaczyć ruiny; podobno stała tu kiedyś jakaś budowla Gór-ków. Po kilkunastu minutach zmęczeni łożeniem po resztkach budowli usiedli pod fragmentem zachowanego

muru i odpoczywali.

Wtedy właśnie Joanna nadepnęła na leżącą na ściółce gałązkę. Jej pęknięcie zabrzmiało w tej leśnej głuszy niczym uderzenie dzwonu. Karska natychmiast przykucnęła, chowając się za pień olchy i odczekała, aż matka i syn się uspokoją. Siedziała w wilgotnym zagajniku jak zbłąkana owca, cięły ją komary, a oni siedzieli tam pod murem i o czymś gadali.

Nagle ściszyli głos. Joanna ostrożnie wstała i obserwowała zza drzewa, jak podekscytowany chłopak pokazuje matce jakiś punkt na mapie. Wcześniej rozmawiali o skarbie, teraz o jakiejś linii łączącej ruiny z zamkiem w Kórniku.

Nie zastanawiali się długo. Poderwali się i ruszyli żwawo ku ścieżce, która ich tutaj zaprowadziła. Wracali do Kórnika.

Piękna modelka odczekała chwilę i z ulgą ruszyła za nimi przez zagajnik. Szła w miarę szybko, nie dbając o ostrożność. Zresztą tamtych dwoje nie mogło jej słyszeć - byli daleko przed nią. Kiedy przedzierała się bohatercko przez olszyny, pomiędzy którymi rosły gęste krzaki, usłyszała z boku trzask pękającej gałązki. Za drzewami poruszało się coś dużego i żywego, aż wreszcie zrozumiała, że jest to człowiek. Nieznajomy. Szedł prosto na nią.

245

Błyskawicznie oceniła jego wygląd - średni wzrost, krępa budowa ciała i osadzony na chudej szyi, ostrzyżony na krótko łeb. Miał kaprawe oczka i żwawe ruchy. Ubrany był w spodnie od dresu i kusy sweterek domagający się wizyty w pralni.

Nie czekała dłużej. Uciekła w kierunku ruin.

- Psze pani! - wołał za nią nieznajomy. - Nie ma co się bać.

Hej, pszę pani!

Nie posłuchała go. Gnała przed siebie jak szalona, wpadając w mniejsze i większe dołki, ocierając się o pnie drzew i zahaczając o gałęzie. Rozerwała sobie bluzkę i rozcięła skórę na przedramieniu, ale nie zatrzymała się ani na moment. Słyszała za sobą odgłos jego kroków i pękające seriami gałązki, a to znaczyło, że tak łatwo nie pozbędzie się intruza. „Mon Dieu, kto to jest?” - pomyślała przerażona.

Przyspieszyła.

- Hej, ty! - doganiał ją jego bełkotliwy głos. - Nic ci nie zrobię... jestem grzybiarzem!

Mimo tych zapewnień, nie zwolniła. Pomyślała, że jeśli nie ma złych zamiarów, to dlaczego ją goni?

Biegła szybko - w zawodzie modelki liczy się nie tylko aparycja, ale i sprawność fizyczna. Chodziła regularnie na siłownię, basen i czasami biegała. I teraz właśnie ta sprawność mogła ją uratować. Zwiększyła dystans od goniącego ją typka w dresie. Został w tyle i klął siarczyście, bo okazało się, że na nogach ma sandały.

Nagle Joanna musiała się zatrzymać, gdyż teren zrobił się podmokły. Nogi grzęzły prawie po kostki w błotnistej mazi, gdzieś przyprószonej mchem lub kępami trawy, wokół pojawiło się jakby więcej olszyn. I jeszcze komary zaczęły ciąć nachalnie.

Odbiła w lewo i biegła truchtem na północ. Kiedy nieznajomy znowu zaczął ją wołać, oceniła na ucho, że jest coraz bliżej. Znowu zaczęła biec, omijając podmokłe dywany mchu, aż wreszcie podłoże znowu przypominało leśną ściółkę. Ostatkiem sił przyspieszyła. Nagle ziemia

ustąpiła pod jej stopami. Joanna wpadła w porośniętą paprociami jamę, wydając z siebie zduszony krzyk.

246

Leżała w wilgotnym i chłodnym dole, zaciskając szczęki z bólu wywołanego skręceniem nogi w kostce. Jeszcze tego brakowało! Zaszlochała cicho nad swoim losem, lecz wkrótce musiała wstrzymać oddech i pokonać ból i strach. Nieznajomy był w pobliżu, wołał ją, a ona siedziała jak mysz pod miotłą. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy jego głos zaczął cichnąć w oddali; po chwili jednak powrócił.

- Wychodź! - wołanie niosło się echem. - Gdzie jesteś?! Wyłaź, bo pożałujesz! Ej, ty, ślicznotko!

A ona leżała w tym wilgotnym dole i tłumiała ból. Czekwała. Jak na złość natręt wcale nie odchodził zbyt daleko - krążył w okolicy i co pewien czas rzucał wątpliwej klasy epitety pod jej adresem.

Dopiero po godzinie w lesie znowu zapanowała cisza. Na wszelki wypadek Joanna nie opuszczała dołu. Brudna i podrapana siedziała w kucki na chłodnej ziemi i było jej już wszystko jedno. Po kolejnym kwadransie wyjrzała z dołu i uważnie zlustrowała wzrokiem najbliższą okolicę. Widziała pnie sosen, dalej, na lewo chowającą się za nimi szarozieloną masę olchowego zagajnika. Nikogo w pobliżu.

Zaraz jednak gdzieś w oddali leśną ciszę przerwał gwizd. Jeden..., drugi. Potem - trzeci. Zrozumiała, że nieznajomy w dresie był tu cały czas, że tak szybko mu nie ucieknie. Tylko dlaczego gwizdał? Czyżby nie był sam? Te podejrzenia z powrotem przygnały paraliżujący strach.

„Jak tu uciec?” - zastanawiała się. Nie miała zbyt dużego pola manewru. Marsz w kierunku północnym i wschodnim stanowił spore

ryzyko, gdyż teren był tu nieprzyjazny. Mogła wprawdzie obejść wielkim łukiem ruiny i znaleźć się z powrotem na szosie do Rogalina, lecz przecież nadwyrężyła stopę. Taksówkarz pewnie też już na nią nie czekał. Minęły dwie godziny, odkąd opuściła samochód.

Nie mogła nawet zadzwonić z komórki na policję albo gdziekolwiek po pomoc, gdyż podczas ucieczki zgubiła telefon.

Postanowiła zaczekać jeszcze godzinę. Chyba nie oddaliła się zbyt daleko od szosy. Czekwała zatem i miała nadzieję, że wcześniej czy później osobnik w dresie odejdzie. Przyszło jej

247

tak siedzieć aż do zmierzchu. Co pewien czas bowiem słyszała jakieś kroki i łamanie gałęzi. „Może to zwierzę, a może facet w dresie”. Nie ryzykowała i nie opuściła dołu.

W domu nad jeziorem wyrwano klepki nie tylko w salonie, ale i w pozostałych pokojach - to robota Barbera i Pierre'a. Obaj byli przekonani, że Karski ukrył cenny przedmiot pod podłogą. Tak samo myślała Barbara, lecz z początku szkoda jej było podłogi, a teraz nie widziała już sensu w szukaniu tam skarbu, skoro zrobili to inni. Nikt nie przypuszczał, że zadana im przez ojca zagadka okaże się tak skomplikowana. Już od ponad pół godziny przeszukiwały wytrwale domek, lecz dopiero w ogrodzie Barbara zwróciła uwagę na pewien istotny szczegół. Stanęła obok magnolii, nad którą dominował dorodny bez.

- Nigdy -wcześniej nie widziałam tutaj tej magnolii - oświadczyła Klaudynie, marszcząc czoło.
- I co z tego? - dziewczyna wzruszyła ramionami, zmęczona upałem. -

Skąd możesz wiedzieć, co tutaj rosło, skoro nigdy nie odwiedzałaś dziadka.

- Niezupełnie. Kiedyś go odwiedziłam. Naprawdę. Nie mówiłam ci o tym, bo w końcu to mało istotne. To było w dziesiątą rocznicę śmierci mojej mamy, a twojej babci Ludmiły. Tak, tak! Przyjechałam tutaj, tylko że ojca nie zastałam. Czekałam na niego pod domem... zasnęłam na tarasie. Pamiętam to jak dziś.

- Kiedy to było konkretnie?
 - W 1996 roku. Potem wpadłam do niego jeszcze raz dwa lata później. Już wtedy nie był z tą swoją kochanicą. Ten duży bez rósł w tym samym miejscu, co teraz, ale magnolii nie było. A to znaczy, że ojciec posadził ją później, a więc drzewko ma nie więcej niż cztery lata.
- Pamiętasz takie szczegóły? - powątpiewała dziewczyna.
- Zauważyłabym ją. Jest taka wyjątkowa.
- Taka sama, jak ta w arboretum, prawda?
 - No właśnie! Jakby została przesadzona. Tylko że z ojca był żaden ogrodnik.
- To dlaczego ją zasadził? - zastanawiała się Klaudyna.

248

- Boże - szepnęła Barbara i popatrzyła na córkę wzrokiem odkrywcy. -
Czy myślisz o tym samym, co ja?

W domu bibliofila spędziły jeszcze ponad kwadrans. Pech chciał, że znalazły jedną jedyną łopatę. Złamaną. Nie miały zatem czym wykopać dołu.

Potwornie zmęczone wróciły do pensjonatu przy alejce prowadzącej nad brzeg jeziora. Nie zajrzały do jadłodajni na dole, gdyż straciły apetyt najedzenie. Nie interesowały ich prysznic i łóżko. Jedyne, o czym marzyły, to szybki powrót do domu nad jeziorem, z porządnym szpadlem.

Zmęczeni długim spacerem w popołudniowym słońcu Omnibus i jego matka zjawili się na posesji Karskiego w chwili, gdy Barbara i Klaudyna stały przy magnolii.

Obserwowali je z ukrycia, schowani w lesie.

- Szukają po omacku - szepnęła Iza. - Błądzą.
- Co one robią przy tym bzie? - zastanawiał się Omnibus.
- Nie wiem, ale wydaje mi się, że nie mają żadnego pomysłu, jak zabrać się za rozwiązanie zagadki. Nie to, co my z naszymi pomocami naukowymi.

Opuścili kryjówkę dopiero wtedy, gdy podekscytowane Karskie wyszły z ogrodu i udały się z powrotem do Kórnika.

- Nie wydały ci się czymś poruszone? - Iza zagadnęła syna.

- Jakby trochę.

Ostrożnie podeszli pod dom.

- Pamiętaj, że wchodzimy tutaj nielegalnie - ostrzegła chłopa matka. - To teren gminy.

Wokół trwał spokój, liści drzew nie poruszał nawet najlżejszy powiew, a umęczone upałem ptaki drzemały na gałęziach drzew i tylko od strony pola namiotowego dochodziły dziecięce okrzyki radości. Szybka inspekcja willi przekonała ich, że rywale nie próżnowali, choć ich działania można było przyrównać do przysłowiowego walenia głową w mur. Cóż z tego,

skoro oni sami wciąż nie wiedzieli, gdzie został ukryty skarb.

Praktycznie nic się tu nie zmieniło od ostatniej wizyty Mar-

249

ka. Tyle że wtedy niemiłosiernie lało, a teraz był niemiłosierny upał - to jednak wydało mu się całkiem inne. To tutaj tak naprawdę zaczęła się przygoda jego życia. Kiedy odwiedził po raz pierwszy dom ojca, nie miał najmniejszego pojęcia, co go czeka. Pamiętał ten ranek, kiedy poznał Juliusza Barbera i go oszukał, nie przyznając się kim jest i co tu robi. Udawał przed starym wyjadaczem wakacyjnego uciekiniera. Czy zatem Barber ze swoją nieco pokrętną logiką nie był bardziej uczciwy od niego? Od nich wszystkich razem wziętych! Tych, których testament Karskiego omamił iluzją bogactwa! Barberowa chęć zarabiania pieniędzy była po stokroć bardziej niewinna od ich pospolitej chciwości. Barber, jeśli działał pokrętnie, to w drobnych sprawach. Jakoś smutno mu się zrobiło na wspomnienie detektywa. A może odezwały się wyrzuty sumienia? Cóż, on, Omnibus, szuka sobie skarbu, a Barber leży w szpitalu ze wstrząsem mózgu.

Patrzył na willę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Mamo... - zaczął nieśmiało.

Iza zerknęła na syna. Chłopak był ciekaw, czy w tym domu zaczęła się jego własna historia? Matka jakoś niechętnie mówiła o Emanuelu. On sam znał Karskiego jako dziadka. Wychowywała go matka, która zachęcała go do nauki. - Będziesz intelektualistą - powtarzała czasami. Dlatego właśnie Omnibus od najmłodszych lat dużo czytał i uczył się.

- O co chciałeś zapytać, Mareczku?
- Nie nic - machnął ręką i odwrócił się do niej plecami.

Zwrócił się twarzą w stronę jeziora i wydawał się nieobecny duchem. Iza, stojąc przed tarasem, oglądała dom, w którym kiedyś toczyła intelektualne pogaduszki z Emanuelem. Widziała rozbitą szybę w drzwiach tarasowych, zniszczoną elewację oraz spaloną od słońca i wypłukaną przez deszcz dachówkę. Studnia po drugiej stronie tarasu także sprawiała smutne wrażenie - niszczała. To nie był ten sam dom, co kiedyś. Ona także się zmieniła. Wtedy wszystko wydawało się takie proste i romantyczne. Życie dopisało dalszy ciąg scenariusza - urodził się Mareczek, ojciec dziecka zmarł, a ona dorabiała w warzywniaku do mizernej pensji nauczycielki. Gdy-

250

by pierwsza odgadła hasło i zdobyła cenny „depozyt” Emanuela, z pewnością ich los by się odmienił.

Matka odwróciła się i podeszła do syna stojącego przed metrowej wysokości magnolią, rosnącą za południowym rogiem domu, obok wysokiego krzaku bzu, w miejscu, w którym debatowały Karskie. „Może interesowały się nie bzem, a magnolią?” - pomyślał chłopak, przyglądając się badawczo pięknemu drzewku o szerokiej, kulistej koronie i dużych jasnozielonych liściach. Podobny okaz rósł w kórnickim arboretum, choć tamten był stary i dorodny. Ten tutaj, posadzono stosunkowo niedawno - zaledwie kilka lat temu.

- *Magnolia soulangeana* - wyszeptał chłopak. - Po polsku: magnolia pośrednia. Mieszaniec chińskich magnolii.

Pani Iza stanęła obok syna i patrzyła na krzew.

• Cudowny, prawda? - powiedziała, dotykając palcami zielonych, eliptycznych liści osadzonych na cienkich gałązkach. - Szkoda, że nie

mamy wiosny i nie widzimy jak pięknie kwitnie. Ma różowobiałe płatki. Magnolia symbolizuje piękno i łagodność, ale także siłę, czystość i uduchowienie.

- Łagodność i siła chyba się wykluczają.
- Niekoniecznie. Możesz być silny, lecz nie brutalny. Silny, a przy tym piękny. Mądry i uduchowiony. I wiesz co, Marecz-ku? Emanuel był na swój sposób człowiekiem silnym, szorstkim, a jednocześnie nie skrzywdziłby muchy. U niego mądrość zawsze szła w parze z duchem, logika z refleksją...

Omnibus stracił zainteresowanie magnolią. Wyciągnięta ku koronie krzewu ręka matki znowu podpowiadała rozwiązanie zagadki. Tak jest! Chodziło o portret Białej Damy, o jej rękę wskazującą modlitewnik!

Chłopak podzielił się z matką swoimi podejrzeniami, które zrodziły się w jego głowie już w czytelni i w ruinach. Iza odeszła od magnolii i stanęła nad synem, który ślęczał nad rozłożonymi na trawie kopiami dokumentów. Popatrzyła na portret Białej Damy. Kobieta na portrecie wskazywała wachlarzem modlitewnik.

Omnibus zerknął na mapę z 1801 roku. Po chwili wstał i spojrzał na jezioro w stronę chowającego się za drzewami

251

nierównego brzegu i zamku kórnickiego. Potem popatrzył w przeciwnym kierunku, jakby pragnął przeświecić las i dojrzeć ruiny, które niedawno zwiedzali.

Popukał palcem w mapę, w miejsce, w którym powinien znajdować się dom.

- To miejsce jest szczególne - wyszeptał poruszony. - Jesteśmy w

połowie odcinka łączącego zamek w Kórniku z legendarnymi ruinami. Trafiliśmy tu, badając trop związany ze skarbem Górków i Białą Damą. Pośrednio, rzecz jasna. Ale czy nie za dużo mamy zbiegów okoliczności? Nawet pani Barbara z Klaudyną tutaj przyszły.

- Sądziś, że Emanuel nieprzypadkowo wybrał to miejsce na dom?
- Nie wiem.
- To co robimy, Mareczku? - zapytała go zniecierpliwiona matka.

Nie odczuwała już strachu. Zmęczona i poobijana dotarła tuż przed zachodem słońca na kemping. Nad brzegiem jeziora, na terenie pola namiotowego płonęły dwa ogniska i zajadle brzdąkała gitara. Chóralny śpiew wybuchał w refrenie popularnej piosenki turystycznej, potem znowu do głosu dochodził solista i w lirycznej tonacji przekonywał o potrzebie miłości.

Zmierzch zawisł nad jeziorem. Kórnik rozjaśniły światła ulicznych lamp i okien. Z daleka wyróżniała się wspaniale oświetlona fasada zamka. Upał zelżał, choć odczuwało się jeszcze moc zachodzącego słońca.

Minęła pośpiesznie kilka tętniących życiem domków i nagle ujrzała poloneza stojącego na samym końcu alejki. Zatrzymała się, nie wiedząc, czy powinna dalej iść. Zauważyła jednak, że w oknach ostatniego domku nie pali się światło. Samochód wskazywał, że Barber i ten, kto go wywiózł ze szpitala, zatrzymali się tutaj, lecz opuścili domek. Może wyszli do miasta? Istniała jeszcze jedna możliwość, że położyli się wcześniej spać.

Podeszła bliżej i stanęła na ganku. Przez chwilę nasłuchiwała, przytknąwszy ucho do szyby drzwi tarasowych. Cisza.

Już miała odejść, gdy wewnątrz domku posłyszała jakiś jęk i stuknięcie. Znieruchomiała na trzeszczącym ganku. Jęk się powtórzył i Joanna zrozumiała, że za ścianą ktoś jest. Kto mógł tak jęczeć, jeśli nie Barber? Miał oddech zawałowca i czasami go zatykało.

Odważyła się i zapukała. Z początku zrobiła to cicho, potem wystukała palcem głośniejszy rytm.

Jednakże zamiast oczekiwanego „proszę”, nasiliły się poprzednie jęki. Usłyszała także głuchy odgłos przypominający klapnięcie. Wreszcie coś dużego spadło na podłogę, bo domek aż się zatrzęsł.

- Panie Barber -jej teatralny szept przenikał przez szybę.

- Jest tam pan?

W odpowiedzi usłyszała jęk, a po nim głośniejszy zduszony charkot.

Zatrzeszczała podłoga i przesunęły się meble. A kiedy domek zaczął się trząść jakby stąpał w jego wnętrzu wielkolud, przerażona zeskoczyła z ganku i skryła się za balustradą.

Niezbyt solidne drzwi wyłamane z zawiasów upadły z hukiem na ganek. Ujrzała ślaniającego się na nogach Barbera. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Nie patrzył na nią. Jego uwagę pochłoniął spray, który wkładał sobie do ust i dozował lekarstwo. Już po chwili uspokoił się, próbując ogarnąć wzrokiem przyległy teren.

Joanna wyszła mu naprzeciw.

- Co tu się dzieje? - zapytała bez ogródek.

Ujrzała jego umęczoną i spoconą twarz, fragmenty zwisającej z marynarki taśmy klejącej i zamglone oczy.

- Pani Joanna? - wydobył z siebie ledwo słyszalny głos i osłabiony oparł się o balustradę. - Musimy stąd zwiewać.

Natychmiast.

Wieczór przyniósł wybawienie od upału. Nie zwolniło się jednak tempo pracy matki i syna. W przeciwieństwie do Patryka (który upojony dotychczasowym sukcesem poszukiwań, legł na łóżku w nowo wynajętym pokoju i czekał na jutrzejszą

253

wizytę w czytelni, aby obejrzeć modlitewnik francuski z XVI wieku) zajęli się Teofilą z Działyńskich Szołdrską-Potulicką. Nawet przez chwilę, podobnie jak Barbara i Klaudyna, nie pomyśleli o jedzeniu, ani o wylegiwaniu się. W dusznej kafejce internetowej buszowali po stronach Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej, szukając właściwego tropu.

Według Omnibusa Biała Dama była kluczem do sukcesu, a właściwie chodziło o modlitewnik z portretu - niewielką książeczkę w zielonej oprawie z monogramem IHS. Dwie godziny zajęło mu ustalenie, że jedyny znajdujący się w zbiorach Biblioteki Kórnickiej egzemplarz francuskiego modlitewnika, pasujący wielkością do tego na obrazie, był oprawiony w czerwony aksamit. To *Godzinki* z oficyny Gilleta Hardouina opatrzone sygnaturą BK 2606. W artykule zatytułowanym „Dekoracje drukowanych modlitewników z pierwszej poł. XVI w. w zbiorach kórnickich” i zamieszczonym w zeszycie dwudziestym trzecim „Pamiętników...”, ani słowem nie wspomina się o żadnym innym modlitewniku z monogramem IHS. A zatem prysła nadzieja na szybkie rozwiązanie zagadki. Zawiedzeni poszli coś przekąsić.

Los, który nie obdarował ich ostatecznym rozwiązaniem zagadki, czuwał jednak nad ich bezpieczeństwem. Nie zdawali bowiem sobie

sprawy, że nieco dalej na kórnickiej ulicy, idąc w stronę zamku, czekał na nich tajemniczy wąsacz. Zajadali przepyszne naleśniki w pierwszym napotkanym barze, całkowicie nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa.

- Musimy się przespać - oświadczyła pani Iza w trakcie posiłku. - Wstaniemy jutro świeżsi i mądrzejsi. Dzisiaj już nic nie wymyślimy, Mareczku.
- Mówisz tak samo jak pan Juliusz - mruknął. - „Dzisiaj jesteśmy mądrzejsi niż wczoraj, głupszy niż jutro”.
- Po prostu jestem zmęczona. Moim zdaniem, niepotrzebnie zrezygnowaliśmy z poprzedniego tropu. Odkryłeś wielce zdumiewającą rzecz... aż dziwne, że nikt do tej pory na to nie wpadł. To, że dom Emanuela znajduje się w połowie odcinka łączącego zamek z ruinami. To chyba nie przypadek. Wiesz... to w jego stylu... ta zdumiewająca lokalizacja domu. Niesłychane!

254

Chłopak nie odzywał się. Już dawno opuścił go entuzjazm. Czuł natomiast twórcze rozdrażnienie, a to znaczyło, że rozwiązanie zagadki było blisko. I nie wiedział, skąd brało się to przeczucie. Po prostu jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nie może dzisiaj zasnąć.

„A może modlitewnik oprawiono już po śmierci Teofili? -myślał. - Może wcale nie chodzi o konkretny modlitewnik? Kluczem może być na przykład monogram! Biała Dama wskazuje trzy litery: IHS!”

Nie dojadł pysznych naleśników. Grzmotnął dłonią w stół, aż zabrzęczały talerze i sztucce, a spojrzenia pozostałych biesiadników powędrowały w ich stronę.

- Mam! - niemalże krzyknął, a następnie ściszył głos. -

Chyba znalazłem rozwiązanie.

Nie dokończyli posiłku. Wyszli na ulicę i czym prędzej udali się do kawiarenki internetowej. Z baru było tu bliżej niż do hotelu. Usiedli ponownie przy komputerze, wcześniej przywitani uśmiechem przez sympatycznego właściciela.

- O, widzę, że nie możecie państwo żyć bez Internetu -żartował.
- My tylko na chwilę - bąknęła pani Iza.
- Rozumiem... rozumiem. Dla nas, internautów, chwila jest pojęciem względnym. Znam jednego zapaleńca, który trzy miesiące temu otworzył peceta i wciąż mu się wydaje, że minęły trzy minuty.

Nie słuchali go. Omnibus szybko wyjął z plecaka płytę GD i włożył ją do komputera; a kiedy właściwy plik załadował się i ukazał pusty prostokąt, wystukał drżącą ręką trzy litery: IHS. Komputer po chwili pokazał komunikat:

Wpisane hasło nie jest poprawne

Nie udało się.

- Dobra - ciężko westchnął Omnibus i zwrócił się do matki. - Masz rację. Idziemy spać. Mam dość na dzisiaj.

Podziękowali właścicielowi kafejki i wyszli na ulicę. W minorowych nastrojach udali się spacerkiem do hotelu, znowu

255

nieświadomi, że tajemniczy wążacz przestał ich obserwować i na swoje ofiary wybrał kogoś innego.

Nie mogli zasnąć, lecz nie rozmawiali ze sobą. Omnibus jeszcze długo leżał na łóżku z otwartymi oczami. Myślał o modlitewniku, czując narastające z każdą minutą znużenie. Wreszcie dopadło go zmęczenie. Matka już usnęła, a on zasypiając słyszał przeraźliwy pisk jakiejś kobiety dochodzący z drugiego brzegu jeziora, potem znowu podniesione ludzkie głosy zakłócały spokój okolicy. „Jakaś zadyma na polu namiotowym - pomyślał. -A może to już sen?" Poderwał się dopiero, gdy nocną ciszę zmaćcił wystrzał z pistoletu. Po nim wyła jeszcze przez dobrą minutę policyjna syrena.

Nie, to nie był sen. Strzał zbudził nawet Patryka w oddalonym o niecały kilometr domu. Młody Karski już od ponad godziny spał w wynajętym na jedną noc pokoju. Przebudził się dosłownie na chwilę. Słyszał tę samą policyjną syrenę, lecz ziewnął głośno i przekręcił się na drugi bok.

Żadne z nich nie miało pojęcia, co dzieje się na drugim brzegu jeziora.

Poprosiły właścicielkę pensjonatu o szpadeł. Niestety, musiały poczekać na powrót jej męża z pobliskiego ośrodka zdrowia. Szpadeł, owszem, był, ale nieobsadzony, a kopać łopatą nie zamierzały. Nie chciały jednak czekać, tym bardziej, że ich prośba wzbudziła żywe zainteresowanie kobiety.

- A po co paniom szpadeł? - dociekała właścicielka pensjonatu. -
Wieczór się zbliża...

- Jak to po co? - wzruszyła ramionami Barbara.

Z trudem hamowała wściekłość i zastanawiała się nad rozsądnym wyjaśnieniem.

- Idziemy na robaki! - palnęła.

- Na ryby znaczy się.

- Jak będę miała robaki, to się zastanowimy nad rybami.

Pociągnęła Klaudynę do siebie.

- Jeszcze tylko ciekawskich mi tu brakuje - szepnęła jej do ucha. - Chodź, znajdziemy jakiś sklep żelazny.

256

Miały pecha, gdyż jedyny pawilon handlowy właśnie zamknięto.

- I co tu robić? - warczała Barbara. - Skąd wziąć głupi szpadel? W każdym filmie przygodowym bohater ma pod ręką jakiś zakichany szpadel. A jak nie wziął ze sobą, to wszędzie na drzewach rosną saperki.

- Saperki? - zdziwiła się Klaudyna. - Mamo! Już przestań wymyślać. Nie lubię tego twojego zrzędzenia. Lepiej zadzwoń po tatę. Niech przyjedzie z Poznania.

- Z saperką?

- Nie, ze szpadlem.

- Wszystko jedno, tak mi się powiedziało! To jest myśl! Brawo!

Zadowolona Barbara odeszła kilka kroków w bok i gdy tylko znalazła zasięg, wystukała szybko domowy numer. Czekwała dosłownie chwilę, a potem rozmawiała z mężem, nie kryjąc swojego rozdrażnienia. Wreszcie wyłączyła komórkę i zła podeszła do córki.

- Tatuś nie przyjedzie - ironizowała. - Wypił dwa naparstki nalewki żołądkowej i nie siądzie za kółkiem. Poza tym nie ma szpadla.

- Jak to nie ma?

- Nie ma i już. Nawet głupiej saperki!

- Niech pożyczycy od sąsiada.
- Sąsiad nie pożyczycy, bo ogląda teraz serial argentyński w telewizji. A na drzewach przecież nie rosną.
- Jezu - jęknęła zawiedziona dziewczyna. - Z ojcem to zawsze są problemy. Od kiedy to pije nalewkę? Jak go znam, pewnie siedzi w Internecie.
- Guzik prawda! Raczej byczy się w salonie na kanapie. To jego ulubiona rozrywka, którą on nazywa medytacją.
- A tam, na drugim brzegu jeziora, czeka na nas skarb. Jeszcze ktoś nam go wykopie.
- Jazda!

Chcąc nie chcąc, musiały wrócić do pensjonatu i ponowić prośbę o szpadeł. Ruszyły dziarsko ulicą skąpaną w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Pośpiech i zniecierpliwienie

257

Barbary i Klaudyny spowodowały, że nie zauważyły mężczyzny z przesadnie dużymi wąsami. Stał bokiem do nich i palił papierosa. Gdyby spojrzały mu wtedy w twarz, ujrzałyby w jego oczach czające się zło. On jednak sprawiał wrażenie jakby obserwował restaurację „Pod Złotym Kurem” położoną dwieście metrów dalej. Nie czekał na nie.

Ulica w tej części miasteczka opustoszała. W knajpie dalej rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy, a spacerowicze łązili po drugiej stronie traktu, tam gdzie było więcej sklepów. Były tak podekscytowane swoją misją, że nie zwróciły uwagi na idącego za nimi osobnika - wyraźnie zaintrygowanego ich zachowaniem. Pewnie machnąłby na nie

ręką, gdyby nie to ich poruszenie. W końcu były rywalkami w poszukiwaniach skarbu Karskiego.

Przez kolejny kwadrans mąż właścicielki pensjonatu obsadzał trzonek. A był z niego niezgorszy safandula.

- Znam dobre miejsce na rybki - powiedział im w zaufaniu.
- Jakie rybki? - zdziwiła się Karska.
 - Jak to? Żona mówiła, że panie wybierają się na ryby. Bo inaczej po co wam robaki? Męża chyba nie chce pani zakopać, co? Ha, ha!
- Mężczyzna ryknął śmiechem.
- Męża? Nie. Musiałabym go wpierw zamordować - odpowiedziała z przekąsem. - Poza tym, jeśli już, to raczej bym go utopiła. Takie tu duże jezioro. Ale przy córce chyba nie wypada robić takich rzeczy, prawda? No to dziękujemy panu za szpadel. Zwrócimy jak najszybciej.
- A gdzie wędka? - dopytywał się mężczyzna.
- Wędka?
- Mogę pożyczyć teleskopówkę.
 - Wie pan co? - podeszła do niego. - Z teleskopów to my zrezygnujemy.
- Ale to wędka. Tyle że teleskopowa.
 - Najpierw nakopimy robaków. Jak nam dobrze pójdzie, to pokaże nam pan teleskopem dobre miejsce do połowu...
- Teleskopem? - rozdziawił ze zdziwienia gębę.
 - Niech pan nam da tę wędkę — wtrąciła się Klaudyna,

szturchając matkę łokciem. - Oczywiście, ma pan rację, bez wędki to

żadna ryba nie weźmie.

- A święta to racja, panienko. Choć przyjeżdżał tu do nas pewien miastowy, intelektualista czy inny tam filozof... i proszę sobie wyobrazić, że łowił ryby bez haczyka.
- Jak to bez haczyka?
- Normalnie. Twierdził, że łowi metafizycznie. Tylko nie wiem, co to za metoda i czy skutkuje. Ale facet był zawsze z niej zadowolony, choć żadnej ryby u niego nigdy nie widziałem. Pewnie zjadał je od razu nad jeziorem.
- Już dobrze, dobrze - sapała zniecierpliwiona Barbara. -Pan wybaczy, ale my już musimy iść wykopać ten skarb... to znaczy te robaki!
- A chcą panie łódkę?
- Nie, dziękujemy.

Pierwsza ruszyła ze szpadlem w rękę Barbara, za nią podążała Klaudyna. Gdy tylko wyszły na główną ulicę, od razu ujrzały wychodzących z pobliskiego baru Omnibusa i Izę. W pierwszej chwili zatrzymały się i nieomal przyłgnęły do frontowej ściany zamkniętego sklepu fotograficznego.

- Co za los - szepnęła Barbara. - Wycofujemy się! Jak oni nas zobaczą ze szpadlem, to koniec. Od razu zorientują się, że idziemy wykopać skarb.
- Weźmy samochód. Kurczę, gdzie oni idą?

-Jak to gdzie? Pewnie do kafejki internetowej. Niech sobie idą, ha, ha.

W dalszym ciągu nie zdawały sobie sprawy, że są obserwowane przez wąsacza palącego gauloise'y, który przystanął teraz za rogiem kamienicy i nie widział wychodzących z baru Marczenków.

Karskie zawróciły, więc mężczyzna natychmiast odwrócił się do nich plecami, oparłszy się o mur kamienicy sąsiadującej ze sklepem fotograficznym. Przeszły szybko obok niego.

Ostatecznie Barbara i Klaudyna nie skorzystały z pojazdu. Samochód jadący wieczorem przez las i parkujący nad jeziorem mógł wzbudzić podejrzenia wśród rywali. Lepiej było wypożyczyć łódkę.

259

*

Z początku kopała Barbara, potem zmieniła ją Klaudyna i już nie oddała matce narzędzia. Kiedy dziewczyna kaleczyła szpadlem ziemię, Karska przyglądała się niewysokiemu drzewku - takiemu samemu, jakie rosło w kórnickim arboretum. Była to ta sama odmiana magnolii, notabene pochodząca ze szkółki we Fremont pod Paryżem (Tytus Działyński otrzymał ją w 1825 roku). Na przełomie kwietnia i maja nie można było przejść obojętnie obok białoróżowych, kielichowatych kwiatów obsypujących te drzewka, ale i teraz, w lipcu, przyciągały uwagę urodą wydłużonych liści. Dziwne. Jej ojciec zasadził w ogrodzie magnolię, a przecież nigdy nie widziała go pielęgnującego rośliny. On w ogóle nie interesował się ogrodem, więc jednak rosnąca obok domu magnolia była wskazówką szczególną.

Szkatułka tkwiła w ziemi na dwa sztychy. Płytko. Najpierw zazgrzytał metal szpadla, jakby natrafił w ziemi na duży kamień i już po chwili Klaudyna zaczęła rękami wybierać ziemię. Czyniła to szybko i bez opamiętania. I wreszcie wyjęła okute solidnie metalem pudełko, jeszcze ubabrane czarnymi grudkami gleby.

- Jezu - wyszeptła.

- Nie wierzę - Barbara uklękła obok córki. - Nie wierzę własnym oczom... szkatułka... skarb ojca... udało się!

Dotknęła drżącymi palcami wilgotnego i zabrudzonego znaleziska. Obie czuły się jak pijane ze szczęścia, więc nic dziwnego, że natychmiast zajrzały do środka.

Błysk promieniujący z uwieczonych w szkatułce szlachetnych minerałów oślepił ich niczym światło lasera. Nigdy w życiu nie widziały na oczy tylu diamentów. Naliczyły ich dziesięć sztuk, z których dwa miały co najmniej sto pięćdziesiąt karatów. To był majątek! Skarb nad skarby! Tylko jeden z nich, najpiękniejszy okaz, nie był diamentem. Był wielkim, błękitnym i oszlifowanym jajkiem. Cudem natury i przyszłym arcydziełem sztuki jubilerskiej! Już za najmniejszy kawałek z tej szkatułki można było zabić człowieka, a co dopiero mówić o tym wielkim błękitnym klejnocie? „Jak Emanuel je zdobył?” - zastanawiały się upojone odkryciem.

260

Ich radość nie trwała długo. Klęczały nad cennym znaleziskiem, gdy nagle z za domu wyskoczyli jacyś ludzie. Drgnęły przestraszone na ich widok i ledwo zdążyły otworzyć usta, aby wezwać pomoc, a już banda miejscowych złodziejasków ich otoczyła. Twarze tych obiboków wyrażały ciekawość i jednocześnie zachwyt.

- Cicho! - wrzasnął na nie jeden z nich

- Bryzol! - wskazał szkatułkę inny. - O kurde, sam zobacz! Chłopak ubrany w czarną skórzaną kurtkę odepchnął

matkę i córkę. Rzucił się na diamenty i zachłannie przyglądał się im z bliska. Nic nie mówił. I tylko jego czarne jak noc oczy rozbłysły blaskiem drogich kamieni. Po nim kolejni kompani obejrżeli sobie świecidełka, nie kryjąc radości. Odkopany z ziemi skarb przerósł ich ambicje i oczekiwania. Zdaje się, że wszyscy wytrzeźwili w ułamku sekundy.

- Co z nimi zrobimy? - zapytał ktoś Bryzola, wskazując na Karskie.
- Zwiążcie je i zamknijcie w domu.

I nagle od strony furtki, za ich plecami zaszurały czyjeś kroki. Wszyscy - zarówno Barbara i Klaudyna, jak i banda Bryzola - odwrócili się w tamtą stronę. Ujrzeni dziwnie wyglądającego wścacza w popielatej marynarce. Szedł z pistoletem w ręce.

- Bonsoir! - mężczyzna posłał im zabójcze spojrzenie.

Karskie natychmiast rozpoznały w nim poszukiwanego przez policję Monsieur Gerarda.

- Spokojnie - zwrócił się po francusku do kobiet i wycelował pistolet w skupioną nad dołem grupkę ludzi. - Nic wam nie zrobię. Pod warunkiem, że będziecie posłuszni.
- Co mamy robić? - zapytała drżącym głosem Barbara.

Dla pewności powtórzyła pytanie, gdyż francuski znała gorzej niż średnio. Nie miała jednak nigdy oporów przed mówieniem w obcym języku podczas zagranicznych wycieczek, kiedy to kaleczyła francuski w równym stopniu co angielski, lecz w obu potrafiła się świetnie dogadać na proste tematy.

- Nie próbujcie uciekać - cudzoziemiec uśmiechnął się chłodno. - Jeśli przyjdą wam do głowy jakieś głupstwa, to

wiedzie, że porwałem waszego dobrego znajomego. Mowa o pani detektywie.

Barbara szybko przetłumaczyła Klaudynie słowa cudzoziemca.

- Porwali pana Juliusza? - wystraszyła się dziewczyna.
- Trzymam go w pewnym miejscu - kontynuował Francuz. - To gwarancja mojego bezpieczeństwa. Ale to już nieistotne, rozwiązaście bowiem dla mnie zagadkę Karskiego.

Patrzył z nie mniejszą zachłannością, jak ludzie Bryzola, na pobłyskujące w małej szkatułce brylanty. Mówił z trudem i widać było, że zdolny jest zrobić wszystko, aby tylko zdobyć ten skarb. To dlatego nikt z bandy Bryzola nie zrobił nawet jednego kroku. Zdawało się, że nawet nie oddychają. Patrzyli tylko z trwogą na uzbrojonego mężczyznę mówiącego po francusku i w milczeniu czekali na jego rozkazy. Bali się go wszyscy.

Barbara i Klaudyna były już raz świadkami strzelaniny w parku podczas obławy na bandę cudzoziemców, wiedziały zatem, że z Monsieur Gerardem nie ma żartów. Nawet Pierre bał się go jak ognia.

Francuz znowu zwrócił się do Barbary.

- Zwiążcie tych łobuzów - wskazał lufą pistoletu na bandę Bryzola. - Vite!

Kiedy wszyscy złodzieje zostali zamknięci w dawnej sypialni, cudzoziemiec związał starannie taśmą Klaudynę i jej matkę, a następnie zamknął je w zniszczonej spizarni.

I opuścił posesję Emanuela Karskiego, zabrawszy ze sobą szkatułkę pełną diamentów.

Na kemping dotarł, gdy słońce schowało się już za budynkami. Niektórzy wczasowicze biesiadowali na tarasach, Monsieur Gerard mijał ich obojętnie. Pod pachą niósł to, po co tutaj przyjechał. Australijskie diamenty! W pewnym momencie przy-

262

stanął, otworzył szkatułkę i kilka sekund podziwiał błyszczące najwspanialszą feerią barw diamenty i ów jeden niezwykły niebieski kamień.

Po chwili ruszył dalej, a jego myśli jak szalone zaczęły krążyć wokół dawnej historii.

Karskiego poznał w drodze powrotnej z Argyle, w zachodniej części Australii. Kontynent ten zajmuje czwarte miejsce na świecie w wydobywaniu złota, ma także inne naturalne bogactwa, jak chociażby rudy metali i diamenty. Argyle to największa kopalnia australijskich minerałów. W owym czasie Monsieur Gerard dostał fioła na punkcie tych kamieni. To była dobra odskocznia od kosztownych morskich wypraw i archeologicznych eksperymentów w Egipcie. Zaprzagnął zostać „diamentowym” Juspierem Mosmanem. Ten aborygeński chłopiec w 1871 roku znalazł drobną bryłkę złota, nieświadomie dając początek australijskiej gorączce złota. Monsieur Gerard w odróżnieniu od tamtego „dzikusa” działał całkowicie świadomie, a zamiast złota obiektem jego pożądania stały się diamenty, które były mniejsze i bardziej cenne od samorodków. Z Argyle wykraść tajne dokumenty dotyczące rzekomych złóż tego najtwardszego z minerałów. Obdarowawszy hojnie informatora, zdobył cenną mapę znaną

tylko nielicznym wtajemniczonym poszukiwaczom adamasu. Śniły mu się po nocach piękne niebieskie diamenty, o których mówiono, że uwięziły w sobie okruchy błękitnego australijskiego nieba. Przeczytał wszystko o naj-sławniejszym na świecie, sto osiemdziesięciosześciokaratowym diamencie Koh-i-noor, zwanym Górą Światła, z którego powodu wiele osób na przestrzeni wieków straciło życie. Potem widział ten okaz w londyńskim muzeum. Jeszcze piękniejszy wydał mu się indyjski diament Orłów, zdobiący szpadę koronacyjną carów. „Zaliczył” inne sławne brylanty - indyjskie Tygrysie Oko i Gwiazdę Afryki Południowej. On, Monsieur Gerard, miał to szczęście, że widział nawet diamenty ze słynnego meteorytu z Orgueil.

Wtedy w Australii spotkał El Polaco - jak nazwał go ktoś z jego międzynarodowej ekipy. Uprzedźmy, że z owej eskapady wrócili żywi tylko on i ów nieznośny Słowianin. Po pół roku

263

poszukiwań oprócz diamentów znalazły się w ich bogatej kolekcji także inne cenne kamienie.

Ze swoim świętej pamięci asystentem postanowili wykiwać El Polaco. Pewnego dnia Jean uciekł z cennym pakunkiem wartym dwa miliony dolarów w stronę zachodniego wybrzeża. Gonili go przez eukaliptusowe zarośla i trawy spinifex, lecz nigdy więcej nie ujrzeli go żywego. Polak nie wiedział, że Jean działał w zмовie z Monsieur Gerardem i cała ta ucieczka była mistyfikacją. Mieli się spotkać w jakiejś dziurze na zachodnim wybrzeżu Australii, na opłaconym frachtowcu udającym się w rejs do Azji. Wystarczyło tylko podać kapitanowi hasło „Ja-halom”. Koniec fikcyjnej pogoni za Jeanem był burzliwy. Rozdzielili się z El

Polaco. Wkrótce Monsieur Gerard wpadł w ręce policji, a Jeana znaleziono martwego wśród przybrzeżnych skał. Podobno zmarł z wycieńczenia. No i nie znaleziono przy nim diamentów. El Polaco zaś zniknął. Tak samo jak wyparował frachtowiec.

„Jahalom” śni mu się do dzisiaj niczym koszmar. W tych nocnych zjawach straszy go postać chudego El Polaco z czupryną siwych włosów. Podczas tej niefortunnej wyprawy nie poznał nawet jego prawdziwego nazwiska. Dopiero przed swoją śmiercią Karski wysłał do niego list, w którym wyznał mu całą prawdę. Przyznał się do zabrania diamentów i innych kamieni, lecz zaklinał się, że uczynił to w ramach zadośćuczynienia za kłamstwa, którymi go karmili Francuzi. Karski wyznał jeszcze coś. Twierdził, że diamenty zakopał w sobie znanym miejscu. Zapewniał też Monsieur Gerarda, że nie on zabił Jeana. Właściwie cały list był jednym wielkim hymnem niewinności El Polaco. Wierzył mu, że to nie on zakatrupił Jeana. Jego asystent miał wadę serca i australijskie słońce, wcześniej czy później, by go zabiło. Gerarda nie interesował jednak Jean, a diamenty, warte dzisiaj prawie dwa miliony zielonych.

Dzięki listowi wysłanemu z Poznania ustalił wreszcie miejsce zamieszkania Karskiego. Pomogła mu w tym pewna agencja detektywistyczna. Niestety, zjawił się w Polsce już po śmierci El Polaco. Monsieur Gerard był pewien, że testament Kar-

264

skiego dotyczy zakopanych diamentów. Bo jakież inny skarb mógł posiadać Karski, jak nie australijskie diamenty?

Nie pomylił się.

*

Od poloneza dzieliło go ponad trzydzieści metrów, gdy z wrażenia zatrzymał się, ujrawszy palące się światło w domku. Dodatkowo zauważył wyrzucone za ganek drzwi tarasowe i dwie postacie siedzące w polonezie.

- Que diable? - wyszeptał zdumiony.

Samochód wykręcał niezdarnie przed domkiem, gdyż alejka miała nie więcej jak trzy metry szerokości, od strony domku była zaś ograniczona wysoką na metr siatką. Kierujący samochodem detektyw najechał nawet na spore kamienie ułożone w charakterze dekoracji na poboczu.

Barber cofał, gdy z boku wyrosła postać Monsieur Gerarda. Tak bardzo zaskoczył go widok wścicza, że puścił z wrażenia sprzęgło, w wyniku czego polonezem rzuciło gwałtownie do przodu.

- Aj! - zapiszczała Joanna.

I już Monsieur Gerard dawał im wymowny znak pistoletem, żeby opuścili samochód.

Co mieli robić? Ten typ nie należał do żartownisiów. Detektyw odpowiadał, bądź co bądź, za życie Joanny, która zaczęła się trząść ze strachu na widok nieznanego celującego do nich z pistoletu.

Cudzoziemiec panował nad sytuacją. Był jak wielki dyrygent, który jednym ruchem batuty potrafi ujarzmić każdy dźwięk wydobywany z setki instrumentów. Tylko że zamiast batuty trzymał pistolet. A ów przedmiot wywoływał posłuch nawet wśród najbardziej opornych.

Barber wysiadł, zostawiwszy kluczyki w stacyjce. Z drugiej strony wysiadła Joanna. I wtedy właśnie spokojną atmosferę ośrodka zmaćił przeraźliwy wrzask niedoszłej aktorki.

- Ratunku! - darła się wniebogłosy Joanna.

Wrzeszczała tak głośno, że słyszano ją pewnie po drugiej stronie jeziora. A może nawet w Bninie. Za ten krzyk powinna była dostać Oscara!

265

Monsieur Gerard stracił przewagę. Ta chwila nieuwagi, gdy obejrzał się na wrzeszczącą kobietę, wystarczyła Barbero-wi na desperacki krok. Swoją masą zdołał powalić bandytę na ziemię. Upadli na siatkę, tratując zdobiące klomb bratki. Pistolet zniknął w rabatce, lecz młodszy i sprawniejszy cudzoziemiec nie wypuścił z rąk szkatułki. Trzymał ją kurczowo, jakby od jej zawartości zależało jego życie. I jak na złość ocknął się szybko z chwilowego zaskoczenia. Barber był zbyt powolny, chory, z trudnością oddychał, Francuz wyćwiczonym ruchem uderzył detektywa. Na szczęście zrobił to niezbyt precyzyjnie, lecz na tyle skutecznie, aby wyrwać się z objęć słabnącego Barbera. Poderwał się na nogi i kopnął go z całych sił.

Monsieur Gerard nie czekał na cud. Nie miał wyboru. Joanna bowiem zdążyła zaalarmować niemal cały ośrodek - część wczasowiczów wybiegła przed domki i gapiała się na widowisko rozgrywające się przy końcu alejki. Cudzoziemiec zrezygnował z odnalezienia w rabatce pistoletu, tak bardzo zależało mu na ucieczce ze szkatułką. Wpakował się do poloneza, przekręcił kluczyk i wyrwał do przodu z piskiem opon.

Nie liczył się z nikim i z niczym. Pruł alejką ku wyjazdowi z kempingu, nie zważając na ludzi. Dwa razy zahaczył o karoserie samochodów parkujących z prawej strony alejki, a na samym jej końcu dodał jeszcze gazu.

Monsieur Gerard uciekał i Barber słyszał, jak facet zarzyna mu samochód. Odgłos pracującego na wysokich obrotach silnika niósł się echem po ośrodku i cichł z każdą sekundą.

Detektyw zmusił się do działania.

- Proszę państwa, to bandzior! - krzyczał, słaniając się na nogach. - Ucieka!

Zwracał się do przerażonych wczasowiczów, którzy wylegli na alejkę. Nagle ucisk za mostkiem wykrzywił mu twarz w grymasie bólu, czuł promieniujące drętwienie w lewej ręce, więc szybko ratował się wyjętym z kieszeni sprayem. „Jak przeżyję najbliższe pięć minut - pomyślał - to doczekam późnej starości” . Joanna przestała już krzyczeć i gorączkowo szukała cze-

266

goś w rabatce. Już po chwili podeszła do zmarnowanego Bar-bera i podała mu pistolet. Detektyw schował broń do kieszeni.

- Dzięki - mruknął. - To będzie dowód rzeczowy.

Wreszcie pojawił się jakiś mężczyzna, właściciel jednego z uszkodzonych samochodów.

- Dawaj pan! - wołał do detektywa. - Złapiemy drania. Nogi z dupy mu powyrywam! Szybciej!

Barber pobiegł, poruszał się jednak z trudem, ostrożnie, cały czas pamiętając o grożącym mu zawale, ale z determinacją; w tym czasie zdenerwowany sąsiad uruchamiał silnik swojej maszyny.

Wskoczył na fotel pasażera w chwili, gdy volkswagen wyrwał do przodu w pościg. Detektyw nie zapiął pasów. Nie było takiej potrzeby. Polonez bowiem nie zdążył wyjechać na rogalińską szosę. Zdechł przed

bramą wyjazdową. Kochany grat odmówił posłuszeństwa. Nie wyzionął ducha przez tyle lat, mając za kierownicą poczciwego Barbera, rzeźił i groził kraksą każdego dnia, nieczuły na przeglądy i kpiący sobie z mandatów. I oto postanowił zakończyć swój żywot w najmniej oczekiwanym momencie. W bardzo dobrym momencie - dodajmy. Sprzeciwił się nowemu kierowcy. Nie dał się porwać jakiemuś miłośnikowi żabich udek.

Monsieur Gerard jeszcze próbował go uruchomić. I dopiero gdy światła volkswagena go oświetliły, zrezygnował.

Wyskoczył szybko z milczącego jak grób poloneza, ze szkatułką pod pachą, lecz Barber celował już w niego z jego własnej broni.

- Tiens-toi droit! - krzyknął detektyw.

Znał dosłownie kilka francuskich słówek i zwrotów, ale bandyta i tak nie zamierzał go słuchać (bynajmniej nie ze względu na zły akcent). Detektyw oddał ostrzegawczy strzał w powietrze i dopiero wtedy Monsieur Gerard się zatrzymał. Zresztą biegli już w ich stronę turyści gotowi rozszarpać łobuza na strzępy.

- Niech ktoś zadzwoni na policję! - zawołał kierowca volkswagena w stronę tłumu.

- Już jadą!

267

Barber zbliżył się z wycelowanym w cudzoziemca pistoletem. W tym czasie mężczyzna odkleił wąsy i zrzucił perukę ku zdziwieniu świadków zajścia. Pan Juliusz obrzucił nostalgicznym spojrzeniem swoje auto.

- Pięknie - westchnął. - Muszę kupić nowy samochód.

Dogonili ich pozostali wczasowicze i Barber wydał im krótką komendę, żeby się do nich nie zbliżano. Nie mógł dopuścić do samosądu. I tak

będzie się gęsto tłumaczyć na policji za ten strzał, który oddał w górę.

Francuz zaczął coś trajkotać w ojczystej mowie. Gadał jak najęty i ulotniła się jego pewność siebie. Wykonał palcami znany gest, sugerujący, że nie pożałuje grosza, jeśli tylko detektyw puści go wolno.

Barber nie puścił go. Rozległa się policyjna syrena. Najwyższa pora, posterunek bowiem mieścił się niecałe pół kilometra stąd. Już jechali po niego, po Monsieur Gerarda, poszukiwacza skarbów, który kończył właśnie karierę, złapany przez podstarzałego detektywa i turystów, zwykłych amatorów, gdzieś pod Poznaniem, nad pięknym jeziorem w miejscowości, w której zaszył się El Polaco.

Wkrótce cudzoziemca zakuto w kajdanki i odebrano mu szkatułkę. Gdy policjanci wpełnęli go do radiowozu, z nienawiścią patrzył na Barbera.

Ten posłał mu blady uśmiech i szepnął:

- Cest la vie, Monsieur Gerard.

Wkrótce po wydarzeniach, które rozegrały się na kempingu, uwolniono z domku nad jeziorem uwięzionych w nim ludzi. Banda Bryzola trafiła do aresztu, Barbarę i Klaudynę zaś czekało przesłuchanie na policji. Nie trzymano ich jednak długo. Wróciły z posterunku po drugiej w nocy - wciąż podekscytowane, choć już bardzo zmęczone.

A cały Kórnik żył przez najbliższe dni „kempingową aferą”. Miejscowi dziennikarze zacierali ręce z zadowolenia i tylko mieszkańcy oraz radni nie podzielali ich entuzjazmu. Rozeszła się już plotka, że Monsieur Gerard zostanie oskarżony

zaklejenie ust zawałowca plastrem? Joannę zawieziono aż do Poznania - nie czuła się najlepiej. Tylko nieliczni wiedzieli, że przegrała walkę o spadek z nielubianą siostrą; świadomość klęski wpędziła ją w depresję.

Barbara i Klaudyna rozmawiały jeszcze w swoim pokoju o ostatnich wydarzeniach. Nie dane im było nawet nacieszyć się sukcesem, jakim było odkopanie szkatułki z diamentami. Posiadały cenny skarb przez chwilę, potem odebrano im go, lecz paradoksalnie właśnie zeznania ich wroga, Monsieur Gerarda, a także miejscowych złodziejasków, czyniły z Barbary zwyciężcę w wyścigu o spadek po ojcu, Emanuelu Karskim. Wspominały też dzielnego Barbera, który ofiarowanym mu scyzorykiem uwolnił się z więzów oraz jego poloneza -grata, którego znaczenie w wydarzeniach minionego dnia trudno przecenić.

Były spokojne o zdrowie detektywa, gdyż po epizodzie na terenie kempingu natychmiast zawieziono go do miejscowego szpitala.

Obiecały odwiedzić go nazajutrz.

Na drugi dzień Omnibus - nieświadomy opisanych wydarzeń - wstał skoro świt z uczuciem twórczego niepokoju. Kiedy inni rywale jeszcze spali, on zabrał się za rozwiązywanie zagadki ze świeżym umysłem. Włączył laptop i przeglądał zapisane w nim pliki. Rano myślało mu się zdecydowanie lepiej.

Cofnął się pamięcią do pierwszej zagadki, tej z trzema sygnaturami, które naprowadziły ich na trop z zegarem. Czy teraz chodziło o modlitewnik? A konkretnie o *Godzinki* z kórnickich zbiorów? Biała Dama była osobą pobożną, a jeden z wymiernych efektów jej kontaktów z Francją stanowiło kupowanie książek.

Jeszcze raz przejrzał artykuł o drukowanych modlitewnikach z pierwszej połowy XVI wieku, które znajdowały się w Bibliotece Kórnickiej. Któryś z nich mógł należeć kiedyś do Teofili. Skoro jej portret sprowadzono do Kórnika aż z Runowa

269

Krajeńskiego, niewykluczone, że to samo zrobiono z modlitewnikiem w zielonej oprawie. Tylko czy były to *Godzinki* z oficyny Gilleta Hardouina, opatrzone sygnaturą BK 2606? Omnibus widział oczami wyobraźni, jak Tytus Działyński oprawia ów konkretny egzemplarz w czerwony aksamit.

„Nie, chyba sam tego nie robił - pomyślał. - Miał wyszkolonych pomocników, «bibliotekarzy», w tym najbardziej znanego Kajetana W. Kielisińskiego; a po jego śmierci w 1849 roku korzystał z pomocy między innymi Jana Nepomucena Romanowskiego. Ale chyba i oni własnoręcznie nie oprawiali cennych druków, tylko robili to fachowcy, intrologatorzy. A może modlitewnik oprawiono za czasów rezydencji na zamku syna Tytusa, Jana Działyńskiego?"

Wreszcie zniecierpliwiony włożył płytę CD do komputera. Kiedy na ekranie ukazał się pusty prostokąt opatrzony nagłówkiem *password*, wpisał sygnaturę XVI-wiecznego modlitewnika.

BK 2606

Zaakceptował enterem i cierpliwie czekał na rezultat tej operacji. I nagle stał się cud, który poderwał go niemalże do góry - prostokąt zniknął, a w jego miejsce załadował się plik graficzny z dziwnymi symbolami.



Nie pojawiło się już żadne dodatkowe hasło, co mogło świadczyć o tym, że była to ostateczna wskazówka. Nie miał jednak pojęcia, co znaczą owe symbole. Osiem znaków i ani jednej cyfry czy litery.

Omnibus nie wierzył własnym oczom.

- Niemożliwe! - szeptał oszołomiony - Ojcu chodziło o mo dlitewnik? Mamo!!!

Jego krzyk obudził Izę. Poderwała się i zaspanym wzrokiem próbowała ogarnąć cały pokój.

- Co się stało? - wymamrotała zaskoczona.
- Mam hasło! Odgadłem je! To znaczy nie do końca! Ale zdaje się, że to jest „to”!

270

I już Omnibus chwycił laptop i podsunął pod nos matki.

- Sama zobacz!

Ona też nie wiedziała, jak zabrać się za te dziwaczne znaki. Jak rozumieć, na przykład, symbol bomby z lontem?

- Masz rację - dodała załamującym się głosem. - Hurra! Wygraliśmy! To musi być ta ostatnia wskazówka, prawda?
- Tak mi się wydaje. Ale zaraz... zaraz...

Oczy mu rozbłyły. Wyprostował się na chwilę i zaraz przyklęknął przy komputerze. Skopiował szyfr złożony z ośmiu symboli i wkleił go do zwykłego edytora tekstowego.

- Zdaje się, że wiem, co to jest... - drapał się po głowie.
- Co? - Iza czuła, że ma sucho w gardle.
- To czcionka! Tak zwany webdings!

- Mów jaśniej!

- To takie różne dziwne symbole. Każdemu z nich odpowiada konkretna litera alfabetu...

Omnibus natychmiast zaznaczył ciąg symboli i zmienił je na zwykły Times New Roman.

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Po raz kolejny w ciągu kilku minut doznał dziwnego uczucia spełnienia. Odkrywaniu tajemnicy towarzyszyło uczucie podobne do metafizycznych uniesień, tak jakby dostąpił zaszczytu audiencji u samego Pana Boga. Matka, siedząca obok, wstrzymała oddech. Poblądła. Ona także przeżywała to mocno.

Na ekranie ukazał się jeden jedyny wyraz złożony z ośmiu liter:

Magnolia

Zrozumieli, że Emanuel już po wpisaniu hasła, ukrył - na wszelki wypadek - to jedno najważniejsze słowo pod postacią symboli. Kolejna zmyłka szalonego bibliofila!

Omnibus poczuł mrowienie na plecach. Już wiedział, że to jest ta jedyna i ostatnia wskazówka prowadząca do rozwiązania szarady. Nagle wszystko stało się dla niego oczywiste - ojciec zakopał cenny skarb pod magnolią. Nie wyobrażał sobie innego wyjaśnienia. Należało tylko znaleźć właściwe drzewko. Ale dobrze wiedział, że nie trzeba przekopywać połowy arbo-

271

return. W końcu wczoraj oglądali ładny okaz tej rośliny nad jeziorem!

Wyjaśniło się dlaczego Emanuel posadził magnolię.

- Marek - wyszeptana podekscytowana odkryciem pani Iza.

- Dokonałeś tego! Mamy hasło! Mamy klucz do Sezamu! Mamy skarb!

Czym prędzej pobiegli na drugi brzeg jeziora, do domu Emanuela. Nie chciało im się już spać; w takim momencie wcale nie czuje się zmęczenia. Spacer w chłodny poranek dodał im sił, więc poruszali się naprawdę szybko. Jednakże na miejscu spotkał ich srogi zawód. Ba, to była klęska! Szok. Gdy podeszli pod krzak bzu i magnolii, stwierdzili, że ktoś ich ubiegł. Stanęli nad wykopem, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Wokół dołu widniały wyraźne ślady butów, które kazały przypuszczać, że intruzów było więcej. Skąd się tutaj wzięli? I kim byli? Kto, do diabła, okazał się od nich lepszy?

- O żesz ty kartofel! - wyrwało się Omnibusowi.
- Jakim cudem? - jęknęła Iza i bezwiednie położyła dłoń na ramieniu syna.

Poczuła się słabo. Uleciał z niej optymizm i chęć do życia. Porażka była gorzka.

- Nie wierzę... nie wierzę. Czy to sen?

Jeszcze nie tak dawno czuli się zwycięzcami. Złamali bowiem szyfr Emanuela! Zdobyli wskazówkę prowadzącą nad jezioro, do tej konkretnej magnolii. A jednak ktoś okazał się od nich szybszy!

Oprócz śladów butów odcisniętych w rozsypanej wokół dołu ziemi, Omnibus dostrzegł także przygniecioną trawę porastającą posesję. Należące do dwóch osób ślady zaprowadziły ich za dom, a stamtąd przez ogród na sam brzeg jeziora.

- Dziwne - myślał na głos chłopak. - Dwie osoby nadeszły

od strony jeziora. Kim byli pozostali?

Minęli rząd drzew, zbliżyli się do szuwarów i ujrzeli przywiązaną do wystającego z ziemi konara łódkę. Na jej dnie znaleźli wędkę.

272

- Tajemniczy wędkarze? - dziwił się Omnibus i zaraz wpadł w sarkastyczny nastrój. - Nie ma co! Udana wyprawa... mieli branie stulecia!
- Dziwne to wszystko -jęknęła pani Iza. - Nie chce mi się wierzyć, że jacyś wędkarze, ot tak, przyszli sobie i wykopali skarb. Nie, to chyba jednak sen.

Wrócili pod dom i ku wielkiemu zaskoczeniu zobaczyli, że nie są sami. Przed wykopanym pod magnolią dołem stał nie mniej od nich samych zdziwiony Patryk, z bladą twarzą, wyrażającą stan jego ducha, czyli totalne zwątpienie. Trzymana zaś w ręku saperka świadczyła wymownie o jego zamiarach -wybrał się do willi nad jeziorem po skarb.

- To wasza sprawka? - zapytał arogancko, wskazując ręką dół. - No mówcie!
- Nie. Nie nasza - odpowiedzieli.
- Shit - zaklął Patryk. - Kto to zrobił?
- Nie wiemy.

Opowiedział im, że nie mógł rano spać. Co, tak na margi-niesie, rzadko mu się zdarzało. Czuł się zmęczony, niewyspany, gdyż w nocy nad jeziorem nieźle hałasowano, nawet strzelano i wyła policyjna syrena, ale coś całkowicie irracjonalnego nie dawało mu spokoju. Wstał - jak na niego - wcześniej, pobiegł do kafejki internetowej i wpisał otrzymaną od bibliote-

karki sygnaturę modlitewnika w pole hasła. Intuicyjnie. Ot, tak po prostu! Jakież to było proste! Biała Dama na portrecie wskazywała na konkretny modlitewnik znajdujący się w kórnickich zbiorach. Śmieszne. Przez całą noc rozwiązanie zagadki ojca, zapisane na karteczce, leżało na komodzie w pokoju. Oświeciło go dopiero nad ranem!

Udało mu się rozszyfrować osiem dziwnych symboli, gdyż znał się trochę na komputerach. Z początku zamierzał dokładnie przeczesać kórnickie arboretum. Pamiętał, że za zamkiem rosły dorodne, stare magnolie, gdzieś niedaleko gruszy wierz-bolistnej, o którą spór toczyły jego siostry. Pomyślał, że skarb zakopano w parku! Lecz przypomniał sobie, że podobny okaz widział przecież tutaj, na posesji ojca.

- Byłeś tu wcześniej? - zapytała Iza.

273

• Kiedyś - odpowiedział niechętnie. - Wpadłem z ciekawości. I co z tego?

• Czy nie ty zdarłeś w domu klepkę?

• Ja? - zmarszczył czoło. - Dlaczego miałbym demolować dom?

Kłamał. Omnibus domyślił się, że nie tylko Pierre i Barber tutaj buszowali, także on zaczął poszukiwania skarbu od podłogi w domu ojca. Patryk jakby wyczuł, o czym myślą rywale. Otrząsnął się z zakłopotania i zerknął podejrzliwie na kobietę.

• A pani kim w ogóle jest?

• To moja mama - rzekł Omnibus.

• Izabela Marczenko - podała rękę Karskiemu, lecz młodzian nie odwzajemnił się żadnym przyjaznym gestem. - Jestem nauczycielką z

Wrześni...

- Omnibus twierdził, że jest sierotą - popatrzył na nich nieufnie.
- W tym sensie, że nie mam ojca. Ale mam matkę.
- Tak się składa, że znałam twojego tatę - Iza zwróciła się do Patryka.
- Jak dobrze?
- Bardzo dobrze - dodała.

Patryk zmrużył podejrzliwie oczy, Iza zaś poprawiła na nosie okulary.

- Czy to przypadkiem nie pani była jego przyjaciółką? „Kochanką"! Jak mówi moja siostra Barbara? To pani?
- Tak, to ja.

Młody Karski wstrzymał oddech i w milczeniu trawił sensacyjną wiadomość.

- To znaczy... - zaczął nieśmiało mówić - to znaczy, że pani i ojciec... że wy...

Iza nie dała mu dokończyć myśli.

- Tak - kiwnęła głową. - Marek jest jego synem. I twoim bratem.
- Przyrodnim - dodał Omnibus.
- Wy działacie razem!

Wybuchł histerycznym śmiechem; zaraz się jednak uspokoił.

274

- Ukartowaliście to wszystko. Rozumiem! Chciała pani zdobyć skarb ojca i podesłała nam Omnibusa. Sprytnie. Nawet Barber się nabrał!
 - Nie. Barber od początku wiedział, kim jestem - wyjaśnił Marek.
 - I nikogo nie wysyłałam w charakterze szpiega - zdenerwowała się Iza.
- Marek uciekł z domu.

Karski znowu parsknął śmiechem, który nie był niczym innym, jak tylko obroną przed rewelacjami burzącymi jego wiedzę o własnej rodzinie. Zapomniał już o skarbie, który sprzątnięto mu sprzed nosa - tak bardzo przejął się tym, że stoi przed nim przyrodni brat, nieślubny syn Emanuela, bękart, i tym, że od początku tej historii z nim współpracował lub, jak kto woli, rywalizował.

Opowiedzieli mu pokrótce o swoim odkryciu. Podobnie jak on, słyszeli w nocy policyjną syrenę i krzyki na drugim brzegu jeziora. „To musiało być wtedy” - zawyrokował Omnibus. Pogadali jeszcze trochę i ruszyli z powrotem do miasta.

Na głównej ulicy, natknęli się na Barbarę i Klaudynę. Nieco zaspane, szły dość zwawym krokiem w stronę północnego krańca miasta.

- Witam - ukłonił się Patryk. - Gdzie tak pędzicie?

- Na posterunek. A wy, co? - zlustrowała ich wzrokiem

Barbara. - Wracacie z willi ojca? Za późno!

Na jej twarz spłynął uśmiech zwycięzcy.

• Ubiegłam cię - wbiła palec w klatkę piersiową Patryka. -Wszystkich!

Wykopałam szkatułkę z diamentami!

• Wykopałyśmy - poprawiła ją Klaudyna.

• To wy? - jęknął młody Karski.

• A no my, braciszku.

Klaudyna posłała Omnibusowi wymowne spojrzenie dopra-szające się uznania. Chłopak nie mógł znieść triumfu bijącego z jej niebieskich oczu i przeniósł wzrok na krzywą płytę chodnika.

Położyli go w separacie, przez co awansował w szpitalnej hierarchii.

Czuł się z tym naprawdę dobrze - jak król, sułtan

275

turecki albo jakiś basza. W Poznaniu leżał z małomównym facetem, który ucierpiał fizycznie z powodu znajomości Barbera z Monsieur Gerardem. Tutaj mógł celebrować samotność i święty spokój bez ograniczeń czasowych. I gdyby nie nadszarpnięte zdrowie, mógłby się uznać za największego szczęściarza pod słońcem.

Po dziewiątej rano odwiedziło go trzech policjantów, dwóch miejscowych i oficer z Poznania, przed którymi wypowiadał się ze wszystkiego, co wiedział. „Zawsze to lepsze niż ostatnia posługa” - żartował w duchu. Policjanci długo nie zabawili. Poinformowali go, że Monsieur Gerard odmawia dalszych zeznań, podobnie zresztą jak jego kumple, to jest Pierre Clarmount i niejaki Max, ów olbrzym, cała zaś sprawa otrze się najpewniej o ambasadę Republiki Francuskiej. Na szczęście Interpol zbiera jakieś „papiery” na Gerarda i za kilka dni powinni go przycisnąć do muru. A na razie trzech cudzoziemców byczy się w areszcie na koszt polskiego podatnika. Aha, policjanci byli tak wspaniałomyślni, że przynieśli Barberowi jego pistolet i kilka drobiazgów z poloneza, między innymi nowy kapelusz podarowany mu przez Marczenków. Samochód detektywa badali szczegółowo w laboratorium technicy w związku z prowadzonym przeciwko cudzoziemcom śledztwem. Policjanci obiecali, że wobec detektywa nie zostaną sformułowane żadne oskarżenia o użycie broni podczas pościgu za Monsieur Gerardem.

Na koniec wspomnieli o diamentach, więc kiedy po dziesiątej zjawili się u niego pani Iza, Omnibus i Karscy w osobach Barbary, Klaudyny oraz

Patryk - Barber wiedział już co nieco o sprawie. „Rodzinka w komplecie” - śmiał się w duchu, a zwycięstwo swojej pierwszej klientki, Barbary, przyjął z mieszanymi uczuciami, gdyż w wyścigu o spadek po Karskim kibicował Omnibusowi i jego matce. Wszakże to on zaopiekował się Omnibusem, rozpoznając w nim prawdziwy detektywistyczny talent i przebliski geniuszu. Niestety, nie pomogła chłopakowi wiedza i tak chwalona przez książkowych detektywów metoda dedukcji. Okazało się, że czasami intelekt nie gwarantuje sukcesu w tropieniu skarbów, a jest jedynie ważnym narzędziem każdego poszukiwacza. Oto bo-

276

wiem jako pierwsza wykopała skarb najstarsza córka bibliofila. Odnalazła go na tak zwany „psi węch”, a raczej dzięki zwykłej spostrzegawczości! Nie zagłębiała się w starych drukach, sygnaturach, nie ślęczała nad życiorysami Działyńskich i nie studiowała dziejów zamku, a mimo to pierwsza odkopała szkatułkę. Tego dnia Barbara Karska tryskała humorem i kochała cały świat! A pokonani nie kryli żalu.

W separacie zrobił się tłok. Po pierwszych troskliwych, jak mu się wydawało, pytaniach o jego zdrowie, powrócono do tematu poszukiwań skarbu. Nikt z rodziny nie spodziewał się, że będą nim diamenty i jeden duży, piękny kamień.

W pewnym momencie Patryk zaryzykował i oświadczył, iż właściwie to on rozwiązał zagadkę ojca, Barbara zaś zwyczajnie go ubiegła.

- W tej grze liczy się to, kto pierwszy znajdzie skarb -westchnął smutno Omnibus. - Poza tym my także wpadliśmy na trop z modlitewnikiem.
- Nawet magnolię oglądaliśmy wczorajszego popołudnia -dodała Iza.
- Nie przechwalajcie się - roześmiała się Klaudyna. - Trzeba oddać

Patrykowi, że naprawdę błysnął intelektem. Jak na jego możliwości, to cud! Omnibus rozwiązał zagadkę według reguł zaproponowanych przez dziadka, jednak to wszystko na nic. W życiu trzeba mieć jeszcze po prostu szczęście.

- Chwileczkę - uniosła rękę Barbara. - Jakie szczęście? Po prostu mam oczy i jestem nie gorsza od agentki Scully z *Archiwum X*.

Scully? - prychnął Patryk. - Jeśli już to Lara Croft. Scully i Mulder nie szukają rodzinnych skarbów.

- Nieważne. To ja pierwsza zauważyłam podobieństwo magnolii w ogrodzie do tej w parku za zamkiem. Ja!
- Okej - kiwnął głową. - Ale słowa uznania należą się także panu Barberowi. I Joannie!
- Jak mam to rozumieć? - mruknęła Barbara.
 - Bo uniemożliwili Monsieur Gerardowi ucieczkę z diamentami.
- Poza tym - dodała Klaudyna - gdyby nie pomysł pana

277

Juliusza, żeby odwiedzić dom dziadka nad jeziorem kilka dni temu, w ten okropny deszcz, nie zauważyłabyś, mamo, tej magnolii.

W takim tonie rozmawiali o całej sprawie przekomarzając się i zachwalając zalety własnego intelektu. Niestety, jak to w życiu bywa - zasłużonych było wielu, lecz zwycięzcą został jeden.

Pewien aborygeński bóg w przyływie złego samopoczucia, chwycił tęczę na niebie i cisnął nią o ziemię. Kawałki tęczy powbijały się w nią i

zamieniły w mieniające się tysiącami barw opale - tak głosi legenda.

Opal to szlachetny minerał występujący na kontynencie australijskim w wielu odmianach i barwach. Większość z nich pochodzi z Australii Południowej - z miejscowości Kupa Piti (co po polsku znaczy „dziura białego człowieka”). Pierwsze opale znaleziono tam w 1915 roku i do tej pory nie wydobyto nawet dziesięciu procent złóż.

Kilka dni po pamiętnych wydarzeniach w Kórniku tamtejszy posterunek odwiedzili: Barber, Barbara, Klaudyna i Patryk Karscy oraz Izabela Marczenko z Markiem. Oglądali ze szczerym zachwytem niezwykle kamień, którego cena kształtowała się na poziomie zbliżonym do diamentów. Niebieskie okazy tych minerałów są najcenniejsze. Niewykluczone, że to największy opal na świecie.

Kiedy Omnibus oglądał zawartość szkatułki, przypomniały mu się słowa ojca: „Prawda jest cenniejsza od szkatułki pełnej diamentów”. Tak więc chodziło mu o zawartość konkretnej szkatułki, wszyscy zaś wzięli zdanie za pompatycznie brzmiącą metaforę.

Potem oficer pozwolił im wysłuchać fragmentów przesłuchań kilku podejrzanych.

Z przesłuchania J.P Gerarda: *Ten kamień nazwano „Jutrzenką Australii” i wydobyto go w Coober Pędy, w samym centrum zagłębia opalowego. Pewien sprytny złodziej przemycił go z kopalni na zewnątrz, a jego kompan nagrał mu sprzedaż „Jutrzen-*

278

ki”. Kupiłem go za śmieszne pieniądze. W wyniku różnych dziwnych wydarzeń zostałem w Australii z przysłowiową ręką w nocniku, Emanuel Karski zaś z diamentami i opalem odpłynął frachtowcem do Azji...

Pierwszy i ostatni list od niego dostałem niedawno... Cóż, El Polaco pragnął mnie zapewnić, że to nie on zabił Jeana, mojego asystenta i przyjaciela, z którym pracowałem w Australii. O diamentach napisał tylko tyle, że zabrał je martwemu wspólnikowi. W obawie przed posądzeniem o zabójstwo, El Polaco uciekł frachtowcem, diamenty zaś wyrzucił do morza. Jakoś nie chciało mi się wierzyć w jego głupotę. Owszem, był to typ idealisty, może nawet romantyka, lecz dostrzegałem w nim głębokie pokłady pragmatyzmu. Wreszcie, dzięki listowi, zlokalizowałem miejsce zamieszkania El Polaco. To mnie kosztowało dziesięć tysięcy euro... drogo. U nas, we Francji, przekupywałem pracowników poczty za mniejsze kwoty. Niestety, El Polaco postanowił nas opuścić i przeniósł się na tamten świat. Zabrał tajemnicę do grobu. Przyznaję się, że na własną rękę próbowałem odszukać skarb Karskiego, bo nie wierzyłem, że wyrzucił on tak cenne kamienie do oceanu.

Zeznania innych oskarżonych pograżyły do reszty Francuza i ich samych.

Z przesłuchania Pierre'a Clarmounta: *Nic nie wiem o żadnych diamentach... Monsieur Gerard nie ma w zwyczaju wtajemniczać w swoje sekrety ludzi, których wynajmuje. Moja rola sprowadzała się do poderwania i rozkochania w sobie Joanny Karskiej... w tym celu udawałem człowieka z branży filmowej. Osobiście nic do niej nie mam; i do rodziny Karskich. Wykonywałem polecenia Monsieur Gerarda. Nie chciałem wyrządzić nikomu krzywdy.*

Ciekawe były też wyjaśnienia złożone przez innych świadków.

Z przesłuchania Wiesława Rutka zwanego Bryzolem: *No to było tak, że zobaczyliśmy koło zamku tego kurdupła, jak idzie z facetką, znaczy się z*

kobietą ... czy to jego matka, ja tam nie wiem. Bez kitu. Poszliśmy za nimi aż do lasu czołowskiego ... to tam przy szosie na Rogalin. A tam stała taksówka z chicksą w środku ...no więc, w czwórkę podeszliśmy pod te ruiny i Ka-

279

czor poszedł pilnować tej lasencji, bo się wydało, że ona, tak jak my, śledziła tego gówniarza z kobietą ... tak, to była ta sama, którą widzieliśmy w tej chacie nad jeziorem ... leżała związana z tym dziadkiem, co to chodzi z kłamką, znaczy się z giwerą. No i było tak, że Kaczor jej nie upilnował i dziewczyna uciekła. Został w lesie i przyczał się na nią. My w czwórkę uderzyliśmy z buta z powrotem do Kórnik za tym kurdupłem, a Kaczor miał się zjawić w barze „Nad Tawerną ” za dwie godziny. Poszliśmy do tego domu, który odwiedził chłopak z tą panią ... a potem zjawiała się inna kobieta z młodą siksą ... jak wykopały dół obok magnolii i wyjęły tę szkatułkę, to my, normalnie, podeszliśmy do nich, żeby je nastraszyć. Tak tylko dla zabawy, panie inspektorze. Bez kitu. Nic byśmy im nie zrobili, słowo harcerza. Tylko że pojawił się nagle ten cudzoziemiec z kłamką i zabrał nam szkatułkę.

*

Pożegnalne spotkanie odbyło się nad jeziorem za oficyną. Mistrzem ceremonii był mecenas Czapliński, który zapowiedział się już kilka dni wcześniej, prosząc o stawienie się wszystkich członków rodziny oraz Izabeli Marczenko. Wszyscy rozsiedli się wokół syczącego miło ogniska, dorośli pili wino, Iza raczyła się nawet filiżanką swojej ulubionej zielonej herbaty (zaparzonej, niestety, z torebki!), zajadano ociekające tłuszczem

kielbaski i czekano na przyjazd ostatniego uczestnika spotkania. Lecz Joanna się spóźniała.

Nieprzyzwoicie gładko ogolony Barber siedział cicho w swoim nieodłącznym kapeluszu i znoszonej zamszowej marynarce. Twierdził, że czuje się już zdecydowanie lepiej, choć lekarze wciąż martwili się stanem jego zdrowia.

Niekwestionowanymi gwiazdami ostatnich dni zostały Klau-dyna i Barbara. Omnibus i jego matka, a także Patryk, nie kryli rozżalenia i z trudem hamowali niezadowolenie. Cóż z tego, że to Patryk jako pierwszy wpadł na trop prowadzący do *Godzinek*, skoro spóźnił się z przyjściem do ogrodu z saperką. Wybrał łóżko, a śpiochom los nie pobłąża. Omnibus również za późno wziął się za odczytanie znaczenia portretu Białej Damy; wy-

280

cieczka do ruin kosztowała go właśnie tych kilka godzin potrzebnych do ostatecznego rozwiązania zagadki. Myliła się także Iza, błędnie założywszy, że rozwiązanie wymyślonej przez Emanuela szarady wiąże się bezpośrednio z osobą Tytusa Dzia-łyńskiego. Teraz i tak nie było to już ważne. Barbara wygrała. Ona miała otrzymać oficjalnie szkatułkę pełną diamentów.

Wino, ogień i woda zdawały się łagodzić napięcia pomiędzy niedawnymi rywalami. Było, minęło. Jedni wygrywali, inni przegrywali. Zwycięzców zawsze było mniej, więc przegranym zostawało na pocieszenie krzepiące poczucie solidarności. A ci, którzy wspięli się na szczyt sukcesu, niechaj męczą się ze swoją samotnością!

Gość z Poznania nie zdążył jeszcze dobrze zająć miejsca przy ognisku,

gdy zadzwoniła jego komórka. Mecenas rozmawiał krótko i przez cały czas trwania rozmowy ograniczał się do pomrukiwania niczym kocur. Kiwał też często głową.

W końcu wyłączył aparat i wstał.

- Proszę państwa - wyjaśnił szybko. - Dzwoniła pani Joan na i poinformowała, że nie zjawi się dzisiaj w Kórniku...

Zgromadzeni wyrazili rozczarowanie jękiem zawodu.

- Niestety, musi nagle wyjechać z kraju. Zdaje się, że czeka ją casting do filmu kręconego na południu Włoch. Prawdopodobnie zagra w filmie reżyserowanym przez samego Mela Gibsona.

Rozległy się brawa.

- Cóż, musimy obejść się bez niej - westchnął ciężko Czaplinski i nagle jego twarz zamieniła się w maskę pełną skruchy.

- Nie chcę dłużej tego przed państwem ukrywać, ale musicie wiedzieć, że zaszła pewna pomyłka. Otóż, dopiero wczoraj skończyłem oficjalny przegląd czterech płyt CD, które wręczyliście mi po odkopaniu szkatułki przez panią Barbarę. Przepraszam za zwłokę, ale bawiłem w ważnej sprawie w stolicy i dopiero wczoraj po południu wróciłem. Ale o tym dobrze wiecie. Zanim odczytam treść klauzuli spadkowej dołączonej do testamentu, muszę wyprowadzić państwa z błędu, a właściwie... oznajmić jednemu ze spadkobierców niewesołą dlań nowinę... Naprawdę mi przykro, to nie ode mnie zależy. To pomyłka.

- Dlaczego pan tak dziwnie na mnie patrzy, mecenasie? - wystraszyła się Barbara.

Czapliński odchrząknął zmieszany.

- Bo to pani jest tą osobą - odpowiedział, unikając jej wzroku. -
Niesłusznie pani założyła, że należy jej się szkatułka. Z dwóch, uprzedzę, powodów.
- Zaraz! - uniosła się Klauduna. - To my pierwsze odkopałyśmy szkatułkę. Mamy świadków!
- Co jest, mecenasie?!
- Nie przeczytały panie uważnie testamentu - bronił się adwokat. - Jest w nim wyraźnie napisane, że spadek po panu Karskim dostanie jedna z czterech osób, ta, która pierwsza odgadnie właściwe hasło.
Przejrzałem wasze płyty CD i porównawszy czas otwarcia hasła na płytach stwierdzam oficjalnie, że zgodnie z wolą nieboszczyka, cały spadek przypada pani Izabeli Marczenko.
- Że co?! - wrzasnęła Barbara.
Zdenerwowana wypila duszkiem pół szklanki wina, przy chichocie rozbawionego Patryka.
- Po prostu, pani Karska - tłumaczył mecenas - nie otworzyła właściwego pliku na płycie CD. Pani ojciec chciał nagrodzić nie spostrzegawczość, a intelekt.
- Znaczy się, że jestem głupia?!
- Nie, ale chodziło o hasło.
- Zresztą tylko dwóm osobom udało się je wpisać - dodał Barber. - Pani Izie i Patrykowi. Tylko że pani Iza zrobiła to pół godziny wcześniej.
- Dokładnie - mecenas zajrzał do notesu - o szóstej jedenaście. Patryku,

gdybyś wcześniej wstawał...

- Shit! - zaklął chłopak. - Nigdy nie wstałem wcześniej!

Cóż jednak znaczył jego zawód przy rozgoryczeniu Barbary i Klaudyny.

- Protestuję! - uniosła się Barbara i zmarszczyła czoło tak, jakby była co najmniej córką boga wojny, Marsa. - Ja podam was wszystkich do sądu!

- Pani Barbaro - mecenas patrzył na nią wzrokiem pełnym

282

niewzruszonej powagi. - To nic nie da. Naprawdę. Taka była wola pani ojca. Główny spadkobierca miał odgadnąć hasło. To był klucz do zakopanej w ogrodzie szkatułki. Przykro mi, ale wskazanie miejsca ukrycia szkatułki nie było tak ważne, jak samo rozwiązanie łamigłówki. Pani Iza pierwsza wpisała właściwe hasło i ona otrzyma diamenty, zgodnie z wolą zmarłego.

Barbara głośno protestowała, nawet Klaudyna zaczęła zachowywać się niegrzecznie.

Do świadomości Izy dotarła już prawda o spadku i teraz ona cieszyła się z sukcesu w cieniu glorii swojego syna. On zaś, całkowicie oszołomiony niespodziewaną zmianą sytuacji, zerknął na milczącego dotąd Barbera. Detektyw poprawił kapelusz na głowie i uśmiechnął się do niego, jakby chciał mu powiedzieć: „wiedziałem, że tak będzie”.

Mecenas musiał uciszać Barbarę, Klaudynę i dokuczającego im Patryka. Nie pomogło. Wtedy to stało się coś złego z detektywem. Jęknął i złapał się za serce. Ból wykrzywił jego twarz w groteskową maskę cierpienia i Barber zwałił się z krzeselka na trawnik. Pani Iza wydała z

siebie okrzyk przerażenia, z ręki wypadła jej filiżanka. Gwar skupionych wokół ogniska rywali ucichł, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Nitrogliceryna! - wrzasnął Omnibus i pierwszy znalazł się przy detektywie. - Gdzie jest pański spray?!

Pozostali uczestnicy spotkania rzucili się w ich stronę.

- Szybciej! - ponaglała nie wiadomo kogo Iza.
- Co panu jest? - zainteresowała się Klaudyna.
- To zawał - wyjaśnił Omnibus, przeszukując kieszenie Barbera.

Jednakże silna ręka detektywa chwyciła go za prawy nadgarstek. Mężczyzna wyjął spray drugą ręką, odsunął pochylonych nad nim świadków jego słabości, i wstał. Na koniec schylił się jeszcze po kapelusz i jakby nic się nie stało, swoim zwyczajem podrzucił w dłoni pojemnik z nitrogliceryną.

- Przepraszam - powiedział nieco zmieszany, włożywszy kapelusz na głowę. - Nic mi nie jest.
- Poczul się pan lepiej? - niedowierzała Barbara. - Bez nitrogliceryny?

283

- Nie - westchnął. - Nie o to chodzi. Po prostu chciałem was jakoś uspokoić. Dlatego zaaranżowałem to niewinne przedstawienie. Bo tutaj mówi się o poważnych sprawach, a nie dajecie dojść do głosu panu mecenasowi... no i proszę. Wystarczył zwykły trik i nagle ucichło.
- Dziękuję panu - mruknął Czapliński.
- Ładny mi trik - pokręciła głową wciąż poruszona do żywego pani Iza.
- To niewinne przedstawienie o mało nie doprowadziło mnie do zawału.

- Jakby co, to pan Juliusz służy pani swoją nitrogliceryną - dogryzła jej Barbara.

Na szczęście Patryk szybko zmienił temat.

- Ma pan zabójcze poczucie humoru.
 - To chyba jest poczucie horroru - skrzywiła się z niesmakiem Klaudyna.
- Przepraszam - bąknął detektyw.

Barbara nie wytrzymała dłużej napięcia i wstała. Kopnęła krzeselko, tak że aż znalazło się w ognisku i dopiero Patryk musiał je stamtąd wyciągać.

Karska chwyciła córkę za rękę i zaczęła ciągnąć ku ulicy.

- Chodź, idziemy stąd!

Zatrzymał je mecenas.

- Proszę zostać! - zwrócił się do kobiety w sposób niezwykle tajemniczy, nie ruszając się z miejsca. To ją zainteresowało. - To jeszcze nie wszystko, pani Karska. Pan Emanuel prosił mnie także, żeby treść pewnego dokumentu została podana do wiadomości wszystkich zainteresowanych. Już po odnalezieniu skarbu. Dodam, że klauzula jest potwierdzona notarialnie i wszystko odbywa się zgodnie z wolą zmarłego. To z pewnością wszystkich zainteresuje.

Tym oświadczeniem nie tylko uciszył towarzystwo, ale i zdołał przykuć ich uwagę. Wszyscy patrzyli teraz na niego z zaciekawieniem. Mecenas wyjął z teczki kopertę, złamał pieczęć, i wyciągnął z niej kasetę magnetofonową. Podobną do tej, z której słuchali nagrania ojca dwa tygodnie wcześniej. Prawnik wyjął z teczki mały magnetofon i włożył kasetę. Wszyscy zamienili się w słuch.

- *Drogi spadkobierco* - popłynął z głośniczka lekko zniekształcony głos Emanuela Karskiego. - *Gratuluję ci sukcesu. Mam nadzieję, że zabawa w szukanie skarbu była dla ciebie wielką przygodą. Dzięki mojej intrydze wszyscy poznaliście miejscowość, którą pokochałem i w której chciałem umrzeć. Dzięki mnie odwiedziliście zamek i spędziliście kilka godzin obcując ze wspaniałymi zbiorami tam zgromadzonymi. Już wiecie, jaki skarb leżał zakopany pod krzewem magnolii... mówią, że „diamenty są wieczne”. Diament po grecku to inaczej „adamas”, co znaczy „niezwyciężony” albo „niepokonany”. Niechaj zwycięzcy zostanie przyznany tytuł Niepokonanego. Znamcy twierdzą, że diament nie znosi fałszu, obłudy i zdrady. Przynosi radość i szczęście. Daje też zwycięstwo w miłości pod warunkiem, że miłość jest szczerą i czystą. Można go nosić jako talizman, kamień święty, który noszony na piersi chroni od uderzenia pioruna. Może.*

Ale ja, stary dziwak, Emanuel Karski nie wierzę takim zapewnieniom. Nawet cudowny opal z Australii nie jest w stanie zmienić człowieka i uczynić go lepszym. Czy owe mieniące się blaskiem słońca i błękitu nieba kamienie, notabene przypadkiem przywiezione z Australii, uczyniły mnie szczęśliwszym człowiekiem'? Ile są warte? - zapytacie wszyscy. Z pewnością około dwóch milionów dolarów. Otóż wystarczy je sprzedać i za uzyskaną gotówkę żyć z procentów. Lecz cóż to za życie, gdy od nas samych nic nie zależy i stajemy się niewolnikami przedmiotów, kont bankowych, rozrywek i postmodernistycznych mód wymyślanych przez

szarlatanów. Diamenty może i są wieczne, ale po cóż nam one w grobie?

Nastąpiła pauza spowodowana głębokim wdechem Karskiego. W tym czasie Patryk z niesmakiem odniósł się do treści przemowy ojca i pokręcił z dezaprobatą głową. Inni także wydawali się zde gustowani tym ponurym wstępem, tylko na twarzy Barbary zakwitł ledwo widoczny uśmiezek.

- Do czego on zmierza? - zapytał Patryk.

- Cicho - uspokoił go mecenas.

- *Majątek... pieniądze i zaszczyty są ważne - ciągnął dalej bibliofil. - Nie kwestionuję ich znaczenia. Ale bogactwo może*

285

zaszkodzić, jeśli staje się celem samym w sobie. Diamenty oślepiają. Widziałem człowieka, niejakiego Jeana, który na moich rękach skonał omamiony wcześniej blaskiem tych świecidełek. Zmarł z wycieńczenia, więc nie wyrwały go one z ramion śmierci. Drugi opętany przez blask diamentów gonił mnie przez pół Australii, a wiódł go jeden cel: zdobyć świecidełko. Trzeci również dureń jak dwaj pierśi, dał się oczarować pięknem kamieni. Ja jestem tym trzecim człowiekiem. Dlatego wiem, że nic dobrego nie wynika z ich posiadania. Zapamiętajcie, że prawda jest cenniejsza od szkatułki pełnej diamentów. Jak widzicie, nie sprzedałem ich. Leżały zakopane w ziemi i czekały na tego, kto je odnajdzie. Ale i on nie powinien robić z nich użytku dla siebie. Wiem, co mówię. Z pokusami trzeba walczyć. Zwyciężyć szlachetną myślą blask brylantów. Dzięki mnie, każdy z was zapamięta te rady na całe życie, choć z początku ktoś będzie zdenerwowany... bardzo zdenerwowany. Postanawiam zatem, że znalazca szkatułki sprzeda diamenty oraz „Jutrzenkę Australii” na aukcji, a uzyskaną sumę przekaże na rozwój muzeum w Kórniku. Niech idea

*propagowana przez Tytusa Działyńskiego będzie kontynuowana, bo
mniemam, że ludzie na zamku zrobią właściwy użytek z uzyskanych
funduszy...*

- A to ci heca - wyszeptała Barbara z satysfakcją. Wstała.

- Ha, ha! Co ojciec chciał przez to powiedzieć? Czyżby to, że
diamenty nie są wyłączną własnością spadkobiercy?

Mecenas wyłączył magnetofon.

- O żesz ty kartofel! - Barber poprawił kapelusz na głowie.

- Stary dziwak znowu zakpił.

Ale nauczycielka i Omnibus nie wydawali się zdruzgotani
oświadczeniem bibliofila, a tym bardziej docinkami Barbary, choć
odczuwali coś w rodzaju lekkiego zawodu. W końcu nie przyszli na
spotkanie ze świadomością otrzymania spadku.

- Pani Iza musi sprzedać kamienie i należność wpłacić na
konto Biblioteki Kórnickiej - oświadczył mecenas.

Barbara zachichotała. Patryk i Klaudyna jakby odetchnęli z ulgą.

- To znaczy - śmiał się Patryk - że gdybym pierwszy wpi-

286

sał właściwe hasło, to później musiałbym sprzedać diamenty, a całą forszę
oddać muzeum? Ha, ha! Brawo, tatuśku. To się nazywa odjazd!

Klaudyna popatrzyła na lekko zmieszanego Omnibusa.

- Nie martwi cię decyzja ojca? - zapytała.
- Może trochę - odpowiedział nadzwyczaj spokojnie. - Już wcześniej
dyskutowaliśmy z mamą, co zrobimy w wypadku zwycięstwa. No i
ustaliliśmy roboczo, że jeśli dostaną nam się kosztowności, to nie
przyjmujemy ich. Planowaliśmy je sprzedać i całą kwotę przeznaczyć

na zbożny cel.

- Tak chciałby Emanuel - dodała poważnie nauczycielka. -I proszę, czyż tak bardzo się pomyliłam?
- Czy pani mówi poważnie? - zmarszczyła czoło zaskoczona Barbara.
Znowu wstała, gotowa na dobre opuścić towarzystwo. - A może źle się pani czuje?
- Wspaniale, pani Barbaro! Wspaniale!
- Mój... to znaczy nasz ojciec, i dziadek, nie sprzedał diamentów - wyjaśnił na koniec Omnibus poważnym tonem. -Wolał je zakopać. A przecież mógł zwiedzić za nie cały świat albo kupić kilka domów. Może miał rację, że diamenty nie dają szczęścia? I może niech faktycznie przysłużą się polskiej nauce i kulturze, tak jak tego chciał. Bo dzięki temu, że przeleżały w ziemi tyle lat, przeżyłem najwspanialszą przygodę w moim życiu.
I popatrzył na pozostałych pytająco.
- A wy?

KONIEC